



Anna Quindlen

W stronę prawdy

Prolog

Areszt wcale nie jest taki straszny, jak sobie wyobrażamy. Mam na myśli areszt, nie więzienie. Więzienie to zupełnie co innego. Pamiętamy ze starych filmów i telewizyjnych reportaży, jaką budziło grozę. Potężny szary budynek z wieżyczkami strażników na każdym rogu, otoczony wysokim murem, na którego szczycie ciągną się jeden nad drugim spiralnie skręcone rzędy kolczastego drutu albo odkosów. Osadzeni w takim więzieniu tłuką metalowymi łyżkami w kraty; na spacerunku spiskują i przygotowują się do wszczęcia buntu. Gdy upatrzą sobie jakiegoś chłopca, zwykle najmniejszego, takiego, który znalazł się za kratkami po pierwszym popełnionym przestępstwie, zaciągają go do łazienki pod prysznic. Strażnicy udają, że niczego nie widzą, zostawiają młodego więźnia własnemu losowi: niech próbuje uciec prześladowcom, jeżeli potrafi... Krew tryska. Błada, bo czerwień miesza się z mleczną bielą i spływa po tylnej stronie nieowłosionych ud chłopca. A w jego oczach już na zawsze pozostanie cień tego przeżycia...

Tak właśnie wyobrażałam sobie więzienie.

Areszt jednak w niczym go nie przypominał. W każdym razie nie ten w hrabstwie Montgomery. Składał się z dwóch cel, razem mniejszych metrażem od mojej starej sypialni na stryszku w domu rodziców. W oknach były co prawda kraty, ale zamykało się je ręcznie. Nie zatrzaśkiwały się na głośny sygnał przesyłany zdalnie za pomocą bezlitosnego elektrycznego impulsu.

Areszt, w którym mnie zamknięto, kojarzył mi się z filmowymi rolami Andy'ego Griffitha* czy Jimmy'ego Stewarta**. Mniej w nim było Dostojewskiego niż w repertuarze letnich teatrów. W sam raz nadawałby się dla tego niemal obcego faceta, który nosił swój rewelacyjny towar w skórzanym plecaku przewieszonym przez jedno ramię i mówił ostrym tenorowym głosem.

* Andy Griffith - aktor i prezenter.

** Jimmy (James) Stewart - aktor (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Miejsce do spania stanowiło coś w rodzaju półki. W celi znajdowała się też toaleta, podłogę zaś przykrywało linoleum w deseń w plamki, do złudzenia przypominające wykładziny w salach szpitala imienia Langhorne'a. Podobieństwo do tego stopnia mnie uderzyło, że zastanawiałam się, czy kładła je ta sama firma. Gdy drzwi się za mną zamknęły, funkcjonariusz, który mnie eskortował przez długi korytarz, odszedł. Wcześniej mnie sfotografowano i wzięto odciski palców. W spojrzeniu, jakim mnie stróż prawa obrzucił na odchodnym, nie było ani krzty współczucia, a przecież uczyliśmy się kiedyś w tym samym gimnazjum. Ba, byliśmy nawet w tej samej francuskojęzycznej klasie. On ukończył szkołę zaledwie z dostateczną oceną, ja natomiast rozpoczęłam studia nad tym językiem, uwieńczone nagrodą Instytutu Francuskiego.

Kiedy umilkły kroki policjanta, w celi zapanowała cisza. Potem od frontu, z biura dyżurnego oficera, zaczął dochodzić nieregularny stukot maszyny do pisania, jakby uderzający w klawisze nie był zbyt

wprawny. Co jakiś czas rozlegał się przeraźliwy sygnał policyjnej nadawczo-odbiorczej radiostacji, a gdzieś z góry docierało do mnie ciche, lecz nieustanne brzęczenie. Wydawało się, że źródłem tego słabego, nieokreślonego dźwięku są przewody elektryczne, biegnące tuż pod akustycznym, krytym glazurą sufitem. Celę oświetlały wysoko umieszczone lampy fluorescencyjne w kształcie rurek.

Jeszcze teraz mi się zdarza, że gdy jestem na dyżurze w szpitalu i spojrzę pod pewnym kątem na sufit, jawi mi się ów więzienny, rozjaśniony świetlówkami strop. Ogarnia mnie wtedy dziwne uczucie, że znów znajduję się w tamtej małej celi. Nie powiedziałabym jednak, że jest to przykre doznanie.

Usadowiwszy się na pryczy z rękami lekko ściśniętymi między kolanami, poczułam ulgę. „Siedzę w kozie - powtarzałam sobie w myśli. - W ciupie! W pierdlu!” Sama siebie straszylam tymi prymitywnymi gwarowymi określeniami, które usłyszałam kiedyś z brzydkich „rybich” ust Edwarda G. Robinsona, gdy oglądałam go w telewizyjnym „nocnym kinie” na wygodnej kanapce w moim pokoju. Dom był pogrążony w ciemności, ekran szaroniebieski jak rekin, a moi rodzice spali w sypialni na górze. „Zapudłowali mnie! - myślałam. - Wsadzili do kryminału!” Ale na to wszystko nakładała się inna myśl: „Jestem sama, całkiem sama, samiuteńka”.

Położyłam się na pryczy na boku i obie dłonie podłożyłam pod policzek. Przymknęłam oczy i czekałam. Spodziewałam się, że usłyszę głos mamy, wołanie o pomoc, prośbę o podanie herbaty czy szklanki wody lub kanapki, a może błaganie o morfinę. Ale nikt do mnie nie mówił. Nikt mnie już nie potrzebował. Spłynął na mnie spokój. Nie pamiętam już, kiedy byłam taka spokojna, ale musiało to być dawno. I poczułam się także wolna. Wolna w więzieniu.

Po raz pierwszy od wielu dni nie ukazywał mi się też ojciec z gładko uczesanymi czarnymi włosami, o profilu nieco rozmytym przez wiek i zmęczenie. Przestałam widywać ojca nabierającego łyżeczką budyń z ryżu i wkładającego porcję po porcji w zwiotczałe usta matki; przypominał kruka karmiącego w gnieździe dzikie pisklęta, z dziwacznym czubkiem puchu na główkach i nieprzytomnymi, lśniącoymi oczami. Łyżka. Połknięcie. Łyżka. Połknięcie. Wąska linia warg ojca i język matki cienki jak przecinek; błysk miłości i rozpacz, który na chwilę rozświetlił jej twarz i zniknął.

Wciąż mam tę scenę przed oczami. Odgrywam ją ciągle na nowo, próbując skupić się na poszczególnych elementach. Chciałabym zwłaszcza spojrzeć w oczy matki i ojca też... Ale tej nocy, którą spędziłam w areszcie, scena karmienia ulotniła się na kilka godzin z mojej pamięci i jedyne, co mi na dobre w niej utkwilo, było owo brzęczenie.

Przypominało dźwięk, który nieraz słyszałam, gdy w letni dzień spacerowałam po ulicach Langhorne. Najczęściej pojawiał się w dzielnicy, w której mieszkałam, zabudowanej wysokimi domami. Tam zawsze wpadało mi w ucho owo brzęczenie. Ktoś, kto zachowując ciszę, uważnie by się w nie wsłuchiwał, bez trudu by się domyślił, że to brzęczą setki klimatycznych urządzeń. Właczały chłodne, czyste, wspańiale powietrze do chłodnych, czystych, wspańiałych pokoi; a takie właśnie były w naszym domu. Wzrok wędrował tu najpierw do pięknych rzeźbionych gzymsów, potem zatrzymywał się na politurowanej po-

wierzchni stołu w jadalni, by w końcu przenieść się do salonu i spocząć na poduszkach leżących na wielkiej, pokrytej brązowym aksamitem kanapie, stojącej naprzeciw kominka, i fortepianu marki Steinway.

Tak zawsze o naszym mieszkaniu myślałam, choć przez kilka ostatnich miesięcy życia mojej matki wyglądało ono całkiem inaczej. Bo tak było u nas wtedy, gdy jeszcze nie przenieśliśmy tapczanu z mego pokoju do salonu, aby zrobić miejsce na szpitalne łóżko; zanim zsunęliśmy meble na tył pokoju i ścisnęli je przy ścianie, by zmieścić się fotel inwalidzki, i zanim aksamitne obicie tapczanu zeszcpeciły wymiociny i ślina.

Czerwonawe przytłumione światło przenikające przez spuszczone powieki przypominało mi światła uliczne wokół naszego domu, zwłaszcza jesienią pod koniec dnia. O tej magicznej porze wjeżdżały na naszą ulicę samochody, wyróżniające się wyglądem; z łatwością je rozpoznawałam. Skręcały w podjazdy albo jechały dalej, w stronę innych małych uliczek i pobliskiej ślepej alejki. Zawsze umiałam zidentyfikować samochód doktora Belknapa, lekarza pediatry, którego pacjentką pozostałam przez całe życie. I pana Fryera, który pracował w city jako doradca finansowy i miał obsesję na punkcie golfa. A także pana Dingle'a, dyrektora gimnazjum, którego stać było na mieszkanie przy naszej ulicy tylko dlatego, że jego żona odziedziczyła tu dom po rodzicach.

Późnym wieczorem, kiedy zapłonęły uliczne światła, rozbrzmiewające własnym brzęczeniem, w naszą ulicę wjeżdżało jeszcze kilku innych sąsiadów. Ostatni zjawiał się pan Best, prokurator okręgowy. Mój brat Brian kiedyś co rano dostarczał mu dziennik „Tribune”. Stawiał się u niego skoro świt i jak mi opowiadał, za każdym razem, kiedy z całych sił pedałowal, by wjechać rowerem w górę podjazdu na porośłą japońską rumianką skarpe, która od ulicy oddzielała dom Besta, pan prokurator już na niego czekał. Na dworze dopiero switało, a Best tam stał i zniecierpliwiony nerwowo stukał o ziemię stopą obutą w skórzany ranny pantofel. W zimie miał na sobie sztruksowy szlafrok, a w lecie podomkę z bawełnianej kory. Nigdy nie dawał Brianowi na święta pieniędzy, ale obdarowywał czapką baseballówką z napisem na otoku „Best na kongresmana”. Pan Best rozdawał czapeczki zawsze przed wyborami. Tym razem przypadło to w okresie, kiedy siedziałam w areszcie.

Obok mojej celi przeszedł policjant. Znałam go jako Skipa, chociaż przeczytałam na jego identyfikatorze, że naprawdę nazywa się Edwin-Ktoś-Tam junior. Ostatni raz widziałam go w grudniu podczas uroczystości zapalania świec na bożonarodzeniowych drzewkach w naszym mieście. Za najładniejszą została uznana choinka ubrana przez moją matkę. Miała błyszczące szklane ozdoby i wielkie czerwone kokardy. Skip należał do naszej szkolnej drużyny koszykówki, ale migał się i nie brał udziału w żadnym meczu. Siedział w ławce przede mną; mogłam śmiało otworzyć książkę i oprzeć ją o jego szerokie plecy. Wraz z niskim chłopcem o imieniu Bill, który zajmował miejsce obok niego, tęsknie czekał na powrót drużyny z sali gimnastycznej. Obaj chcieli wspólnie z chłopcami z drużyny przeżyć nerwową przepychankę, by choć przez kilka minut móc poczuć się uczestnikami gry. Jestem pewna, że mój brat Jeff znał Skipa. Był jednym z tych, którzy mieszkali w niewielkich domkach za miastem na półwyspie Cape Cod.

W naszym hrabstwie widziało się wiele takich domków wzdłuż krętych wiejskich drózek. Latem kryła je kukurydza wyrastająca wysoko ponad głowy farmerów. Pomidory i cukinie sprzedawano z małych przybudówek, zaopatrzonych od frontu w ladę z dykty. Bywało, że w sierpniu cukinie osiągały rozmiary kijów baseballowych, a ponieważ nikt nie chciał takich kupować, dzieci używały ich do zabawy: waliły nimi o drzewa w lesie otaczającym miasteczko. „Kupując cukinie, trzeba wybierać tylko małe sztuki i takie, które mają jeszcze kwiat” - mawiała mama.

W hrabstwie Montgomery ogromną powierzchnię, liczącą wiele, wiele hektarów, zajmowały należące do farmerów pola uprawne i lasy. Przez przedmieście wiodła szeroka ulica. Po jej obu stronach znajdowały się różne magazyny i sklepy; handlowano głównie starociami i używanymi karoseriami samochodowymi. Ale były też pizzeria i skład urządzeń elektronicznych, oferujący towary po obniżonej cenie. Na małym krytym placu targowym można było kupić nie najlepsze chińskie potrawy na wynos, a także odwiedzić fryzjera. A kiedy się już to wszystko minęło, dochodziło się do miasteczka uniwersyteckiego Langhorne. Domy miały tu ganki z frontu i półkoliste, wachlarzowate okna; wzdłuż chodników rosły dęby o pniach grubych jak beczki. Na wiosnę kwitły azalie, latem hortensje, a jesienią przy krawężnikach leżały sterty opadłych liści. W Langhorne był sklep z obuwem, znany z dużego wyboru mokasynów, i sklep jubilerski, w którym na specjalnych tacach prezentowano mnóstwo pierścionków i sygnetów. Nie mogło oczywiście braknąć księgarni; prowadziło ją starsze małżeństwo: Isabel i Dean Duane. Państwo Duane'owie osiedlili się w Langhorne po przejściu na emeryturę. Przyjechali z dużego miasta, gdzie prowadzili ożywione życie towarzyskie i zawodowe. Teraz jednak prawie nie zaglądali do „Biuletynów zapowiedzi wydawniczych”, ponieważ uważali, że i tak doskonale wiedzą, o czym się w nich pisze. Duane'owie szybko się upodobnili do ludzi z Langhorne: tak jak oni wierzyli, że nic, co się w ich małym światku dzieje, nie jest im obce.

Areszt nie znajdował się na terenie „właściwego Langhorne”. Tym mianem nazywali swoje dzielnice bogatsi mieszkańcy miasteczka i od razu było wiadomo, kto mieszka przy ulicach, gdzie dwa szeregi dębów tworzą szpaler, a kto w byle jakich, niechlujnych domkach i przyczepach za miastem. Areszt stał za gazownią i tuż obok magazynów chłodniczych firmy Acme and the Safeway.

Policjant Skip, który w ostatniej klasie gimnazjum grał w koszykówkę tylko jedną czwartą meczu, zajrzał do mojej celi tej pierwszej nocy, bo się bał, że jestem przerażona, czuję się osamotniona i płacę; chciał sprawdzić, jak znoszę uwięzienie. Niepokoilo go, że mogę się załamać choćby dlatego, że byłam w areszcie już prawie cztery godziny, a mój ojciec jeszcze się nie zjawił, by zapłacić za mnie kaucję. Nie przyszedł i nie powiedział w typowy dla siebie sposób: „Cóż to za ponura historia, kochanie?!”. Osoba i sposób bycia mego taty doprowadzały moich nielicznych przyjaciół do wściekłości. Nie mogli znieść widoku jego niebieskich oczu ani ironicznej miny; nie mogli ścierpieć czarujących manier i ulubionych powiedzonek. Czekano na niego od pierwszej chwili, gdy policja mnie zamknęła; spodziewano się, że wkrótce, sadząc długie kroki, wparuje w drzwi i klnąc wymyślnie, zawoła: „Chciałbym się dowiedzieć, co się tu, do jasnej cholery, dzieje!”

Mój ojciec był kierownikiem katedry anglistyki w miejscowym college'u; słynął z wzorowej angielszczyzny, która brzmiała szczególnie pięknie, gdy w Klubie Kobiet albo w Episkopalnym Klubie Książki omawiał literackie walory *Dawida Copperfielda* Dickensa czy *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen.

- To jest słabszy Dickens, moja droga Ellen, zdecydowanie słabszy... - tłumaczył mi potem, nawiązując do *Copperfielda* - ale jego *Samotnia* ma dla tego audytorium zbyt wiele wątków.

- Gdy byłam młodsza, ojciec nazywał mnie nieraz „małą Nell”*, natomiast mama wołała mówić: Ellie.

* Mała Nell - bohaterka powieści Dickensa pt. *Magazyn osobliwości*.

Ale ojciec nie przyszedł, by wpłacić kaucję, więc młody policjant zjawił się w mojej celi, żeby nieco uspokoić przerażoną dziewczynę, jaką spodziewał się zastać. Podobno go rozbawiło, gdy zobaczył, że śpię w najlepsze pod światłem lamp fluorescencyjnych. Kolana podciągnęłam wysoko, aż pod piersi, a złożone jak do modlitwy dłonie wsunęłam pod policzek. Tak w każdym razie Skip to opisał na łamach „Tribune”.

Przeczytałam jego wypowiedź, bo zarówno mój brat Jeff, jak i pan Forking uznali, że najlepiej będzie, gdy się dowiem, co się o mnie mówi.

Skip - napisano w artykule - był zszokowany, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Stwierdził też, że już w szkole cechował mnie pewien chłód, że się wywyższałam i byłam bardzo pewna siebie.

I miał rację... Dodał, że byłam mądra, i znowu miał rację.

Ale pod pewnymi względami Skip okazał się ode mnie mądrzejszy. Wiedział, że jeśli dziewczyna, która siedzi w areszcie, a która dopiero co stała się na tyle dorosła, by się uważać za kobietę, chce być poważnie traktowana, to powinna odczuwać przerażający lęk i silne podniecenie. W żadnym razie nie może spać: ma czuwać całą noc i rozważać grozę swego położenia. Jest to szczególnie uzasadnione, gdy chodzi o dziewczynę oskarżoną o zabicie własnej matki.

Tymczasem Skip zastał mnie śpiącą, a na mojej twarzy błąkał się lekki uśmiech.

Możecie ten uśmiech zobaczyć na zdjęciach, które zrobiono mi następnego dnia rano, kiedy stawiałam się w sądzie, oskarżona o umyślne spowodowanie śmierci Katherine B. Gulden. Rysownik sądowy, który sporządził mój portret, jakoś tego uśmiechu nie uchwycił. Na rysunku przedstawił mnie z obrońcą z urzędu, stojącym u mego boku. W małym zamkniętym pomieszczeniu adwokat bardzo się zgrzał i jego bładoniebieski garnitur mocno przeszedł zapachem potu.

Pamiętam, że przyszło mi wtedy na myśl, iż każdy, kogo reprezentuje w sądzie mężczyzna w bładoniebieskim garniturze, jest z góry przegrany. W dodatku mój obrońca miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami. „No to zdrowo sobie posiedzę” - pomyślałam.

Późnym popołudniem, gdy małe targowisko naprzeciw budynku municypalnego okrył już cień, złożono za mnie kaucję: dziesięć tysięcy dolarów w gotówce plus poręczenie majątkowe z tytułu posiada-

nia domu z czterema sypialniami i gotową do zamieszkania suteroną. Kiedy w końcu opuściłam areszt hrabstwa Montgomery, uśmiech malujący się na mojej twarzy w czasie snu nadal na niej pozostał. Było to tylko małe półksiężycowe skrzywienie ust nad wystającym podbródkiem i pod spiczastym nosem.

Na pierwszej stronie „Tribune” uśmiechałam się niczym Mona Liza. Miałam włosy splecione i szesane z czoła, co uwydatniło arogancki szpic w kształcie litery „V” na samym jego środku. Obszerny biały sweter i płaszcz w kolorze groszku powiewały nad brudnymi dżinsami, a na policzku miałam niezbyt widoczną plamę. Byłam pewna, że nawet te nieliczne osoby, które wciąż mnie kochały, gdy spojrzą na moje zdjęcie, pomyślą, że Ellen znowu bezczelnie się zachowuje. Bo kto to widział, żeby się uśmiechać w najgorszym momencie życia!

Niektórzy z moich przyjaciół rzeczywiście tak się o mnie wyrazili, o czym z czasem się dowiedziałam, ale nigdy na ten zarzut nie odpowiedziałam. Bo czy mogłabym komukolwiek się przyznać, że ilekroć w miejscu publicznym ktoś staje na mojej drodze z aparatem fotograficznym w ręce i wpatruje się we mnie, jakby zobaczył maskę wojenną na twarzy wroga, słyszę znajomy altowy głos: „Uśmiechnij się do kamery, Ellie. Tak ładnie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz”.

Głos mojej matki, przywróconej do życia w głębi mojej świadomości, skutecznie usuwał z niej Becky Sharp*, Pipa, Pannę Havisham** i wszystkie inne wymyślone postacie, które kiedyś, dawno temu nauczyłam się od mego ojca cenić bardziej niż ludzi żywych. Mama do mnie mówiła, a ja jej słuchałam, bo czułam dziwny lęk, że jeśli tego nie zrobię, jej głos będzie powoli cichł niczym zanikający cień czegoś, co w końcu stanie się tylko świetlnym punkcikiem, a potem zginie i stracę ją na zawsze, tak jak to się stało z czarodziejką Tinker Bell***, gdy nikt nie bił jej brawa. Słuchałam mamy, ponieważ ją kochałam, a że w naszym dotychczasowym życiu tak niewiele miała do mnie próśb, więc chciałam spełnić to jej małe, lecz dobrze zapamiętane życzenie, i uśmiechnąć się do kamery.

* Becky Sharp - bohaterka *Targowiska próżności* Thackeraya.

** Pip i Parma Havisham - bohaterowie *Wielkich nadziei* Dickensa.

*** Tinker Bell - czarodziejka z bajki o Piotrusiu Panie Barriego.

Zawsze w końcu robiłam to, o co mnie matka prosiła, nawet jeśli bardzo tego nie chciałam.

Byłam już śmiertelnie zmęczona wdychaniem kwaśnego zapachu jej ciała, oglądaniem pęków włosów na szczotce; miałam dość basenów i misek, a także proszków, dzięki którym mogła powstrzymać się od jęku i płaczu, od kręcenia się i wicia jak piskorz. Przypominała owe piskorze, które łowiliśmy kiedyś w rzece Montgomery. Pamiętam ich skrzela trzepoczące w śmiertelnym przerażeniu, gdy podnosiliśmy je na końcu haczyka.

Próbowałam robić przy mamie wszystko, bez krzyku wyrażającego tę straszną prawdę: „Umieram razem z tobą!”. Ale ona i tak to wiedziała. Czuła. Dlatego, a może i z innych jeszcze powodów, leżała na kanapie w dziennym pokoju i płakała bezgłośnie. Łzy nadawały jej szarozółtej skórze połysk satyny, tak chętnie przez nią używanej. Szyła z niej pokrowce i abażury, które malowała w kwiaty. Miałam je w sy-

pialni. Staralam się zapewnić matce wygody i zawsze robić to, co chciała. Zawsze, ale nie wówczas, nie w ostatniej chwili jej życia.

Nieważne, co twierdziła policja i okręgowy prokurator. Nieważne, co pisały gazety. Nieważne, w co ludzie wierzyli wtedy i w co nadal wierzą tyle lat później. Prawdą jest, że nie zabiłam matki, choć bardzo pragnęłam móc to zrobić.

TLR

Część pierwsza

Pamiętam, że ostatni normalny dzień, jaki z moimi braćmi przeżyliśmy, był całkiem zwyczajny, taki jak choćby dzisiejszy. Ot, duszny, powszedni dzień na przełomie sierpnia i września. Niebo szarzało nisko nad Langhorne; chmury płaskie jak stara pierzyna kłębiły się między dwoma niewielkimi pasmami górskimi, które otaczały miasto. Postanowiliśmy pojechać na lody do „Tastee Freeze”. Udaliśmy się tam starym sfatygowanym jeepem Jeffa; w drodze wystawialiśmy ręce na wiatr. Moi bracia byli przystojnymi chłopcami i wyrosli na przystojnych mężczyzn. Brian ma czarne włosy i niebieskie oczy ojca, a Jeffrey odziedziczył po matce kasztanowe włosy, oczy jak bursztyny i owalną, lekko piegowaną twarz.

Obaj byli opaleni. Tego dnia kończyli wakacyjne zajęcia: jeden pełnił funkcję kierownika młodzieżowego obozu, a drugi zajmował się zakładaniem ogrodów. Ja byłam blada, bo w dni powszednie pracowałam w biurze w Nowym Jorku, a w weekendy jeździłam do przyjaciół na Wyspy Ogniste. Więcej czasu spędzałam tam na koktajlach i przyjęciach niż na plaży; wiele się wtedy mówiło o raku skóry i szkodliwości słońca dla wzroku.

Potem nieraz żałowałam, że się bardziej tym dniem nie rozkoszowałam. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego nie delectowałam się każdą jego chwilą, tak jak smakiem lodów na języku; dlaczego sobie nie uświadamiałam, jak wspaniale jest żyć normalnie i zwyczajnie. Ale chyba wie się o tym dopiero wtedy, gdy już nic nie jest ani normalne, ani zwyczajne. I rzeczywiście, po tym dniu nic już nie było takie jak przedtem. Pamiętam, że wypadł on w czwartek. Byłam wówczas jeszcze dawną sobą, bardzo z siebie zadowoloną i mocno zaangażowaną we wszystko, co robiłam. Odnosiłam sukcesy i moje otoczenie uważało mnie za szczęściarę.

- Ellen, ta to ma dobre życie - śmiał się Jeff, nawiązując do periodyku, w którego redakcji pracowałam. - Płacą jej za cwaniactwo. Żyje z tego, że chodzi na przyjęcia, rozmawia z ludźmi i potem ich wyśmiewa na łamach swego czasopisma. To tak, jakby ci płacili za oddychanie albo grę w tenisa.

- Przecież ty też mógłbyś brać pieniądze za to, że grasz w tenisa. Czyżbyś nie słyszał o zawodowych tenisistach? - kpiłam.

- No tak - zgodził się Jeff - ale to by się nie udało z naszym ojcem - przekonywał mnie, wysysając jednocześnie lody z dna rożka. - Wyobrażasz to sobie? Posłuchaj, tato! Posłuchaj mnie, panie myślicielu! Postanowiłem przenieść się do Hilton Head i zostać zawodowym tenisistą. Ale zapewniam cię, ojczulku, że w wolnym czasie będę czytał Flauberta.

- Zastanawiam się - powiedziała - czy byłoby możliwe, żeby któryś z was powziął jakąkolwiek decyzję bez obawy, że to się może nie spodobać tacie.

Bracia mnie zakrzyczeli i wyśmiali.

- Wspaniale! - szydził Jeff. - Ellen Gulden nie pyta ojca, jak ma postępować. Szkoda tylko, że dwadzieścia cztery lata za późno.

- Przynajmniej mama jest zadowolona ze wszystkiego, co robię - pochwalił się Brian.

- E... co tam mama... - ironizował Jeff.

- Hej, Jeffrey! - zawołał ktoś z drugiego końca parkingu. - Hej, Brian! - Bracia spontanicznie podnieśli ręce, pozdrawiając kolegę.

- Co się dzieje?! - odkrzyknął Jeff.

- A mnie się tu traktuje, jakbym była powietrzem - zauważyłam.

- Nawet wtedy, gdy tu mieszkaliśmy, traktowano cię, jakbyś była powietrzem - stwierdził Jeff. - Nie obrażaj się, El, ale jesteś jak wygłodniały szczeniak i zawsze taka byłaś, a świat nie lubi wygłodniałych piesków. Ludzie się boją, żeby ich nie pogryzły.

- Dlaczego się wygłupiasz i mówisz jak jakiś zwariowany komentator radiowy, co? - spytałam.

- Widzisz, Brian, Ellen nigdy sobie nie odpuszcza. Nowy Jork jest w sam raz miejscem dla niej. Całe to miasto pełne jest ludzi, którzy nigdy sobie nie pozwalają na relaks, a zanim tu przyjechali, to i w rodzinnych stronach byli wiecznie zdenerwowani i spięci. Żegnaj, wygłodniały szczeniaku! Idź tam, gdzie psy wzajemnie się pożerają.

Na dworze się ściemniło; nisko zawieszona chmura sprawiła, że poczuliśmy się jak w mrocznym pokoju, w którym świeci się tylko jedna żarówka. Na podjeździe uginał się pod stopami miękki asfalt; nad Langhorne unosił się zapach węgla drzewnego niczym zapach perfum nad koktajlowym przyjęciem. Tego wieczoru ojciec wrócił późno do domu, ale byliśmy już do tego przyzwyczajeni; przez jakiś czas stał w drzwiach gabinetu, opierając się o futrynę, a potem, ciężko stąpając, wszedł do sypialni na górę i był dziwnie milczący.

Nie zdumiało to chłopców, z którymi miał nieco napięte stosunki, jakie wielu ojców ma ze swoimi synami, ale mnie zachowanie taty wydawało się dość niezwykle. Zawsze sądziłam, że wiem, co myśli ojciec, choć nie rozumiałam porywów jego duszy. Ilekroć przyjeżdżałam do domu - czy to z college'u, czy w późniejszych latach z wizytą z miasta - zapraszał mnie do swego gabinetu. Stały tam ciemne meble, a światło miało przyćmiony kolor sepia; tata siadał w fotelu za biurkiem, pochylał się do przodu i po prostu polecał:

- Opowiadaj!

Snułam wtedy przeróżne opowieści: mówiłam o słynnym pisarzu, którego wykład słyszałam w auli; o dyskusji, jaką podjęłam z redaktorami na temat składni; o moim sąsiedzie z parteru, który wspaniale, choć nieco monotonicznie grał Scarlattiego, a kiedy przez uchylone drzwi zajrzałam do jego mieszkania, zobaczyłam, że wykonywał ten utwór na małym zabytkowym klawikordzie.

W czasie tych rozmów czułam się nieraz jak ktoś przepytwany przez rządowego aparatczyka albo jak Szeherazada zabawiająca opowiadaniem sultana. Często wymyślałam różne wspaniałe historie, a ojciec odchyłał się do tyłu, opierał plecy o oparcie fotela i jego twarz wyrażała najgłębsze skupienie jak wtedy, gdy wykladał swoim studentom. Czasem pod koniec mojej narracji tata robił uwagę w rodzaju: „To bardzo interesujące!” A ja byłam szczęśliwa.

Matka spędzała ten dzień w szpitalu i jak zawsze bez niej dom wydawał się pustą sceną, na której nic się nie dzieje. Bo dom, który nazywaliśmy naszym, był w rzeczywistości jej domem. Kiedy słyszę, jak mówi się o kimś, że jest dobrą gospodynią - co teraz zdarza się raczej rzadko - zawsze myślę o matce. To ona sprawiała, że nasz dom był zadbane i wzorowo prowadzony. Umiała dobrać odpowiednie potrawy, brała nawet lekcje gotowania; sprzątała pokoje w chustce na głowie, wiążąc ją z tyłu jak aktorki w filmach. Kiedy zmieniała tapety na ścianach, tym samym materiałem wykładała też ramki do rodzinnych fotografii.

Dwie największe fotografie mamy i ojca znalazły się w salonie. Na jednej rodzice stoją na ganku przed domem. Mama trzyma ramię ojca obiema dłońmi, a jej twarz rozjaśnia olśniewający uśmiech; jakby nie było w życiu większego szczęścia od tego, jakiego mama doznaje właśnie w tym miejscu, w tym dniu i z tym człowiekiem. Zwrócona jest nieco w jego stronę, on zaś patrzy prosto w aparat fotografa, ramiona ma skrzyżowane na piersi, twarz poważną, oczy kpiące.

Kiedys, gdy byliśmy kochankami, Jonathan wziął tę fotografię z fortepianu i przyglądając się jej, powiedział, że mój ojciec wygląda na niej jak człowiek, który byłby w stanie wyrwać ci serce z piersi, upiec je na grillu i spożyć na obiad, a potem na deser zjadłby jeszcze twoją żonę. Biorąc pod uwagę skomplikowane stosunki, jakie łączyły Jonathana z moim ojcem, były to bowiem relacje dwóch mężczyzn zaangażowanych w walkę o duszę tej samej kobiety, opisał ojca całkiem sprawiedliwie.

Zastanawiam się, czy ta fotografia wciąż stoi u ojca na fortepianie, czy też może ją gdzieś głęboko schował. I teraz matka uśmiecha się mgliście i szczęśliwie w ciemności szuflady.

Na fortepianie stała druga fotografia, na której mama wisi na ramieniu ojca z jednej strony, a z drugiej wiszę ja w akademickiej todze i birecie. Ojciec mruży oczy w słońcu i uśmiecha się. Zdjęcie zrobił Jonathan. Mam je teraz na toaletce. Stanowi najbardziej namacalny dowód trójkąta w rodzinie Guldenów.

Mamę pewnie by zasmucił obecny wygląd mego pokoju: tapczan obity zabrudzoną białą bawełnianą tkaniną i lampy byle jak ustawione. To mieszkanie osoby, która zdecydowanie nie jest gospodynią, wysłuchuje nagranych na automatyczną sekretarkę wiadomości i zaraz znowu dokąds biegnie.

Ale moja mama by mnie nie krytykowała i to by ją różniło od innych mam. Zamiast robienia uwag kupiłaby potrzebne, jej zdaniem, przedmioty. Zaczęłaby pewnie od sprawienia mi nowej narzuty, a więc zdobyła gdzieś tani, ale ładny wzorzysty kreton, sama by go obrębiła i przykrywając nim legowisko, powiedziała by z uśmiechem: „Ależ my się od siebie różnimy, prawda, Ellie?”. Mogłaby to samo powiedzieć, wieszając na ścianie nowy obraz. Ale mówiąc tak wtedy i przy wielu innych okazjach, nie zdawała sobie sprawy, że jeśli się różnię od kogoś uważanego przez wszystkich za cudowną osobę, to znaczy, że muszę być w jakiś sposób gorsza.

Mama uwielbiała sklep Phelpsa, w którym kupowało się naczynia, sztucce i narzędzia ogrodnicze. A sprzedawcy od Phelpsa przepadali za mamą. Mój ojciec zawsze się z niej z tego powodu naśmiewał. „Po raz nie wiem który - mówił, kierując swoje uwagi do mnie - twoja mama zafundowała Phelpsowi czynsz co najmniej za jeden miesiąc, ale inaczej niż inne osobniki jej płci rzuciła się na szelak i metalowe wiórki, na skutek czego zachwiała równowagę rynku”.

Gdy wracam myślę do tego dnia, w którym udałam się z braćmi do lodziarni „Tastee Freeze”, wyraźnie uświadamiam sobie, że był to uroczy dzień w naszym uroczym życiu. Dziś w pełni to doceniam. Po powrocie z wyprawy na lody rozłożyliśmy się na trawie w ogródku z tyłu domu, piekliśmy hamburgery i zajadaliśmy się nimi, a potem oglądaliśmy telewizję. Następnego dnia rano ojciec zszedł na dół w zmiętym ubraniu koloru khaki, w niebieskiej koszuli ze zrolowanymi rękawami i poprosił, żebyśmy go wysłuchali.

Oparł się plecami o ladę kuchenną, a ja usiadłam naprzeciw niego i popijałam sok pomarańczowy. Bracia zajęli krzesła z oparciami ze skóry, stojącymi na obu końcach kuchennego stołu. Siedziska były z trzciny; moja matka własnoręcznie je uplotła. Nie przytaczam tych szczegółów po to, by się rozpisywać, ale by w ten sposób oddać cześć mojej mamie: całe jej życie składało się z tego rodzaju drobiazgów. Przyznaję, że miałam wówczas do nich stosunek nieco pogardliwy.

Kiedy byłam małą dziewczynką, mama śpiewała mi czasem do snu, zawsze jednak wolałam, żeby usypiał mnie ojciec, bo wymyślał przezabawne piosenki, zupełnie pozbawione sensu.

- Luli - śpiewał - kołyszę cię do snu. Dobranoc, fettuccine Alfredo! Luli, śpiewam ci kołysankę. Dobranoc, rigatoni Bolognese!

Natomiast moja matka śpiewała mi nudne melodyjki z tekstem, w którym wciąż się powtarzały słowa: „cały i zdrowy”. I nic więcej... Jej piosenki od razu mnie usypiały. Ojciec działał na mnie pobudzająco, mama uspokajała. Czasem mi się wydaje, że oni się po prostu na mnie wprawiali do roli rodziców.

Wszystko pamiętam i tej dobrej pamięci zawdzięczam egzystencję. Wykorzystując wspomnienia, zarabiam na życie i odciskam swoje piętno na współczesności. Wszystko pamiętam. Nawet sok pomarańczowy na stole i Briana siedzącego w kucki i przerzucającego piłkę z ręki do ręki. Szklanek tylko do połowy napełniłam sokiem. Dębowy stół z blatem przypominającym wielki okrągły księżyc stał na solidnym postumencie, który wspierały cztery rzeźbione łapy zakończone drapieżnymi pazurami. Mama znalazła ten mebel w sklepie ze starociami. Natychmiast go kupiła, a potem oskrobała, oczyściła, zabejcowała i długo woskowała, aż mięśnie jej ramion upodobniły się do polituowanego drewna.

- Mama ma raka - poinformował nas ojciec, kiedyśmy siedzieli wokół stołu.

Już przedtem obserwowaliśmy pewne symptomy. Przez długi czas mama miała mdłości.

- Wasza matka zwlekała... - powiedział ojciec takim tonem, jakby należało ją za to winić. - Początkowo myślała, że ma grypę. Potem jej się zdawało, że jest w ciąży. Nie chciała robić koło siebie dużo szumu. Wicie, jaka ona jest...

Wszyscy troje spuściliśmy wzrok. Poczuliśmy się zażenowani na myśl, że nasza czterdziestosecioletnia matka mogła przypuszczać, iż jest w ciąży. Ja miałam dwadzieścia cztery lata, Jeff dwadzieścia, a Bri osiemnaście. Różnica wieku między nami wskazywała, że nasze urodziny były dokładnie zaplanowane. Skrupulatność matki nikogo z nas nie dziwiła.

Pod koniec tygodnia bracia mieli wrócić do college'u. Zapakowali już odtwarzacze stereo, a ich walizki stały otwarte na środku pokoju. Ja przyjechałam do domu z czterodniową wizytą. Nawet jeszcze nie wyjęłam wszystkich swoich rzeczy, z wyjątkiem tych, które miałam w torbie podróżnej; położyłam je na

komodzie stojącej w nogach łóżka, nie odkładając na miejsce. Szuflady w toalecie stały puste, porządnie wyłożone papierem w kwiatki. Cztery dni wydały mi się wystarczające na pobyt w domu. Gdybym została dłużej, ominęłoby mnie przyjęcie z okazji promocji pewnej książki i lunch z redaktorem ważnego czasopisma. Mama zapowiedziała, że wybiera się na tydzień do szpitala. Wyjaśniła, że chodzi o usunięcie macicy. Zdawało mi się, że to nic nieznaczący zabieg u kobiety, która ma czterdzieści sześć lat i nie zamierza już rodzić dzieci. Jednak z upływem lat coraz bardziej zdaję sobie sprawę, że nie wolno myśleć, iż coś jest bez znaczenia, jeśli się traci część tego, co czyni z nas kobietę: pierś, macicę, dziecko, mężczyznę...

Może to śmieszne, ale ta zmyślona ciąża zaszokowała nas początkowo bardziej niż rak, który nam się jakoś nie mieścił w głowie. Nagle się domyśliłam, dlaczego mama wydawała się taka radosna przed miesiącem, kiedy z okazji moich urodzin zaprosiła mnie na lunch w mieście. Jej zwykle blada, przezroczysta cera rudowłosej kobiety jakby się zaróżowiła, gdy ta czterdziestosześcioletnia pani odważyła się spytać córkę, przemądrzałą wielkomięjską pannę, gdzie można kupić atrakcyjne stroje ciążowe. Z bólem myślę o tym, co też się działo w maminej głowie, zanim odkryła, co się dzieje w jej ciele.

- Chemioterapia - powiedział ojciec. Pewnie były też i czasowniki w zdaniach, które wygłaszał, ale ich nie dosłyszałam. Słyszałam tylko: wątroba, jajniki, onkolog... Wzięłam szklanekę i wyszłam z pokoju.

- Jeszcze nie skończyłem mówić, Ellen! - zawołał za mną ojciec.

- Nie mogę tego dłużej słuchać! - rzuciłam i udałam się na ganek z frontu. Usiadłam na wiklinowym bujaku z poduszką, którą oczywiście zrobiła moja matka.

* * *

Starocie, jakie sprzedawano w sklepach z antykami w pobliżu domu, w którym mieszkałam w Nowym Jorku, bardzo mi przypominały kupowane przez mamę przed laty w Langhorne. Były to antyczne komody z drewna wiśniowego w kolorze rdzawobrunatnym, kołdry zszywane z różnokolorowych kawałków materiałów, wiklinowe fotele i kanapki malowane na biało. Choć mieszkaliśmy na najładniejszym osiedlu w Langhorne, nasz dom był najmniejszy. Właściwie można by go nazwać wiejską chałupą oszalowaną białymi deskami. Stanowiła pozostałość po farmach, jakie rozrzucone na okolicznych wzgórzach otaczały kiedyś miasteczko. A dom, w którym teraz mieści się college, swego czasu należał do majątku Samuela Langhorne'a. Ten zaś w latach przypadających na szczytowy okres rewolucji przemysłowej zbił majątek na produkcji części do maszyn.

Na tle innych budynków nasz wyglądał jak kucyk, który się wcisnął między duże konie, albo jak miniaturowy obrazek przy ściennych freskach. Ale wewnątrz domu pięknnością nie ustępowało innym, co zawdzięczaliśmy ciężkiej pracy matki.

Mama poślubiła mężczyznę, o którym wiedziała, że nigdy nie będzie bogaty, ale to jej, jak twierdziła, nie zrażało, ponieważ wierzyła, że ten człowiek ma prawdziwe powołanie. Chociaż była katoliczką, niezbyt pilnie przestrzegała zasad wiary, zachowała ją jednak w sercu. Gdy mówiła o powołaniu, można było odnieść wrażenie, że ojciec został księdzem lub że otrzymał święcenia, tymczasem na jego siedem

sakramentów składały się jedynie eseje, takie jak *Wstęp do wiktoriańskiej poezji*, *Romantycy i czas miłości* oraz inne tego rodzaju pozycje, figurujące na liście wydawnictw college'u.

Mieszkańcy naszego najładniejszego w mieście osiedla byli w większości ludźmi zbyt bogatymi, by im się chciało pracować w college'u. Ale nie tylko ta dzielnica, lecz cały Langhorne robił wrażenie miasta, które interesuje się czymś więcej niż tylko własnymi sprawami. Podobne cechy przejawia Waszyngton, Orlando w stanie Floryda, gdzie powstało ogromne wesołe miasteczko Disney-World, a także Boston. Kiedy się przeniosłam do college'u w Bostonie - lub w Cambridge, jak wolą mówić studenci Harvardu - byłam przekonana, że taką decyzję podjęłam, ponieważ chciałam wypłynąć na szersze wody, znaleźć się w bardziej kosmopolitycznym środowisku i szczęśliwie wyrwać się z tego grajdołka, gdzie wszyscy znają mnie, pozycję mojej rodziny w mieście i plasują nas na samym szczycie społecznej drabiny. No i oczywiście chciałam bez przeszkód kochać się z Jonathanem, a że on studiował w Harvardzie, więc poszłam za nim. Zawsze się bałam, że jeśli nie ja będę mu w łóżku ogrzewać zimne nogi, na pewno zrobi to ktoś inny.

Cambridge i Langhorne są do siebie podobne pod wieloma względami nie tylko dlatego, że wielu intelektualistów, bliskich duchowo memu ojcu, przebywa w Cambridge i pędzi jego ulicami w sztrukturalistycznych spodniach z wypchanymi kolanami i z „Timesem” wetkniętym pod pachę... Wszystkie uniwersyteckie miasta są właściwie takie same. Są to miejsca, w których pewien szczególny rodzaj ludzi zapuszcza korzenie; inni mijają je, nie zatrzymując się na dłużej.

Siedziałam na ganku naszego domu i przyglądałam się - jak to zresztą czyniałam wiele razy przedtem - budynkowi naprzeciw, reprezentującemu styl Tudora. Zdobny w sztukaterie i otoczony krzewami rododendronu należał do państwa Buckleyów. Spojrzałam na rosnące w ogrodzie byliny i stwierdziłam, że szybko przekwitają, tracąc intensywne barwy różu, bieli i błękitu, jakie miały świeżo po zasadzeniu. Od ostatniego mego pobytu w domu Buckleyowie zmienili także wystrój swego salonu, wprowadzając nowe, żywe kolory.

W nowojorskim apartamencie nie miałam zasłon w oknach. Kiedy przed miesiącem mama złożyła mi wizytę, zrobiła to nie tylko po to, żeby zjeść ze mną lunch, ale także by się zorientować, które meble z tych, jakie przechowywaliśmy w piwnicy, pasowałyby do moich dwóch małych pokoi.

- Nie masz zasłon w oknach - zauważyła zaraz po wejściu - i pewnie wszyscy cię oglądają, gdy się rozbierasz.

- Nic z tych rzeczy, mamó - odparłam. - W sąsiedztwie mieszkają sami geje.

Za nic bym się jej nie przyznała, że gdy się pierwszy raz rozbierałam w sypialni, spojrzałam naprzeciw, na żółte światło, w którego kręgu toczyło się życie innych ludzi, i zdjętą bluzką czym prędzej zasłoniłam piersi. Nie powiedziałam jej również, że od tamtej pory ubieram się i rozbieram w łazience bez okna i zachowuję się wstydliwie jak dziewczyna w noc poślubną.

Za żadne skarby nie zgodziłabym się też na pomalowanie ścian jaskrawymi kolorami ani na koronkowe firanki czy żaluzje z wąskich listewek. Uwielbiam smugę białego światła co rano przesuwanego się

po drewnianej posadzce, a także łagodną poświatę, jaka późnym popołudniem i wczesnym wieczorem przepływa nad fotonem rozłożonym na podłodze sypialni, gdy za oknami pojawia się księżyc.

Światło, słońce i gwiazdy tylko do mnie w tym miejscu należały. Natomiast ludzie patrzący w moje okna są mi zupełnie obcy: nie znają mnie. Dla nich nie jestem Ellen Gulden... tą małą Ellen, która mając osiem lat, przebrała się na Halloween za księżniczkę w sukni z błękitnego tiulu przybranej cekinami w kształcie gwiazdek. Ani tą Ellen Gulden, która spotkała Jonathana Beltzera na kursie angielskiego dla zaawansowanych i w wieku siedemnastu lat stała się jego nierozłączną towarzyszką. Także nie tą Ellen, która ukończyła Harvard z odznaczeniem *magna cum laude*. „Non sum summa est” - powiedział mój ojciec całym od rzeczy, bo wcale nie znał łaciny, choć sam kiedyś też otrzymał takie odznaczenie. Niemniej rozumiałam jego przesłanie. Wkrótce po skończeniu studiów rozpoczęłam pracę w znanym nowojorskim czasopiśmie jako asystentka redaktora, a sporadycznie uprawiałam również reporterkę.

Kiedy tak siedziałam na ganku w domu mojej matki, w miejscu, gdzie niemal każdy znał nie tylko moje imię, ale i niejedno o mnie wiedział, nagle zobaczyłam cień padający na kolana i domyśliłam się, że przede mną stoi ojciec.

- Mam pociąg o szóstej dziesiątej - oznajmiłam nieco drżącym głosem.

- Ellen - powiedział ojciec - twoja matka cię potrzebuje, wraca do domu we wtorek i na pewno jeszcze przez dłuższy czas nie będzie się dobrze czuła. Boję się, że choroba robi postępy. Może już wkrótce mama nie będzie w stanie sama się wykapać, a za miesiąc lub dwa nie da rady gotować ani sprzątać.

- Możemy wynająć pielęgniarkę - zaproponowałam. - Tak właśnie zrobili państwo Beldenowie, kiedy zachorowała matka pani Belden. - Ale w momencie, gdy wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie, że pomysł jest niedorzeczny. Przecież w naszej rodzinie obowiązywała dewiza: Zrób to sam. Po cząwszy od prezentów na Gwiazdkę, a skończywszy na cyklowaniu podłogi, postępowaliśmy zgodnie z tym hasłem.

- Twoja matka nie wynajęła pielęgniarki, kiedy ci wycięto migdałki, nie zrobiła też tego, gdy miałaś ospę wietrzną ani gdy złamałaś rękę. Sama cię doglądała. Nie chciała obcych w domu. Nie zatrudniała nawet sprzątaczk.

- Ależ tatusiu! Przecież ja mam mieszkanie, posadę... własne życie...

Cień się odsunął. Usłyszałam trzask zamykanych drzwi. Przejeżdżający obok wóz dostawczy robił tyle hałasu, że nie doszedł do mnie przyciszony odgłos kroków wracającego ojca. Miał na nogach tenisówki i bezszelestnie przeszedł przez ganek, by za chwilę dać upust swojej złości: Mój lniany żakiet, żeglując w powietrzu, zleciał mi na kolana; słomiany kapelusz i zaraz po nim torebka spadły na ziemię, uderzając o drewnianą podłogę, a portfel, podskakując, potoczył się przed siebie. Torba podróżna wylądowała u moich stóp.

- Co z tego, że masz harwardzkie wykształcenie - przez zaciśnięte zęby mówił ojciec - skoro nie masz serca. - Dorzucił na stertę moich rzeczy książkę, a po chwili jeszcze trampki i mokasyny, szklanka

zaś po soku pomarańczowym poturlała się, i, o dziwo, nie rozbiła, ale dotarłszy do kupy moich ciuchów, zmoczyła mi buty.

Ojciec często używał zwrotu o sercu, zwłaszcza gdy mówił o pisarzach. „Problemem Ezry Pounda - mawiał - nie jest jego antysemityzm, ale to, że on nie ma serca. Książki Fitzgeralda są głupie i niewiele warte, bo ich autor nie ma serca”. Teraz i ja dołączyłam do tej barwnej zbieraniny geniuszy i prawie dorównujących im twórców; tych wszystkich mądrych ludzi, którzy w oczach ojca byli bezpowrotnie straceni, ponieważ brakowało im tego czegoś, czego - zdaniem wielu - sam George Gulden nigdy nie posiadał, daremnie więc dobijałam się całe życie, by mi to coś okazał.

Wszystkie moje rzeczy leżały rozrzucone dokoła, a ja patrzyłam na te pozostałości po innym życiu i na lśniąca szklankę po soku, której rżnięte szkło opalizowało srebrem w popołudniowym słońcu.

Jawiły mi się duchy, kryły się na drodze i za drzewami: Moja matka, Kate Gulden, ciągnęła na wzgórze czerwony wózek, w którym siedział Brian, a Jeff i ja szliśmy za nią i nieśliśmy koc i kosz z jedzeniem na piknik. Kiedy wygrałam konkurs na esej, Kate Gulden przybiła do słupów ganku transparent z napisem GRATULACJE! Poczulałam się zawstydzona, gdy mój szef, odwiózłszy mnie do domu, ten napis zobaczył. Mama posadziła pod gankiem słoneczniki bulwiaste, okiennice pomalowała błękitem william-burskim, wniosła do domu zakupy z tylnego siedzenia samochodu i ze zdwojoną energią wzięła się do domowych prac.

Wyobraziłam sobie matkę siedzącą samotnie w dziennym pokoju, podczas gdy jakaś żwawa kobieta w białym fartuchu robi jej kanapki z tuńczyka i składa bieliznę, a nasz dom trochę już zakurzony milcząco się temu przygląda. Nie potrafiłam jednak tego wyobrażenia ubrać w słowa, pozostał więc sam obraz. Gdy pisząc do gazety felieton, zdarzało mi się umieścić jakiś źle brzmiący ustęp, moja przyjaciółka Jules mawiała: - Ten ustęp tutaj nie pasuje.

Kate Gulden i wynajęta pielęgniarka też do siebie nie pasowały.

Zawsze wiedziałam, a nawet byłam tego całkowicie pewna, że moje życie nigdy nie będzie częścią życia mojej matki. Wyniosłam się z domu tak daleko i tak szybko, jak mogłam, a teraz musiałam wrócić i zacząć wszystko od początku. Ojciec mnie stale przekonywał, działając jakby przez osmozę, bo rzadko uciekał się do pochwał, że jestem utalentowana, wyjątkowa, lepsza i potrafię, i to bez trudu, robić rzeczy, których inni ludzie nie umieją. Ale nigdy sobie nie wyobrażałam, że jedną z tych rzeczy ma być właśnie opieka nad matką.

Zebrałam rozrzucone przedmioty, by zanieść je do mieszkania. Pusta szklanka po soku pomarańczowym leżała, chwiejąc się, na samym wierzchu. Kiedy weszłam w drzwi, szklanka się stoczyła i spadła, rozbijając się na mnóstwo błyszczących w słońcu odłamków.

Moi znajomi pewnie myślą, że wróciłam do domu, by się opiekować matką, ponieważ ją kochałam. Czasem wierzę, że mogłam żywić dla niej takie uczucie, nawet o tym nie wiedząc. Ale prawda jest inna: po prostu nie miałam wyboru. Wiedziałam, że muszę być taka, jaką ojciec chciał, żebym była, mimo że zupełnie nie przypominałabym wtedy tej Ellen, którą on przez te wszystkie lata szlifował i doskonalił. Ostat-

nia decyzja ojca oznaczała, że z jego najlepszej studentki mam się stać jakąś jego *demi-femme*. Musiałam udowodnić, że ja - inaczej niż Pound i Fitzgerald - mam serce.

Zaniosłam rzeczy na górę do sypialni. Kiedy potem zesłam na dół, ojciec w swoim gabinecie rozmawiał przez telefon. Czekałam w drzwiach, aż skończy. Wtedy się odwrócił i spojrzał na mnie; w świetle, które wchodziło przez okno, sylwetka ojca wyglądała jak wielka ciemna plama. W moich oczach był tak samo wielki jak dawno temu, gdy byłam małą dziewczynką. Siedział wieczorem przy moim łóżku i kiedy wstawał, wydawał się rosnać, rosnać i rosnać... Z dołu widziałam, jak jego głowa ze starannie uczesanymi czarnymi włosami zasłaniała światło, co mi się kojarzyło z nastaniem nocy: jakby trzymał palec na kontakcie mogącym wyłączyć księżyc i słońce.

Zawsze potrafił we mnie czytać jak w otwartej księdze. Dobrej wiadomości nie byłam w stanie ukryć dłużej niż do chwili, kiedy na mnie spojrzał. A gdy miałam złą wiadomość, zanim się odezwałam, jego twarz już się układała w pionowe linie wyrażające rozczarowanie.

- Wróć we wtorek rano - powiedziałam, a ojciec potaknął.

- Wrócisz, aby zostać - dodał w trybie oznajmującym.

- Tego jeszcze nie wiem - zastrzegłam się. - Są inne możliwości. Może ty mógłbyś wziąć przysługujący ci urlop na pracę naukową. Minęły już cztery lata, od kiedy ostatnio skorzystałaś z tej szansy, by napisać książkę.

Zacisnął wargi i linie na jego twarzy jeszcze się wydłużyły.

- Mnie się wydaje, że tu jest potrzebna kobieca ręka.

Nigdy nie zapomnę sposobu, w jaki wypowiedział to zdanie. Ojciec używał nieraz dziwacznej formy, jakby odkąd się wyspecjalizował w epoce wiktoriańskiej, wchłonał ją i połknął tak, jak się połyka ostrygi. Chciałam, żeby choć raz powiedział, że czegoś chce lub potrzebuje. Uznałabym to za miły komplement, gdyby mi powiedział, że jestem mu potrzebna i niezastąpiona. Ale nie - wolał wyrazić się po swojemu: „Mnie się wydaje, że tu jest potrzebna kobieca ręka”.

Patrzyliśmy na siebie i pomyślałam, że chyba się uspokoił. Poznałam to po jego oczach i ramionach i zrozumiałam, że on już wie, iż ja zrobię to, czego on chce.

- Zobaczymy, jak się sprawy ułożą - bąknęłam.

- Ellen! - krzyknął. - To nie jest coś, o czym można decydować na raty. Ważne, żebyśmy to załatwili od razu i na dłuższy okres. Twoją matkę trzeba będzie zawozić do szpitala na chemioterapię. Nie umiem przewidzieć, jak ją to osłabi i z jak wielu rzeczami sobie nie poradzi. Lekarz uważa, że ktoś zawsze powinien być przy niej cały dzień. A urlopu nie mogę teraz wziąć.

- Ani ja! - rzuciłam.

- Ellen! Jesteś gotowa zaopiekować się matką czy nie?

- Nie wiem - odparłam. - Wróć we wtorek. - I odwróciłam się, by odejść.

- Ellen! - zawołał, gdy byłam już przy drzwiach. - Czekaj nas trudny okres. - Mówiąc to, pocierał dłonią podbródek i wydawał się wstrząśnięty wypowiedzianym zdaniem, w którym dostrzegłam jakby cień

przeprasin. Właściwie w naszej rodzinie nie mieliśmy zwyczaju wzajemnie się przeproszać. Zresztą nigdy nie było takiej potrzeby: żadne z nas nie czuło się zawiedzione. Ojciec usiadł, głowa mu opadła do tyłu, ręce bezładnie opuścił na poręcz krzesła. Wyglądał staro.

- Przyniosę zmiotkę - powiedziałam. - Stłukłam coś i muszę pozamiatać. - Poszłam do kuchni i stałam tam przez chwilę z czołem opartym o drzwi schowka na szczotki. Potem ze śmietniczką w ręce wróciłam na ganek, żeby uprzątnąć szkło.

* * *

I tak się stało. Wróciłam do Langhorne we wtorek rano wynajętym samochodem. Towarzyszyło mi rosnące uczucie klaustrofobii, gorsze niż gdybym jechała windą, która zatrzymała się między piętrami. Skręcałam z szosy i mijałam biedniejsze dzielnice miasteczka, gdzie małe domy stały obok siebie niemal na długość ramienia, większe zaś podzielono na mieszkania dla studentów i personelu naukowego.

Trawnik przed ratuszem obsadzono gęsto astrami we wczesnojesiennym pomarańczowordzawym odcieniu. Zawsze uważałam, że miejska zieleń najlepiej wygląda na wiosnę, kiedy kwitną żonkile. Rosły ich tam setki i były naprawdę piękne. Pod lekkim podmuchem wiatru kłaniały się wszystkie razem, jak tancerze w musicalu Busby'ego Berkeleya*.

* Busby Berkeley - znany amerykański choreograf i reżyser.

Tego dnia, gdy wracałam do domu, wiosna wydawała się jednak bardzo odległa w czasie.

Z mieszkania w Nowym Jorku zabrałam do samochodu niewiele rzeczy: futon, starą antyczną skrzynię i elektryczną walizkową maszynę do pisania. Kiedy wjechałam na pusty podjazd, nasz dom zrobił na mnie wrażenie opuszczonego. Zobaczyłam, że u sąsiadów ktoś w oknie podniósł firankę i zaraz ją opuścił.

Zrezygnowałam z pracy w redakcji nowojorskiego czasopisma, a mieszkanie wynajęłam. Redakcyjni koledzy usiłowali okazać mi współczucie, ale czułam, że mi nie dowierzają.

- Moja matka jest poważnie chora - powiedziałam redaktorowi naczelnemu, Billowi Tweedy'emu. Mój szef był krępy, niewysokim mężczyzną czerwonym na twarzy na skutek wysokiego ciśnienia i nadmiernego picia. Dawniej pracował w dziennikach, więc teraz odnosił się z pogardą do siebie i do nas wszystkich, ponieważ wydawaliśmy tygodnik; uważał, że to wielki luksus mieć aż sześć dni na robienie numeru od początku do jego zamknięcia.

- Ellen - zwrócił się do mnie. - Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało okrutnie, ale jeśli masz chorą matkę, to wystarczy, jak weźmiesz trzytygodniowy urlop i jeszcze dostaniesz piękny bukiet kwiatów od zespołu. Dobrze się spisujesz. Podobała mi się twoja notatka o policjancie geju i artykuł o dziewczynie zamordowanej na Madison Avenue. Bardzo dobra robota. Muszę cię też pochwalić za pracowitość: zadałaś sobie wiele trudu, by opracować przewodnik dla dzieci, gdzie mogą przyjemnie spędzić letnie wakacje. Jeśli jednak odejdziesz, to... wiesz, jak jest... nie mogę ci niczego zagwarantować...

- Muszę odejść - weszłam mu w słowo.

- A gdybym ci dał podwyżkę? - spytał. - Może chciałabyś dostawać więcej pieniędzy.

- Panie Tweedy! Czy pan naprawdę myśli, że mogłabym przyjść do pana i powiedzieć, że moja matka umiera na raka tylko po to, żeby dostać podwyżkę?

- Nie bądź dzieckiem, Ellen! Przecież żyjemy w Nowym Jorku...

Jules, jedyna prawdziwa przyjaciółka, jaką miałam nie tylko w redakcji, ale w ogóle w Nowym Jorku, zaprosiła mnie na lunch. Jules była delikatna fizycznie i krucha psychicznie, ale nikt tego nie zauważał. Wprowadzała w błąd ogromna aureola czarnych loków, otaczająca jej małą, trójkątną twarzyczkę, a także jej głęboki, dźwięczny, donośny głos. Jedno i drugie sprawiało, że robiła wrażenie osoby rosnącej, odpornej na ciosy i pewnej siebie. Mylne założenie, że mamy podobne cechy, przyciągnęło mnie do niej od pierwszego spotkania.

Z czasem poznałam Jules taką, jaka jest naprawdę. Stało się to wtedy, gdy odgarnęła swoje bujne włosy z twarzy i pochyliła się nad lustrem, przyglądając się sobie z niedowierzaniem. Zakochała się i ta miłość złamała jej serce. Siedziała potem całymi tygodniami sama, żyła tylko jogurtem i muzyką do czasu, aż znowu się zakochała. Nie zapomnę, co Jules mówiła o swojej matce, która od najmłodszych lat powtarzała jej, żeby nie czuła zawodu, gdy spotka ją niepowodzenie, bo od życia może oczekiwać tylko porażek... niczego więcej.

- Moja matka - zwierzała mi się Jules - jest tego pokroju kobietą, że nawet prezydenta Abrahama Lincolna namawiała, żeby się nie starał zdobyć wykształcenia prawniczego, bo nie warto...

Jules kochała mnie jak żadna przyjaciółka, choć była w pełni świadoma moich wad. Ktoś będący o rok wyżej ode mnie w Harvardzie powiedział jej kiedyś:

- Ellen Gulden to dziewczyna, która w pogoni za sukcesem bez skrupułów pogrzyżyłaby własną matkę.

- I co z tego? - odparła Jules. - Przecież ja nie jestem jej matką.

Gdy przed opuszczeniem redakcji opróżniłam swoje biurko, Jules uważała za stosowne zaprosić mnie na obiad. W restauracji, sięgając przez blat stołu, trzymała mnie za rękę.

- A niech sobie myślą, że jesteśmy lesbijkami - rzuciła lekceważącym tonem i przyglądała się mężczyznom siedzącym przy stolikach obok nas; w zapiętych marynarkach i zabójczo szerokich krawatach w dzikie wzory jedli coś w rodzaju tataru. - Natykałam się w życiu na tak okropnych facetów, że naprawdę żałuję, że nie jesteśmy lesbijkami - dodała po chwili. Kiedy zaczęłam płakać, podała mi paczkę chusteczek Kleenex, którą wyjęła ze skórzanego plecaka. Pełno było w niej paprochów; do jednej chusteczki przykleił się nawet w rogu zielony cukierek M&M. Jules wydawała mi się niewiarygodnie niechlujna. Na jej nocnym stoliku często zalegały różne niedojedzone resztki potraw i do połowy opróżnione filiżanki z kawą.

- Zjedz go! - zaproponowała, wskazując na cukierek. - Od razu lepiej się poczujesz.

Rozcierając mi palce u rąk, jakbym była dzieckiem, które zmarznięte wróciło z dworu, przekonywała:

- Powinnaś pojechać do domu. Musisz to zrobić dla matki. Na pewno chciałabyś, żeby twoja córka kiedyś też tak wobec ciebie postąpiła.

- Ale co będzie z moim życiem?

- A co ma być? Przecież nie wracasz do domu na zawsze. Wierz mi, Ellen, doskonale cię rozumiem, choć sama nawet za milion lat nie chciałabym wrócić do mieszkania mojej matki w Riverdale i po raz enty wysłuchiwać narzekań, że Marvin i ta jego dziwka zmarnowali jej życie. Ale ty, Ellen, musisz pamiętać, że to jest twoja matka i że przez jakiś czas będziesz jej bardzo potrzebna. A gdy znowu rozpoczniesz normalne życie, uczynisz to w poczuciu, że postąpiłaś słusznie, że zrobiłaś to, co do ciebie należało.

- Przecież ja się z matką w wielu rzeczach nie zgadzam!

- Proszę cię - mówiła Jules - daj spokój! Wiem, że wasze wzajemne stosunki układają się niezbyt dobrze, ale niby dlaczego miałyby być inaczej? Dlaczego miałyby się lepiej układać tobie niż wszystkim pozostałym córkom na świecie? Przy tym twoja mama należy raczej do przyzwoitych. Czy ci kiedykolwiek powiedziała, że powinnaś zeszcupleć?

- Dlaczego? Przecież mam dobrą wagę!

- Właśnie! I to jest najlepszy dowód. Bo już samo to, że twoim zdaniem musiałabyś mieć nadwagę, by usłyszeć od matki, że powinnaś schudnąć, wskazuje, że nie masz zielonego pojęcia, jak okropne bywają nieraz matki dla córek. Twierdzenie, że masz dobrą wagę, dowodzi niezbitie, że się chowałaś w zdrowej atmosferze.

- Ale nie znasz mego ojca...

- Nie muszę. Wystarczy mi, że znam Jonathana.

Jules nie znosiła Jonathana. To był jedyny ciemny punkt naszej przyjaźni.

- Nie zaczynaj znowu - prosiłam.

- Zgoda - odparła Jules, palcami szczesując do tyłu niesforne loki.

- Po prostu się boję - tłumaczyłam.

- Wiem, że się boisz, ale kiedy do nas wrócisz, będziesz mogła powiedzieć, że uczyniłaś coś naprawdę wielkiego.

- Jeśli kiedykolwiek wrócę...

Jules ścisnęła mi rękę tak mocno, że się skrzywiłam z bólu.

- To nie jest bajka o Piotrusiu Panie - powiedziała - a twoi bracia nie są Zagubionymi Chłopcami z filmu *Lost boys* i mogą się nauczyć obsługiwania kuchenki mikrofalowej. Twój ojciec też mógłby, do cholery, sam odnosić ubrania do pralni chemicznej. Ale nikt inny, nikt, tylko ty - konkludowała ze łzami w oczach - może pomóc twojej matce radzić sobie w tej beznadziejnej, gównianej sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Weź do niej pielęgniarkę - sugerował Jonathan, gdy do niego zadzwoniłam. Jonathan dwa wieczory w tygodniu zatrudniał się przy komputerowym przetwarzaniu danych, by opłacić studia prawnicze.

- Ale kiedy ja miałam bronchit, mama nie wzięła do mnie pielęgniarki... - argumentowałam.

- Ach, Ellen! To na pewno wymysł twojego ojczulka. Takie gadki o poświęcaniu się są dla niego typowe.

- Dymam cię, Jon! - rzuciłam.

- Oczywiście, że będziesz mnie dymać - odparł jedwabistym głosem i dokładnie opisał, jak to zrobię, gdy on zjawi się w Langhorne, co miało już wkrótce nastąpić.

Wszystko to wydało mi się teraz bardzo, bardzo odległe. Ale pomyślałam o tym, kiedy wytaszczyłam futon z tylnego siedzenia wynajętego samochodu. Bo właśnie na tym nieszczęsnym futonie spędzaliśmy z Jonathanem mnóstwo czasu, zawzięcie próbując odnaleźć czule miejsca, które nas doprowadzały do szału, i przeżywaliśmy dziką rozkosz, kiedy się to nam udawało. Jak zasuszony kwiat, pamiątka po szkolnym balu albo zachowany lok włosów, plamy na futonie były pamiątkami naszego współżycia. W domu mojej matki nie było miejsca, gdzie mogłabym go postawić, żeby nie zakłócał perfekcyjnej urody wnętrza.

W moim pokoju wyglądałby podejrzenie i nie pasowałby do ścian pomalowanych na bładoniebiesko ani do okiennych zasłon w kwiecisty deseń. Nad biurkiem wisiały moje dyplomy oprawione w ramki i obwiedzione matową pozłotką oraz certyfikat stwierdzający, że wygrałam konkurs na esej ogłoszony przez władze stanu. Wręczył mi go pośpiesznie pełnomocnik rządu do spraw edukacji przy akompaniamencie trzaskania aparatów fotograficznych i fleszów. Dźwięki te przypominały mi zawsze brzęczenie owadów. Mój esej zawierał wyraźną i całkiem jednoznaczną obronę eutanazji. Nic dziwnego, że nasz konserwatywny, katolicki gubernator, który tradycyjnie przyznawał nagrody w wysokości tysiąca dolarów, nie chciał osobiście mi jej wręczać.

Za pieniądze wygrane w konkursie zafundowałam sobie pieszą wycieczkę do Colorado i kupiłam Jonathanowi skórzaną kurtkę.

Ostatecznie postanowiłam umieścić futon w garażu. Ilekroć w następnych miesiącach wchodziłam do garażu po pojemnik z olejem czy po śrubokręt i widziałam ten bezkształtny obiekt, doznawałam uczucia mrowienia, niczym stara panna, która, zaglądając do męskiej sypialni w sąsiednim domu, zaciska surowo usta i odczuwa ciepło w kroczu.

Nie wiem, co moja matka wiedziała o moim życiu seksualnym albo, jeśli już o tym mowa, o całym moim życiu. Nie wiem też, w jakim stopniu typowe były łączące nas stosunki. A może poznałam ją ze złej strony i dlatego wydała mi się kobietą nerwową, mało uczuciową, kierującą się raczej mózgiem niż sercem. Wiem tylko, że potrafię poznać po głosie Jules w telefonie, po rozdrażnionym i nieco wyższym niż zwykle tonie, że moja przyjaciółka właśnie widziała się ze swoją matką albo rozmawiała z nią telefonicznie.

Pewnego dnia wybrałam się do pani, która była moją opiekunką roku w Harvardzie. Często też występowała w wiadomościach telewizyjnych i porażała widzów swoją rozpalającą umysły inteligencją. Zastałam ją załamana, ściskającą dłońmi skronie. Na moją propozycję, że przyjadę innym razem, tłumaczyła:

- Wszystkiemu winna ta pępowina, co nas łączy z matką... - Zabrzmiało to na pozór lekko, ale jej postawa zdradzała, co naprawdę czuła.

Gdy o tym rozmyślałam, starając się zachować bezstronność sądu, musiałam przyznać rację przyjacielom uważającym mnie za szczęściarę, że mam taką właśnie matkę. Tymczasem rzadko się nad nią zastanawiałam. Traktowałam mamę jak obiad: była mi potrzebna do życia, ale nie zwracałam większej uwagi na menu, czyli na to, co składało się na jej osobowość.

Natomiast ojciec był jak deser. Mało interesował się moimi braćmi, podobnie jak większość ojców, których w latach pięćdziesiątych pokazywano w programach telewizyjnych. Nie stosował jednak wobec nich żadnych sztuczek i niczego nie wyciągał z nich podstępem. Tata tylko wykladał i uczył. Czasem pozwalał mi poprawiać niebieskie zeszyty studentów pierwszego roku anglistyki. Nieraz myślę, że to ja wyrobiłam ojcu reputację surowego profesora, choć przypuszczalnie sama odziedziczyłam po nim skłonność do ostrych sądów.

Ważnym dla mnie wspomnieniem z dzieciństwa jest dźwięk otwieranych drzwi, kiedy tata wieczorem wracał do domu. Zawsze przypominało mi to ten moment w filmie *Czarnoksiężnik z krainy Oz*, kiedy po otwarciu drzwi przez Dorotkę czarno-biały świat Kansas przemienia się w technicolor.

Gdy przekroczyłam próg we wtorek rano, dom był ciemny, szary, cichy i wydawał się pusty. W powietrzu czuło się bardzo słodki zapach jakichś kwiatów. Zobaczyłam w holu dzban pełen frezji na stoliku z opuszczonymi blatem. W salonie stał smukły szklany wazon, a w nim niebieskie irysy, pięknie rysujące się na tle ścian malowanych w żółte i białe pasy. Na srebrnej tacy na pianinie leżały, załączone do przysłanych mamie kwiatów, bilety wizytowe:

- Od wykładowców i personelu naukowego college'u w Langhorne.
- Wracaj do zdrowia, Kate! - Skip i Caroline Byers.
- Od rodziny Buckleyów z serdecznością.

Odwróciłam się; na schodach stała mama. Miała na sobie niebieskie spodnie i koszulę, a jej czerwone włosy jaśniały jak sztandar.

- Ellie, wróciłaś do domu? - spytała ze zdziwieniem, ale i z nutą zadowolenia.

Nie wiem, może to tylko moja bujna wyobraźnia, ale wydało mi się, że mama ma bardziej wystające łopatki. Gdy ją przycisnęłam do siebie, wyczułam, że sterczą z pleców jak skrzydełka. Pachniała pudrem po kąpielii i czymś chemicznym, a kiedy ją uściskałam, zauważyłam, że drży. Potem, jak zawsze, pierwsza się od niej odsunęłam.

- Czuję się dobrze - zapewniała mama i usiadła w wygodnym wolterowskim fotelu. - Naprawdę!... Zważyłam się dziś rano, bo myślałam, że mi ubyło kilo czy dwa, ale okazało się, że mam wciąż tę samą wagę; zapewne przez płyny, które mój organizm zatrzymuje. Piję dużo wody, bo to podobno uspokaja, a ja teraz nie powinnam się niczym denerwować. Wyobraź sobie, że doktor Cohn, moja nowa lekarka, zabroniła mi malować. Pewnie ci się spodoba, Ellie, że leczy mnie kobieta, prawda? Ale nie pozwala mi tapetować ścian ani ich malować przy użyciu szablonów, ani też zajmować się tapicerką. Żeby pohamować potok zakazów, spytałam, czy mi wolno robić na drutach i szyć. „Tak - powiedziała - to pani wolno, ale nie ma mowy o używaniu drabiny czy zszywacza”.

Mama się rozgadała i mówiła tak długo, że się bałam, by nie zabrakło jej tchu. Opowiadała o lekarzach, kwiatach, o szpitalnym jedzeniu i o potrawach, jakie przyjaciele przynosili jej w rondelkach do domu. A potem nagle ucichła; jej twarz jakby oklapła, oczy straciły blask i głęboko wciągała powietrze. Przez chwilę wydawała się zbierać siły, po czym znowu jej oczy rozbliły niczym latarnie i przez moment jarzyły się, jakby rozniecone wiatrem myśli.

- Właściwie nie wiem, po co ci to wszystko mówię - tłumaczyła. - Najważniejsze, że czuję się dobrze. Chyba po to właśnie przyjechałaś, prawda? Chciałaś się upewnić, czy ze mną już wszystko w porządku. I tak rzeczywiście jest. Nie chciałabym, żebyście ty czy chłopcy o mnie się martwili. Czuję się świetnie. Może tylko śpię trochę więcej niż dawniej; zanim się spostrzeżecie, całkowicie do siebie wrócę. Nie przeżyłabym myśli, że wy się o mnie zamartwiacie. Przecież mogę doskonale żyć bez zszywacza... - I obie się roześmiałyśmy.

- Wyglądasz doskonale, mamo - przekonywałam ją, i to była niemal prawda. Wyglądała tak dobrze, że się nawet zastanawiałam, czy pod koniec miesiąca nie wyrzucę tego absolwenta, któremu wynajęłam mieszkanie, i nie wrócę do porzuconej pracy.

- Szkoda, że nie wiedziałam, że przyjedziesz, boym ci coś smacznego upiekła - powiedziała. - Nie wiem, czy te wszystkie potrawy, które ludzie mi naznosili, są dobre. Pomyślałam, że przynosić do nas jedzenie to tak, jakby przywozić samowary do Tuły. Zapraszam cię dziś na kolację do gospody. Jeff odwiózł Briana do szkoły, a twój ojciec ma wieczorem jakieś zebranie czy coś w tym rodzaju, więc we dwie zjemy wczesną kolację, a potem wybierzemy się do Duane'ów i kupimy jakieś książki. Powiesz mi, co ciekawego wyszło ostatnio, i zamiast malować, wezmę się do czytania. Tak czy owak muszę mieć jakieś czytało, gdy chodzę na zabiegi. Wiesz, jak to jest w szpitalu: dwie godziny czekania, a potem w ciągu pięciu minut małe ukłucie w palec i pobierają ci krew do badań. Nie wiem, co badają i co zamierzają mi teraz robić. A jak długo możesz zostać w domu?

Spojrzałam na nią, na jej dłonie o długich palcach z krótko obciętych paznokciami, zapewne ze względu na wykonywane przez nią prace, i zrozumiałam, że ona nie wie, po co przyjechałam. Stało się to, co zwykle: ojciec podejmował decyzje, a mama dowiadywała się o nich dopiero po jakimś czasie. Niekiedy jednak, choć zwykle postępowała zgodnie z jego postanowieniami, korygowała je z korzyścią dla nich.

- Przyjechałam, żeby zostać jakiś czas w domu, mamo, i chciałabym zająć swój pokój na górze.

- Chcesz zostać w domu? Tutaj? - dziwiła się. Potaknęłam.

- O nie, Ellen! Co ty sobie właściwie myślisz? Co z twoimi przyjaciółmi i mieszkaniem w mieście? A przede wszystkim co z pracą?

- Wzięłam urlop na jakiś czas - skłamałam, bojąc się, by wyraz oczu mnie nie zdradził.

- O nie - szepnęła. - Nie, nie i nie! Chyba nie zamierzasz się mną opiekować i zajmować się domem? Gotowaś mnie przez to znienawidzić...

- Ależ to absurd, mamo!

- O Boże, Ellen! - ciągnęła, nie zwracając uwagi na moje słowa. - Musisz wrócić do Nowego Jorku. Zjemy kolację, a jutro rano pojedziesz pierwszym pociągiem, albo lepiej: ostatnim jeszcze dziś w nocy. Przecież jest jakiś późny nocny pociąg, no nie?

- Mamo - powiedziałam. - Ty będziesz potrzebowała pomocy. Będę siedzieć przy tobie, kiedy będziesz miała chemioterapię... - A kiedy zobaczyłam, że jej usta drżą i jest bliska płaczu, czym prędzej dodałam: - Będę z tobą chodzić na różne zabiegi... Mogę się też zająć domem i robić to wszystko, czego ci lekarz zabronił, do czasu, aż wydobrzejesz.

- Ach, Ellie - tłumaczyła się ciągle zasmucona. - Nie jestem idiotką. Nie mów o tym tak, jakbym miała po prostu grypę. Wiesz, spytałam doktor Cohn, czy skoro nie mogę tego i tamtego, to czy mogłabym przynajmniej pomagać w przystrajaniu choinki na skwerze przed świętami Bożego Narodzenia. A ona na to: „Słuchaj, Kate, do grudnia jeszcze daleko”... I oczywiście twój tata zaczął nucić piosenkę o tym, jak daleko od maja do grudnia. A wtedy doktor Cohn rzuciła mu wściekle spojrzenie. „Dobrze, pani doktor - powiedziałam. - Wobec tego zrobię pani piękne ozdoby na drzewko”. „Dziękuję ci, Kate, ale ja jestem Żydówką” - odparła. „To nic - zapewniłam ją - w takim razie ozdobię pani menorę”. I dotrzymam słowa, bo przecież ta robota nie wymaga ani drabiny, ani zszywacza.

Mama rozejrzała się po pokoju i po chwili znowu zajęła się moją osobą.

- Wiem, dlaczego tu jesteś - oświadczyła. - Wiem, co się dzieje.

- Chcę być przy tobie, mamo.

- Rozumiem, ale jestem ciekawa, czyj to był pomysł? Twego ojca, prawda?

- Wymyśliliśmy to oboje, a właściwie wszyscyśmy wspólnie doszli do tego wniosku. Ale zostaną tylko na krótko, mamo.

- To się nie może udać - upierała się. - Ojciec powinien był wiedzieć, że tak nie można, przecież on ciebie zna...

Mama potwierdziła tylko to, co ja setki razy mówiłam Jules. Ale było mi przykro, bo chciałam, żeby mama myślała o mnie lepiej niż ja sama o sobie.

- To nie jest w porządku, mamo. Przecież mogę ci w niejednym pomóc. Przyjechałam do domu, a ty się z tego nie cieszysz. - W moich słowach brzmiała gorycz, lecz nie dbałam o to.

- Ellie, zawsze się cieszę, gdy tu jesteś. Nie chcę jednak, żebyś była ze mną z litości.

- Robię, co uważam za potrzebne.

- Tak? A komu to potrzebne? - spytała. Po chwili spojrzała na mnie i westchnęła: - Pewnie twemu ojcu będzie trudno...

- Jemu? A o sobie nie myślisz? - zirytowałam się.

Ale tak naprawdę miałam ochotę zapytać: dlaczego nie pomyślałaś o mnie?

- Ja mam się dobrze - odparła, lecz jej uśmiech wypadł blado; nie było w nim jasności ani ciepła. I po raz pierwszy zastanowiłam się na serio, co czuje człowiek, gdy wie, że musi umrzeć, a tymczasem drzewa pączkują, kwiaty kwitną, liście schną i giną, a on tego wszystkiego nie zobaczy.

Twarz matki była spokojna, bez wyrazu. Uświadomiłam sobie nagle, że mama wygląda tak jak babcia Nina, która podobno nigdy niczego po sobie nie pokazywała, nawet wtedy, gdy ksiądz stanął w drzwiach ich mieszkania na Broadwayu, by poinformować, że jej jedyny syn został zabity w Wietnamie.

Moja mama lubiła opowiadać o tym, jak pewnego dnia do pralni chemicznej, która należała do jej rodziców, przyszli dwaj mężczyźni, „właściwie chłopcy, prawie dzieci”, i zażądali pieniędzy z kasy; jej matka nawet się nie poruszyła, tylko przez zaciśnięte zęby klęła po polsku. Nie zmieniła wyrazu twarzy także wtedy, gdy złodzieje sięgnęli do lady i napychali banknotami kieszenie dżinsów. Patrząc na mamę, pomyślałam, że teraz bardzo przypomina babcię z tamtego dnia.

- Może masz ochotę na herbatę i ciasto? - spytała mnie zwyczajnie, tak jak wiele razy przedtem. I nie czekając na odpowiedź, wstała i poszła do kuchni. Wkrótce usłyszałam gwizd czajnika.

* * *

- No i co będziemy robić? - spytała mama następnego dnia, kiedy siedziałyśmy przy dębowym stole w kuchni i piłyśmy herbatę.

- Robić? - zdziwiłam się.

Wyobrażałam sobie, że raczej nic nie będziemy robić, w każdym razie nic wielkiego, i jedyne, na co się zdobędziemy, to dryfowanie z prądem. Przypuszczałam, że mama będzie się źle czuła i że mogą ją nękać mdłości, ale na razie nic takiego się nie działo i zachowywała się całkiem normalnie. Byłam pewna, że pobyt w domu mnie unieszczęśliwi, ale postanowiłam się z tym nie zdradzać i wszystkiemu zaprzeczać. Sądziłam, że będziemy na siebie patrzyły jak zawsze, to znaczy przez pryzmat tego, co nas dzieli.

Po moim przyjeździe mama początkowo postępowała tak, jakby nadal była dawną Kate Gulden, czującą się bardzo pewnie we własnym bezpiecznym porcie. Kate Gulden zawsze miała pełne ręce roboty: ciągle jej chodziły po głowie jakieś plany, projekty, a często kilka naraz. Czasem było jej wręcz głupio, że robiąc na drutach, jednocześnie dogląda na kuchni smakowitej potrawy, która dusiła się w garnku na wolnym ogniu.

- Musimy zaplanować jakieś wspólne przedsięwzięcie - powiedziała mi tego rana - coś, co mogłybyśmy robić we dwie.

„Czy kiedykolwiek przedtem byłoby to możliwe?” - zastanawiałam się. Zwykle to ja tylko wpadałam do domu i zaraz się z niego ulatniałam, natomiast mama zawsze była na miejscu. Dlatego tak dziwaczna wydała mi się intymność naszej sytuacji, to, że Kate i Ellen Gulden są raptem razem, zdane na siebie, i szukają czegoś, czego mogłyby wspólnie się podjąć.

- Mogłabym na przykład używać zszywacza, a ty byś mnie instruowała, co i jak mam robić. - Przypominam sobie, że taką właśnie propozycję jej złożyłam całkiem obojętnym tonem.

- O nie, nic takiego... - rzuciła nerwowo. Pochyliła się nad dzbankiem herbaty i dmuchała, aż dookoła jej głowy utworzył się wieniec pary. - Myślę o czymś innym. - Spojrzała przed siebie i powoli wyrecytowała: - Myślę o stworzeniu grupy dyskusyjnej do omawiania przeczytanych książek.

Było w tonie mamy coś, co mi uświadomiło, że już wcześniej musiała wpaść na ten pomysł, a teraz udawała, że właśnie w tej chwili przyszło jej to do głowy.

- Grupy dyskusyjnej? - powtórzyłam.

Mama trochę sztucznie się roześmiała i w jej śmiechu wyczułam zniecierpliwienie.

- Ellie - powiedziała, nazywając mnie zdrobniałym imieniem, którego tylko ona używała - czy musisz powtarzać wszystko, co mówię, jakby moje słowa były czymś niesłychanie zaskakującym?

- Przepraszam, mamó. I zgadzam się, że to świetny pomysł. Kogo jeszcze do tej grupy dokooptujemy?

- Nikogo. Nie wydaje mi się, żeby był nam jeszcze ktoś potrzebny. A ty jak myślisz? Po prostu my dwie przeczytamy jakąś dobrą powieść i potem ją przedyskutujemy. Zawsze chciałam należeć do takiej grupy, ale w Langhorne są tylko dwie. Do żadnej z nich nie pasowałam; jedną tworzą młodsze kobiety, członkinie elitarnego klubu towarzyskiego, i te czytają same bzdety, a do drugiej należą żony pracowników naukowych naszego college'u. Z kolei one czytają książki, o jakich nigdy nie słyszałam; dzieła autorów, o których także nie słyszałam. Przypuszczam, że są wśród nich znaczący pisarze.

- Znaczący? - powtórzyłam.

- Widzisz, znowu to robisz...

Miałyśmy już więc plan działania: utworzymy grupę dyskusyjną pań Gulden poświęconą lekturze dobrych książek. Jeszcze tego samego popołudnia udałyśmy się do księgarni Duane'ów. Był to jeden z tych wrześnieowych dni, które raczej przypominają aurę późnosierpniową: ciepłą, wilgotną i nieco chmurną, gdy drzewa pochylają się tak nisko, że niemal dotykają zakurzonych chodników. Kupiłyśmy po dwa egzemplarze *Dumy i uprzedzenia*, *Wielkich nadziei* i *Anny Kareniny*, oczywiście tanie wydania w miękkich okładkach. Po powrocie do domu ustawiliśmy książki pieczołowicie na półce w moim pokoju i obie cofnęłyśmy się o krok, żeby zobaczyć, jak się prezentują, zupełnie jakby chodziło o niezwykle rodzaj martwej natury.

Książki nadały kształt naszym dniom w czasie pierwszych miesięcy trudnego wspólnego bytowania. Pozwalały trochę odetchnąć od reżimu, jaki narzucała chemioterapia; zawsze zabierałyśmy je ze sobą, idąc do szpitala... Tam trzeba było nieraz długo siedzieć i czekać. Matka zabijała czas czytaniem, gdy leżała pod kroplówką na odpowiednio przystosowanym szpitalnym łóżku. Roztwór chemiczny sączył się powoli, jakby malutkie krople deszczu skapywały do przewodów żylnych jej ciała. A w domu, kiedy poświęciłam już dostatecznie wiele czasu czynnościom gospodarczym, takim jak pranie czy odkurzanie, które uważałam zresztą za bezgranicznie nudne, mama wołała:

- Czas na lekturę!

- Jakiż to wspaniały pomysł! - zachwycała się Jules, gdy o tej inicjatywie powiedziałam jej przez telefon. - Pobiła cię swoją własną bronią. I profesorowi też się przy okazji dostało...

- Jules! - upomniałam ją. - Robisz to, czego nienawidzę, a mianowicie przesadzasz. Przykładasz do każdej rzeczy sto razy większe znaczenie, niż na to zasługuje. Owszem, kupiłyśmy książki, czytamy je i będziemy o nich rozmawiały... I co z tego? Przecież nigdy nie twierdziłam, że moja mama jest ignorantką.

- Cieszę się, że podzielasz moją opinię, kochanie, bo ja też nigdy nie uważałam twojej mamy za głupią. Sądzę, że całkiem sprytnie wykombinowała, żebyś się przy niej nie nudziła. Gdyby musiała patrzeć na twoją skwaszoną minę, stale by jej się przypominał powód, dla którego wróciłaś do domu. Wpadła więc na doskonały pomysł, który daje gwarancję, że nie będziesz się nudziła. Uważam, że postąpiła bardzo mądrze. Naprawdę...

Żałuję, że Jules nie знаła mojej matki. Jakoś nie udało mi się zaaranżować ich spotkania. Z pewnością obie na ludziach znały się o wiele lepiej niż ja. Mama raz tylko rozmawiała z Jules przez telefon, kiedy ja akurat wyszłam do sklepu spożywczego po zakupy. Pamiętam, że potem zapytałam mamę, o czym mówiły.

- O farbowaniu krawatów - usłyszałam w odpowiedzi. I do dziś nie wiem, czy się ze mnie nabijała, czy nie.

Pewnego popołudnia spakowałyśmy z mamą nowe książki, zabrałyśmy kosz z jedzeniem i wybrałyśmy się na piknik do parku widokowego nad rzeką Montgomery. Weszłyśmy na szczyt wzgórza, z którego rozlegał się widok na Langhorne i okolice, i rozpostarłszy na trawie starą kołdrę, usadowiłyśmy się na niej z całym majdanem. Dołem wąskim nurtem płynęła rzeka, ospale tocząc brunatne wody. Wzdłuż brzegów rosły ozdobne ailanty, zwane także bożodrzewami. Po jednej stronie za kępą sosen były miejskie korty tenisowe, zawsze oblegane i pełne ludzi, po drugiej zaś rozciągały się tereny langhornowskiego college'u z zabudowaniami, wśród których jedne domy reprezentowały styl neogotycki z lat trzydziestych, inne architekturę hotelową z lat pięćdziesiątych, a niedawno wzniesiona siedziba wydziału nauk ścisłych miała fronton przypominający wielką szklaną tafłę. W samym środku kampusu stała ogromna kamienica z czerwonej cegły, która kiedyś należała do Samuela Langhorne'a. Mieszkał w niej z żoną Minnie, tęgą, rubaszną niewiastą; jej portret, przedstawiający ją w czarnej satynowej sukni i w perłach, wisiał nad kominem w sali recepcyjnej budynku administracyjnego. Małżeństwo nie miało dzieci, co, gdy byłam małą, uważałam za przygnębiającą okoliczność, ale właśnie bezdzietności fundatora nasz college zawdzięcza swoje powstanie. Motto, wypisane po łacinie na frontowej ścianie uczelni, w tłumaczeniu brzmiało: Wszystkie dzieci są nasze.

Domy, w których mieściły się sale wykładowe i pracownie, zbudowane na wysokim kamiennym urwisku tworzyły jakby występ skalny nad rzeką. Za nimi rozrzucone były dookoła domy akademickie: niewielkie budynki o brzydkich elewacjach. Tuż za tylną bramą zaczynały się mało widoczne stąd kamieniołomy. Dwa mosty dla pieszych i jeden dla ruchu samochodowego łączyły kampus z miastem. Biuro do spraw studenckich zachęcało kandydatów na wyższą uczelnię, albo raczej ich rodziców, by wybierali drogę przez most, zamiast jechać bezpośrednio w bok od szosy obok kamieniołomów i zajezdni ciężarówek. College w Langhorne był całkiem dobrą, choć skromną uczelnią o humanistycznym profilu, w porównaniu

z Swarthmores i Haverfords robił jednak wrażenie ubogiego krewnego. Przyszłym studentom polecano drogę przez „właściwy Langhorne” raczej nie dlatego, żeby im bogactwem miasteczka zaimponować, ale żeby serca młodych ludzi żywiej zabiły na widok jego urody.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na kołdrze, jadłyśmy kanapki z kurczakiem i ogórkową sałatkę z czerwoną cebulą. Gdyby nie włosy przerzedzone miejscami do gołej skóry, co szczególnie wyraźnie widać było w słońcu, i parę zmarszczek, które pojawiły się dokoła ust, mama wyglądałaby bardzo dobrze. Ilekroć przechodziłyśmy przez nierówny teren, uwieszała się na moim ramieniu, tak jednak lekko i czule, że był to bardziej przyjacielski gest niż szukanie koniecznego oparcia. Kiedy skończyłyśmy ucztowanie, jedząc na deser czarne jagody, położyłam się na miękkiej kołdrze i po raz enty zaczęłam czytać *Dumę i uprzedzenie*. Mama zaś zabrała się do wyszywania krzyżykami na kanwie słoneczników na niebieskim tle. Potem ona zajęła się czytaniem, a ja się zdrzemnęłam.

Dzień był piękny, wymarzony na piknik. Słońce grzało, opalając nasze gołe ramiona i nogi; wiał także lekki wiaterek, który przewracał stronicie książki. Źle odbita piłka tenisowa, błyszcząc na tle brązów i głębokiej zieleni wzgórza, leciała w podskokach nad ostrymi zrębami kamieniołomu, w dół, w stronę płynącej rzeki.

Zbudziłam się, kiedy piłka śmignęła tuż obok mnie. W chylącym się ku zachodowi słońcu leżałam zwinięta na kołdrze, spocona i zeszywniała. Przypomniała mi się scena, gdy pewnej letniej księżycowej nocy pływaliśmy z Jonathanem nago w rzece niedaleko od miejsca, w którym teraz biwakowałam z mamą. Kochaliśmy się pod nisko zwisającymi gałęziami jakiegoś krzaku. Ja już finiszowałam, a Jon wciąż się jeszcze nade mną kolebał. Jego na wpół oddech, a na wpół jęk: aa aa aa aa, był jedynym dźwiękiem rozchodzącym się w nieruchomym powietrzu. Leżałam z głową przekreconą na bok i dokoła widziałam zagubione piłki: piłki tenisowe, plastikową piłkę Wiffle uszkodzoną od uderzeń kijów, a nawet piłeczkę golfową przelatującą nad kortem tenisowym.

Nie było niczego erotycznego w tej scenie. Gałązki wplątały mi się we włosy i czułam, że jakiś stary zawężony korzeń gniecie mnie w udo. Kiedy potem powiedziałam Jonowi o piłkach, obraził się na mnie i zarzucił mi chłód seksualny. Niemniej teraz, wspominając go, poczułam się bardzo samotna. Patrzyłam ponad rzeką w stronę college'u i zastanawiałam się, gdzie teraz jest mój ojciec. Byłam pewna, że jeśli spytam o to matkę, będzie wiedziała, czym się tata zajmuje, bo znała na pamięć rozkład jego zajęć na uczelni. W każdym semestrze uczyła się tego na nowo.

Tymczasem mama pierwsza przerwała milczenie i sama wspomniała ojca. Spoglądała przed siebie trochę nieprzytomnym wzrokiem, a potem powiedziała:

- Dobrze pamiętam tę książkę. Czytałam ją właśnie w czasie, gdy poznałam twego ojca. Bardzo mi się wtedy podobała; jedyne, co mnie trochę do niej zniechęcało, to tani chwyt, który zastosowała autorka, a do którego ludzie często się uciekają: słodka, oddana rodzinie i dobra siostra przegrywa z mądrą, szczerą i prawdomówną. Jane i Elizabeth, tak się te siostry nazywały, doskonale to sobie teraz przypominam. Wydawało mi się niesprawiedliwe, że prawie wszyscy podziwiają nie dobrą Jane, ale Elizabeth.

- Przypuszczam, że autorka, Jane Austen, w ten sposób chciała odegrać się za własne krzywdy, bo sama była kobietą odważną i o otwartym umyśle, ale wiedziała, że w towarzystwie bardziej się ceni potulne, słodkie dziewczyny niż takie jak właśnie Elizabeth, które wałą szczerą prawdę.

- Moim zdaniem Jane Austen powinna lepiej sobie zdawać sprawę z tego, co robi, i nie pokazywać tak krańcowo różnych typów kobiecych: czarne lub białe, nic pośrodku.

- Naprawdę uważasz, że takie właśnie postacie tworzy Austen?

- Tak, tak uważam. Podobnie postępuje inna autorka, Louisa M. Alcott w książce *Małe kobiety*. Przedstawia dwie siostry: jedna jest pisarką, a druga zajmuje się tylko domem i dziećmi.

- Zgadza się. Nazywają się Jo i Meg - odpowiedziałam jej.

- I tu mamy taki sam problem. A właśnie pisarki - perorowała mama - powinny spośród wszystkich ludzi najlepiej wiedzieć, że nie należy kobiet dzielić na mądre i te, które są słodkie i dobre. Gorzej, że podobnie postępują kobiety, które są profesorami wyższych uczelni; czy wiesz, jak się te panie zachowują w czasie spotkań przy herbacie i na innych podobnych imprezach? - Mama zniżyła głos i patrząc spod zmarszczonych brwi, przytoczyła: „Ach, więc pani zajmuje się tylko domem, to niezmiennie intehesujące, dophawdy”... I śmiała się, ale mnie nie było do śmiechu.

- A może Jane Austen chciała tylko pokazać jakieś wzorcowe typy, a nie żywe kobiety?

- Wcale nie! Obie, zarówno Jane, jak i Elizabeth, są wystarczająco rzeczywiste, przy czym Jane ma wiele podziwu dla Elizabeth, a ta podziwia tylko siebie samą.

- Nieprawda. Elizabeth bardzo często podziwia Jane.

- Czyżby? W którym miejscu to znalazłaś? Skoro teraz czytasz książkę jeszcze raz, zwróć uwagę na ten fragment i pokaż mi odpowiednią stronę. A kiedy skończysz czytać, potwierdź, proszę, że nadal tak uważasz...

- A mnie się zdawało, że mówiłaś, iż sama dopiero co ją przeczytałaś.

Mama całkowicie zignorowała tę uwagę, jakby nie słyszała moich słów:

- Pamiętam, z jaką ulgą stwierdziłam, że nazwiska wszystkich postaci w tej książce potrafię wymówić. Właśnie skończyłam czytać pewną rosyjską powieść i ich imiona doprowadzały mnie do szału. Na przykład w *Wojnie i pokoju* imiona i nazwiska bohaterów są tak długie, że nie sposób ich sobie przyswoić, więc się szybko po nich prześliznęłam. Czy nie jesteś zdziwiona?

- Sądzę, że większość czytelników postępuje w ten sposób.

- Nie chodzi o imiona; pytam, czy cię nie zdumiewa, że czytam rosyjskich pisarzy?

- Nie - odparłam, choć w rzeczywistości bardzo mnie to dziwiło.

- Gdy byłam w twoim wieku, chociaż nie, musiałam być młodsza, bo będąc w twoim wieku, urodziłam cię... powiem tak: w młodości bardzo lubiłam chodzić do biblioteki Uniwersytetu Columbia. Odwiedzałam ją zawsze w dni, kiedy nie musiałam pracować w pralni chemicznej. Siedziałam tam godzinami i czytałam. Rodzice dawali mi wolne przeważnie od dziesiątej do drugiej i ten czas spędzałam w bibliotece, pogłębiając swoją wiedzę w różnych dziedzinach. Sądzę, że w duchu uważałam to za substytut

studiów, bo przecież nigdy nie chodziłam do żadnego college'u. Kiedyś natknęłam się na listę lektur dla studentów pierwszego roku anglistyki i przeczytałam wszystkie umieszczone na niej pozycje, a potem usłyszałam od twego ojca, że większość tych książek jest nic niewarta.

- Ale ojca nie poznałaś w bibliotece, prawda?

- Nie. Poznaliśmy się w naszej pralni. Miał tylko jedną sportową marynarkę, granatowy blezer. Przyniósł go do nas, by oczyścić na przodzie wielką plamę z sosu pomidorowego. A sosem oblał się we włoskiej restauracji przy ulicy Amsterdamskiej. Moja mama głośno cmoknęła, jak zawsze, kiedy klient przynosił coś naprawdę brudnego. Twój tata opowiedział śmieszną historyjkę o tym, że zabrał do włoskiej restauracji dziewczynę, która była ni mniej, ni więcej tylko córką jego promotora. A gdy jej ojciec niespodziewanie wszedł do tego lokalu i przypadkiem trącił go łokciem, tata oblał sosem nie tylko siebie, ale i swoją partnerkę. Ten epizod zabił ich romans, choć kto wie, czy i ja się do tego nie przyczyniłam.

- Wydaje mi się, mammo, że w babci i dziadku miałaś wspaniałych opiekunów. Prawda?

- Na pewno. A wiesz, co twoja babcia powiedziała, gdy George przyniósł tę splamioną marynarkę? „Będzie gotowa na wtorek” - tylko tyle... Ja nadal pilnie chodziłam do biblioteki; któregoś dnia twój tata mnie tam zauważył, poznał, że jestem dziewczyną którą spotkał w pralni, i zaprosił do węgierskiej kawiarni na kawę. A po jakimś czasie zabrał mnie do tej włoskiej restauracji, od której się wszystko zaczęło. Miał wtedy piękne czarne włosy bez śladu siwizny, był szczuplejszy i bardzo przystojny.

- Nadal jest przystojny - zauważyłam.

- Tak - zgodziła się mama.

Regularne rysy mego ojca z wiekiem zgrubiały i rozmiękły; wąskie usta stały się jeszcze bardziej wąskie, gdy wokół nich pojawiły się zmarszczki typowe dla średniego wieku. Tata był męskim odpowiednikiem przystojnej kobiety, o której się mówi, że za młodu musiała być prawdziwą pięknoscią.

- A jaki był mądry... - zachwycała się matka. - Tylko otworzył usta, a już wiedziałaś, że to bardzo mądry człowiek.

Przeniosła wzrok znad rzeki na mnie i uśmiechnęła się; w jej uśmiechu było tyle zapamiętanej radości, że serce mi się ścisnęło na ten widok.

- Wyobraź sobie - wspominała dalej mama - że w tej włoskiej restauracji przechyliłam się przez stół i odważyłam się powiedzieć twemu tacie: „Byłabym idealną żoną dla naukowca”. A kiedy potem czerwona na twarzy się wyprostowałam, usłyszałam: „Włosy rude, a buzia cynobrowa”. W tym momencie stwierdziłam ze zgrozą, że cały przód mego różowego golfa jest umazany sosem pomidorowym.

- Nigdy mi tego nie opowiadałaś.

- Bo nigdy o to nie pytałaś.

- Ależ mammo, cóż to za przewrotna odpowiedź...

- Jaka? - spytała z rozjaśnioną twarzą. - Przewrotna?

- Zdecydowanie. Chcesz powiedzieć, że tata się z tobą ożenił dlatego, że go pierwsza o to poprosiłaś?

- Ach, Ellie - szepnęła z żalem, jakby się dziwiła, że nie rozumiem czegoś tak prostego. - George ożenił się ze mną, tak przynajmniej sędzę, bo wydawałam mu się podobna do jego matki.

- Chyba się z tym zgodzę, bo widzę w was pewne podobieństwo.

Od razu przyszli mi na myśl moi dziadkowie ze strony ojca. Prowadzili wakacyjny obóz letni dla dzieci w górach stanu Nowy Jork. Oboje już nie żyją. Gdy byłam małą dziewczynką, spędziłam kiedyś z nimi dwa tygodnie pod koniec wakacji, tuż przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Dzieci z Long Island, Manhattanu i Connecticut opuściły już obóz i wróciły do swoich domów opalone i całe w bąblach od ukąszeń komarów. Pamiętam, że wędrowałam przez porośnięte trzcinami tereny wokół ujeżdżalni, na której dzieci uczyły się jazdy konnej; po drodze zbierałam strzały, jakie znalazły się poza terenem, gdzie mali łucznicy uprawiali się w strzelaniu do tarczy, i odnosiłam je dziadkowi.

Ojciec mego taty był silnym i spokojnym mężczyzną. Pamiętam, że nosił banlonowe koszule z krótkimi rękawami i gdy napinał mięśnie, szwy tak się naprężyły, że widać było ścięgi.

Babcia była zgrabną kobietą o ładnych rysach. Figurę chyba tata po niej odziedziczył. Gdy łowiłam raki w strumyku, babcia siedziała na skale i mnie pilnowała. Pozwalała mi też wypiekać świąteczne ciastka z dziurką, którą wypełnialiśmy dżemem. Babcia pachniała różami i mąką, śpiewała mi kolędy na dobranoc i co rano zaplatała moje włosy w warkocze, wiążąc je kawałkami kordonka, jaki pozostał po wyszywan-kach.

- Wracając do naszych książek, przyznaję, że *Duma i uprzedzenie* bardzo mi się podobała - mówiła mama - ale na pewno wolałabym, żeby historia została opowiedziana z punktu widzenia Jane. Natomiast twój ojciec uważa, że wtedy byłaby okropnie nudna. Gdy George wracał z uczelni do domu, wolał nie poruszać tematów literackich, chyba że mógł dyskutować o nich z tobą. Sądję, że traktował to jako część twojej edukacji. Słuchałam nieraz waszych rozmów i czułam się niczym junior z klubu baseballowego dla chłopców, słuchający, jak wymieniają ze sobą opinie wytrawni gracze z zawodowej drużyny.

- Daj spokój, mam... przesadzasz.

- Wcale mi to nie przeszkadzało. Uważałam, że wasze rozmowy są bardzo interesujące.

- Ja bym tak tego nie nazwała.

- A jak?

- Męczy mnie dotrzymywanie ci kroku w tej rozmowie, mam!

Wiatr się wzmógł, przewracał stronicę książki i uniósł róg kołdry. W dole rzeki dwoje dzieci bawiło się pod mostem dla pieszych. Rzucali do wody kamienie, tak samo jak ja, kiedy byłam mała.

- Uważam, że błędem jest opierać swoje życie na aprobacie jednego mężczyzny - nieoczekiwanie oświadczyła mama.

- W czasach, kiedy ty wychodziłaś za mąż, kobiety tak właśnie postępowały... - zauważyłam.

- Ale ja mówię o tobie, Ellie... - usłyszałam.

- Jeśli chodzi o mnie i Jonathana, to nie ma między nami takiej zależności - odparłam.

- Nie miałam na myśli Jonathana - powiedziała i obie zamilkłyśmy.

Po drugiej stronie rzeki kurantowy zegar, który Samuel Langhorne zainstalował, by wesprzeć duchowo młodych mieszkańców campusu, wygrał fragment hymnu *Zadziwiająca łaska*, a gdy zamilkł, słowa: „byłem ślepy, a teraz przejrzałem”, przez chwilę wisiały w powietrzu jak chmura.

- Dlaczego od razu nie dokończyłaś czytać *Dumy i uprzedzenia*? - spytałam, gdy dźwięki kurantu przebrzmiały i zniknęły wraz z zachodzącym słońcem.

Mama wzięła w dłoń książkę spoczywającą na jej kolanach i przycisnęła do piersi. W bladożółtym świetle jej knykcie lśniły jak cztery okrągłe białe kamyki.

- W dniu, w którym poślubiłam twego ojca, gdzieś mi się ta książka zapodziała... - wyznała. - A że była wypożyczona z biblioteki, musiałam zapłacić równowartość, by czytelnia mogła nabyć nowy egzemplarz.

- Nie wiem, mamu, jak mamy pracować w tej grupie dyskusyjnej. Może gdy skończymy czytać powieść, ustalimy czas potrzebny na rozmowę o niej. Dobrze?

- Przecież już to robimy...

- Myślę o omawianiu treści książki i jej ważniejszych postaci.

- A czy tego właśnie nie uczyniliśmy przed chwilą?

- Możemy zatem dyskutować o powieści jeszcze w trakcie jej czytania.

- Dlaczego by nie?

- A kiedy przejdziemy do następnej pozycji?

- Ellen - zaśmiała się, odłożyła książkę i ponownie zabrała się do wyszywania. - Jak na inteligentną dziewczynę wymagasz zbyt wielu wskazówek... Do następnej lektury przejdziemy wtedy, gdy skończymy tę, którą się teraz zajmujemy.

* * *

Moi rodzice poznali się i pobrali w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Chociaż w późniejszym okresie zwykło się uważać lata sześćdziesiąte za czas wielkich przewrotów i ruchów wolnościowych, w życiu moich rodziców radykalne zmiany nastąpiły dopiero później i dotyczyły spraw codziennych. Pobrali się w urzędzie stanu cywilnego w ratuszu, pojechali metrem do śródmieścia na ulicę Chambers i wrócili na czas, by ojciec mógł jak zawsze o czwartej po południu rozpocząć swój wykład w college'u.

Mama po ślubie wróciła do pracy w pralni chemicznej swoich rodziców na Broadwayu, ale wieczorem po zamknięciu zakładu udała się do kawalerki ojca na Sto Trzydziestą Piątą ulicę, by odtąd już na zawsze dzielić z nim łóżko. Następnego rana z prześcieradeł uszyła zasłony na okna. Mieli jednopalnikową kuchenkę elektryczną i na niej mama gotowała wszystkie posiłki. Kiedyś mi opowiadała, że mimo skromnych warunków urządzała prozono kolacje, kładąc talerze z chlebem czosnkowym lub chlebem z chilli wprost na kolana gości. Zdarzało im się nieraz przyjmować nawet i pół tuzina wiecznie głodnych studentów.

Po jakimś czasie w Upper West Side pojawiły się grupy młodych ludzi, którzy stawiali sobie za cel budzenie świadomości społecznej; pracownicy naukowci college'u pozbywali się swoich niemodnie ubierających się i z gruba ciosanych żon, zamieniając je na studentki pierwszego roku, noszące krótkie spódnice i długie włosy. Ale moi rodzice byli już wtedy w drodze do Princeton, gdzie zmiany następowały bardzo powoli. A potem osiedlili się w Langhorne, w którym o zmianach raczej nie było mowy.

Mimo że byłam zdolnym dzieckiem, stale jednak odczuwałam wewnętrzną potrzebę pracy nad sobą. Brało się to chyba stąd, że miałam bardzo mądrego ojca i byłam najstarszym dzieckiem w rodzinie. Podczas gdy mama zawoziła nas na lekcje pływania, uczyła nawlekać suche żurawiny na sznurek, by powstał łańcuch na choinkę, karciała nas za używanie nieprzyzwoitych wyrazów i śmiała się z naszych beznadziejnych dowcipów, ojciec odnosił się do nas z dystansem i robił to z dużym wdziękiem. Z takim samym wdziękiem potrafił się uśmiechać.

Gdy matka zachorowała, nic się nie zmieniło; może tylko ojciec nabrał jeszcze większego dystansu i zachowywał się w sposób bardziej zmanierowany.

- Jak tam załoga? Ahoj! - witał nas, kładąc teczkę na ławie blisko drzwi. A do matki mówił: - Nigdy nie wyglądałaś piękniej - i pochylał się nisko nad jej dłonią.

- O Boże! Gen! - odpowiadała mama. Gen miało być skrótem od słów „Gentleman George”. Wymyśliła to pieszczotliwe przezwisko przed wielu laty. Kiedy ojciec wracał do domu, mama często była już w łóżku. Czasem, kiedy słyszałam, jak cicho zamyka drzwi kuchenne długo po zapadnięciu nocy, miałam wrażenie, jakbym nagle traciła oboje rodziców. W najmniejszym stopniu nie czułam się wtedy dzieckiem; obserwowałam ich chłodnym okiem osoby dorosłej.

Któregoś wieczoru, wkrótce potem, gdy z mamą urządziłyśmy piknik i założyłyśmy klub dyskusyjny, spotkałam się z ojcem w salonie. Ze szklanych czarek, które mama napełniała domowej roboty popourri, unosił się słodki zapach; siedziałam w kręgu złotego światła, jakie rzucała lampa stołowa, i w pewnej chwili odważyłam się zadać ojcu pytanie:

- Powiedz, dlaczego muszę się sama wszystkim zajmować?

- Czym się zajmować, jeśli wolno spytać?

- Opieką nad twoją żoną.

Usta mu się jeszcze bardziej zwięzły, a w głosie zabrzmiał czysto angielski akcent, co zapowiadało, że zaraz usłyszę coś naprawdę wrednego.

- Nad moją żoną? Powiedziałaś: nad moją żoną? Ta kobieta jest twoją matką! Setki razy widziałem, jak opiekowała się tobą, dbała o ciebie, gotowała ci...

- Tobie świadczyła takie same usługi - przerwałam. Nie mogłam pozwolić, by mnie zawstydzał.

- Ellen - tłumaczył się. - Przecież muszę zarabiać na życie. Trzeba spłacać dług hipoteczny, są rachunki lekarzy... Twoja matka doskonale to rozumie.

- Raczej pogodziła się z losem.

- Nie masz o tym zielonego pojęcia. - Wziął moją książkę do ręki i zrobił zdziwioną minę.

- Czytasz tę książkę po raz setny?

- Podobno twoja żona zrezygnowała z czytania jej, gdy postanowiła wyjść za ciebie za męża.

- Nie o to cię pytałem...

- Utworzyliśmy z mamą klub dyskusyjny i omawiamy książki. Mama chciała najpierw przeczytać *Dumę i uprzedzenie*, bo kiedyś w Columbii porzuciła lekturę tego dnia, kiedyście się pobrali.

- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek przepadała za Jane Austen.

- Nie o to chodzi. Mama uważa, że Austen traktuje kobiety protekcyjnie i szczególnie źle pisze o tych, których charaktery i stosunek do życia są bardziej zgodne z tradycją i konwenansem niż na przykład panny Elizabeth Bennet.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Jane Bennet jest tak samo zadowolona z życia jak każda młoda kobieta w dziewiętnastowiecznej powieści. Przecież dobrze o tym wiesz.

- Nie jestem pewna, czy dokładnie wszystko pamiętam. Odkąd jestem gospodynią domową, mam co innego na głowie: froterowanie podłóg, prasowanie... I tak wracamy do początku naszej dyskusji...

- Która wydaje mi się bez sensu. Przecież ty i ja mamy zupełnie inne role do odegrania.

- Moja mi się niestety nie podoba...

- To nie będzie trwało wiecznie!

- Chyba teraz uderzyłeś niżej pasa, tato! - oburzyłam się.

- Nie ma powodu, Ellen, żebyśmy dążąc do jednego celu, działali przeciwko sobie. Twoja matka potrzebuje pomocy. Kochasz ją, prawda? Ja też ją kocham.

- Więc jej to okaż!

- Przepraszam. Nie rozumiem.

- Okaż jej to, co czujesz. Ale czy ty w ogóle wiesz, co to ból? Czy tobie na kimkolwiek zależy? Czy kiedyś zapłakałeś? A przede wszystkim, co zrobiłeś, by nie dopuścić do takiego stanu? Dlaczego jej nie zmusiłeś, by poszła do lekarza, gdy pierwszy raz poskarżyła się, że coś jej dolega?

- Zapominasz, że twoja matka jest dorosłą kobietą.

- Nie zapominam. Ale czy nie było tak, że się bałeś, żeby się twój mały świat nie zawalił, że chciałeś zawsze mieć mamę pod ręką, aby wszystko w domu toczyło się ustalonym torem? A teraz chcesz, żeby ja była pod ręką, bo ona już nie może? Ściągnąłeś mnie do domu i każesz się zajmować tym bałaganem w przekonaniu, że będę to świetnie robiła, bo jestem do tego powołana... Tymczasem ja wcale nie jestem do tego powołana, jestem inna i nie potrafię być pielęgniarką, przyjaciółką, powiernicą i panią domu w jednej osobie!

- Ale może potrafisz być córką, co? Zawsze możesz być po prostu córką.

- Tato, nie próbuj wmawiać mi winy, lepiej pomyśl, czy ty potrafisz być mężem.

- To nie twoja sprawa; dotyczy tylko matki i mnie. - Przygładził włosy dłonią. - Początek roku akademickiego jest bardzo męczący i naprawdę nie mam siły, żeby się kłócić - powiedział i zniknął w nie-

oświetlonym holu, jak Kot z Cheshire*, ale bez uśmiechu. Słyszałam, jak szedł po stopniach do góry. Po chwili z ciemności dotarł do mnie jego zmieniony głos: - Nie zapominaj, że czuwam przy niej w nocy!

* Kot z Cheshire - postać z *Alicji w krainie czarów*.

Kiedy wstałam, żeby zgasić światło i pójść do łóżka, spojrzałam na zdjęcie naszej trójki stojące na fortepianie. Patrząc na rozjaśnioną twarz matki, zastanawiałam się, jak mogła dopuścić do tego, by ojciec wierzył, że ona bez żadnego wysiłku potrafi dbać o cały dom. Bo ja dopiero teraz zaczynałam się przekonywać, ile wysiłku ją to dbanie kosztowało. Zezłościłam się. Nie miałam już wątpliwości, że matka udawała, bo sądziła, że jej obowiązki są niczym w porównaniu z pracą ojca na uczelni. I to napawało mnie lękiem o przyszłość. Różnice, jakie dzieliły nas z matką, stały się mniej istotne, odkąd się dowiedziałam, że godzinami przesiadywała w bibliotece Uniwersytetu Columbia i wczytywała się w klasyków. Co prawda zrezygnowała z tego dla mego ojca i odtąd zawsze mu we wszystkim ulegała. Ale teraz zrozumiałam, że bez sprzeciwu wykonywała wszystko, czego od niej żądał, bo wierzyła, że w ten sposób służy dobrej sprawie.

Patrzyłam na naszą trójkę na fotografii, utrwaloną we wspaniałych kolorach pod słonecznie błękitnym niebem Cambridge, i zastanawiałam się, czy sama też nie ułatwiłam ojcu zachowania dominującej roli w rodzinie. A może chciałam w ten sposób chronić ich małżeństwo? Matka miała słodkie usposobienie i raczej nie pobudzała poczucia intelektualnej wyższości u ojca, natomiast tata mógł pozostawać pod jej urokiem i wciąż być w niej zakochany, bo jego życiu umysłowemu towarzyszył ktoś inny, nie ona. Jakież to szczęśliwe zrzęczenie Opatrzności, że większość dzieci opuszcza dom rodziców, zanim staną się dostatecznie mądre, by potrafiły ich zrozumieć!

- Rano poczujesz się lepiej - powiedziałam na głos i tak długo przyglądałam się zdjęciu, aż stało się zamazaną plamą koloru i światła i można je było interpretować na sto sposobów. Gdy potem cofnęłam się o krok, zdjęcie znów przemieniło się w coś, czym zawsze było: w radosną martwą naturę. Czułam suchość i piasek w oczach. Byłam zmęczona i miałam wrażenie, jakby ktoś wyssał ze mnie całą witalność. Pomyślałam, że zawsze tak było, odkąd pamiętam, szukałam dla siebie miejsca gdzieś pośrodku między nimi dwojgiem.

* * *

Wykończyła mnie wieczorna wymiana zdań z ojcem. Tak samo czułam się przed wielu laty, kiedy po raz pierwszy sobie uświadomiłam, że nie tylko praca trzyma go na langhornowskim kampusie długo po zakończeniu zajęć przewidzianych na dany dzień na uczelni. Langhorne też miał swoją bibliotekę, chociaż nie tak dużą i sławną jak columbijska. Nasza trochę przypominała kościół, myślę, że z powodu długich i wąskich okien z witrażami, przedstawiającymi bohaterki szekspirowskich dramatów. Godzinami siedziałam pochłonięta lekturą na prostych ławkach bibliotecznej czytelnicy, otaczających z dwóch stron wielkie dębowe stoły. Chodziłam tam, by wiedzę nabytą na uczelni uzupełnić i pogłębić ambitniejszymi studiami

socjologicznymi. Pisałam też eseje o twórczości Conrada i Melville'a, co najmniej w połowie zrzucając je z opracowań krytyków literatury.

Nie wiem, co przygnało mego ojca do biblioteki pewnego popołudnia, kiedy pracowałam przy jednym stole z dość hałaśliwą gromadką dziewczyn przygotowujących grupową analizę *Czterech kwartetów* T.S. Eliota. Kiedy tata przeszedł przez salę, kierując się do pokoju „cichej pracy”, usłyszałam, co te dziewczyny o nim mówiły: „Ach, to nasz boski profesor Gulden” - powiedziała jedna z nich. „Ciekawe, z kim teraz jest, od kiedy jego asystentka przeniosła się do Colby” - zastanawiała się inna. „Chętnie bym się z nim przespała” - wyznała dziewczyna z czarnymi kręconymi włosami i dużą przerwą między przednimi zębami. „Nie!” - zapiszczały. Kiedy jakiś chłopak robiący notatki w zeszycie, przed którym leżała spora sterta podręczników, odwrócił się, by na nie spojrzeć, dodały już ciszej: „On jest stary, żonaty i strasznie wymagający na egzaminach”.

Mówią o moim ojcu - pomyślałam. Mogłam sobie wyobrazić, jakim mężczyzną był mój tata w ich oczach, bo sama też go takiego widywałam, choć rzadko, gdyż w domu bywał inny: odpoczywał, by набrać sił do ciężkiej pracy, jaka go czekała tam, gdzie George Gulden przeistaczał się w kochanka, bałamuta, czarodzieja... Niełatwo mi opisywać uwodzicielski czar mego ojca, bo musiałabym go porównać do czegoś w rodzaju węża ukrytego w koszyku i fakira grającego na flecie. Musiałabym mówić o tym tak, jak mówi o picciu alkoholu ktoś, kto przez wiele lat od niego stronił i wszystko, co zapamiętał, to odczucie, jakie miał o trzeciej nad ranem, gdy otoczył ramionami muszlę klozetową i wymiotując, łapał w nozdrza orzeźwiający zapach sedesowego odświeżacza.

Niemniej mój ojciec naprawdę potrafił być czarujący. Do mężczyzn odnosił się serdecznie, ale w rozmowie z nimi dobierał słowa i dbał o swój autorytet. Wobec kobiet był rycerski i czuły, skłonny uwodzić i starsze panie, i całkiem młode dziewczyny.

- Droga pani Duane - nawijał, podchodząc do lady w księgarni - czy może mi pani powiedzieć, na której półce znajdę *Z zimną krwią* Trumana Capote? Pani pomoc będzie nieoceniona nie tylko dla mnie osobiście, ale także dla wielu studentów, którzy wszystko dadzą sobie wmówić, nawet to, że Capote to facet występujący gościnnie w programie Dicka Cavetta. A przy okazji - jeśli by obwoluta nowej powieści Normana Mailera płowiała gdzieś w witrynie, to może by pani mogła przynieść mi także i tę książkę. I proszę sprawę potraktować jako przysługę oddaną ludzkości lub ewentualnie uczynić to z szacunku dla klientki kupującej tu publikacje Germain Greer* - a jest nią sama pani dziekan Wydziału Studiów nad Rolą Kobiety w Społeczeństwie. A swoją drogą, nie rozumiem, po co pani w ogóle takie książki zamawia.

* Germain Greer - pisarka, działaczka feministyczna.

Pani Duane była kobietą kulturalną i obytą. Jej pierwszym mężem był wysoki urzędnik w Departamencie Stanu. Po jego śmierci ponownie wyszła za mąż, właśnie za pana Deana Duane, i oboje przenieśli się na prowincję, do Langhorne. W Nowym Jorku miała eleganckie mieszkanie na jednym ze starych zna-

nych osiedli blisko Piątej Alei. Ale mimo swojej wysokiej kiedyś pozycji i wyrobienia nawet ona była bezradna wobec żartobliwych powiedzonek, jakimi mój ojciec, w typowy dla siebie sposób, sypał jak z rogu obfitości. Któregoś dnia na własne oczy widziałam, jak pani Duane przeniosła pokaźny stos egzemplarzy *Opowieści canterberyjskich* Chaucera z regałów stojących przy jednej ścianie na drugą, ponieważ mój ojciec narzekał, że ma trudności w znalezieniu ich na półce, gdzie zajmowały miejsce obok tomów opowiadań i nowel.

- Gdybyś był Irlandczykiem, George, nazwałabym cię niezwykle utalentowanym pochlebcą - przygadywała mu nieraz.

- Nie, droga pani, mnie cechuje coś, co określa się jako *Gemütlichkeit**, cokolwiek to znaczy... - odparł ojciec. - Jedni sądzą, że chodzi o znakomity deser owocowy z bitą śmietaną, inni przypuszczają, że o chorobę trzustki... w każdym razie ja to coś mam i chętnie tym miłej pani służyć. A jak z książką, o którą pytałem? Ma ją pani?

- Mam - powiedziała pani Duane. A gdyby jej nie miała, na pewno by się o nią postarała.

* *Gemütlichkeit* - sympatyczność, dobroduszość, przytulność.

Tata stosował podobne metody także wobec mnie, oczywiście gdy chciało mu się o tym pamiętać. Odkąd jednak przyjechałam do domu, żeby opiekować się matką, ani razu się tak nie zachował.

Do dziś pamiętam, jak wieczorem przed pójściem do łóżka tata uczył mnie abecadła. Zajmowaliśmy wtedy małe mieszkanie, mające tylko dwie sypialnie. Znajdowało się ono przy bocznej ulicy, daleko od uniwersytetu w Princeton. Widywałam ojca jedynie w dni powszednie, kiedy wykąpana, uczesana i wyszykowana byłam już w długiej dzianej nocnej koszuli. Matka sama te koszule szydełkowała.

- Za żadne pieniądze nie jestem w stanie kupić przyzwoitej nocnej koszuli dla małej dziewczynki - skarżyła się na spotkaniu pań, żon pracowników naukowych uniwersytetu. One zaś bez oporu wkładały swoim pociechom piżamy *Mickey Mouse* albo doktora Dentonsa**.

** Piżamy doktora Dentonsa mają zapinane rękawy i nogawki.

Ojciec uczył mnie bardzo dziwnego alfabetu:

- A - jak a...psik! - mówił i kichał przy tym.

- B - jak baletnice tańczące kankana i zabawiające Toulouse-Lautreca, oczywiście w epoce fin de siècle'u.

- C - jak cekaem.

I tak dochodziliśmy do litery Z - jak Zsa Zsa Gabor. Nikt nie wymawiał Zsa Zsa tak jak mój tata.

Czasami, zwłaszcza jeśli któraś z moich przyjaciółek jechała z nami samochodem, tata wyśpiewywał refreny miłosnych piosenek albo recytował niezbyt przyzwoite limeryki. Kiedyś zachwyił się nadru-

kiem, jaki moja koleżanka miała na podkoszulku. „Działaj lokalnie, myśl globalnie!” - głosił ten napis, który sprowokował mego ojca do szczególnej wypowiedzi.

- Czyż ludzki rozum jest w stanie przewyższyć porywy serca, tak odważnie manifestujące się w głębi twojej piersi... ach! przepraszam! nie w głębi, ale na samym wierzchu, a raczej w poprzek twojej piersi...

Oczywiście mojej smarkatej koleżance bardzo się to spodobało.

- A czy wiesz, co robi mój ojciec? - zapytała mnie Jennifer Buckley. - Siedzi w samochodzie, cały czas puszcza bąki, a mnie każe milczeć, bo słucha w radiu sportowych sprawozdań. - Jej ojciec był właścicielem przedsiębiorstwa, które budowało supermarkety i szkoły. - Natomiast twój tata poznał któregoś dnia po zapachu, że używam perfum Giorgio. Wybacz, ale nie ma porównania...

Mężczyzna, który potrafi rozpoznać, jakich perfum używa nastolatka siedząca na tylnym siedzeniu jego samochodu, może jednak mieć pewne braki jako ojciec. Przekonałam się o tym któregoś grudniowego wieczoru, kiedy po pierwszym roku w Harvardzie przyjechałam do domu na Boże Narodzenie i musiałam wpaść nieoczekiwanie do ojca na uczelnię. Anglistyka zajmowała wysokie piętra w rogu starego kamiennego budynku. Tam też mieściły się sale wykładowe, pracownie i gabinet taty. Moja wizyta miała związek z nagłą chorobą dziadka. Babcia Nina zadzwoniła z Florydy i po polsku powiedziała mamie, że dziadek miał udar i lekarze nie dają nadziei na przeżycie. Telefony na uczelni nie działały z powodu gwałtownej burzy śniegowej, która zerwała kable, więc poszłam tam przez most, mocno się trzymając poręczy. Wiatr tak kołysał kładką, że wolałam nie patrzeć na zimną rzekę w dole; poziom wody był wyjątkowo wysoki.

Portier przepuścił mnie bez słowa. Kiedy się znalazłam na czwartym piętrze, stwierdziłam, że drzwi do pokoju ojca są zamknięte na klucz. Ze środka dochodziły dziwne dźwięki: jęki i skrzypienie starych sprężyn w zniszczonej skórzanej kanapie.

- O rany, Beth! - słyszałam nawet przez zamknięte drzwi. - Och, och... Beth!... - Wiedziałam, że tak ma na imię zagorzała feministka, profesor historii z Rutgers, która przyjechała do Langhorne na gościnne wykłady z historii Ameryki.

„Jakież to banalne” - pomyślałam, powtarzając ulubione słowo mego ojca: banał! A przecież ludzie stale te banalne rzeczy robią... Ostrożnie i cicho podeszłam do biurka sekretarki wydziału, wyjęłam kartkę papieru i napisałam: „Twoja żona cię potrzebuje”. Postałam jeszcze jakiś czas i słuchałam, a potem przez szparę pod drzwiami wsunęłam kartkę do jego gabinetu. Nawet teraz, po tylu latach, robi mi się słabo, kiedy sobie o tym przypomnę.

Nie byłam pewna, czy mój ojciec domyślił się, że ja wiem, ale po tej historii nasze wzajemne stosunki uległy zmianie. Mniej go odtąd o cokolwiek prosiłam. Bardziej też skora byłam do osądzania innych... Ilekroć mnie proszono o wyrażenie opinii, wydawałam surowe sądy. Pewna dziewczyna wyszła kiedyś z seminarium poświęconego sztuce twórczego pisania, jakie odbywało się w Harvardzie, ponieważ kazano nam przeczytać napisaną pracę na głos, a potem wysłuchać opinii pozostałych studentów na jej temat. Koleżanka, która wyszła z sali, tłumaczyła profesorowi prowadzącemu seminarium, że jest już po

czterech takich sesjach i nie może znieść myśli, że skrytykuję jej pracę podobnie jak prace kolegów. Kiedy profesor powtórzył mi jej słowa, nie okazałam najmniejszej skruchy.

- To jej problem, a nie mój - stwierdziłam.

Tak samo albo jeszcze ostrzej osądzałam ojca, ponieważ przypuszczałam, że on dostrzegł drzemiące we mnie tak długo i w tak wielu dziedzinach niespełnione pragnienia. Natomiast, o dziwo, zauważyłam, że w stosunkach między moimi rodzicami nic się nie zmieniło ani wtedy, ani potem. Dopiero znacznie później odkryłam, że zdrada, na której przyłapałam ojca, w jakiś sposób rzutuje na mój romans z Jonathaniem. Byliśmy już jakiś czas ze sobą i ja niemal w równym stopniu pragnęłam go i nienawidziłam. Kiedy wróciliśmy do Cambridge po feriach Bożego Narodzenia, Jonathan był zdumiony moimi wyczynami w łóżku, i nie tylko w łóżku... Podczas wykładu z historii sztuki wsunęłam mu dłoń do rozporoka. Omawialiśmy wtedy niezwykle obraz van Eycka, przedstawiający ślubny portret Arnolfiniego z małżonką: dwoje ludzi o zdziwionych twarzach, w wyszukanych strojach, przygotowywało się do nudnego wspólnego życia. Gdy dziś o tym myślę, zabawne mi się wydaje, do czego gotowa byłam się posunąć, by naśladować ojca. Stanowiłabym chyba ciekawy przypadek dla każdego psychiatry.

Nigdy nie mówiłam z ojcem o tamtym zdarzeniu, choć byliśmy bliscy tego, gdy po sześciu miesiącach przyjechałam na letnie wakacje do domu. Zrelacjonowałam wówczas tacie spotkanie, jakie miałam z moim profesorem anglistyki w Harvardzie. Profesor był dość znanym powieściopisarzem, postanowiłam więc najpierw posłać mu do oceny niektóre swoje opowiadania, a potem się z nim zobaczyć i poznać jego opinię. Wsłuchując się w jego ostrożne i raczej jałowe komentarze, doszłam do wniosku, że mu się moje nowelki nie spodobały. Wyznał jednak przy tej okazji, że nigdy nie widział brązowych oczu tak ciemnych jak moje.

- Są naprawdę autentycznie czarne... - mówił, udając, że się zachwyca. Ale ja już pierwszego roku na uczelni wiedziałam, że jest to niezbyt zręcznie zakodowana propozycja: „Bądź dla mnie miła, a zabiorę cię na kolację i do łóżka”.

Opowiedziałam ojcu, jak to profesor, patrząc na moje nazwisko, umieszczone u góry każdej stronicy maszynopisu, w pewnej chwili coś sobie przypomniał:

- W czasie studiów był na moim roku chłopiec, który nazywał się George Gulden. Uważałem go za mądrego młodego człowieka, ale strasznie marudnego... Po dyplomie zniknął nam z oczu...

Oboje z ojcem wiedzieliśmy, co ta uwaga znaczy. Siedzieliśmy przy stole i jedliśmy lasagne z zieloną sałatą. Tata wysłuchał mojej relacji i nawet nie mrugnął okiem, a ja starałam się mówić niezwykle obojętnym tonem. Mama się odwróciła i patrzyła nie na nas, tylko w stronę kuchni, a Jeff i Brian przyglądali nam się z rozdziawionymi ustami. W końcu ojciec lekko się uśmiechnął.

- Bardzo słaby z niego pisarz - powiedział. - I był też bardzo słabym doktorantem. No i jak? Podo- bały mu się twoje opowiadania?

Nie odpowiedziałam i ojciec znowu się uśmiechnął. Znał kod równie dobrze jak ja i wiedział, co się za tym kryje.

Pamiętam, że w myśli ostro rozprawiłam się z pisarzem; wyobraziłam sobie, że wyniosłym tonem odmawiam mu, gdy proponuje mi jeszcze jedno piwo: „George Gulden jest moim ojcem, a z pana, profesorze, to prawdziwy sukinsyn!” Oczami duszy widziałam, jak wychodzę dumnym krokiem, pozostawiając swoje rękopisy na stole.

W rzeczywistości było inaczej. Spuściłam z tonu i bez słowa zabrałam opowiadania, po czym w ulewnym deszczu wróciłam piechotą do domu. Zmokłam tak, że zanim doszłam do akademika, koperta z manili, do której włożyłam maszynopis, napęczniała wodą jak ciasto. W pokoju czekał na mnie Jon. Leżał w samej bieliźnie na łóżku i czytał biografię Jeffersona.

- Spałaś z nim? - spytał.

- Świnia z ciebie, Jon - odparłam, wyrzucając przemoczony rękopis do kosza.

- Może i świnia, ale twoja... - zapewnił mnie, przywołując do siebie palcem, a ja posłuchałam, i wszystko zaczęło się na nowo.

* * *

Szpitala trochę mi przypominają plażę. Przyplęwa nowa fala i wszystko zmywa: usuwa ślady po bólu i cierpieniu, ratunku i poprawie; zmieniają prześcieradła. Ale chociaż trwało to krótko i przeminęło, sądzę, że nawet dziś, gdybym weszła do Centrum Medycznego „Montgomery”, poczułabym się jak w domu. Inna rzecz, że mam takie małe życiowe pragnienie, żebym już nigdy więcej nie musiała tam bywać. Nie chcę widzieć tej okropnej wielkiej bryły z czerwonej cegły, z wielopoziomowym parkingiem, garażem i automatycznymi, dwuskrzydłowymi drzwiami.

Przez cztery miesiące miejsce to było naszym światem: mama odwiedzała tam swoją lekarzkę i poddawała się temu, co z uporem nazywała zabiegami.

Podłogi w szpitalu pokrywało szare linoleum upstrzone białymi i czarnymi plamkami. Wydawało mi się tak agresywnie ordynarne, że czułam się wręcz urażona jego widokiem. Wewnętrzne rozmowy przez telefon przerywano, gabinety zabiegowe miały frontowe ściany ze szkła, przez które widziało się pełno ostro zakończonych przedmiotów. Za tą szklaną jakby kurtyną toczyło się nasze wspólne życie.

Na końcu jednego z bocznych korytarzy, biorącego początek w holu, było półkoliste miejsce w kształcie wachlarza. Tu, siedząc na plastikowych krzesłach seryjnej produkcji, czekałyśmy z mamą, aż nas poproszą do kabiny. Tam zaś, zanim morfina stała się jej zbawczą łaską, wpuszczano mamie do żył chemioterapeutyki: jedyny dostępny wtedy dla niej ratunek. Lekarstwa powoli wpływały w jej krwiobieg, usiłując zabić komórki, które najwyraźniej oszalały. Zaproponowano mamie, żeby sama przychodziła do szpitala na chemioterapię, ale się nie zgodziła, więc ja ją przyprowadzałam co trzy tygodnie i w ambulatorium dla dochodzących pacjentów spędzałyśmy cały dzień pośród ostrych zapachów i hałasów.

Kabinę do chemioterapii pięknie ozdobiono: ściany obito tapetą w kwiaty, a leżankę jasnoniebieską imitacją skóry. Nawet preparaty chemiczne były na swój sposób dekoracyjne: krystaliczne woreczki błyszcząły srebrem, gdy odbijało się w nich górne światło. W pokoju nie było okien. Zabiegi ciągnęły się

długo, bo trzeba było sporo czasu, aby te wszystkie chemiczne preparaty wsączyły się do żył mamy kropla po kropli, Boże-daj-żeby-podziały.

O, tak... Przyznaję, że się modliłam i robiłam to wszędzie: w kabinie i w holu, w korytarzu i w kawiarni. Do kawiarni szłam nie tylko po to, by się otrząsnąć z wrażenia, że jestem żywcem pogrzebana - a coś takiego odczuwałam, godzinami przebywając w małym, ciasnym pomieszczeniu - ale także dlatego, że naprawdę miałam ochotę wypić jeszcze jedną kawę. Modliłam się bezgłośnie, w duchu i z ledwo wzbudzonym uczuciem powtarzałam tylko jedno słowo: proszę, proszę, proszę, proszę, proszę...

Matka chciała, żebym w czasie jej badania czekała na zewnątrz. Doktor Cohn robiła wrażenie nieco zadziornej kobiety. Jej ładna twarz wyrażała wewnętrzną siłę. Takie twarze widzi się nieraz na starych monetach. Nosila proste, obcisłe suknie, szaroniebieskie lub szarobrazowe, albo z matowego perkalu. Wyglądały, jakby je kupiła głównie po to, by nie rzucały się w oczy pod białym lekarskim kitem. Pamiętam jej mocny uścisk dłoni, zdecydowany, jak wszystko, co się z nią wiązało. Sądziłam, że jest zimną osobą, ale gdy poznałam innych onkologów, zdałam sobie sprawę, że odczuwa lekkie znużenie, podobnie jak wielu lekarzy tej specjalności, którym tak często zdarza się ponosić klęskę.

Doktor Cohn była bardzo miła dla mojej matki. Zawsze schodziła do niej, gdy mama miała chemioterapię. Brała ją za rękę i cicho do niej przemawiała, wyjaśniając, jakich się może spodziewać symptomów. A preparaty chemiczne kapaly miarowo, w charakterystycznym rytmie.

- Wiesz, Ellen, w tym płynie jest platyna, jak w moim ślubnym pierścionku - oznajmiła mama z uśmiechem, gdy zaczęła drugi już kurs chemioterapii. - Dlatego mam w ustach smak ołowiu.

- A czy to chociaż jest skuteczne? - zwróciłam się do pani doktor.

- Trudno powiedzieć - odparła doktor Cohn - czy lekarstwo już zadziało. Muszę przeprowadzić pewne testy; chciałabym także usłyszeć od ciebie, Kate, czy dobrze się czułaś po pierwszym razie.

- Mama przez cały następny dzień wymiotowała. Zrzucała wszystko, każdy kęs, jaki zjadła. A potem, kiedy torsje przeszły, wystąpiły nudności bez wymiotów i te jej nie opuszczały. W dodatku zaczęły jej całymi garściami wychodzić włosy.

Na twarzy lekarki pojawił się nikły uśmiech, ledwie zarysowana mała fałdka w kącie ust.

- Efekty uboczne nie są niczym niespodziewanym - oświadczyła - ale chciałabym od Kate usłyszeć, jak się czuje.

- Nie jest najgorzej - zapewniła mama - tylko nie znoszę smaku ołowiu w ustach. Tracę też na wadze, choć prawdę mówiąc, nigdy nie sądziłam, że to stanie się dla mnie problemem. No i moja głowa fatalnie teraz wygląda... - Mama przeciągnęła palcami przez rzednące rude włosy.

- Co ty mówisz, mamo? Przecież po ostatniej chemii wymiotowałaś co najmniej dziesięć razy.

- A masz jakieś bóle? - indagowała dalej doktor Cohn.

- Nic takiego, o czym warto mówić - odparła mama.

- Czy jesteś tego pewna? - spytałam.

- Ellen! - ofuknęła mnie mama karcącym tonem.

Gdy doktor Cohn wyszła z kabiny, podążyłam za nią do holu. Stawiała długie kroki i musiałam iść szybciej, żeby się z nią zrównać.

- Pani doktor, ja niewiele wiem o chorobie mamy. Nie mam pojęcia, co u mamy wykryto w szpitalu. Nie orientuję się, jakie jest rokowanie, czego należy oczekiwać. Bardzo proszę, żeby pani doktor zechciała mi poświęcić dziesięć lub piętnaście minut i porozmawiała ze mną o tych sprawach.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

- Proszę pójść ze mną - powiedziała i poprowadziła z powrotem w stronę holu.

- Przysięgam, że zachowam dyskrecję - dodałam.

- Nie mogę z tego robić tajemnicy - oznajmiła lekarka obojętnym tonem - bo przecież chodzi o chorobę pani matki, a uważam, że Kate zasługuje na to, by uczestniczyć w rozmowie, która ma jej dotyczyć. - Pchnęła drzwi i weszłyśmy do kabiny.

- Kate! - zwróciła się do mamy, a ta otworzyła oczy i uśmiechnęła się do nas. - Ellen chce ci zadać parę pytań dotyczących twojej choroby. Zastanawiam się, czy zechcesz odpowiedzieć na nie teraz, czy wolisz później, gdy spotkam się z wami obiema na gorze?

- Jakiego rodzaju są te pytania? - spytała mama, patrząc na mnie, a ja przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Chodzi mi o to, gdzie u ciebie ten rak powstał, czy są przerzuty i czego można się spodziewać w najbliższej przyszłości.

Mama patrzyła w oczy doktor Cohn, a nie na mnie, i recytowała jak dziecko w szkole wezwane do odpowiedzi.

- Na kliszy z tomografii komputerowej widać, że wszystko zaczęło się w wątrobie. Może także w jajnikach, choć tego nie da się odczytać. Jest jednak coś w analizie krwi, co sugeruje, że być może jajniki także nie są w porządku. Lekarz z miasta, którego szpital poprosił o konsultację, przejrzał zdjęcia i klisze i orzekł, że takie przypadki się zdarzają, choć rzadko. Pani doktor, czy to co mówię, jest medycznie poprawne?

- Oczywiście - uspokoiła mamę doktor Cohn.

- O co jeszcze chciałabyś zapytać, Ellen?

- Nie umiem tego dokładnie określić, mamo, po prostu chciałabym być lepiej poinformowana.

- O czym?

Dobrze wiedziałam, o co bym spytała, gdybyśmy z panią doktor znalazły się same w holu. Spytałabym: jak długo to potrwa i czy z mamą jest bardzo źle. Chciałabym poznać drogę, jaką będzie krok po kroku postępowało wyniszczenie prowadzące do śmierci. Ale nie mogłam zadawać takich pytań w obecności mamy, choć przypuszczałam, że ją interesuje dokładnie to samo. Co więcej - podejrzewałam, że mama zna już odpowiedzi, ale woli zachować je dla siebie.

- Nie mam więcej pytań - powiedziałam. - Skoczę teraz na kawę do kawiarni. - Doktor Cohn wyszła ze mną.

- Proszę wybaczyć, pani doktor, ale mam taką naturę, że lubię wiedzieć, jak sprawy stoją.

- Tak jak pani matka - odparła lekarka. Zatrzymałam się i pstryknęłam palcami.

- Coś mi się przypomniało - wyjaśniłam. - Rodzice mojej matki mieli pralnię chemiczną. Czy pani doktor nie sądzi, że chemikalia mogły wywołać u mamy raka?

- Pani ojciec spytał o to samo - odrzekła.

- I co?

- A jakie to teraz ma znaczenie? Tak zareagowała pani matka.

W ciągu tygodni, podczas których często bywałyśmy w szpitalu, tylko jeden jedyny raz widziałam, że mama się załamała. Przechodziłyśmy przez hol i właśnie w tym momencie jakaś kobieta przy drzwiach wyjściowych odwróciła się, żeby odebrać od pielęgniarki śpiącego noworodka i zanieść go do czekającego samochodu. Rączka dziecka rozczapierzona na beciku wyglądała jak różowa gwiazda; wówczas usta mojej matki zaczęły drgać, jakby się miała zaraz rozplakać. Stała i wzruszona obserwowała opuszczającą szpital panią z dzieckiem.

- Ach! - westchnęła i przytknęła chusteczkę do oczu.

W czasie tych kilku tygodni mama zdołała się dowiedzieć, jak mają na imię wszystkie pielęgniarki pracujące w szpitalu, jakie jest ich życie rodzinne, w jakim wieku są ich dzieci. Kiedy czekała w korytarzu, aż ją zawołają do kabiny na chemioterapię, pielęgniarki uśmiechały się do niej i zwracając się do niej również po imieniu, mówiły:

- Dzień dobry, Kate, jak się dziś czujesz? Jeszcze tylko chwilka i zaraz cię poprosimy do kabiny.

I oczywiście, jak to jest w zwyczaju w tych stronach, wszystko o nas wiedziały. Jedna miała syna, który chodził do szkoły z moim bratem, Jeffem. Inna wspominała, że jej córce przyznano stypendium w langhornowskim college'u.

- Moja córka uważa pani ojca za jednego z najlepszych profesorów na tej uczelni; powiedziała, że jak on postawi studentowi piątkę, to naprawdę to coś znaczy...

- Święta racja - zgodziła się z nią moja mama.

- A ja pamiętam, jak panna Ellen wygrała konkurs na esej - odezwała się pielęgniarka o imieniu Gina. Jednocześnie wprowadziła igłę do kateteru, jaki lekarze zaimplantowali tuż nad sercem mamy po to, żeby nie trzeba było za każdym razem szukać u niej żył do zastrzyków.

- Wiesz, że kateter oznaczony „Port-A” będzie mi potem ratował życie - poinformowała mnie mama - bo tą drogą będą mi wstrzykiwać morfinę.

- Morfinę? - powtórzyłam bezwiednie.

- Właściwie to nie jest jeszcze pewne - dodała, spuściwszy wzrok. Przez chwilę wpatrywała się w tacę z narzędziami, a potem szepnęła: - Może nie...

Zwykle siedziałyśmy w poczekalni same, ale pamiętam, że pewnego ranka towarzyszyła nam starsza pani, która szczegółowo opisywała, jak jej wszczepiano endoprotezę biodra i jak długo potem wracała

do zdrowia. Mówiła, że to przejście rzuciło długi cień na jej życie. W końcu, jakby po namyśle, spytała mamę, co ją tu sprowadza.

- Potrzebne mi jest prześwietlenie klatki piersiowej, bo się staram o polisę ubezpieczeniową na życie - mama bez zająknięcia skłamała. Po skończonych zabiegach tłumaczyła się: - Gdybym jej powiedziała prawdę, siedziałabym tam bez końca...

Starsza pani na pewno nie pochodziła z Langhorne, bo gdyby tak było, nie pytałaby o chorobę mamy. Każdy w mieście o niej wiedział. Gdy spotykali mamę w sklepie Phelpsa albo w supermarkecie, wszyscy nagle stawali się przemądrzali i za bardzo gadatliwi: „Jak to miło, że Ellen przyjechała do domu” - chwalili mnie, ale nikt się nie zainteresował, czym się tu zajmuję. „Świetnie wyglądasz, Kate” - kłamali. Boże, myślałam, jakież to byłby szok, gdyby ktokolwiek z nich miał odwagę przechylić się przez ladę i powiedzieć: „Jak tam twój rak, Kate?” Tymczasem mimo szali i kapeluszy, które mama zaczęła nosić, by przykryć obecnie zrujnowane, a niegdyś piękne włosy, i mimo jej gwałtownego chudnięcia nigdy nie usłyszałam słowa „rak”, nigdy, do czasu, kiedy było już po wszystkim.

Jedyną osobą, która nie bała się użyć tego słowa, była pani Forburg, moja nauczycielka angielskiego z liceum. Pewnego dnia, wkrótce po powrocie do domu, znalazłam pocztową kartkę od niej. Pani Forburg swoim kanciastym, prostym pismem przekazała krótko i bez owijania w bawełnę to, co miała do powiedzenia:

„Droga Ellen! Często i serdecznie o Tobie myślę nie tylko z powodu choroby Twojej matki, ale także ze względu na poważne obowiązki, jakie teraz na Tobie ciążyą. Może wpadłabyś do mnie na kolację? Przyjdź jak najprędzej! Moja matka zmarła na raka, gdy byłam jeszcze młoda, może więc mogłybyśmy pomóc sobie nawzajem.

Łączę uściski
Brenda Forburg"

Położyłam kartkę na biurku i co jakiś czas patrzyłam na nią, mając zamiar zadzwonić, ale jakoś nigdy do tego nie doszło.

Pomimo chemioterapii i tego, co następowało po niej - słyszałam, jak żałośnie targały nią w łazience mdłości - mimo cotygodniowych analiz krwi i badań mam przesłanki, by sądzić, że mama uważała te miesiące za cudowny i w pełni ją satysfakcjonujący okres. Bo właśnie w tym czasie stosunki z córką stały się takie, o jakich marzyła, i zawsze sobie wyobrażała, że będą. Z tą myślą robiła baldachim nad podpartym czterema postumentami łóżkiem, które stało w sypialni na poddaszu, zakładała zeszyty na nasze szkolne świadectwa i wiersze wycięte z literackich czasopism. O tym myślała w czasie przyjęć z okazji urodzin i wtedy, gdy załatwiała zbiorowe ubezpieczenia obejmujące pobyty na uczelni i na obozach.

W trakcie tych trudnych miesięcy znajdowałyśmy czas na to, by chodzić do kina i wyjeżdżać na całonocne wycieczki na plażę. Parę razy jadłyśmy lunch w małych restauracyjkach, których reklamy

mama wycięła kiedyś z gazet. Mimo że szybko się męczyła i raz czy dwa razy wystraszyła mnie, bo jakoś dziwnie oddychała, nie zgadzała się na to, by siedzieć w domu, i mnie też nie pozwalała.

- Co wy właściwie robicie przez cały dzień? - Jules spytała mnie któregoś wieczoru. Zadzwoiła, żeby mi powiedzieć, jaki głupi i arogancki jest ten absolwent uniwersytetu w Yale, który przejął po mnie posadę.

- Jesteśmy z mamą jak dwie najlepsze przyjaciółki... - zaczęłam.

- I co? Dyskutujecie o perfidii mężczyzn?

- Nie. Chodzimy po zakupy.

Dziś mogę się przyznać, że te miesiące i dla mnie były cudowne. Dały mi szansę na naprawienie tego, z czego sobie przez całe lata bimbałam, uważając, że postępuję słusznie. Prawda jest taka, że kiedy działy się rzeczy niewłaściwe, ja je tolerowałam, a potem myślałam o nich z nienawiścią. Początkowo tłumaczyłam to sobie poczuciem wielkiej straty, bo życie, które toczy się normalnie raptem o godzinę drogi stąd - mnie omija... Bałam się, że wystarczy nawet jeden weekend nieobecności i mogę stać się kimś, kto się nie liczy, dziewczyną, która wyszła z obiegu.

Gdy mama mnie pouczała, czym najlepiej polerować antyczną komodę z czereśniowego drewna, albo wysyłała do sklepu po ser czy jagody, miałam wrażenie, że tego nie wytrzymam, że się załamie pod ciężarem tej okropnej codzienności, na jaką zawsze patrzyłam z pogardą albo jeszcze gorzej... Tego rodzaju życie zawsze mnie odrzucało. Przyglądałam mu się, jakby było ilustracją w „National Geographic”, przedstawiającą tradycje nieznanego plemienia z całkiem innej epoki.

Świat, w jakim żyłam teraz z mamą, był światem bez mężczyzn; moi bracia wyjechali, a ojciec rzadko przebywał w domu. Bez skrupułów pozwalał na to, by matka zapracowywała się aż do wyczerpania sił. Zależało mu tylko na tym, by nadal opiekowała się domem i dziećmi i żeby nic nie zmieniło się w życiu, które całe jemu poświęciła.

- Wiem, co masz na myśli - zapewniłam Jules - i zgadzam się z tobą, że przyjdzie taki dzień, kiedy będę mogła od tego wszystkiego odejść. Ale kto mi zaręczy, że los nie sprawi, iż będę musiała znowu do takiego życia wrócić? Mogę na przykład wyjść za mąż za Jona, po czym się okaże, że on w gruncie rzeczy liczy na to, iż stanę się prowincjonalną matroną która będzie robiła na drutach sweterki dla jego dzieci.

- Mam inne zdanie - powiedziała Jules. - Uważam, że na pierwszą żonę Jon wybierze sobie damę, która przy pomocy fachowego personelu będzie urządzała wystawne obiady na cele dobroczynne. Natomiast druga żona będzie piękną, młodą dziewczyną, która przyczyni się do podniesienia prestiżu męża. Zawodowo powinna się zajmować projektowaniem biżuterii czy czymś w tym rodzaju i koniecznie musi nosić skórzane spodnie.

- W ten sposób sprowadziłaś życie trzech osób do paru wyświechtanych stereotypów. Ale jedną z tych osób jestem ja, i tu chodzi o moje życie.

- Przecież te stereotypy naprawdę istnieją, El. I mogę się założyć, że twoje życie będzie jednym z nich. Wiem, że nie lubisz, gdy rzucam kalumnie na Jona, ale sama powiedz, czy często teraz do ciebie

dzwoni? Ile razy napisał? Kiedy wybiera się do was z wizytą? Teraz, gdy matka ciebie potrzebuje, ty potrzebujesz jego, a tymczasem facet się gdzieś zapodział i nie można go znaleźć.

Jules miała rację. Odkąd wróciłam do domu, Jon tylko dwa razy do mnie zadzwonił. Ale zbytnio się tym nie przejęłam. Ellen, jaką znał Jon, była inną dziewczyną, szczęściarą odnoszącą same sukcesy. Natomiast Ellen siedząca z chorą matką na korytarzu szpitala Montgomery znajdowała się ewidentnie na przegranej pozycji. I choć w przeszłości odnosiła triumfy, przedsięwzięcie, w którym teraz uczestniczyła, było skazane na klęskę.

Na początku października któregoś popołudnia poszłyśmy z mamą do wielkiego centrum handlowego za miastem. W jednym ze sklepów mama, krążąc między półkami, spotkała starą znajomą: kobietę, z którą kiedyś należała do grupy pań wolontariuszek dekorujących na Boże Narodzenie miejskie zieleńce. Grupa przybrała nazwę „Córy Minnie”, chcąc uczcić w ten sposób społeczną postawę bezdzietnej żony dobroczyńcy miasta, Samuela Langhorne'a.

- Ellen, czy pamiętasz panią Sheilę Fenner? Należała kiedyś do Cór Minnie... Chyba chodziłaś jeszcze wtedy do liceum...

- Tak, byłam jedną z Cór - potwierdziła pani Fenner - i brakuje mi tej działalności. Teraz pracuję zawodowo i ledwo mi czasu starczy dla wnuków i na przygotowanie kolacji dla Billa, a i to na mikrofalowej kuchence. Ale co się z tobą dzieje? Wyglądasz jak cień dawnej Kate. Skóra i kości. Dlaczego straciłaś tyle na wadze?

- Wiesz, jak to jest - odparła mama, wruszając ramionami. - Jestem zabiegana, no i idąc z duchem czasu, staram się dorównać Ellen.

- Czyżbyś należała do Strażniczek wagi? - zażartowała pani Fenner.

Mama bokiem na mnie zerknęła. Dobrze wiedziała, co ja bym powiedziała, gdyby mi na to pozwoliła. Wygarnełabym tej pani: „Nie, droga Sheilo, moje schudnięcie to skutek chemioterapii. Pierwszy rozkoszny wstrząs na śniadanie, drugi na obiad, a na podwieczorek solidny dożylny zastrzyk w klatkę piersiową i ani się obejrzałam, jak mi waga spadła do czterdziestu pięciu kilogramów”... Ale mama wołała udawać, że się oburzyła:

- Co ty? Strażniczki wagi? Nie znoszę planowania posiłków, a poza tym uważam, że to wstrętne, co one jedzą...

- Miło było cię spotkać, Kate - zegnała się pani Fenner - i ciebie też, Ellen. A wiesz, Jill mi mówiła, że jakiś czas temu widziała twoje nazwisko w którymś z czasopism. Dziennikarstwo jest ogromnie ekscytujące... - Uśmiechnęłam się, słysząc te słowa. - Mąż Jill - rozgadała się na nowo - studiuje medycynę na Uniwersytecie Cornella. Marzę o tym, żeby już skończył i żeby wyjechali z Nowego Jorku. Martwię się o nich... A ty, Ellen, gdzie mieszkasz?

- W Greenwich Village* - odparła za mnie mama.

- Tam jest bardzo ładnie. A co słyhać u Cór Minnie? - spytała protekcyjnym tonem, jakim mówimy o ludziach, w których użyteczność przestajemy wierzyć.

- W przyszłym tygodniu będą u mnie na proszonym obiedzie - poinformowała ją mama.

* Dzielnica Nowego Jorku zamieszкана przez artystów i pisarzy.

* * *

Doskonale pamiętam obiad, jaki wydałyśmy dla Cór Minnie. Po latach, ilekroć miałam nocny dyżur w szpitalu i czułam, że z niewyspania pęka mi głowa i mam zmiętą twarz, a z oddziałów i sal dochodzą krzyki cierpiących ludzi i błagania o środki uśmierzające ból, próbowałam wtedy porównać swój stan z podobną sytuacją w przeszłości. I zawsze podstawą porównania i punktem odniesienia był ów obiad. „Jestem teraz tak samo spocona i wyczerpana - myślałam - jak byłam pod koniec dnia, gdy szykowałam przyjęcie dla pań z koła Cór Minnie. Przekonałam się wówczas, jak wiele pracy trzeba włożyć, by przygotować posiłek na dziesięć osób; w każdym razie, by ugotować obiad taki, jakiego chciała moja mama.

W przeddzień wysłała mnie po zakupy. A kiedy wróciłam, wyłożyła na ladę kuchenną wszystkie potrzebne składniki: kurczaki, cukinię, śmietanę, kilka marchewek i jeszcze jakieś inne produkty, których już nie potrafię wymieni. Zeszłam do suterenu z mokrą bielizną do suszarki i aż tam dochodziły do mnie hałasy, jakie mama robiła, trzaskając garnkami i rondlami, gdy wyciągała naczynia z dolnej półki kuchennego kredensu. Przypomniało mi się, jak w dzieciństwie waliłam w garnki, udając, że to kotły perkusyjne. Potem z głębin pamięci wyczarowałam zimowe wieczory sprzed lat, jakie spędzałam w swoim pokoju przy biurku, notując coś w dzienniczku albo wpisując jakieś dane do kartoteki. Często słyszałam wtedy, jak mama tłucze się w kuchni i hałasuje. I o dziwo! w takich chwilach spływał na mnie błogi spokój: wiedziałam, że w świecie, który mnie otacza, wszystko funkcjonuje jak należy.

- Przecież ja to mogę zrobić - wyrzucalam mamie, wróciwszy na górę. A mama kuciała przy kredensie; górną połowę ciała wbiła między półki i ręką sięgała do samego tyłu, szukając jakiejś pokrywki. Kiedy się w końcu stamtąd wynurzyła, triumfalnie trzymała tę pokrywkę w wysoko uniesionej dłoni.

- Powinam była już wiele lat temu przerobić tę kuchnię - powiedziała, wstając z podłogi.

Lekko zasapana, uchwyciła się krawędzi lady, by się oprzeć.

- Przecież mówię, że ja to mogę zrobić... - powtórzyłam.

- A umiesz robić kurczaka *au jus* i zupę z cukinii? - spytała. Przyniosła wielki garnek na rosół, postawiła na tylnym palniku i zaczęła napełniać go wodą z czajnika. - Powinam była już dawno przerobić tę kuchnię - powtórzyła, jakby mówiła do siebie - przynajmniej miałabym zlewozmywak dostatecznie głęboki, by zmieścić w nim ten garnek.

Potem się odwróciła, ujęła pod boki i przyglądała mi się spod przymrużonych powiek. Przez moment patrzyła surowym wzrokiem, coś rozważała i jakby mnie oceniała, ale po chwili wytarła ścierką ręce i usiadła na jednym z krzeseł przy stole. Miała na sobie duży, niebieski rzeźnicki fartuch. Rozwiązała go, zdjęła przez głowę i podała mi.

- Przekazuję ci pałeczkę - powiedziała. - Teraz kolej na ciebie. Weź kurczaki, włóż do garnka, dodaj marchewki, parę ziarenek pieprzu, seler naciowy, garść natki i zalej wodą. Następnie postaw wodę na herbatę. Nie można gotować obiadu, nie pijąc przy tym herbaty.

Przygotowanie kurczaków i zupy z cukinii zajęło mi całe popołudnie. Mama siedziała i wydawała rozkazy. Odskoczyłam do tyłu i głośno krzyknęłam, gdy włożywszy cukinię do elektrycznego robota, usłyszałam jakiś dziwny dźwięk, coś jakby czy-czi-czi. Przestraszyłam się, że maszyna zaraz wciągnie moje palce, i z wrażenia wlałam do rosołu dzbanek gorącej herbaty. Mama jednak wcale się tym nie przejęła.

- Goście raczej tego nie zauważą, a jeśli nawet, to pomyślą, że mamy jakiś nowy egzotyczny przepis na zupę.

Pamiętam, że w pewnej chwili padłam zmęczona na krzesło naprzeciw mamy. Twarz miałam zgrzaną i spoconą od rozpalonej kuchenki.

- Nie gniewaj się, że cię o to pytam, ale czy nie ma jakiegoś prostszego sposobu na zrobienie tej potrawy? Przecież wiem, że ludzie kupują bulion w puszkach. A czy nie można kupić już posiekanej cukinii lub czegoś w tym rodzaju?

- Nie sądzę, żeby można kupić posiekaną cukinię, ale bulion w puszkach na pewno tak. Ja jednak zawsze robiłam kurczaka na swój sposób. Smakuje lepiej, a ja mam uczucie, że jestem użyteczna.

- Mój Boże, mamu, jesteś najbardziej użyteczną osobą, jaką znam!

- Jeśli tak myślisz, to właśnie dlatego, że zawsze robiłam dużo różnych rzeczy.

- Ale jak dawałaś sobie radę z tym wszystkim, kiedy my byliśmy mali? Skąd brałaś na to czas? Czy nie przeszkadzaliśmy ci?

- Nie za bardzo - odparła, popijając herbatę. - Ty i Jeff przeważnie bawiliście się na dworze, a Brian siadał na podłodze i gotował razem ze mną. Dawałam mu trochę mąki i wody, a on potrafił to godzinami mieszać. I podśpiewywał przy tym *Waltzing Matilda*.

- Doskonale to pamiętam - powiedziałam.

- Jedyne kłopot miałam z tobą, Ellen, bo często uciekałaś z domu, zwłaszcza kiedy mieszkaliśmy w Princeton. Zajęta byłam w kuchni, przygotowywałam obiad, a tu przed dom zajeżdża patrol policyjny. Po jakimś czasie znałam już wszystkich policjantów z miejscowego komisariatu. Czy ty to pamiętasz?

- Niezupełnie. Raczej wiem o tym z twoich relacji.

- Jeden z policjantów powiedział mi kiedyś: „Widzi pani, pani Gulden, ta mała dziewczynka chyba chce być gdzie indziej i dlatego ucieka”. - Mama odwróciła się i spojrzała na mnie błyszczącymi oczami, a potem trochę smutno się uśmiechnęła. - A Brian siedział i mieszał swoją papkę... - Usłyszałam, że coś na kuchence strzela. - Za duży ogień jest pod garnkiem - zawyrokowała mama. A ja tylko westchnęłam i zerwawszy się z miejsca, pobiegłam ratować rosół.

- Przyznam ci się, że już sto razy wolę zajmować się naszą grupą dyskusyjną i omawiać przeczytane książki.

- Ja też - przytaknęła mama.

- Więc może założymy guldenowski klub pań czytających książki i gotujących proszone obiady - zażartowałam, a mama się roześmiała. Wyglądała na taką szczęśliwą... Ale zauważyłam, że dłoń jej drżała, gdy podniosła kubek z herbatą, i oddychała tak głośno, że pewnie słyhać ją było w drugim pokoju. Martwiło mnie też, że często, może nieświadomie, pocierała plecy, jakby ją bolały.

Obiad nam się udał. Ktoś jednak zauważył, że zupa ma niezwykły smak i obie z mamą z trudem zdusiłyśmy śmiech.

- Ellen ma na nią specjalny przepis, którego nie chce zdradzić - wyjaśniła mama.

Na tym spotkaniu Cór Minnie panie miały podjąć decyzję co do tegorocznego ubrania miejskich choinek. Dogadanie się w tej sprawie zajęło im niemal tyle czasu, ile mnie ugotowanie na wolnym ogniu rosołu i jego sklarowanie. Córy Minnie dekorowały zawsze dwanaście dużych srebrnych świerków rosnących na głównej ulicy. Rokrocznie robiły setki ozdób: kolorowych kul, figurek, łańcuchów i girland, a potem odważnie wchodziły na drabiny, niczym ekipa robotników budowlanych, i przystrajały drzewka, które były dumą całego miasta. Pięknie ubrane choinki skupiały uwagę wszystkich mieszkańców: burmistrz zapalał na nich światła, a chór śpiewał kolędy.

Uroczystość zapalania świateł na choinkach należała do długiej tradycji miasteczka Langhorne i była traktowana bardzo poważnie. Jeśli mieszkałeś w Langhorne i nie uczestniczyłeś w tej ceremonii, to znaczy, że jesteś zbyt chory, by się stawić. Domyślałam się, że Córy Minnie bały się, aby coś takiego nie przydarzyło się mojej mamie w ciągu sześciu tygodni, jakie dzieliły nas od świąt.

Przypomniała mi się historia sprzed paru lat: Grupa chłopców z liceum w środku nocy pozrywała z drzewek wszystkie ozdoby. Nazajutrz po lekcjach przed budynkiem liceum stały dwa policyjne radiowozy. Młodzież miała chyba pracowity wieczór, bo już następnego rana wszystkie dekoracje były z powrotem na świerkach i dokładnie tam, gdzie je przedtem umieściły Córy Minnie.

- W jakich kolorach robimy dekoracje w tym roku? - spytała Lina Best, żona okręgowego prokuratora. Gdy pochyliła się nad mahoniowym stołem w jadalni, jej wystający jak półka biust opierał się o blat.

- Może w czerwieni i złocie - zaproponowała Isabel Duane. Zauważyłam, że pani Duane je kurczaka po europejsku: nożem odkrawała kawałki kurczaka i podsuwała je pod ostre srebrne zęby widelca.

- Znowu? - zdziwiła się pani Byers. - Przecież przed dwoma laty też miałyśmy czerwień i złoto.

- Ty zawsze swoje, Carolino! - skrytykowała ją pani Duane. - Stale ci się wszystko miesza. Od lat nie było takich kolorów!

- Ty się wypowiedz, Kate. - Caroline Byers zwróciła się do mamy. - Przecież właśnie przed dwoma laty zrobiłaś aniołki w czerwonych szatach ze złotymi trąbkami. Chyba to pamiętasz?

- Nie. Rację ma Isabel - powiedziała mama i pogładziła Caroline po głowie, żeby złagodzić przykre słowa. - W zeszłym roku miałyśmy kolor niebieski i srebrny, a w poprzednim czerwony i biały. Czerwieni i złota nie było od czasu, gdy Ellen wyjechała do Harvardu. Doskonale pamiętam, że aniołki ze złotymi trąbkami robiłam w pierwsze Święto Dziękczynienia po przyjeździe córki do domu.

- Więc kiedy to w końcu było, Ellen? - spytała mnie pani Best.

- Pięć lub sześć lat temu - odparłam.

- Skoro tak, to zostajemy przy czerwieni i złocie - ucieszyła się pani Duane, potakując głową, co miało oznaczać, że od początku wiedziała, że tak będzie.

Pani Byers skrzywiła się, wyraźnie niezadowolona.

- Więc już nie ma o czym mówić! - warknęła, wzdychając.

Czułam, że mama siedząca u szczytu stołu, daleko ode mnie, odetchnęła z ulgą. Mama uwielbiała świąteczne dekorowanie drzewek. Była głęboko nieszczęśliwa, gdy jedna z Cór wymogła kiedyś na pozostałych, żeby przystroić choinki ozdobami w kolorze błękitu i zieleni. Pamiętam, jak mama głośno wtedy jęczała, gdy zasiadała do robienia dekoracji. Autorki tego nieszczęsnego pomysłu już u nas nie ma: wyniosła się i duchem, i ciałem na Florydę albo gdzieś równie daleko.

Mamie przydzielono w tym roku, podobnie jak w latach poprzednich, jeden świerk, który miała samodzielnie udekorować. Nie przejmowała się delikatnymi sugestiami, żeby tym razem dała sobie spokój, tylko zajęła się doglądaniem całej akcji. Pomyślałam o doktor Cohn i jej menorze. Wiedziałam, że mama dotrzyma słowa i pięknie przyozdobi jej świecznik. Miała skopiować wzór dekoracji zamieszczony w jednym z czasopism. A może da pani doktor jakiś inny prezencik na pamiątkę, na przykład zrobioną przez siebie wyszywaną albo poduszczkę na igły. Oczami wyobraźni już widziałam, jak doktor Cohn chwali się tą robótką i mówi swoim chorym, że otrzymała ją od pacjentki, która własnoręcznie to cudo wykonała.

- Czy ze względu na ciebie George weźmie teraz urlop? - spytała pani Best, kiedy po kawie i deserze panie wstały, by się pożegnać.

- George? - zdziwiła się mama. - Mój mąż ma obecnie więcej pracy niż kiedykolwiek i jest to związane z nowym programem nauczania na ich wydziale. Poza tym pracuje nad artykułem. Przecież wiesz, jaki on jest.

Usta pani Best zwęziły się do cienkiej linii jasnokoralowej pomadki do ust.

- Tak samo pracuje Ed, ale w tych okolicznościach...

- Lindo, bo się spóźnisz na zebranie w bibliotece - przerwała jej pani Duane. - Sama też się przez ciebie spóźnię, a bardzo bym nie chciała. - A kiedy, zegnając się, mocno uściskała mamę, zobaczyłam, że jej twarz mieni się z bólu; zastanawiałam się, gdzie jest to tkliwe miejsce. - Dziękuję za wspaniały obiad, Kate - powiedziała cicho. - To było piękne przyjęcie, Ellen... - I kierując swoje niebieskie oczy w stronę pani Best, okropnie się wykrzywiła.

W końcu wszystkie panie wyszły.

- Ja posprzątam, Ellie - zapowiedziała mama, ale po dziesięciu minutach zastałam ją śpiącą na kanapie w salonie, więc sama uprzątnęłam stół i zmyłam naczynia. „Może to i było piękne przyjęcie, ale mamę zmęczyło - pomyślałam - a Lindy Best nienawidzę”...

Mieliśmy złotą jesień: liście pożółkły i pospadały z drzew. I choć nie było w tym nic nadzwyczajnego, dzieci z radością szurały po nich butami po drodze ze szkoły do przystanku autobusowego. Przygotowywałyśmy z mamą halloweenowe podarki. W pomarańczową bibułę zawijałyśmy ćwierćdolarową

monetę, czekoladkę Tootsie Roli i plastikową czarownicę latającą na miotle. Potem każdą paczuszkę obwiązywałyśmy czarną wstążką. Mama nauczyła mnie robić wołowinę po burgundzku, ale niewiele brakowało, a byłabym wszystko popsowała. Pokazała mi też, jak się układa serwetkę „w łabędzia”. W głębi ducha uważam, że nabycie tych umiejętności było zadaniem tyleż nudnym, co ambitnym, i pod tym względem przypominało mi na przykład budowanie zdań złożonych.

- Jest to raczej mało prawdopodobne - powiedziałam mamie - ale gdybym w przyszłości miała zostać panią eleganckiego domu, potrafiłabym podjąć gości jedną dobrą potrawą. Przynajmniej tyle...

- Nie zapominaj, że umiesz także robić świetną zupę z cukinii... - przypomniała mi.

Mama opowiadała mi różne ciekawe historyjki ze swego dzieciństwa. Wspominała, że w Nowym Jorku chodziła do jednej z państwowych szkół podstawowych, które w tamtych czasach stały jeszcze na wysokim poziomie. Jeździła na rowerze marki Schwinn, który jej ojciec kupił okazji w parku Riverside. Mogła studiować w City College - uczelni będącej własnością miasta; na żadną lepszą nie stać by było jej rodziców, skromnych właścicieli pralni chemicznej. Ale nie pozwolili jej wstąpić do college'u: ojciec uznał, że musi ją chronić przed kontaktem z Żydami, a potem także z Murzynami, którzy też się tam uczyli. Mama wracała do wspomnień z przeszłości, jak się wraca do starych pamiątek, by raz jeszcze na nie spojrzeć, zanim, troskliwie poskładane, włoży je między bibułki w dolnej szufladzie pachnącej cedrem komody.

Opowiadała mi o swoim bracie Steviem - starszym od niej o dwa lata - który udał się autobusem do Fortu Benning i wstąpił jako ochotnik do wojska. Wyznała, że zazdrościła bratu czekających go ekscytujących przeżyć: wyjazdu na południe, zakwaterowania w koszarach i życia w zbiorowości zamiast w dusznym mieszkanku z malutką, idealnie czystą kuchnią, a także tych cienkich jak bibułka listów z dziwnymi egzotycznymi znaczkami. A w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku odesłano ciało Stevena z Wietnamu do domu.

„Proszę otworzyć trumnę!” - zażądała matka chłopca, zwracając się do kierownika domu pogrzebowego. Galowy mundur

Stevena był w doskonałym stanie; chyba nie miał go na sobie więcej niż raz, może dwa razy, ale twarz była tak spuchnięta, że trudno go było poznać. Nie pomogła warstwa pudru, bo i tak widać było, że cera ma dziwny niebieski kolor, jakby cała była w siniakach. „Steven” - szepnęła mu na pożegnanie matka i dotknęła jego dłoni.

Wspominając to wydarzenie, mama jeden jedyny raz zapłakała, bo potem już jej się to nie zdarzyło, chyba że przed telewizorem. Codziennie przeglądałyśmy program telewizyjny i ołówkiem podkreślałyśmy dobre stare filmy, by je po latach znowu zobaczyć. Mając przed sobą niski stolik, a na nim rozłożone materiały do dekoracji bożonarodzeniowych: kule ze styropianu, szpilki, wstążki i cekiny, zerkałyśmy na ekran telewizora i jednocześnie robiłyśmy ozdoby choinkowe. W ten sposób obejrzałyśmy *Pożegnalny walc* z Vivien Leigh, która rzuciła się z mostu Waterloo, szukając śmierci. Nie chciała żyć, bo zostając

prostytutką, stoczyła się na dno. Obejrzałyśmy także *Mroczne zwycięstwo* z niewidomą Bette Davis i również z nią film *Wzgardzona*, no i aż trzy razy *Stellę Dallas*.

I płakałyśmy, płakały i płakały, siąkając w chusteczki bibułkowe, których całe pudło stało wśród gotowych już dekoracji. Zdarzało się, i to wcale nierzadko, że do płaczu doprowadzały nas telewizyjne dzienniki, a zwłaszcza wiadomości i relacje o autentycznych tragediach rozgrywających się na świecie. Wzruszałyśmy się do łez, gdy pokazywano żółte niczym młode dynie małe dzieci, którym potrzebna była nowa wątroba. Wstrząsnął nami widok nieletnich dziewczynek, które po ucieczce z domu zaczynały jako liche aktoreczki na Broadwayu, a kończyły jako prostytutki, i nieraz padały ofiarami morderców. Pewnego wieczoru widziałyśmy reportaż, w którym ukrytą kamerą sfotografowano dawną gwiazdę filmów dla dzieci, jak wybierała ze śmietników jedzenie. Masowi mordercy, trzęsienia ziemi, powodzie, pożary... takie wydarzenia przykuwały naszą uwagę i przynajmniej na krótką chwilę pozwalały zapomnieć o wielkiej tragedii, jaka rozgrywała się pod naszym dachem.

Jeśli chodzi o książki, to skończyłyśmy czytać *Dumę i uprzedzenie* i zabrałyśmy się do lektury *Wielkich nadziei*. Mama miała pretensję do Dickensa, że w mało przekonujący sposób wyraził podziw, jaki Pip żywił dla Estelli.

- Na takie słabe momenty natykam się prawie w każdej powieści - powiedziała pewnego dnia, leżąc na kanapie z książką na kolanach. Jej chrapliwy oddech co chwila przerywał gwałtowny kaszel. - Nie rozumiem, dlaczego autor najpierw stwarza jakąś bardzo mądrą, inteligentną i piękną postać, a potem każe jej się zakochać w kimś, o kim od razu wiadomo, że to okropny człowiek.

- Mamo, przecież w życiu też się tak zdarza, że mądrzy ludzie zakochują się w różnych strasznych typach. Z własnego doświadczenia wiem, że jest to dość częste zjawisko.

- No tak, ty to możesz wiedzieć... - wypnęło się mamie i natychmiast powiedziała: - Przepraszam!

- Przeprosiny przyjęte - zapewniłam ją.

- Wierz mi, Ellie, że wiem, na czym polega chemia seksu. Nie tylko doskonale to rozumiem, ale i znam z praktyki. - Mama się zarumieniła i na tle ciemnoróżowych policzków jej oczy wydawały się bardzo brązowe. Była jednak zdecydowana mówić dalej: - Seks ma ogromną, nieprzepartą siłę...

- Mamo - spytałam - czy masz zamiar odbyć ze mną teraz zasadniczą rozmowę o seksie, jakiej we właściwym czasie nie przeprowadziłaś? Trzeba to było zrobić, gdy miałam trzynaście lat.

- Wypraszam sobie! Rozmawiałam z tobą o seksie. Co ty, na miłość boską, mi zarzucasz? Przecież pamiętam, że przygotowywałam się do niej przez dwa tygodnie. Ta rozmowa odbyła się, gdy miałaś jedenaście lat, i po raz pierwszy zauważyłam, że masz... - i tu zrobiła znaczący ruch dłonią - że ci się uwypuklają... gdy wkładasz kostium kąpielowy.

Zmarszczyłam brwi. Coś zaczęło mi świtać w głowie i choć niedokładnie pamiętam, uzmysłowiłam sobie jednak, że mama mówiła mi kiedyś o tamponach i o płodności, lecz w sposób tak mętny jak woda w basenie, w którym trenowała nasza drużyna pływacka... Na skutek przechlorowania woda w basenie miała

intensywny zapach drożdży; po latach ten zapach skojarzył mi się kiedyś w samochodzie Jona z wonią spermy, ale podobieństwo było raczej dalekie...

- Proszę cię, nie mów, że nie pamiętasz tego, co ci wtedy tłumaczyłam.

- Coś niecoś sobie przypominam...

- Miałam nawet specjalne opracowanie na temat kobiecych organów płciowych, ale ciebie to nie zainteresowało. Ciekawił cię jedynie matematyczny aspekt sprawy. Pamiętam, że spytałaś, jak powstają bliźniaki, i ja ci wytłumaczyłam, że rodzą się wtedy, gdy jednocześnie zostają zapłodnione dwa jaja. „A trojaczki?” - nie ustępowałaś i ciągnęłaś to, aż doszłaś do ośmioraczków. Chyba po raz pierwszy usłyszałam wówczas słowo „ośmioraczki”. W końcu ci wyjaśniłam, jak to się dzieje, że jajo i nasienie spotykają się w tym samym miejscu i w tym samym czasie, a ty rzeczowo spytałaś: „A co wtedy czuje kobieta?”

I nagle wszystko mi się przypomniało. Nawet to, że mama mocno się wówczas zarumieniła i zamysłona przeczesywała palcami włosy... I właśnie w tym momencie nieoczekiwanie pojawił się ojciec i mówiąc głośno i z dużą pewnością siebie, obwieścił nam wielką nowinę: że bierze roczny urlop naukowy, żeby napisać książkę, którą będą drukowali w jakimś ważnym filologicznym piśmie. W rezultacie mama nie odpowiedziała mi na moje pytanie i nigdy już do niego nie wróciła. Ale poznałam odpowiedź po wyrazie, jaki malował się na jej twarzy. Później potwierdził mi to także sposób, w jaki się zachowywała pewnego niedzielnego poranka przy śniadaniu: jakby trochę roztargniona, niewyspana i usatysfakcjonowana.

- Oczywiście, powiedziałam ci prawdę - mówiła, nadając wspomnieniom taką treść, jaką teraz uznała za właściwą - ale nie wydaje mi się, żeby cię moje wyjaśnienie ucieszyło. Spojrzałaś na mnie z pojęciem - a często ci się to w tamtym okresie zdarzało - i poszłaś do siebie na górę. Nieraz się zastanawiałam, jak naprawdę widzisz te sprawy, ale nie mogłam odgadnąć, co ci chodzi po głowie.

- Wiem - potwierdziłam.

- Nie umiałam sobie z tym poradzić - dodała, spuszczać wzrok, i przez chwilę wpatrywała się w swoje dłonie złożone na podołku. - Nigdy nie potrafiłam rozszyfrować twoich myśli. Ojciec był w tym lepszy. Powiem nawet, że znacznie lepszy. - Spojrzała na mnie i dodała: - Przepraszam.

- W porządku, mamó - odparłam nieco zdezorientowana, ponieważ nie byłam pewna, za co mnie przeprasza. Przez długi czas myślałam, że to ja odeszłam duchowo od matki. Teraz musi dużo wody upłynąć, zanim zacznę oceniać sytuację inaczej: z jaką łatwością mama pozwoliła mi odejść.

* * *

Pewnego rana zbudziłam się zawstydzona, bo we śnie namiętnie się całowałam z Jonathanem w auli pełnej studentów. Nagle usłyszałam jakieś głośne okrzyki dochodzące z sypialni rodziców piętro niżej. Przez chwilę myślałam, że gdzieś w domu krzyczy małe dziecko, bo chce, żeby je przewinąć i nakarmić. Potem ojciec głośno zawołał mnie po imieniu. Gdy weszłam do ich sypialni, tata siedział na brzeжку łóżka z ręcznikiem owiązanym dookoła talii, a matka szlochała, nie roniąc łez.

- Mama strasznie cierpi - usłyszałam. - Mówi, że ją boli krzyż. - I zwróciwszy się w jej stronę, uspokajał: - Wszystko będzie dobrze, Katy, kochanie... Wszystko będzie dobrze...

- Podaj mi termofor! - matka nakazała podniesionym głosem.

- Mama nie spała prawie przez całą noc, bo nie mogłem znaleźć termoforu, a ona się upierała, żeby ciebie nie budzić - tłumaczył się ojciec.

- Pozwól Ellen spać - dukała mama płaczliwie, jakby nadal powtarzała te słowa, które mówiła w nocy.

Przyniosłam z mego pokoju termofor i razem z ojcem posadziliśmy mamę, podnosząc ją za ręce. Kołdrę zrolowaliśmy i podparliśmy nią mamę od tyłu. Jej nocna koszula zsunęła się z ramion i okręciła dookoła bioder. Wtedy zobaczyłam to, co mama przede mną ukrywała. Skóra na całej długości rąk obwiśla, tworząc pomarszczone worki. Obojczyki wystawały, przypominając belki, na jakich opierał się nasz dom. Nogi wyglądały jak cienkie lodygi i całe były w sinych plamach. Jej chudość przywiodła mi na pamięć pewną dziewczynę w akademiku w Harvardzie, której dieta składała się wyłącznie z bananów i wody mineralnej Evian. Odeszła z naszej uczelni w połowie semestru. Nosila skórzaną spódnicę numer trzy, która zsuwała się z jej kościstych bioder, a ona mimo to uparcie twierdziła, że pomoc jej mogą jedynie biegi: musi codziennie rano przebiec co najmniej półtora kilometra.

Przez sześć tygodni mieszkaliśmy razem i zdawało się, że byliśmy sobie bardzo bliskie, a jednak mama usiłowała odgrodzić się ode mnie, żebym nie widziała spustoszenia, jakie choroba poczyniła na jej ciele. Nie pokazywała mi się, gdy co rano zdejmowała koszulę nocną. Aby się przede mną nie obnażyć fizycznie, kazała mi wychodzić z gabinetu doktor Cohn podczas badania, a żeby się nie obnażyć psychicznie, mówiła do mnie łagodnym głosem, słowami żywcem przeniesionymi z powieści, i opowiadała mi historie z dawnych czasów. Separowała się ode mnie również, gdy skrzętnie zamykała za sobą drzwi do sypialni i łazienki, a nawet wtedy, gdy zdobywała się na wesoły uśmiech w czasie naszych wspólnych wypadów do miasta.

- Nie budź Ellen, pozwól jej spać - prosiła męża i dobrze wiedziała, dlaczego to robi. Nie była jeszcze gotowa, by pozwolić swemu dziecku przejąć w domu rolę osoby dorosłej. Mama czuła w sobie wielkie życiowe powołanie: chciała być matką i z tej drogi nie dałaby się usunąć nawet siłą.

Kiedy razem z ojcem położyliśmy ją na plecach na termoforze, oddychała tak ciężko, jakby wspięła się schodami wysoko w górę.

- Pamiętaj, że masz wykład o dziewiątej - przypomniała ojcu, nie otwierając oczu.

Gdy niedługo potem dzwoniłam do lekarki, usłyszałam, że drzwi się otwierają, po czym zamykają; wiedziałam, że ojciec wyszedł z domu. Zastanawiałam się, co on myślał o mamie, kiedy patrzył na ruinę jej ciała: czy go to smuciło, czy odrzucało. I co ona czuje, śledząc jego spojrzenie, a także jak wygląda nocne dyżurowanie ojca: czy w ciemności sypialni mama była w stanie powiedzieć mu lub dać odczuć to, co ukrywała przede mną w świetle dnia? Czy mój ojciec był lepszym człowiekiem, niż sądziłam?

- Wiem - powiedziała doktor Cohn przez telefon - że wasi lekarze nie odwiedzają już chorych w domu, ale... - i zanim zdążyłam coś jeszcze dodać, pani doktor krótko i rzeczowo poinformowała: „Będę u

państwa za pół godziny". I za pół godziny błękitne volvo, opatrzone tabliczką z napisem „lekarz”, z fotelikiem dla dziecka na tylnym siedzeniu, zajechało na nasz podjazd, a ja zaparzyłam kawę.

- Ach, pani doktor, coś sobie zrobiłam w krzyż - mama skarżyła się płaczącym głosem. - Może dysk mi wypadł albo coś w tym rodzaju... W każdym razie ból jest nie do zniesienia.

Patrzyłam, jak doktor Cohn napełnia strzykawkę, delikatnie dotyka palcami zgrubienia na piersi w okolicy serca i namacawszy umieszczony pod skórą kateter, wstrzykuje do niego lekarstwo. Mama niemal natychmiast się uspokaja i już po chwili zaczynają jej opadać powieki.

- Już mi lepiej - mówi, kładąc się na plecach z ramionami ułożonymi wzdłuż ciała.

Lekarka przekreśliła ją na brzuch i podciągnęła do góry flanelową nocną koszulę, niebieską w drobne kwiatuszki. Przycisnęłam dłonią usta i odwróciłam się, opierając głowę o chłodną białą framugę drzwi.

- Ellen? - matka zawołała słabym głosem, na wpół już drzemiąc. Próbowałam się odezwać, lecz krtań mi się zacisnęła ze strachu i żalu, i chociaż bardzo się starałam, nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa. Ale nawet gdybym mogła mówić, nie wydusiłabym z siebie chyba nic więcej niż „mama”... jak małe, dobre dziecko.

- Ellen zeszła na dół po jeszcze jedną kawę dla mnie, Kate - wytłumaczyła mnie pani doktor.

- Ach tak? To świetnie! - ucieszyła się mama i po minucie słyszałam, że jej oddech staje się spokojniejszy i głębszy.

Lekarka zsunęła mamie koszulę, poprawiła koldrę i zmierzyła puls.

Na dole siadłyśmy przy starym kuchennym dębowym stole ze złocistym blatem. Doktor Cohn w milczeniu piła kawę. Gdy skończyła, wyjęła z torebki receptariusz i zaczęła pisać. Miała ładne, równe piśmo. Głośno je podziwiałam, a ona zaśmiała się trochę ironicznie.

- Na medycynie za mniejsze przewinienia wyrzucano ze studiów - powiedziała, wręczając mi receptę. - Muszę pani wyjaśnić - dodała - że pani matka nic sobie nie zrobiła w krzyż...

- Wiem, nie jestem taka tępa, pani doktor.

- Ale czy zdaje sobie pani sprawę, że teraz nie inteligencja będzie pani matce potrzebna, lecz zrozumienie i współczucie. Pani matka ma straszne bóle. Jak silne one są w istocie, trudno mi powiedzieć, ponieważ, o czym pani dobrze wie, matka należy do pacjentów, którzy się nie skarżą. Być może jest to błąd. Jej rak rozwija się znacznie szybciej, niż przewidywaliśmy. Nie informowałabym o tym pani, gdybym tego wcześniej nie powiedziała pani matce, ale zrobiłam to podczas ostatniej wizyty. W tym stadium najważniejsze jest opanowanie bólu. Przepisałam jej morfinę. Będziemy ją dozowali odpowiednio do natężenia bólu. Być może trzeba będzie zastosować pompę, która wtłoczy morfinę bezpośrednio do żył przez kateter. Czy pani rozmawiała już z ojcem o załatwieniu matce opieki hospicyjnej?

- Pani doktor, nie potrafię przewidzieć, co będzie w przyszłości, ale mogę panią zapewnić, że ani hospicjum, ani szpital nie wchodzi w rachubę. W Nowym Jorku miałam dobrą pracę, ładne mieszkanie, przyjaciół, wielu znajomych i mnóstwo rozrywek, ale rzuciłam to wszystko, aby się opiekować matką. I zrobię wszystko, co będzie potrzebne.

Doktor Cohn znowu zaczęła coś pisać w receptariuszu.

- Czy pani radzi się jakiegoś terapeuty? - spytała.

- Pani doktor ma na myśli takiego od świrów?

- Wolimy nazywać ich fachowo psychiatrami... Sądzę, że będzie pani potrzebny ktoś, z kim mogłaby pani pogadać.

- Rozmawiam z matką.

- Ale potrzebny pani będzie ktoś, z kim mogłaby pani porozmawiać o matce. A także o tym, jak opieka nad matką wpływa na pani psychikę, jak się pani z tym czuje. Pani matce również przydałby się ktoś, komu mogłaby się zwierzyć, co czuje, gdy sobie uświadamia, że jest umierająca.

- Myślę, że z tym mama nie ma problemu, przecież może o wszystkim mówić ze mną.

- Czyżby? Czy powiedziała pani, że się boi zasnąć ze strachu, że mogłaby się już nie obudzić? Czy zwierzyła się pani, że myśli o tym, iż po jej śmierci rodzina zajmie się własnym życiem i wkrótce o niej zapomni? Czy się pani przyznała, że miałyby ochotę kochać się z mężem, ale się obawia, że on jej nie chce? Proszę spojrzeć na pięknie zdobiony sufit w pokoju, na kołdrę leżącą na jej łóżku, na drzewa rosnące wokół domu lub choćby na wieniec, jaki przystraja drzwi wejściowe, a który - przypuszczam - jest dziełem rąk pani matki. Czy mówiła pani, jak trudno jej będzie z tym wszystkim się rozstać?

Doktor Cohn oderwała już drugą kartkę z receptariusza i obie leżały teraz na stole. Na jednej receptce napisała: „Siarczan morfiny”, a na drugiej „Jessica Feld” i pod nazwiskiem numer telefonu.

- Musisz z kimś porozmawiać, Ellen - powiedziała, wstając - i te tabletki podawaj mamie co osiem godzin. Pomogą jej przejść przez następny okres. Nie wolno ich rozgryzać ani miażdżyć. Przyślę wam fotel na kółkach. Kate może już wkrótce mieć trudności z chodzeniem. Chciałabym ją zobaczyć jutro, jeśli będzie się czuła na siłach. Nie odprowadzaj mnie, sama wyjdę.

Zanim doktor Cohn opuściła nasz podjazd, zniosłam obie recepty na górę i jedną z nich włożyłam do biurka, pod kartkę od pani Forburg, której do tej pory nie odpowiedziałam. Z drugą poszłam do apteki. Pan Sellinger zrealizował ją bez żadnych uwag.

- Przekaż matce serdeczne pozdrowienia - powiedział, gdy wychodziłam. Oczywiście przekazałam je, podobnie jak tabletki z morfiną. Przez jakiś czas pomagały.

* * *

We wtorek przed Świętem Dziękczynienia zjechali do domu moi bracia. Brian rozplakał się na widok matki, a gdy go pociągnęła za rękę, by usiadł przy niej, ukląkł przed jej fotelem i położył głowę na jej piersi, blisko serca.

- Nie płacz, dziecko - powiedziała, tak jak mówiła do niego przed wielu laty.

Jeff stał i przez chwilę patrzył na nich oboje, a na jego piegowanej buzi pojawił się chytry uśmiešek.

- Okropnie wyglądasz, mamó - stwierdził.

- To wina Ellen - odparła.

- O, co to, to nie! Po prostu nie jesz jarzyn tyle, co trzeba, balujesz całe noce, a w twojej garderobie znalazłem pusty sześciopak po piwie, ukryty za szafką na buty. Przejrzałem cię. Znam się na tym.

- O Boże, Jeff! Co ty wygadujesz?! - zawołała, a on żartobliwie zmierzwił jej włosy.

Mimo wszystko sędzę, że wygląd matki nie zaskoczył braci tak, jak mój wygląd poraził Jonathana, gdy nieoczekiwanie zjawił się u nas w środe. Usłyszałam za sobą czyjeś kroki. I to był Jon. Prezentował się bardzo dobrze w niebieskim swetrze i szarych flanelowych spodniach. Nosił ciemne przeciwsłoneczne okulary; kiedy je zdjął, zobaczyłam jego zdziwione spojrzenie. Mierzył mnie wzrokiem z góry na dół w sposób, który w innych okolicznościach mógłby uchodzić za schlebający.

Miałam na sobie fartuch w biało-czerwoną kratę z napisem na przodzie: „Daj buziaka kucharce!”. Włosy szesałam do góry i ułożyłam w byle jaki kok na czubku głowy. Właśnie piekłam ciasteczka i obie ręce oraz fartuch były utyłane mąką. Objęłam Jona i mocno go ucałowałam, a kiedy się od niego oderwałam, na jego swetrze, spodniach, a nawet częściowo na włosach zostały białe ślady.

- Cholera! - krzyknął, patrząc na swoje ubranie.

- Ja ciebie też kocham - zaśmiałam się i dla żartu, a może i na złość, bo nie jestem pewna swoich intencji, odbiłam mu białym od mąki kciukiem pieczęć na samym środku piersi.

- Ellen! - wrzasnął. Ale potem, kiedy umyłam ręce i zdjęłam fartuch, Jon otoczył mnie ramionami i długo całował w zupełnej ciszy. - Pachniesz masłem - powiedział w końcu, ale raczej nie był to wyraz zadowolenia.

Gdy usłyszeliśmy czyjeś powolne kroki na schodach, szybko od siebie odskoczyliśmy. Do kuchni weszła mama.

- Witaj, Jonathanie! - przywitała go wesoło, a on pochylił się i ucałował ją w policzek, który wyglądał jak bladożółta skóra naciągnięta na ostre, wystające kości. Zostawiłam ich pograżonych w rozmowie na temat studiów prawniczych i poszłam wziąć prysznic. Kiedy potem byliśmy sami w samochodzie, Jon odchylił się do tyłu, położył głowę na oparciu siedzenia, a z piersi wydarło mu się długie i mocne ni to westchnienie, ni odsapnięcie, coś, co brzmiało jak: u-u-u-u-u-ch!

- Jak się czujesz? - spytał mnie po chwili.

- Staram się nic nie czuć, jeśli to możliwe.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział. Ale oczywiście nie wiedział, ponieważ Jonathan nie tyle bronił się przed uczuciami, ile ich nigdy nie potrafił z siebie wyrzesać. W tamtych dniach lubiałam myśleć, że Jonathan mnie kocha, lecz miłość do kobiety nie mieściła się w jego psychice. I do zrozumienia tego nie była mi potrzebna ani Jessica Feld, ani ci, „których wolimy nazywać fachowo psychiatrami”, choć w tej dziedzinie byłam laikiem. Matka opuściła Jonathana, gdy miał dwa lata, a ona zaledwie dwadzieścia. Ta młoda osoba doszła do wniosku, że małżeństwo nastolatków, zawarte pod wpływem chwili, było pomyłką, postanowiła więc porzucić najbardziej namacalny tego dowód: dziecko. I ten mały chłopiec, dorósłszy, nikomu nie potrafił powiedzieć „kocham cię”, był bowiem przekonany, że jest to preludium, po którym niechybnie nastąpi pożegnanie, porzucenie i cios w zęby.

Jego matka mieszka obecnie w Kalifornii. Ma nową rodzinę i dom z basenem w ogrodzie. Gdy Jon miał dwanaście lat, udało mu się zdobyć od babci telefon mamy. Zadzwoił do niej; słuchawkę podniósł mały chłopczyk. A kiedy zawołana podeszła do telefonu, spytał matkę: „Jak można tak po prostu zostawić swoje dziecko?”. A ona odpowiedziała z wciąż jeszcze wyczuwalnym brooklyńskim akcentem: „Widać można, skoro ja to zrobiłam”.

- I na pewno wzruszyła przy tym ramionami - dodawał Jonathan, gdy mi o tej rozmowie opowiadał.
- To było wręcz słyszalne...

Niedawno spotkałam Jonathana na Madison Avenue w Nowym Jorku. Szedł z piękną kobietą: miała blond włosy, puszyście okalające twarz, i bystre, inteligentne oczy. Od razu widać było, że jest to osoba mądra i interesująca, ktoś, kogo można wprowadzić do każdego towarzystwa. Jonathan na pewno te jej zalety docenił, tak jak kiedyś cenił mnie za lotny umysł, stanowczość i ambicję, za entuzjizm i brak zahamowań. Ale miłość? Nie sądzę, by mnie kochał.

Ojciec Jona był funkcjonariuszem policji w Nowym Jorku; po wymaganych dwudziestu latach służby przeszedł na emeryturę i otrzymał pracę określaną przez gliny jako „złota kura”: został szefem ochrony w langhornowskim college'u. Razem z synem wprowadził się do brzydkiego nowoczesnego domu tuż za miastem. Dom był - jak mi Jon kiedyś powiedział - cztery razy większy od ich poprzedniego mieszkania, które zajmowali razem z dziadkami na Brooklynie.

Poznaliśmy się na uczelni. Jon bez żenady gapił się na mnie podczas wykładu z angielskiego, a potem słyszałam, jak pytał Jackie Belknap, kim jestem.

- Gulden? - zdziwiła się Jackie. - Ta suka nic tylko się uczy, uczy i uczy...

- Właśnie to mi lekarz zalecił - skwitował tę informację Jon.

Jonathan był przystojny, choć może nie w potocznym rozumieniu tego słowa. Miał trochę zbyt blisko osadzone oczy, ciemnoblond włosy, mocną szczękę i zaskakująco pełne, kobiece wargi, bardzo czerwone. Dzięki nim właśnie powstała wokół niego ta szczególna aura seksowności, która zresztą wcale nie była myląca. Pasowaliśmy do siebie, bo oboje byliśmy szybcy i nerwowi, chcieliśmy imponować ludziom, a jednocześnie nie uświadamialiśmy sobie wrażenia, jakie na nich robiliśmy. „Wyglodniałe szczeniaki” - tak by nas Jeff określił. I powiedziałby także, że w końcu któregoś dnia nawzajem się pożremy. Ale ja i tak bym go nie słuchała.

Ojciec Jonathana powtórnie się ożenił w tym czasie, kiedy oboje z Jonem byliśmy w college'u. Poślubił jedną z tutejszych sekretarek. Na Święto Dziękczynienia wybrał się z żoną do jej córki na drugi koniec Stanów. „Spróbuj nazwać żonę ojca moją macochą, a zginiesz” - uprzedził mnie Jon. W każdym razie mieliśmy dom dla siebie. Zaczęliśmy się rozbierać od razu, ledwie weszliśmy w drzwi, nim jeszcze zamknęliśmy je za sobą...

W filmach widok rozrzuconych szarych flanelowych spodni, czerwonego swetra z golfem, kalessonów w kwiatki i szarych skarpetek zwykle budzi jakieś skojarzenia z seksem. U nas, jak w bajce *Jaś i Małgosia*, były tropem prowadzącym prosto do sypialni. Zmagałam się z haftkami, haczykami i pętelkami,

jakby moja nagość była najważniejszą rzeczą na świecie. Byłam przy tym tak desperacko napalona, że kiedy wreszcie znalazłam się w łóżku, leżąc na plecach, cała przyjemność gdzieś się ulotniła. Omal nie wyrwało mi się z ust: „Jedyne, czego naprawdę pragnę, to spać”...

Ale nie powiedziałam tego Jonathanowi; nigdy bym mu tego nie powiedziała.

Przedświąteczny tydzień wydawał mi się nieskończenie długi. Czasem mama skręcała się w fotelu i od razu wiedziałam, że boli ją brzuch lub krzyż. Kiedyś miała niewielkie mimiczne zmarszczki dookoła ust, głównie od śmiechu, ale teraz zaczęły się pogłębiać od grymasów spowodowanych cierpieniem. Jej włosy stały się delikatne i cienkie jak puszek niemowlęcia. Co rano owiazywała głowę szalem i spod niego wyciągała parę kosmyków, aby nieco złagodzić ostrość wystających kości policzkowych, które coraz bardziej rzucały się w oczy.

Zaczęły się też ataki wściekłości. Najgorszy atak nastąpił w dniu, w którym wniosłam do pokoju fotel na kółkach. Mama wpadała w furję, ilekroć jej bóle stawały się nie do zniesienia. Zamieniała się wówczas w zupełnie inną osobę, jakiej nigdy przedtem nie widziałam. Zezłościła się na kilka Cór Minnie, które chciały obwołać ją honorową przewodniczącą ceremonii zapalania świateł na świerkach, aby w ten sposób oszczędzić jej trudu ozdabiania drzewek. Rozgniewała się na panią Duane, gdy ta poklepała ją po krzyżu w księgarni.

- Głaszcz mnie, jakbym była psem - powiedziała.

Te wybuchy złości były czymś tak niespodziewanym, że czasem miałam uczucie, jakby to nie ona krzyczała, lecz sam rak, a ja słyszałam jego głos albo głos morfiny.

- Nie jestem kaleką! - wrzeszczała, gdy po drzemce zeszła na dół i zobaczyła fotel na kółkach stojący w kącie pokoju. - Najpierw mnie oszalałamsz narkotykami, a potem robisz ze mnie inwalidkę! - Usiadła ciężko na kanapce w salonie z poduszką jak tarczą przyciśniętą do brzucha i rzucała gromy na fotel i na mnie. - Natychmiast go wyrzuć, Ellen! Zabierz go stąd, bo jak nie, to spuszczę go ulicą w dół! - Wzięła do ręki kulę ze styropianu i trzęsącą się dłonią usiłowała pineską przybić do niej złoty cekin. - To upokarzające - uzaliła się i cekin spadł na podłogę.

- Wszystko, co robię, robię wyłącznie z myślą o twojej wygodzie - zapewniałam.

- Chcesz, żebym umarła, żebyście ty i twój ojciec mogli nadal żyć po swojemu!

Nie miała racji. Łudziłam się nadzieją, że fotel na kółkach przywróci mamie godność, a nie jej pozbawi. Wierzyłam, że uda mi się odzyskać choćby na kilka jeszcze tygodni taką mamę, jaką była dawniej, że może zdołamy przeczytać razem jakąś książkę albo że będzie mi udzielała lekcji w tak dobrze sobie znanej dziedzinie jak prowadzenie gospodarstwa domowego. Ale wiedziałam, że tylko jedna rzecz mogłaby zwrócić mi dawną Kate Gulden: tę, która kipiała energią i szukała okazji, by działać, która potrafiła cały dzień wypiekać ciasta, nie zważając na mąkę we włosach, i tę, która umiała powściągać swoje złe nastroje i starała się ich nie uzewnętrzniać... Taką matkę mogła mi przywrócić tylko jej śmierć. Jedynie wtedy zachowałabym ją w swej pamięci niezmienną. Bałam się tej nowej Kate: rozsierdzonej i wychudzonej kłótnicy. Nie myliła się, mówiąc, że chcę jej śmierci. Chciałam, żeby ta wściekła, obca mi kobieta odeszła.

Długo się zastanawiałam, a nawet dziwiłam, dlaczego mama nigdy się nie złości na mego ojca, na swój los, na wybór, jakiego dokonała. Widząc ją w ataku furii, odnosiłam wrażenie, że mam do czynienia z jakąś dziką bestią ukazującą kły i pazury. Błogosławiłam dni, w których matka była spokojna, i pragnęłam, by wróciły.

Czułam potrzebę opowiedzenia o wszystkim Jonathanowi. Doktor Cohn to przewidziała. Wiedziała, że zechcę mieć kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. Po stosunku leżałam, wpatrując się w wentylator na suficie, a łzy spływały mi po policzkach.

- Wiesz, Jon - powiedziałam - gdybym miała choć trochę odwagi, położyłabym jej poduszkę na twarzy...

- Nie mów takich rzeczy! - obruszył się.

- Ach, Jon, bo ty nic nie wiesz. Siedzisz w kawiarni, popijasz kawę i opracowujesz argumenty do inscenizowanej rozprawy sądowej dla studentów, a ja widzę, jak ta kobieta powoli niszczeje. W tej sytuacji myślę tylko o tym, że mam teraz ostatnią szansę, by ją lepiej poznać, by się z nią utożsamić. Nie mogę odrzucać jej dlatego, że nigdy nie pracowała albo że nie ukończyła żadnej znanej uczelni. Nie przeszkadza mi też, że mama nie wierzy, by świat miał się zawalić, bo historycy nie mają pewności, czy rzeczywiście istniała jakaś czarna dama, dla której Szekspir pisał swoje sonety. I tak dzień za dniem mija, a ona... Czy uwierzysz, że moja mama nienawidzi Elizabeth Bennet? Po prostu jej nienawidzi.

- Kim, u diabła, jest Elizabeth Bennet?

- Jedną z głównych postaci *Dumy i uprzedzenia*.

- No tak... To wszystko tłumaczy - stwierdził Jonathan. Podparł się łokciem, a na jego twarz padł ostatni promyk dziennego światła, prześwitujący przez żaluzje w sypialni. - Posłuchaj, Ellen - przekonywał. - Sądzę, że musisz odpocząć. Zwariujesz, jeśli to potrwa dłużej. Czy twój tata nie zastąpiłby cię na krótko, żebyś mogła spędzić weekend ze mną?

- Nie mogę nigdzie wyjechać, Jon. Nawet wieczorem nie potrafię przewidzieć, w jakim stanie mama będzie nazajutrz.

- Myślę, że za wiele od siebie wymagasz. Jesteś zbyt twarda.

- Nic podobnego! O żadnej twardości nie może być mowy.

- A jednak cię przekonam, że może być, i to bardzo... -

I szybko przerzucił się ze śmierci na swój ulubiony temat: seks. Jednocześnie nakierował moją głowę w niższe rejony. Potem się ubraliśmy i wrócili do mnie.

- Czy to nie dziwne - spytałam go po drodze - że kochając się, ani razuśmy się nie pocałowali?

- Nie wydziwiał, Ellen! - burknął, zaspokojony i nieco poirytowany.

Resztę wieczoru spędziłam w kuchni, dusząc cebulę, obierając słodkie bataty i przygotowując nadzieję dokładnie według wskazówek mamy. W końcu wyprodukowałam tyle potraw, że stół się pod nimi ugiął, tak jak to zawsze robiła mama. W pewnej chwili, gdy w nocnej koszuli stałam w kuchni i kroić selery, zdałam sobie sprawę, że we wszystkim, co robię, kieruję się pragnieniem stabilizacji i chęcią, żeby

to Święto Dziękczynienia niczym się nie różniło od dawnych. Zależało mi na tym, by zachować tradycję i kontynuować pewną fikcję, używając do tego celu, zwyczajem mamy, sosu z pieczeni, ciasta z dyni i gęstego kremu. Fikcja polegała na tym, aby udawać, że wszystko jest dobrze, że życie jest proste i bezpieczne, mężowie nie zdradzają żon, dzieci rosną, nasze ciała nie ulegają niszczącemu działaniu chorób i czasu i nigdy nie sprawią nam zawodu... Oś ziemską przeszła przez punkt zwrotny oddzielający kuchnię od świata ludzi żywych. Ziemia w dalszym ciągu się kręci, a nasza rodzina pozostaje wciąż cała i zdrowa.

Rano w dzień Święta Dziękczynienia mama wyglądała okropnie. Nie pomógł pracowicie zrobiony makijaż, którym usiłowała stworzyć za pomocą różu i cieni fikcję, że jak dawniej jest młoda i kwitnąca. Ale moi bracia nie chcieli świętować. Zamiast odwiedzać przyjaciół, zostali w domu. Co chwila to wpadali do kuchni, to znów z niej wybiegali. Rozmawiali o szkole i wypytywali o sprawy domowe. W końcu razem z Jonathanem usadowili się na wersalce i oglądali mecz piłki nożnej. Ojciec usiadł przy nich, czytał i robił złośliwe uwagi:

- Patrzycie na największą kolekcję przyszlých właścicieli salonów samochodowych i sieci barów szybkiej obsługi. Oglądacie uprzywilejowanych magnatów Stanów Zjednoczonych!

- I co z tego? - odparł Jeff. - Rod Laver jest zawodowym instruktorem gry w tenisa i udziela się w ekskluzywnych klubach środowiskowych. Co za różnica?

- Tenis to co innego - perorował tata. - To gra szlachetna, ma swój styl i wdzięk.

- Iście królewski sport - dodał Jonathan.

- Nie wygłupiaj się, Jon - pokpiwał Jeff. - Przecież ty kochasz futbol. Jeśli interesuje cię cokolwiek poza własną osobą, to tylko Super Bowl*.

- Ale Wimbledon też - bronił się Jonathan. - To nie znaczy, że się zgadzam z przedmówcą. Ja tylko komentowałem.

- Podlizujesz się - mruknął Jeff.

- Boże, jak ja nienawidzę tego słowa! - jęknął ojciec. Popatrzył na mnie, potem zajrzał do kuchni. - Nie wiesz, Ellen, gdzie się podziewa matka?

- Jest na górze z Brianem.

- Nie powinnaś się zachowywać tak, żeby mama czuła się zbędna.

- A ty, tato, nie powinienesz wzbudzać we mnie poczucia winy.

* Super Bowl - specjalny mecz amerykańskiego futbolu, rozgrywany zawsze w styczniu.

Poląłam mego indyka roztopionym masłem i poprawiłam cienkie płótno, w jakie był zawinięty niby w całun. „Zaczynam już mówić o jedzeniu - pomyślałam - tak jak mama: moje nadzienie, moje bataty, mój indyk, moja zupa z cukinii... Ta już na pewno zostanie na zawsze moją, bo wlałam do niej filiżankę herbaty”.

W pokoju na górze mama usiadła w wielkim fotelu przy oknie, nogi położyła wyżej, opierając stopy o wersalkę, i odpoczywała. Miała na sobie ładną suknię koloru śliwkowego z wielkimi mosiężnymi guzikami; kupiłam ją w centrum handlowym. Mama ucieszyła się, widząc, że suknia ma odciętą metkę.

- Okazja? Co? - spytała. - Ile za nią dałaś?

- To nie twoja sprawa - skwitowałam pytanie uśmiechem, jakbym rzeczywiście kupiła suknię za grosze.

Tymczasem prawda była taka, że suknia kosztowała siedemdziesiąt dolarów, i to ja zdjęłam z niej metkę, dlatego że na metce był napis: Sklep dla Matki i Dziecka. Bo mama potrzebowała teraz strojów ciężowych, mogących pomieścić jej nieszczęsny spuchnięty brzuch.

Poszłam na górę, żeby sprawdzić, co u niej, i zastałam tam Briana. Siedział, założywszy nogę na nogę, na wersalce obok mamy, na kolanach oparł książkę i czytał na głos. Kiedy weszłam, wsunął ją pod pokrowiec fotela.

- Co tam chowasz, Bri? Pewnie jakąś sensacyjną szmirę, co? - indagowałam żartobliwie.

- Coś znacznie gorszego - odparła mama.

Brian wydobyl książkę i pokazał mi ją, unosząc wysoko.

To była jakaś makabryczna powieść: połączenie seksu z horrorem. Ilustracja na okładce przedstawiała kobietę w potarganej halce, przytuloną do wypukłych jak u kulturysty mięśni klatki piersiowej mężczyzny, który miał na sobie tylko bryczesy.

- Gdy ojciec to zobaczy, pewnie wezwie policję - powiedziała mama, chichocząc.

- I nie zwykłą policję, ale strażników intelektu - dodał Brian. - Wszyscy będą w tweedowych marynarkach i zrobią nam pranie mózgu, pozwalając czytać tylko i wyłącznie oksfordzki słownik języka angielskiego.

- Ach, kochanie - mama nie przestawała chichotać - nie wyśmiewaj się ze słownika oksfordzkiego.

- A ja myślę, że zamkną nas w pokoju, nałożą na głowę słuchawki i każą słuchać Orsona Welleśa czytającego *Silas Marner* - włączyłam się do rozmowy.

- Dla mnie to prawdziwa zagadka - wyznała mama - jak ktoś, kto napisał tak dobrą książkę jak *Middlemarch*, mógł potem wyprodukować takie nudy jak *Silas Marner*. Jeffrey uznałby pewnie, że autorka chciała na siłę pisać o wszystkim, co tylko możliwe.

- Ależ, mamó! - zaprotestował Brian. - Przecież *Silas Marner* napisał facet, a nie kobieta! Nazywał się George Eliot.

Obie z mamą krzyknęłyśmy jednocześnie i złapałyśmy się za głowę.

- O mój Boże, Bri! - mówiłam z udanym potępieniem. -

Masz szczęście, że tata cię nie słyszy, bo stałbyś już na szosie z wystawionym kciukiem i szukał okazji na powrót do Filadelfii. Przecież George Eliot to literacki pseudonim kobiety. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Mary Ann Evans.

- Jesteś pewna? - wątpił jeszcze Brian.

- Nie przejmuj się, kochanie - pocieszyłam braciszka. - Mam nadzieję, że ta niewiedza nie przeszkodzi ci w uzyskaniu dyplomu z politologii. Tylko uważaj, żeby ojciec nie usłyszał twoich wywodów, bo one i ta książka - dotknęłam stopą miękkiej okładki - mogłyby go zabić. Już widzę, jakie tytuły ukazałyby się w prasie: „Kiepski gust literacki syna przyczyną śmierci znanego profesora. Sprawca zatrzymany”.

Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju zajrzał ojciec, którego powitaliśmy salwą śmiechu.

- Co was tak rozbawiło? - spytał zmieszany.

- Nic wielkiego. Ot, mała pomyłka w ustalaniu tożsamości - odparłam.

Podaliśmy do stołu w jadalni. Stół - podobnie jak pozostałe meble w tym pokoju: kredens z wnęką, serwantka i krzesła - był mahoniowy. Wszystko odziedziczyliśmy po dziadkach. Gdy na stole pojawiło się jedzenie, mama wzięła Briana i Jeffreya za ręce i powiedziała:

- Chciałabym zmówić modlitwę. - I po raz pierwszy od lat mówiliśmy:

„Dzięki Ci, Boże, za cud stworzenia

I za rozkosze dla podniebienia.

Dzięki Ci, Boże, za ptasząt trele!

Dzięki Ci, Boże, że dajesz tak wiele”.

Kiedy po chwili podniosłam głowę i wypuściłam z uścisku dłoń ojca, zobaczyłam, że tata ma łzy w oczach.

Na deser zrobiłam ciasto z dynią. Właśnie je kroiliśmy, gdy do kuchni weszła mama. Wyglądała na zmęczoną. Zjadła już całą pomadkę z ust i zostały tylko kontury. Jej wargi przypominały teraz te sztuczne z wosku, jakie nakładamy w Halloween, żeby straszyć.

- Podaj mi tabletkę, Ellen - poprosiła.

- Mamo, przecież dałam ci jedną tuż po obiedzie. Minęły dopiero cztery godziny.

- Wybacz, Ellen, ale muszę mieć tabletkę. Gdzie je trzymasz?

- Są w szafce na lekarstwa w łazience. Nie możesz zaczekać? Może weźmiesz ją po deserze?

- Daj mi tę tabletkę teraz, Ellen! - mama krzyknęła tak głośno, że w sąsiednim pokoju umilkła rozmowa. - I pamiętaj, że to jest jeszcze ciągle mój dom. - Poznałam po jej głosie, że lada moment znów wpadnie w furję. Pobiegłam do szafki z lekarstwami, a mama wróciła do stołu i słyszałam, jak mówi do Briana: - Chciałabym, żebyś mi zdał dokładne sprawozdanie z wszystkiego, co robisz w college'u. Zaczynaj od kolegi, z którym dzielisz pokój, a potem opowiedz o dziewczynach, z którymi chodzisz. Nie wątpię, że dobierasz sobie odpowiednie towarzystwo.

- A mnie, braciszku - wtrącił się Jeff - możesz opowiedzieć o dziewczynach, które raczej nie należą do odpowiedniego towarzystwa. Zrób to jednak dopiero wtedy, gdy stąd wyjdziemy.

Ale Brian nie wyszedł z nami. Zaraz po kawie, którą podałam w salonie, pomógł matce położyć się do łóżka i siedział przy niej nawet wtedy, gdy już zasnęła, i słuchał w ciemności, jak oddycha.

- Tylko tu nie zaśnij - szepnęłam. Nic nie odpowiedział. Wiedziałam, że będzie tam dopóty, dopóki ojciec nie wejdzie na górę. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: „Gdyby zadano nam test na umiejętność opieki nad się śmiertelnie chorą matką, Brian, mój słodki i poważny braciszek, zdałby go na piątkę”.

Mój drugi brat, Jeff, tak nas kiedyś opisał:

- Stanowimy łańcuch pokarmowy, w którym Ellen stara się dorównać ojcu, a ja jej.

Wówczas mały, zasmucony Bri zapytał:

- A co ze mną?

- Ty nie musisz do nikogo się równać, dziecinko - usłyszał od Jeffa. - Gdy chodzi o ciebie i mamę, wystarczy, że co rano wstaniecie z łóżka i po prostu będziecie obecni na naszej planecie.

* * *

Można było łatwo przewidzieć, że wszystkie nasze problemy dadzą się rozwiązać w barze i tam właśnie udaliśmy się we trójkę: Jonathan, Jeff i ja. Bar nazywał się „U Sammy'ego”, podobno na cześć Samuela Langhorne'a, choć sądzę, że tylko wtedy można by go nazywać Sammym, gdybyśmy Thomasa Jeffersona nazywali Tommym, a Johna Adamsa - Jackiem*. Lokal był nieudolną imitacją angielskiego pubu: miał tanie, masowo produkowane witraże w oknach i wielki, ciemny drewniany bufet z jakimś heraldycznym nonsensownym symbolem na przodzie. Wśród gości przeważała młodzież: chłopcy i dziewczyny z naszego miasta spędzający w domu przerwę wakacyjną z okazji Święta Dziękczynienia oraz studenci miejscowego college'u, zazdroszczący tamtym, że studiują w innych miastach. Jeff musiał torować sobie drogę przez las wyciągniętych do niego rąk i kwitować wiele serdecznych uśmiechów. Pewna dziewczyna przejechała nawet dłonią po jego odzianej w spodnie khaki nodze od kolana po udo.

* Thomas Jefferson i John Adams byli prezydentami Stanów Zjednoczonych.

- Może wpadłbyś do mnie, co? - bezceremonialnie zaproponowała.

- Kto to jest? - zainteresował się Jonathan.

- Pewna bardzo wesółka kobietka - odparł Jeff. - Na imię ma Jennifer.

- Jennifer? - zauważyłam złośliwie. - Chyba wszystkie dziewczyny noszą teraz takie imię. Za czasów młodości naszych matek popularne były Kathy albo Patty. A za dziesięć lat powszechne będą Ashley i Tara.

- Ostra jesteś - stwierdził Jeff.

- Tak mam na drugie...

- Zgrywasz się, El, ale ja przejrzałem cię na wskroś.

- I co? Jestem tam w głębi romantyczką?

- Nie, raczej mięczakiem.

- Wasza rozmowa przypomina komedię sytuacyjną Kahlila Gibrana. Nie wygłupiajcie się, na miłość boską! - zaapelował Jonathan i z daleka uśmiechnął się do Jennifer, a ona odwzajemniła mu się tym samym. Włożyłam dłoń do tylnej kieszeni dzinsów Jonathana.

- Dobrze, Jon, skończę z tym... - szepnęłam, gdy usiedliśmy przy stoliku. Drewniany blat pokrywała gruba warstwa lakieru, a na środku paliła się okrągła, czerwona świeczka i mrugała.

Nie miałam w ustach alkoholu, od kiedy wróciłam do Langhorne. Uznałam, że picie byłoby nieślusne, niestosowne, nie na miejscu. Kiedy poprzedniego wieczoru gotowałam i sprzątałam w domu, pomyślałam w pewnej chwili, że seks i ten jego atrybut, który mam między nogami, też są teraz nie na miejscu. Bo przecież ważne jest, żebym zawsze panowała nad sytuacją, żebym była gotowa na każde zawołanie chorej w razie jakiegoś kryzysu czy nagłej potrzeby. Wyobraziłam sobie, jakie by to było straszne, gdybym zostawiła mamę samotnie cierpiącą, a sama szukała rozkoszy w sypialni Jonathana, gdzie wciąż jeszcze wisiały przybite nad łóżkiem proporczyki za osiągnięte w szkole wyniki sportowe. Albo co by się stało, gdyby mnie wzywała, a ja, oszołomiona winem, mogłabym jej nie usłyszeć.

Kiedy teraz analizuję moje zachowanie, wydaje mi się, że wmówiłam sobie, iż powinnam wyrzec się zmysłowych przyjemności: dreszczu rozkoszy i alkoholowego upojenia, aby w ten sposób wynagrodzić mamie za jej cierpienia. Uważałam, że każde moje miłe doznanie jest wobec niej nietaktem.

Jednak tej nocy u Sammy'ego, gdy Jonathan uśmiechał się do mnie obiecująco, a czerwone światło kładło się bursztynowymi cieniami na jego twarzy, zapomniałam o swoich zastrzeżeniach. Wypiłam dwa piwa, potem coś, co się nazywało Samuel Sling, następnie sok owocowy, a potem jeszcze różne koktajle, które łatwo się sączy przez słomkę i które szybko doprowadzają do zawrotu głowy. Pod stołem włożyłam stopę między uda Jonathana, który z ożywieniem rozmawiał z Jeffem o futbolu, studiach i profesorach.

- Nie wiem jak tobie, ale mnie on gra na nerwach - przerwałam Jeffowi w pół zdania.

- Kto taki? - chciał wiedzieć Jon. Ale Jeff od razu się zorientował, o kogo mi chodzi.

- Mówię o naszym ojcu - wyjaśniłam. - On mnie po prostu doprowadza do szału. Rozsiadł się jak basza i nie ruszył się z miejsca, a wam kazał wynieść naczynia i posprzątać ze stołu. Mnie nawet słowem nie podziękował za przygotowanie kolacji. Wyszedł z pokoju, zanim mama zasnęła, tłumacząc się, że ma coś do roboty w swoim gabinecie. Traktuje nas jak służbę, która ma obowiązek go obsługiwać. Cholera! - Przywołałam ruchem ręki kelnerkę, a gdy się zjawiła, powiedziałam: - Prosimy o jeszcze jedną rundkę.

- Nie powinnaś już pić! - warknął Jeff.

- Chcę, żebyś wiedział, Jeff, że ojciec tak się zachowuje od pierwszego dnia po moim powrocie do domu. Jego dosłownie nigdy nie ma w domu, a ja robię dosłownie wszystko od a do z.

- Czy wasza mama też na to narzeka? - spytał Jonathan.

- To nie ma nic do rzeczy - odpowiedziałam głośno.

- Mów ciszej, El - Jeff zwrócił mi uwagę. - Cały bar nie musi słyszeć, jakie mamy kłopoty. - Wzruszył ramionami i patrząc na Jona, dodał: - Jeśli chcesz wiedzieć, to nasza mama nigdy na nic nie narzeka.

- Właśnie - skwitowałam. - A nawet gdyby chciała, nie może, ponieważ jego nigdy przy niej nie ma.

- Dawniej też go nigdy nie było - stwierdził Jeff.

- To prawda, ale dawniej mama nie była umierająca.

- Każdy chce załatwiać trudne sprawy na swój sposób. I chyba ma do tego prawo - zauważył Jon.

- Właśnie o to mi chodzi, Jon. Ilekroć mężczyzna twierdzi, że ludzie powinni trudne sprawy załatwiać po swojemu, znaczy to tylko jedno: że on w ogóle nic nie chce robić. Wy, mężczyźni, jedynie czekacie, żeby to, co złe i trudne, przeminęło. Nie pomagacie. Nie słuchacie nas. Nie dzwonicie. Nie piszecie. To my, dziewczyny, wszystko załatwiamy: przyrządzamy posiłki, robimy porządki, sprzątamy odchody, a potem jeszcze musimy wysłuchiwać waszego gadania o tym, że wy zajmujecie się tymi sprawami na wasz sposób. Jaki to sposób? Żaden!!!

Stojąca przy barze Jennifer bez przerwy gapiła się na nasz stolik. Patrzyli też na nas jej przyjaciele. Chciałam pokazać jej nieprzyzwoity gest, ale Jeff złapał moją rękę w powietrzu i zapobiegł obrazie.

- Chyba najwyższa pora, żebyśmy stąd wyszli! - krzyknął.

- Wprawdzie nie jestem twoim ojcem, Ellen, ale... - A kiedy kelnerka przyniosła drinki, Jon zabrał mój kieliszek z tacy i postawił po swojej stronie stołu.

- Tak, na pewno nie jesteś moim ojcem, Jon - powiedziałam i sięgnęłam po swój kieliszek. Ciągnęliśmy go w przeciwnych kierunkach, kieliszek się przewrócił i napój wylał się Jonowi na spodnie.

- Cholera! - zaklął.

- Chodźmy stąd! - powtórzył Jeff.

- Jestem gotów - oznajmił Jon - a Ellen na pewno też. Chcesz, żebyśmy cię podrzucili do domu?

- Nie. Zabiorę się z Jeffem, Jon. To był długi i bardzo męczący dzień, podobnie zresztą jak cały ubiegły tydzień i miesiąc. Nie wiecie, jaka to dla mnie udręka utożsamianie się z matką.

- Ellen, zagubiłaś się w tym wszystkim. Nie możesz utożsamiać się z matką. Nigdy tego nie potrafiłaś. Nikt na świecie nie różni się tak bardzo jak ty od swojej matki.

Zdjęłam żakiet z poręczy krzesła.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałeś, Jon. Wychodzę.

- Nie widziałem cię niemal trzy miesiące.

- A czyja to wina?

- O Boże! - jęknął Jon.

- Uspokój się, Jonathanie! - ofuknął go Jeff. - Spałeś z nią wczoraj, będziesz spał jutro i przypuszczalnie zrobisz to także w sobotę.

- Odwal się, Jeff! Moje życie seksualne to nie twoja sprawa. Podobnie jak życie twojej siostry. Ona jest już dużą dziewczynką, wiesz?

- Do diabła, nie jest tak duża, jakby się zdawało!

- Może przestalibyście mówić o mnie? Chcę pójść do domu i po prostu się położyć. Jestem pijana i zmęczona, i mam was wszystkich dość. I nie musicie mnie podrzucać samochodem; wolę się przejść spacerkiem i na odmianę pobyć trochę sama.

I byłam sama, idąc tej zimnej listopadowej nocy do domu. Lało mi się z oczu i nosa. Zostawiłam Jonathana wściekłego. Widziałam, jak porozumiewał się wzrokiem z Jeffem i z Jennifer. Jej błyszczące

wargi i rozwiana grzywka sprawiały, że wydawała się tak różna ode mnie, jakby nas dzielił cały świat. Czułam się jak umęczona gospodyni domowa i tak też wyglądałam w sztruksach i bawełnianym swetrze. Gdy weszłam do domu, matkę zastałam w salonie: siedziała i czytała.

- Niepotrzebnie na mnie czekałaś, mamó - rzuciłam.

- Boli mnie krzyż - odparła.

Następnego rana chłopcy pozwolili mi dłużej pospać. Obudziły mnie wojenne okrzyki za oknem. Wyjrzałam i zobaczyłam taki oto obrazek: Mama w fotelu na kółkach zjeżdżała w dół ulicy. Brian stał na górze i nadawał bieg „pojazdowi”, a Jeff na dole łagodnego zbocza zatrzymywał rozpędzony fotel. Popatrzyłam na twarz matki i przypomniał mi się pierwszy samodzielny zjazd Briana na sankach. Na jego buzi też wtedy malowała się mieszanka uczuć podniecenia, radości i przerażenia.

- Leć, dziecinko! - wołał Jeff, rozkładając ręce, by pochwycić mamę. - Mam cię! - krzyczał po chwili, gdy ją złapał.

Bolała mnie głowa, język wydawał się nie mieścić w ustach. Weszłam z powrotem pod kołdrę i spałam niemal do południa. Kiedy się zbudziłam i zesłam na dół, zastałam mamę śpiącą na kanapie w salonie; obie dłonie podłożyła pod policzki i pledem przykryła nogi. Na stole kuchennym leżała notatka od ojca: „Mam zaległości do odrobienia w college'u”. Z daleka słyszałam rozmowę braci. Ich głosy to się podnosiły, to znów opadały, by chwilami całkiem ucichnąć. Wyszłam na ganek i opatulona w sweter siedziałam do chwili, gdy słońce zaszło i zaczął mnie przenikać chłód. Wtedy wróciłam do domu i zabrałam się do robienia kanapek z indykiem.

Jonathan nie zadzwonił tego wieczoru i ja też nie miałam ochoty dzwonić do niego. Zatelefonował w sobotę, ale tylko po to, aby powiedzieć, że wraca do Cambridge wcześniej, niż zamierzał, bo ma tam pewną rzecz do załatwienia i chciałby, żebym jeszcze raz przemyślała propozycję spędzenia z nim weekendu.

- Nie ma mowy, Jon - powiedziałam i odłożyliśmy słuchawki bez planów na przyszłą rozmowę lub spotkanie. Nie powiedzieliśmy sobie nawet „kocham cię” i nie było żadnej najmniejszej wzmianki o charakterze erotycznym. „Jon - pamiętam, że tak sobie wtedy pomyślałam - nie pasuje do obecnego czasu i do tego miejsca. To mężczyzna, do którego wrócę, gdy znowu będę dawną Ellen”.

Dopiero po wielu miesiącach się dowiedziałam, i to z zeznań złożonych przez nich oboje pod przysięgą w prokuraturze, że Jon spędził noc w Święto Dziękczynienia i większą część przedpołudnia w piątek w domu swego ojca w łóżku z Jennifer. To było łatwe do przewidzenia, mało zaskakujące i właściwie oczywiste, jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie inne zdarzenia, jakie zaszły tej zimy.

* * *

W początkowym stadium choroby mamy przeżywałam jakby drugie dzieciństwo; takie jakie mogłabym mieć, gdybym była inną dziewczyną, a moja matka innego rodzaju kobietą i gdybyśmy obie nie czuły tak przemożnej potrzeby zabiegania o względy mego ojca. Uroczyste nastrój i przysmaki serwowane z okazji Święta Dziękczynienia, wspomnienia mamy z lat dziecięcych, dziewczęcych i małżeńskich -

wszystko to zostało mi teraz ofiarowane. Towarzyszyła temu jednak atmosfera pewnego pośpiechu, jakby chodziło o szkolne wypracowanie, którego mama może nie zdążyć napisać. Tym razem chodziło o odzyskanie córki, która byłaby podobna do Briana i czułaby się najszczęśliwsza, mogąc siedzieć u stóp matki i śmiać się razem z nią.

Ale gdy mama zaczęła używać fotela na kółkach, w naszych wzajemnych stosunkach nastąpiła zmiana: teraz ona była dzieckiem, a ja matką. Może właśnie dlatego tak bardzo się przed tym fotelem broniła... Trudno jej też było samodzielnie poruszać się w nim po domu, bo drzwi były wąskie, a piękne dywany w kolorach bordo i granatowym też stanowiły przeszkodę. I chociaż meble przesunęłam bliżej ścian, nie odważyłam się spytać mamy, czy mogłabym zrolować starego persę. Mama czuła bowiem potrzebę otaczania się, jeśli to tylko było możliwe, luksusowymi i znanymi sobie przedmiotami. Wydawało jej się to ważne w sytuacji, gdy tyle innych rzeczy zmieniało się w oczach i brzydło.

Pewnego dnia mama postanowiła, że razem wybierzemy się do centrum, by kupić trzy następne książki w księgarni Duane'ów. Najpierw powiedziała, że pójdziemy piechotą, ale zaraz dodała „i na kółkach”. Włożyła niebieską kurtkę, która nadal świetnie na niej leżała. Była szykowna i elegancka, a ponadto dobrze kryła chudą i zapadniętą pierś, przypominającą pierś pisklęcia.

- Może cię trochę umalować? - zaproponowałam. - Tak na wszelki wypadek, bo a nuż spotkamy kogoś znajomego.

- Nie wydaje mi się, żeby twój ojciec marzył dla ciebie o karierze kosmetyczki.

- Właściwie nie byłoby to złe. Może dzięki temu znalazłabym się na łamach „Tribune”. - Mama nieraz się śmiała, że niemal w każdym zawiadomieniu w lokalnej gazecie o zaręczynach chodzi o kosmetyczkę, która została narzeczoną mężczyzny „związanego zawodowo” z branżą budowlaną. Ojciec się złościł, gdy mama czytała te ogłoszenia na głos, a wpadał w szał, kiedy cytowała doniesienia o ślubach, zawierające dokładny opis sukni panny młodej, na przykład: suknia miała obniżoną talię, przykrytą gęsto zmarszczonym tiulem, rozszerzone dołem rękawy, a welon z jedwabnej lejącej się koronki.

- Ach, Ellie, przecież o tobie pisano w „Tribune” więcej niż o kimkolwiek innym, z wyjątkiem może Eda Besta i naszego burmistrza. Idź na górę i rzuć okiem na mój album z wycinkami prasowymi. Zobaczysz, ile w nich jest wzmianek o tobie: „Dziewczynki, które osiągnęły najlepsze wyniki w nauce”, „konkurs ortograficzny”, „konkurs na najlepszy esej” i twoja mowa po otrzymaniu dyplomu. Naprawdę bardzo często pojawiałaś się w „Tribune”.

- To brzmi tak, jakbyś na bieżąco prowadziła ewidencję.

- Owszem i nie rozumiem, dlaczego miałabym tego nie robić. A teraz lekko mnie umaluj, tylko proszę, niech cię zanadto nie poniesie fantazja.

Zadanie okazało się trudniejsze, niż sobie wyobrażałam. Najpierw roztarłam na twarzy podkład, potem ołówkiem podkreśliłam linię oczu i jednym pędzelkiem naniosłam tusz na rzęsy, a drugim róż na policzki. Nie osiągnęłam jednak takiego efektu, jakiego pragnęłam. Mama upodobniła się do swoich wizerunków na obrazkach, jakie rysowałam, gdy miałam pięć lat. Widać na nich było tylko czerwone policzki i

rzęsy sterczące jak czarne nóżki pajaków. Oczekiwanie, że dzięki moim zabiegom Kate Gulden może wyglądać tak pięknie jak dawniej, okazało się złudne.

- Dochodzę do wniosku, że bardzo trudno jest robić komuś makijaż - powiedziałam.

Mama oparła się o komodę z szufladami w holu i obejrzała się w lustrze.

- Od razu widać, że nigdy nie robiłaś makijażu rudej kobiecie - stwierdziła. - W tym cały kłopot... -

Wyjęła małą gąbkę z mojej torebki na kosmetyki i przez chwilę ścierała nią twarz.

- Teraz jest znacznie lepiej - przyznałam.

- I w ten sposób twoja kariera kosmetyczki się skończyła, zanim się zaczęła - obwieściła mama.

- Jak na kosmetyczkę całkiem nieźle piszę.

- Ależ ty bardzo dobrze piszesz! - zapewniła mnie.

„Mama jest moją wielką fanką, ale i ciężarem” - pomyślałam, gdy zapinałam jej kurtkę i wkładałam beret na głowę.

Swoją kościstą twarzą i bladością przypominała starzejącą się modelkę. Mama uchodziła za bardzo piękną kobietę i inaczej niż wielu innym, których ślubne fotografie wyglądają raczej na zdjęcia córek niż ich samych, udało jej się do teraz zachować urodę.

Włożyłam puchową kurtkę i odchyłając fotel do tyłu, spuszczałam go schodami stopień po stopniu. Nauczyłam się tej techniki, obserwując młode matki wożące dzieci w spacerowych wózkach. Gdy byłam już na dole, mama powoli i ostrożnie zeszła i usiadła w fotelu.

- Głupio się czuję w fotelu, ale dzięki niemu mogę opuszczać dom; nie lubię żyć w odosobnieniu jak pustelnik. Ty także powinnaś częściej wychodzić. Nie widziałam, żebyś się gdzieś wybierała, od kiedy nasi chłopcy po Świącie Dziękczynienia wyjechali z miasta.

Bardzo powoli prowadziłam fotel z mamą ulicą w dół. Bałam się, że mogę stracić nad nim panowanie. Szłam wolno z innego jeszcze powodu: widziałam, że mama obraca głowę na wszystkie strony i z ciekawością rozgląda się tak, jakby chciała na nowo przyjrzeć się swojemu najbliższemu sąsiedztwu.

- Popatrz, Ellie - mówiła - Jacksonowie już mają drzewko w salonie, a Claire Belknap lepiej by przykryła róże, bo gotowa je stracić, gdy przyjdzie pierwszy mróz. I nie wiem, po co Bestowie wymalowali dom na taki kolor. O wiele ładniej wyglądał, gdy był biały. - Wydawało się, jakby tego dnia mama postanowiła obejrzeć wszystko, co warte było zobaczenia, każdy szczegół, każdy nawet najmniej ważny, najbardziej zwyczajny detal, każdy...

Zszedłszy ze wzgórza, skręciłyśmy w główną ulicę tuż przy śródmiejskim zieleńcu. Kwiaty, które zwykle otaczały szerokim kręgiem stojący pośrodku wysoki maszt z flagą, już przekwitły. Dwanaście wielkich, zawsze zielonych świerków stało samotnie. Uderzyło mnie piękno ich gałęzi, przypominających szeroko rozpostarte skrzydła anielskie.

- Oni nigdy nie wiedzą, co należy w tym miejscu posadzić, gdy astry się skończyły, a świerki jeszcze nie są udekorowane... - narzekała mama. - Kiedyśmy tu przyjechali, w pierwszym roku naszego pobytu, pewna pani, myślę, że była to żona rektora, podarowała miastu dziesiątki poinsecji. Zarząd robót pu-

blicznych wszystkie posadził, o nic nie pytając. Nikt nie wiedział, że poinsecje są roślinami tropikalnymi i w chłodnym klimacie mogą być hodowane jedynie w doniczkach w mieszkaniu. Na drugi dzień widok, jaki się roztoczył przed oczami mieszkańców miasta, był najsmutniejszy ze smutnych. Świeżo posadzone rośliny zmarły, opadły i leżały pokodem niczym martwi żołnierze na polu bitwy. Twój ojciec po przyjściu do domu opowiedział mi o tym jak o czymś zupełnie niebywałym, a ja mu się przyznałam, że już kiedy je sadzono, wiedziałam, co się z nimi stanie. Ale byliśmy tutaj nowi, więc nie miałam rozeznania, komu i czy w ogóle powinnam o tym powiedzieć, i postanowiłam milczeć. Ojciec uznał, że ta historia stała się jeszcze wspanialsza dzięki temu, że jego mądra żona z góry wiedziała, jak bezsensowny był pomysł posadzenia poinsecji. Rozповідаł o tym na lewo i prawo i na każdym bożonarodzeniowym przyjęciu, nie bacząc, że przez to wychodziłam na coraz to chytrzejszą i coraz bardziej podłą. Twemu tacie się zdawało, że to świetna historia, ale żona rektora mi tego nie wybaczyła i przez całe lata traktowała mnie chłodno.

Mimo że tego dnia na dworze było zimno, mama kazała mi się co najmniej dwanaście razy zatrzymywać, by porozmawiać ze znajomymi. Z trudnością manewrowałam fotelem przy wjeżdżaniu na krawężniki i zjeżdżaniu z nich, zwłaszcza że chodniki były nierówne, i mama się niecierpliwiła. Kiedy chciała wejść do sklepu z obuwem, nie dałam rady wjechać do środka. Przytrzymałam drzwi biodrem, by się nie zamknęły, i próbowałam zmusić wielkie gumowe koła fotela, żeby pokonały przeszkodę w postaci rowkowanej maty u wejścia. Nadaremnie.

- To samo miałam z tym cholernym wózkiem na podwójnych kółkach, który kupiłam, kiedy urodził się Brian - przypomniała sobie mama. - Musiałam go podnosić i przeciągać przez drzwi, a w tym czasie ty wybiegałaś na ulicę, stałam więc na chodniku i wrzeszczałam, żebyś wróciła.

Opierając się o podłokietniki, mama wstała i weszła do sklepu, a ja zostałam z fotelem na chodniku i założyłam hamulec. Przez szybę wystawową obserwowałam, jak mama porusza się po sklepie; mignął mi jej profil gdzieś między mokasynami a pionierkami. Obie umiałyśmy robić korzystne zakupy. Widziałam, jak mama rozmawia ze sprzedawcą, a potem siada. Stałam na palcach i zobaczyłam, że zdjęła czólenka na płaskim obcasie. Po chwili zjawił się ekspedient, który z magazynu przyniósł całą wieżę pudełek z butami.

- Ellen? - usłyszałam znajomy głos za sobą. Należał do pani Forburg, mojej nauczycielki angielskiego. - Chyba możesz mi teraz mówić po imieniu. Jestem Brenda - powiedziała.

- Jeśli mam być szczerą, wołałabym, żeby zostało po staremu. Dla mnie zawsze zostanie pani panią Forburg. Tak jest grzeczniej.

Zaśmiała się. W wełnianej kurtce z kapturem i szarych spodniach wydawała się dziecięco drobna, ale twarz miała pomarszczoną niczym zwiędłe jabłko i włosy białe jak u staruszki.

- Czy twoja matka jest w sklepie? - spytała.

- Tak. Kupuje buty. Nie wiedziałam, że potrzebuje nowych.

- A czy sądzisz, że kobieta kupuje nowe pantofle tylko wtedy, kiedy ich potrzebuje? - pani Forburg zdziwiła się, że tego nie wiem, i popatrzyła na swoje szare sznurowane półbuty. - Kupowanie butów zaw-

sze podnosi na duchu, tak jak kupowanie nowej torebki lub papieru listowego. Czuje się, że ma się po co żyć. - Sięgnęła przez fotel i poklepała mnie po wierzchu dłoni. - Czy dostałaś mój liścik?

- Ach, tak! Dostałam go i przepraszam, ale byłam tak strasznie zajęta, nie miałam nawet czasu, żeby do pani zadzwonić. Jeff i Brian przyjechali do domu na Święto Dziękczynienia, zajmuję się mamą i robimy razem mnóstwo rzeczy... Dom, obowiązki, wie pani, jak to jest...

- Nie miałam zamiaru zmuszać cię do czegokolwiek. Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz do mnie wpaść, zjeść ze mną spaghetti z sosem pomidorowym i opowiedzieć o swoich kłopotach.

Dzwonki nad drzwiami sklepu głośno się rozdzwięczały i mama wyszła z torbą w ręce.

- Mam piękne nowe mokasyny - oznajmiła i ciężko opadła w fotelu. - Dzień dobry pani! - dodała po chwili, spojrzawszy na panią Forburg.

- Miło mi panią widzieć, pani Gulden.

Mama wyjęła z torby pudełko z butami i pokazała nam swój nabytek z lśniącej cielejącej skóry z ozdobnym wiązaniem. Zaraz potem poprosiła, żebym się przyjrzała obcasom w czarnych płaskich czółenkach, które miała na sobie, przekonując, że już się starły z tyłu. Zrobiła z tego całe przedstawienie. Po spojrzeniu pani Forburg zorientowałam się, że ona także się na tym poznała i zrozumiała, o co naprawdę chodzi. Takim samym spojrzeniem obdarzyła mnie przed kilkoma laty, kiedy mi postawiła słabszy stopień z wypracowania, w którym ostro skrytykowałam Charlotte Brontë, opierając się na opinii mego ojca. „Na przyszły raz, Ellen, proszę, żebyś wyrażała własne poglądy” - powiedziała cicho tamtego dnia. Ta uwaga wtedy mnie nie dotknęła, ponieważ w jej szarych oczach dojrzałam współczucie, a w głosie usłyszałam pewien szczególny ton, który zabrzmiał także teraz. Pani Forburg chyba wiele widziała i rozumiała.

Była ulubioną nauczycielką nie tylko moją, ale także Jeffa i Briana, chociaż żaden z nich nie był tak zafascynowany angielską literaturą jak ja. Pani Forburg zręcznie sterowała moimi zainteresowaniami i dawała wskazówki, jakie wybierać tematy z anglosaskiej poezji i prozy. Łagodnie i wyrozumiale redagowała moje wiersze, całkiem nawet zmyślne i dojrzałe, choć nie płynęły z głębi uczuć. Na ostatnim roku zachęcała mnie także do pisania dziennika, chociaż sądzę, że się domyślała, iż to, co ode mnie dostanie, będzie oczyszczoną z niepożądanych elementów wersją mego życia.

- Nadal uważam panią Forburg za najlepszą nauczycielkę angielskiego, jaką kiedykolwiek miałam - oznajmiłam mojej rodzinie pewnego wieczoru w czasie ferii, które spędzałam w domu, a byłam wtedy na ostatnim roku w college'u.

- Z tego wynika, że wybrałaś niewłaściwe studia w Harvardzie - powiedział oschle mój ojciec.

Tak mnie tym zaszokował, że zamilkłam, lecz mama nie dała za wygraną.

- Jesteś po prostu zazdrosny, Gen - stwierdziła prosto z mostu.

- Zazdrosny? Co przez to rozumiesz?

- A to, że Ellen może mieć więcej nauczycieli, nie tylko ciebie jednego. - Mówiąc to, nie patrzyła na niego. Usłyszeliśmy ostry dźwięk szurania, gdy tata gwałtownym ruchem odsunął swoje krzesło.

- Nie doceniasz mnie, Katherine! - rzucił ze złością.

Na chodniku przed sklepem z butami mama uśmiechnęła się do pani Forburg i wzięła ją za rękę.

- Zaprosiłam Ellen na kolację, pani Gulden - powiedziała moja nauczycielka. - Chciałabym odnowić naszą znajomość. Czy to w jakiś sposób może skomplikować pani życie?

- Absolutnie nie. Ellen cały czas siedzi ze mną w domu i robi się przez to nerwowa, ale za skarby się do tego nie przyzna. Skłonię ją, żeby do pani zadzwoniła i umówiła się.

Pożegnaliśmy się z panią Forburg i ruszyliśmy w dalszą wędrówkę po mieście.

- Nie wiedziałam, że potrzebujesz nowych butów - powiedziałam.

- Bo nie potrzebuję - odparła mama.

Miałyśmy bardzo zajęte popołudnie. Kiedy na chwilę zatrzymałyśmy się w sklepie pana Phelps, ten objął mamę i kołysał nią, a oczy lśniły mu od łez.

- Proszę się nade mną tak nie roztkliwiać - szepnęła mama i serdecznie się do niego uśmiechnęła.

Po chwili pan Phelps przypomniał sobie, że ma do mamy interes. Podał jej nazwisko i numer telefonu pewnej młodej matki, która w sklepie radziła się go, jak ozdobić kołyskę. Chciała za pomocą szablonu nanieść deseń w kwiaty, nie wiedziała jednak, jak się do tego zabrać.

- Od razu pomyślałem, że najlepiej by było, gdyby mogła porozmawiać o tym z panią, lecz nie miałem pewności, czy pani się zgodzi - wyznał pan Phelps.

- Zadzwoń do niej zaraz po powrocie do domu - obiecała mama.

W księgarni oboje państwo Duane'owie wyszli do nas, by pomóc w wyborze lektury; gdy szukałam odpowiedniej książki, zauważyłam, że pani Duane wrzuciła do naszej torby z zakupami jedną z tych modnych teraz makabrycznych powieści. Na jej okładce widniała kobieta w krynolinie, która - sądząc z wyrazu twarzy - była poddawana torturom. Żony dwóch pracowników naukowych podeszły do mamy i zachwyciły się jej wyglądem. Mama się przechyliła i zorientowałam się, że chce porozmawiać z dziećmi tych pań. Dwoje z nich to były maluchy, ale trzecia dziewczynka, szczupła i wyrosnięta - mogła mieć osiem lub dziewięć lat - patrzyła na mamę dziwnym wzrokiem. Może pamiętała, że jej rodzice szeptem wymieniali uwagi na temat strasznego nieszczęścia, jakie spotkało Kate Gulden. „Taka młoda... żona George'a... to straszne...” - ubolewali. Pewna pani, która mieszkała niedaleko nas, próbowała mamę namówić na homeopatię i leczenie ziołami, ale mama tylko się uśmiechnęła.

- Nie teraz, Frances - powiedziała.

W drodze powrotnej do domu kupiłyśmy sobie lody w rożkach. Pchałam fotel jedną ręką, bo w drugiej trzymałam wafel i lizałam lody.

- Cieszę się, że tak ładnie wyglądałaś - powiedziałam mamie. - Czułam się jak w końcowej scenie filmu *Wspaniałe życie* z Jamesem Stewartem.

- Oni mi po prostu współczują - stwierdziła mama.

- Nie mów tak! Wcale nie o to im chodziło, wszyscy byli radzi, że cię widzą, bo cię lubią.

- Wiem. Tylko że do tej pory jakoś sobie tego nie uświadamiali, dopiero teraz...

- To straszne! - wyrwało mi się.

- Nie osądzaj ludzi, Ellen, bo ludzie są różni i rozmaicie się zachowują. Raz cię obejmują i całują, a drugim razem tego nie robią. Czasem pewnych rzeczy nie wyczuwają; po prostu tacy są.

- Kogo masz na myśli? - spytałam przerażona.

- Na przykład taka była moja matka. Cierpiała biedę w dzieciństwie i w ogóle ciężko jej się żyło. Nie wiem dokładnie, dlaczego wyszła za mąż za twego dziadka, ale na pewno nie z miłości. W każdym razie ani ty, ani ja nie uważałybyśmy tego za miłość. Myślę, że jej serce zaszuszyło się i już nic nie mogło go ożywić. Jeśli mama w ogóle kogoś kochała, to tylko mego brata, i wiadomo, czym to się skończyło. Pozostała jej po nim jedynie złożona w trójkąt flaga, której nigdy nie rozwinęła, oraz „wykreskowane” miękkim ołówkiem i odbite na papierze litery jego nazwiska umieszczonego na pomniku ku czci poległych w Wietnamie. Siostrzeniec mamy, będąc w Waszyngtonie, „wykreskował” je i przysłał nam odbitkę.

Skreśliłam fotelem w wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę prowadzącą do naszych drzwi frontowych. Nigdy ich nie używamy, bo wchodzimy od kuchni, ale tam musiałabym sforsować aż sześć stopni, a tu tylko trzy na ganek i przez płaski próg do holu.

- Wydaje mi się, że już czas odnowić dom z zewnątrz - zauważyła mama, gdy obszedłszy fotel, stanęłam naprzeciw niej i pomogłam jej wysiąść.

Wyciągnęła ramiona, żebym ją podniosła, a ja objęłam ją obiema rękami. Mama mocno się do mnie przytuliła i wtedy stwierdziłam, że jej ciało to skóra i kości. Mogłam się też przekonać, jaka jest teraz lekka. Jej żebra wydały mi się wystające i niezwykle kruche.

- Dzięki za pomoc, Ellie! - powiedziała.

- W przyszłą sobotę znowu się wybierzemy do miasta - obiecałam. - Będziesz sobie mogła kupić jeszcze jedną parę butów. Ludzie tak się cieszą, gdy cię widzą.

- A ja się cieszę, że już jestem w domu. Czuję się bardzo zmęczona. Pójdę na górę i położę się do łóżka, ale najpierw muszę się napić herbaty. - Razem przeszliśmy do holu. - Sama ją zaparzę - uprzedziła mnie.

- Chcesz tabletkę?

- Wezmę ją sobie... Ellen?! - zawołała po chwili.

- Słucham? - spytałam, wciągając fotel tyłem po schodach.

- Proszę cię, zadzwoń do pani Forburg i umów się na kolację u niej. - Potem skierowała się do kuchni. Szła powoli, macając ścianę opuszkami palców, które wyglądały jak małe bladeżółte pajęczki ruszające się po tapecie. Pomyślałam, że mama zachowuje się jak niewidoma.

Położyłam się na kanapce i od razu usnęłam; byłam tym popołudniem zmęczona tak samo jak ona. Kiedy się zbudziłam, widziałam światła uliczne bursztynowo przeświecające przez ażurowe zasłony w salonie i słyszałam mamę hałasującą w kuchni. Wyobraziłam sobie przez chwilę, że mama zasiadła przy dębowym stole i ma znowu krągłe, pełne ramiona, gładką, lekko zaróżowioną skórę i pogodne oczy, takie jak przed sześcioma miesiącami.

- Zaraz pani powiem, co jest najważniejsze i o czym musi pani pamiętać - usłyszałam, jak mówi autorytatywnie. Takim samym tonem zwróciła się kiedyś do mnie: „Ellen! Nie możesz włożyć tej sukienki, gdy idziesz się bawić na podwórku u Buckleyów”.

- Zanim zaczniesz pani malować - kontynuowała - musi pani usunąć prawie całą farbę z pędzla. Pędzel musi być niemal suchy, w żadnym razie nie może być mokry. - A potem zapytała: - Więc to już pewne, że będzie dziewczynka? Ach, to cudownie! Ja też mam córkę, ale niech pani sobie wyobrazi, że moja córka ma już dwadzieścia cztery lata... tak... no cóż... Ach, wiem, ale do tego można się przyzwyczaić. Tak? To świetnie. Jaki deseń pani wybrała?

Domyśliłam się, że mama rozmawiała przez telefon z panią, która za pomocą szablonu miała wymalować kwiaty na kołysce. Zagapiłam się na uliczną lampę i zdawało mi się, że widzę płatki śniegu spadające na osłonę żarówki. „Clair Belknap niech lepiej uważa na swoje róże - pomyślałam - a Ellie Gulden niech natrze woskiem płozy swoich sanek. Sanki Ellie Gulden wciąż jeszcze stoją w garażu. Ten model nosił nazwę Flexible Flyer, a na poprzeczce nadal widnieje czerwoną farbą wypisane jej imię. Obok stoją sanki Jeffa Guldena i Briana Guldena”.

To mama wymalowała nasze imiona na sankach. Ojciec nigdy nie pomagał nam w zjeżdżaniu z pagórka w parku River View ani nie wciągał nas na górę. W college'u też nikt się nie interesował sankami. Każdy po wygramoleniu się z łóżka szedł prosto do sali wykładowej. Nie miał wolnych weekendów ktoś, kto chciał być szefem wydziału, a tym bardziej ten, który już nim został.

Pamiętam doskonale, że mama stała u stóp pagórka, tam gdzie były wyboje - wgłębienie, a potem wzniesienie - i krzyczała do nas, żebyśmy uważali. Miała głęboko naciągniętą czapkę, spod której widać było tylko oczy, nos i usta.

- Nie tak szybko! - ostrzegała. - Trochę zwolnijcie! O mój Boże, Jeffrey, jedź ostrożniej, bo dostanę ataku serca! - Całe życie przesunęło mi się w myślach, jakbym widziała żywe obrazy. Jaka szkoda - żałowałam - że wtedy, kiedy to wszystko się działo, tak wiele rzeczy nam umknęło: jedne ukrywaliśmy, innych nie zrobiliśmy lub je przemilczeliśmy... Przypomniałam sobie, że na tym wzgórzu Jeff złamał rękę. Mama, nie namyślając się długo, wzięła farby i wymalowała mu temperą kolorowego żołnierzyka na całej długości gipsu. Nie sprawiła mu tym radości: Jeff się tego wstydził.

W pewnej chwili usłyszałam, że ojciec wchodzi przez kuchenne drzwi do domu, i zaraz potem radosne słowa mamy:

- George! Tak wcześnie!

Powitanie to bardzo przypominało równie radosny, choć nieco zdziwiony okrzyk, jaki wydała, gdy przyjechałam z Nowego Jorku: „Ellie, wróciłaś do domu?!!!”

- Wyjdź na dwór i zobacz śnieg! - ojciec zaproponował mamie.

- Spadł śnieg? - zdumiała się.

- Tak, niewielki. - Potem drzwi do kuchni znowu się otworzyły i z trzaskiem zamknęły, a ja poszłam spać i nic więcej nie słyszałam. Rano już nie było śniegu, został tylko w pamięci mamy.

- Śnieżynka wpadła mi do ust. Poczułam ją na języku - wspominała przy śniadaniu i położyła dłoń na ręce ojca. - To było piękne.

- Tak, w rzeczy samej - powiedział i odwzajemnił jej uśmiech.

* * *

„Nikt nie wie, co się dzieje w małżeństwie, z wyjątkiem tych dwojga, którzy je tworzą”. Ten przeczytany kiedyś aforyzm na dobre mi utkwiał w pamięci, choć teraz sędzę, że nie oddaje prawdy. Uważam, że dwoje ludzi, nawet długie lata żyjąc ze sobą, inaczej postrzega rzeczy i czego innego od życia oczekuje. Przeczytałam też kiedyś, że socjologowie, którzy przeprowadzili wywiady ze znaczącą liczbą małżeństw, przekonali się, że małżonkowie miewają różne poglądy na każdy temat - od ulubionego deseru poczynając, a na preferowanych pozycjach w seksie kończąc.

Nieraz się zastanawiam, czy mam wystarczające życiowe doświadczenie, by wyciągać jakieś daleko idące wnioski z książek czy artykułów naukowych, które przeczytałam.

Z własnego doświadczenia wiem, że najmniej zdolne do właściwej oceny małżeństwa są zrodzone w nim dzieci. Kształtujemy nasze dzieci dla własnych potrzeb, tak jak nam wygodnie, i chcemy, żeby wybaczały nam błędy wynikające z obawy, że moglibyśmy stać się zbyt zbyteczni lub przeciwnie - niezbędni. Pamiętam, jak wielką poczułam ulgę, gdy po raz pierwszy zetknęłam się z pojęciem „kompleks Edypa” i dowiedziałam się, że trójkąt: tata, mama i ja, w jakim zdawałam się tkwić, jest dość powszechnym zjawiskiem.

Kiedy tej zimy miałam okazję dzień w dzień obserwować oboje rodziców razem, trudno mi było powiedzieć, czy ich wzajemny stosunek się zmienił, czy też ja go odbieram w inny sposób, gdyż dopiero teraz mogłam lepiej przyjrzeć się ojcu.

Pewnego dnia na początku grudnia tata zaprosił mnie na lunch do „Steakhouse”*. Był to ciemnawy i nieco pretensjonalny lokal, położony na uboczu, kawałek drogi od kampusu. Pomyślałam, że świetnie nadawałby się na jakieś sekretne spotkanie czy schadzkę.

* Steakhouse - restauracja, której specjalnością są befsztyki.

- Często tu bywasz? - spytałam ojca, kiedy kelner przyniósł nam drinki i poprowadził do baru sałatkowego.

- Normalnie jestem zbyt zajęty, żeby chodzić na lunch. Jem przy biurku podczas pracy.

- Tym bardziej schlebia mi twoje zaproszenie - powiedziałam.

- Mam do ciebie kilka spraw, Ellen, dlatego poprosiłem cię, żebyśmy się tu spotkali. Po pierwsze chciałbym się dowiedzieć, dlaczego jesteś tak wrogo do mnie nastawiona. Wiem, że sytuacji, w jakiej znalazła się nasza rodzina, nie można nazwać optymalną dla żadnego z nas, ale ty i mama jakoś się dogadujecie. Jednak z przykrością stwierdzam, że z twojej strony spotykam się z chłodem czy nawet jawną niechęcią, gdy tylko wchodzę do domu.

- Daj jakiś przykład tego, o czym mówisz! - zażądałam.

- Na miłość boską, przecież nie walczymy na argumenty! Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Może potrzebujesz jakiejś pomocy? Może powinienem wynająć pielęgniarkę?

- Przecież twierdziłeś, że to nie pielęgniarka się mną zajmowała, gdy chorowałam na wietrzną ospę...

- Ale tym razem nie chodzi o ospę wietrzną i nie wiem, po co ten sarkazm. Masz ochotę na sałatę?

- Jeśli sałata jest lodowa, a groszek z puszki, to dziękuję, ale nie.

- Na pewno takie właśnie tu podają.

Kelner przyjął od nas zamówienie, a potem zapanowała długa cisza. Przerzywały ją tylko odgłosy z kuchni, w której ktoś rzucał garnkami i naczyniami, jakby w napadzie złości, choć mógł to być także jakiś wyjątkowy niezgrabiasz. Znajomy ojca z uczelni zatrzymał się przy naszym stoliku, by się przywitać.

- Posłuchaj mnie, tato - powiedziałam. - Nie chcę z tobą walczyć. Żyję pod presją i nie chcę jeszcze dodatkowych nacisków z twojej strony. Jakoś sobie radzę, i tak mija mi dzień po dniu.

- Doskonale to rozumiem, Ellen, ale faktem jest, że ilekroć mówimy o trudnej sytuacji w rodzinie, bierzemy pod uwagę głównie ciebie: jak się czujesz, jaka jesteś nieszczęśliwa, i w ogóle. Myślę, że czas zastanowić się nad twoją matką. Trzeba, żebyś miała dla niej więcej zrozumienia. Spróbuj postawić się w jej położeniu.

- Wiem, o co ci chodzi, tato. To, o czym mówisz, nazywa się empatią, ale jest to jedna z tych rzeczy, których się nigdy nie nauczyłam, a prawdę mówiąc, ty mnie tego nie nauczyłeś.

- Naucz się teraz! - rzucił rozkazująco.

- A ty? - spytałam. - Gdzie jest twoja empatia?

- Już ci kiedyś wyjaśniałem...

- Nie chcę słyszeć o tym, że musisz spłacać dług hipoteczny. College da ci urlop, kiedy tylko zażadasz. Przecież miałeś już roczne przerwy, żeby pisać książki. Jestem pewna, że mógłbyś i teraz wziąć urlop i wywiązać się z najważniejszego zadania, jakie ci kiedykolwiek postawiono w całym twoim cholernym życiu!

- Proszę, żebyś się hamowała i ściszyła głos.

- Mam to gdzieś, tato. Uważam, że ja mam rację, a nie ty. Wiem, że mama pragnie, żebyś był z nią.

- Czy ci to powiedziała?

- Nie musi mi tego mówić. I nie powinna czuć się zmuszana, żeby tobie o tym mówić. Wczoraj siedziała przez dwadzieścia minut na krześle i trzymała na kolanach ten cholerny wieniec bożonarodzeniowy. Była bezradna. Wciąż go macała jak niewidoma, jakby cały sens życia zawierał się w tych szyszkach, które drucikami przymocowywała do wieńca. Pomyślałam, że sama go zawieszę na drzwiach wejściowych i spytałam jej, czy nie potrzebuje pomocy, a ona mi na to: „Prawda, że piękny jest ten wieniec?” Czasem idzie do swego pokoju i mówi, że się położy spać, a tymczasem siedzi tam i przegląda wszystkie pudła, w których od lat gromadzi różne pamiątki: nasze wyróżnienia w zawodach pływackich, obrazki, które malowaliśmy jako dzieci, i świadectwa szkolne z czasów, gdy sama chodziła do liceum. Nic tylko siedzi i pa-

trzy... Dlaczego musi spędzać czas sama i patrzeć na pamiątki swego życia, kiedy mogłaby i teraz przeżyć coś prawdziwego. Dlaczego musi samotnie wyczarowywać wspomnienia o waszym dawnym życiu, zamiast mieć ciebie przy sobie. W tym domu wszystko się zmieniło. Nic nie jest takie samo, jak było - poczynając od mojej empatii, a na jej agonii kończąc... Ty jednak nic o tym nie wiesz i zachowujesz się tak, jakby nasze życie toczyło się normalnym torem. Tak nie jest. Życie, jakie znaliśmy, już minęło, przeszło, skończyło się...

Ojciec zajęty krojeniem krwawego befsztyka nie patrzył na mnie.

- Czy dajesz jej morfinę? - spytał po dłuższym milczeniu.

- Tak i będę jej dawała coraz więcej i więcej. Jeśli się okaże, że tabletki nie wystarczą, otrzymam małą pompkę, a ta dostarczy morfinę bezpośrednio do kateteru wszytego pod skórą na klatce piersiowej mamy. Ale nie jestem w stanie zastąpić mamie ciebie, aby uśmierzyć ból, który tkwi w jej duszy. Moja przydatność dla niej jest ograniczona. Ona wciąż myśli, że powinna mnie ochraniać czy traktować jak dziecko, ale nade wszystko pragnie być z tobą, swoim mężem.

Ojciec wpatrywał się w jedzenie na talerzu, które skomponował w swoistą martwą naturę: cząstka białego pieczonego ziemniaka i czerwony kawałek mięsa, jeszcze jedna taka porcja i jeszcze jedna... Układał te kolorowe kęsy w dziwne wzory, co wyglądało, jakby grał w szachy ze swoim lunchem. Krojąc i układając mięso i ziemniaki, mówił powoli i oczywiście nie mógł jeść, chyba że przestałby mówić. Ale nie przestał, dopóki nie skończył...

- Czasem wspominam dzień, kiedy pierwszy raz zobaczyłem twoją mamę w Columbii. Pamiętam, jaka była żądna i ciekawa życia. Pragnęła wszystko zobaczyć, wszystkiego się dowiedzieć i wszystko zrozumieć... Pewnie zdajesz sobie z tego sprawę, bo przecież znasz ją na tyle dobrze, by wiedzieć, jaka jest. Chciała wszystko pojąć, ale nie tak jak studenci, którzy zdobywając wiedzę, muszą najpierw uporządkować swoje wiadomości, zanalizować, zinterpretować, a potem mogą, gdy trzeba, odrzucić je albo gruntownie sobie przyswoić. Ona, zdaje mi się, pragnęła po prostu tę wiedzę... - przerwał i krojąc mięso, szukał właściwego słowa - ...wchłonąć i wessać w siebie. Miała w sobie tyle życia... Gdy się dotknęło jej policzka, zawsze był ciepły. I ona też była ciepła... i wciąż jest. Niewiele się zmieniła przez te wszystkie lata. Nadal jest w niej ta... ta zachłanność na wiedzę. I czasem się zastanawiam, co się z tym stanie, gdzie się to wszystko podzieje. Wydaje mi się niemożliwe, że ona po prostu zgaśnie jak światło. Cała literatura obraca się wokół tej wielkiej tajemnicy, jaką jest śmierć i śmiertelność, ale teraz odnoszę wrażenie, że jednak nie o to chodzi.

Tata spojrział na mnie, trzymając widelec wysoko w powietrzu jak broń albo znak poddania się.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że to światło gaśnie...

- Mówisz o niej, jakby już nie żyła - zauważyłam. W jego spojrzeniu widziałam zażenowanie i smutek; przypominały mi oczy chorego zwierzęcia.

- Znałem ją całe moje życie - szepnął.

- Ja też.

- Tak - zgodził się. - To chyba jest jeszcze bardziej prawdziwe, gdy chodzi o was, o dzieci. Ale wy będziecie mieli własne życie. Natomiast ja z trudem mogę sobie wyobrazić, co będę robił bez waszej matki.

Potem powrócił do jedzenia. Jadł powoli, ze smakiem, jakby uspokojony, że ma już za sobą ogromnie wyczerpujące zadanie. Kiedy skończył jeść, znowu na mnie spojrział. Uniesione brwi nadawały jego twarzy ironiczny wyraz, jaki miał na co dzień. Był sobą.

- Kończę ten monolog - oznajmił. - Ale nie mogę się pogodzić z myślą, że ona tak bardzo cierpi. Czasem słyszę w nocy, że całymi godzinami nie śpi, bo ból jej nie daje.

- Tym mogę się zająć - zapewniłam i westchnęłam. „Chyba powiedziałam mu to, co chciał usłyszeć” - pomyślałam.

- Postaram się stworzyć mamie więcej okazji, żeby mogła się swobodnie wypowiadać.

- Ależ, tato, nie chodzi o to, że brak jej możliwości wypowiedzania się. Gdyby miała taką potrzebę, wysłałabym ją do tego doktora od świrów, którego poleciła doktor Cohn. Mama potrzebuje ciebie: chce, żebyś ty do niej mówił i żebyś ty jej wysłuchał. Oczekuje od ciebie sygnału, że może z tobą rozmawiać, zwierzyć się, otworzyć się przed tobą. Opowiedz jej o swoich odczuciach, tak jak mówiłeś to mnie.

- Twoja mama doskonale o tym wie.

- Czasem ludzie chcą, by prawdy, które znają, zostały wypowiedziane na głos; dopiero wtedy stają się dla nich wiarygodne - tłumaczyłam.

Przynieśli nam kawę; była gorzka i letnia. Niespodziewanie zjawiała się sekretarka z wydziału anglistyki. Pochyliła się nad naszym stolikiem i powiedziała, że mając takich rodziców, mogę się uważać za bardzo szczęśliwą. Mrugnęła porozumiewawczo do taty, a oddalwszy się, jeszcze mu pomachała dłonią. Gdy w końcu zniknęła w ciemnym kącie restauracji, pomyślałam, że może ona też spała z moim ojcem. Na deser podano sernik. Był przesłodzony i miał konsystencję zaprawy murarskiej. Przypomniało mi się, że muszę kupić sznury białych lampek, by ozdobić na święta krzaki azalii rosnące wokół ganku, a ponadto kupić mleko i jakiś płyn do czyszczenia muszli klozetowej. Niechcący oblałam się kawą i splamiłam przód swetra. Na szczęście mama nauczyła mnie, jak oczyszczoną sodą wywabić plamy z kawy.

- Sądzę, że powinniśmy zacząć się zastanawiać, jaki jej urządzimy pogrzeb - powiedział ojciec.

- Tato! - odparłam. - Za dużo ode mnie żądasz; jak zawsze zbyt wiele po mnie oczekujesz.

Poszłam do toalety, a kiedy wróciłam, on kończył kawę i rozmawiał ze znajomym z uczelni.

- Muszę już iść! - rzuciłam i wyszłam, kierując się do pobliskiego centrum handlowego.

* * *

Kiedy dotarłam do domu, matka spała na kanapce w salonie. Usta miała otwarte i trzepotała powiekami, jakby ją ktoś we śnie gonił. Usiadłam w kuchni przy stole; zauważyłam, że leżą na nim małe kartki, na których mama zapisała różne uwagi. Na jednej zanotowała: „światła do przybrania krzaków”. Sprawę już załatwiłam, więc kartkę z czystym sumieniem wyrzuciłam. Na stole były także szablony do malowania: konie na biegunach i kwiaty. Zadzwoiłam do doktor Cohn do szpitala i dowiedziałam się od pielęgniarki,

że w aptece Sellingera zostawiono dla mnie nową receptę. Później wróciłam jeszcze do notatek mamy: „kupić prezenty świąteczne dla J. i B.". Zaczęłam się zastanawiać, jak się z tym wszystkim uporamy, i wtedy zadzwonił telefon.

- Ellen - zapytała doktor Cohn bez ogródek - powiedz, jak sobie radzisz z dozowaniem morfiny? Jak często chwyta ją ostre, przenikające bóle?

- Przez pierwszą godzinę po podaniu morfiny nie działa - powiedziałam. - W drugiej i trzeciej godzinie mama czuje się wyśmienicie; w czwartej i piątej - drzemie. Gdzieś około szóstej godziny znowu zaczyna narzekać na bóle krzyża. Nieraz nie przestrzegam wyznaczonego czasu i już wtedy daję jej tabletkę.

- Dobrze. Rób tak dalej. Może uda się utrzymać ją w dobrym stanie, a może nawet zmniejszyć dawki leków uśmierzających, chociaż to zależy od rozwoju choroby. Upewnij się, czy Kate zawsze zażywa lekarstwo razem ze środkiem przeczyszczającym. A co powiesz o stanie jej ducha?

- To zależy... Teraz przeważnie bywa spokojna i zamyślona.

- A czy nadal stara się przekonać innych do swoich racji?

- O, tak! - Wzięłam do ręki szablon z koźmi na biegunach. - Nawet przez telefon daję ludziom rady, jak malować za pomocą szablonu.

Doktor Cohn się roześmiała. Zaskoczył mnie jej głęboki, gardłowy śmiech.

- Zdumiewa mnie twoja matka. Jest godna podziwu.

- Też tak uważam - potwierdziłam, trzymając dłoń przy ustach, żeby nie wydostało się z nich łkanie.

- Ellen?

- W porządku, pani doktor. Nic mi nie jest.

- Chciałabym ci przysłać pielęgniarkę do pomocy. Przychodziłaby raz na tydzień, mierzyła mamie ciśnienie, osłuchiwała serce, a także pilnowała, żeby kateter był w dobrym stanie, bo będziemy go później potrzebowały do morfiny. Dzięki pielęgniarce zyskasz trochę czasu dla siebie, będziesz mogła odpocząć i wyjść z domu; ona pomoże twojej mamie w kąpaniu się i ubieraniu.

- Mama sama się kąpie i ubiera.

- Ale przyda jej się ktoś do obsługi.

- Nie chciałabym żadnej pielęgniarki - próbowałam oponować.

- Nalegam.

- Wołałabym nie...

- Zgłosi się w poniedziałek.

- Ellie?! - zawołała mama z salonu.

- Przepraszam, ale muszę się rozłączyć. Receptę odbiorę później. Dziękuję za pomoc, pani doktor!

Siedziałam przy stole, patrzyłam na leżący przede mną czysty arkusz papieru i zaczęłam wypisywać na nim jedno słowo: morfina, morfina, morfina... Zapisałam w ten sposób całą kartkę. Nagle znowu zadzwonił telefon.

- El? - upewnił się Jonathan. - Zgadnij, co się stało? Dostałem pracę.

Jonathan złożył podanie do Okręgowej Prokuratury na Manhattanie o przyjęcie na praktykę wakacyjną. Ubrał się elegancko: włożył szary garnitur z dwurzędową marynarką i czerwony krawat i poszedł na rozmowę z przyszłym szefem. Było to w środę przed Świętem Dziękczynienia. Dostał pracę i wydawał się bardziej niż ja zaskoczony szczęściem, jakie go spotkało.

- Wynajmiemy sobie na początek kawalerkę w centrum, w pobliżu twego dawnego miejsca zamieszkania. Mnie ten punkt bardzo odpowiada, a ty, będąc ze mną, będziesz mogła rozejrzeć się za jakimś stałym lokum. Jedna z dziewczyn na prawie mówi, że zna asystenta na nowojorskim uniwersytecie, który ma dwupokojowy apartament na Mac Dougal. Ten facet podobno planuje wziąć roczny urlop naukowy. Może uda mi się nawet napisać tam jakiś artykuł i zamieścić w którymś czasopiśmie. - Od czasu do czasu Jonathan groził, że coś napisze, żeby pokazać, że jest co najmniej tak dobry jak ja, choć ja wcale w to nie wątpiłam. - Ale mogłabyś też popytać Jules, czy ona nie wie o jakimś mieszkaniu albo czy nie mogłaby się za czymś takim rozejrzeć. Jules na pewno zna kogoś, kto wyjeżdża na lato i chciałby swoją chałupę wynająć, albo kogoś, kto szuka lokatora, żeby zaopiekował się kotem czy czymś w tym rodzaju... Jestem taki przejęty tą praktyką - plółtł dalej. - Wprawdzie płacę gówniane pieniądze, ale dzięki tej pracy zdobędę kontakty i w ogóle to jest coś, co się potem będzie liczyło w życiorysie... Nie wątpię, że urządzimy się wspólnie, nawet jeśli apartament okaże się norą.

- To świetnie, Jon...

- Będziemy wspólnie świętować Boże Narodzenie. Mój ojciec będzie zachwycony. On uwielbia takie okazje. I widzisz, praca, jaką otrzymałem, jest doskonałą odskocznią, szansą, że gdy zostanę adwokatem, będę mógł się zatrudnić w nowojorskiej policji.

- To świetnie.

Jon chwilę pomilczał i w końcu spytał:

- A co u ciebie? Wszystko w porządku?

- Właśnie obliczam dawki morfiny dla mamy. Byłam na lunchu z ojcem. Chciał omówić ze mną sprawę pogrzebu, ale zanim się zdecydował, czy ma to być normalny pochówek, czy kremacja, wyszłam, aby kupić płyn do czyszczenia muszli klozetowej. Czytam teraz *Annę Kareninę* i po cichu podejrzewam, że Anna zdecyduje się zostać przy swoim mężu. Czekaloby ją wtedy marne życie... Jon milczał.

- Cieszę się, że ci się powiodło, Jon.

- Więc jak? Wynajmujemy mieszkanie?

- Nie ma mowy, żebyśmy teraz mogła wyjechać z domu.

- Ale mówię o czerwcu, El.

Oboje długo milczeliśmy. Potem wybuchłam:

- Posłuchaj, Jon! Nie mogę myśleć o mieszkaniu, zakładając, że do tego czasu pozbędę się mamy i będę mogła spędzić lato w łóżku z tobą.

- Nie to miałem na myśli.

- Właśnie że to. Myślałeś sobie w duchu: „No dobrze, pani Gulden do lata umrze, a wtedy będę mógł płacić za czynsz do spółki z Ellen i przy okazji się z nią przesypiać”.

- Wiesz, jaki stąd wniosek? Na drugi raz, jak zechcę się podzielić dobrymi wiadomościami, zadzwonię do kogoś innego.

- A wiesz, jaki jest mój wniosek? Że postąpisz słusznie, bo dobre wiadomości są dla mnie w tej chwili pozbawione jakiegokolwiek sensu. - Nie pamiętam, które z nas pierwsze odłożyło słuchawkę, ale wiem, że to ja płakałam. Spędziłam z Jonathanem niemal jedną trzecią życia, ale wszystko się skończyło, gdy postanowił wynająć wspólne mieszkanie. W każdym razie tak to będę relacjonowała, gdy o tej rozmowie opowiem Jules w sposób zabawny i nieco nonszalancki. Myślałam, że będę wściekła, że poczuje się porzucona ze złamanym sercem, ale emocje tego rodzaju wydawały się takim samym luksusem jak długi gorący prysznic albo kąpiel w bąbelkach, na co nie mogłam sobie pozwolić.

Usłyszałam szuranie nogami, podniosłam oczy i zobaczyłam mamę opierającą się o futrynę drzwi. Włożyła na siebie moje stare legginsy i ojca koszulę, której dolna partia ciasno się opinała na rozdętym brzuchu. Przez krótki moment pomyślałam: „Zrujnowałaś mi życie swoim kompletnym brakiem egoizmu, tą łatwością przystosowania się, cholernymi złudzeniami, twoim cholernym mężem i w końcu twoją cholerną śmiercią”. Może cień tych ponurych myśli padł na moją twarz, bo głos mamy zabrzmiał smutnie i niemal dziecięco.

- Potrzebuję tabletki, Ellen - powiedziała. Było coś jękliwego w jej głosie.

Podaliśmy jej fiolkę.

- Co ja bym zrobiła bez tego leku? - szepnęła i wyjęła pigułkę. Przechyliła głowę do tyłu, a jej gardło poruszało się jak u ptaka pijącego wodę z kałuży. - Jestem taka zmęczona - westchnęła. - Chciałabym się napić herbaty.

- Zaraz ci zaparzę.

- Będę wdzięczna - dodała, wracając do salonu.

Postawiłam czajnik na gazie i działając jak automat, włożyłam chleb do tosterka, w małej miseczce zmieszałam cukier z cynamonem i wyjęłam z lodówki maselnickę. Kiedy spojrzałam na piękną tacę z laki, miałam uczucie, jakbym zbudziła się ze snu, bo na tacy stał dzbanek herbaty i talerz z dwoma trójkątnymi kawałkami tostu cynamonowego. Całkiem bezwiednie zrobiłam taką właśnie przekąskę, jaką zawsze przygotowywała mama, gdy wracaliśmy do domu z sanek, z zabaw na śniegu czy z jazdy na łyżwach.

Ostrożnie zaniiosłam tacę z przekąskami do salonu i postawiłam na stoliku. W pokoju było szaro. Mama spała na kanapce, chrapliwie oddychała, oczy miała głęboko zapadnięte, jedną dłoń trzymała przy twarzy, jakby chciała ją zasłonić.

- Mamo! - szepnęłam, ale jedyną odpowiedzią było wzmożone rżenie. Usiadłam obok na kanapie, wypilałam herbatę i zjadłam tosty. Miałam dziwne wrażenie, jakby cały dom dyszał wraz z mamą. Czulałam, że tworzę z nią tandem, w którym razem oddychamy i razem umieramy, zespalając ciała i dusze. Wiatr siekł w okna, potrząsając szybami w metalowych ramach. Przywiany liść drżał, leżąc na kamiennej obmurówce kominka. Szybciutko odniosłam tacę do kuchni i wróciłam do salonu, by siedzieć przy niej i patrzeć, jak śpi.

* * *

Do poniedziałku rana całkiem zapomniałam o telefonie od doktor Cohn. Pamiętałam tylko to, co mówiła o morfinie. W trzy lub cztery godziny po jej zażyciu matka znów jęczała z bólu, chwilami zawożdżąc, jakby była płaczką czuwającą przy własnych zwłokach. Ulgę przynosiła zwiększona dawka morfiny i częściej podawana, ale wówczas mama więcej spała. Czasem mówiła sama do siebie; słyszałam jej monotonny głos dochodzący z sypialni. Może czuła potrzebę mówienia na głos o sprawach, o których nikomu innemu nie mogła powiedzieć.

Kiedy zadzwonił dawno niesłyszany dzwonek u drzwi frontowych, byłam poruszona. Pamiętałam jego brzmienie z czasów dzieciństwa: bim-BAM-bim. Teraz rzadko nas odwiedzano. „Wszyscy sądzą, że rak jest zaraźliwy” - skomentowała to mama, mając na myśli swoje przyjaciółki.

Przyznaję, że otworzywszy drzwi, byłam zaskoczona widokiem szczupłej ciemnoskórej kobiety, która stała na progu w jasnoczerwonym żakiecie, z wielką brezentową torbą przewieszoną przez ramię.

- Panna Gulden? - spytała. Jej głos miał nieharmonijne brzmienie przypominające brzęczenie pszczoły. Mówiła z lekkim obcym akcentem. Na tle ciemnej twarzy i włosów jej zęby wydawały się bardzo białe. Z wycięcia żakietu wзираł biały pielęgniarzski fartuch.

- Tak - potwierdziłam i próbowałam ręką ściągnąć włosy do tyłu, bo do tej pory nie miałam czasu szeszać ich szczotką czy spiąć zapinką.

- Jestem Teresa Guerrero - powiedziała, wyciągając rękę. - Mam pomagać pani i pani matce.

Uznałam tę jej deklarację za sprytne pociągnięcie. Zastanawiałam się nawet, czy czasem ci, którzy przygotowują przyszłych pracowników hospicjum, nie uczą ich, jak powinni określać swoją rolę. Pewnie ich instruują: „Nie mówcie chorym, że przychodzicie, by się nimi opiekować. Powiedzcie, że chcecie tylko pomóc zarówno pacjentowi, jak i jego rodzinie. Powinniście utrzymywać status pomocnika i nie zabiegać o kierowanie sprawami. Na to przyjdzie czas później”.

- Muszę pani powiedzieć, pani...

- Guerrero. Jestem z pochodzenia Ekwadorką, ale już od wielu lat mam amerykańskie obywatelstwo.

- Pani Guerrero, przecież oświadczyłam pani doktor Cohn, że nie potrzebuję pomocy. Sama zajmuję się matką.

- Rozumiem panią, ale dzisiaj ograniczę się tylko do poznania pani mamy. Zbadam jej ciśnienie, posłucham serca, sprawdzę, jak oddycha, i nic więcej. Potem pani zdecyduje, czy w ogóle lub w jakim zakresie zechce korzystać z mojej pomocy.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na pielęgniarkę i milczałam. Ona, w odróżnieniu od większości ludzi, nawet nie próbowała przerwać tej ciszy.

- No tak - przyznałam w końcu - ja tego wszystkiego nie potrafię.

- A ja zaraz się tym zajmę.

- Nazywam się Ellen - przedstawiłam się, podświadomie przyjmując sposób mówienia pielęgniarki.

- A ja jestem Teresa.

Cofnęłam się i wpuściłam ją do środka. Mama była w salonie, zajęta wyszywaniem; pracowała nad gobelinową poduszką i właśnie tło w połowie skończyła. Luźna bluzka spadała jej z ramion. Już parę dni temu zauważyłam, że nie nosi stanika, i zastanawiałam się, czy ma trudności z włożeniem biustonosza, czy też uważa, że do jej sflaczałych, płaskich piersi jest on zbyt ciężki.

Teresa postawiła na podłodze torbę, czemu towarzyszył brzęczący dźwięk.

- Proszę pani - zwróciła się do mamy - nazywam się Teresa Guerrero i jestem pielęgniarką. Przesłała mnie doktor Cohn, abym zbadała pani tętno i ciśnienie i posłuchała serca; to znaczy, że mam wykonać podstawowe badania kontrolne.

„A więc tak to ona nazywa - pomyślałam - badania kontrolne... Ciekawe, czy ona kiedykolwiek się przyzna, że przyszła po to, aby obserwować oznaki zbliżającej się śmierci?” Widziałam, że mama się do niej uśmiecha przyjacielsko i przypuszczałam, że zaraz zaproponuje jej coś do picia.

- Rozumiem i doceniam wagę tych badań - zapewniła ją mama. - Może miałyby pani ochotę na filiżankę herbaty?

- Nie, dziękuję. Nigdy nie piję ani nie jem w czasie pracy.

- A czy śmieje się pani czasem w pracy? - spytałam.

- Oczywiście! Jeśli coś mnie śmieszy - odparła i odwróciwszy się do mamy, poprosiła, żeby podciągnęła rękawy i rozpięła dwa górne guziki koszuli.

Nie wierzyłam własnym uszom, gdy po chwili usłyszałam:

- Puk, puk!

- Kto tam? - spytała mama.

- Banan.

- Jaki banan?

- Puk, puk!

- Kto tam?

- Banan. - Lekki akcent w głosie Teresy sprawiał, że to słowo brzmiało nieco egzotycznie i bardzo pięknie: miało niemal erotyczny wydźwięk.

- Jaki banan?

- Puk, puk! - Wypuściła powietrze z mankietu aparatu do mierzenia ciśnienia i spojrzała na zegarek.

- Kto tam?

- Banan.

- Jaki banan?

- Puk, puk!

- Kto tam? - spytała mama, głośno chichocząc.

- Pomarańcza.

- Ach! Jaka pomarańcza?

- Pomarańcza... i niech się pani cieszy, że nie powiedziałam „banan”.

Teraz wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem.

- Myślałam - wyznała mama - że dzieci nauczyły mnie wszelkich puk-puków, jakie tylko istnieją pod słońcem, ale muszę przyznać, że tego nie słyszałam.

Teresa wysłuchiwała uderzeń serca mamy.

- Ciiicho - prosiła. Przesuwała srebrną końcówkę stetoskopu z miejsca na miejsce. W pewnej chwili zatrzymała się i delikatnie przejechała palcami po kateterze zaimplantowanym pod skórą.

- No i jak? Wciąż bije? - zainteresowała się mama.

- Głośno i czysto - odparła Teresa, po czym wyjęła z torebki jakiś druk i zaczęła go wypełniać.

- Pani Tereso - zwróciłam się do pielęgniarki - czy pani ma dzieci?

- Nie. Nie jestem mężatką.

- Więc skąd pani zna te puk-puki? Chyba nie od pani doktor?

- Ach, nie! Znam je od córeczki pewnej chorej pani, którą często odwiedzam. Dziewczynka ma pięć lat i puk-puki bardzo ją śmieją. Słyszałam je od niej chyba ze dwadzieścia razy.

- A na co choruje jej matka? - chciała wiedzieć mama.

- Mamo - wtrąciłam się. - Przecież pielęgniarki chodzą od domu do domu. Jakżeby mogły obmawiać swoich pacjentów!

- Matka dziewczynki ma raka piersi, proszę pani - wyjaśniła Teresa. - Chodzę do niej już trzy miesiące. Chorą opiekuje się też jej matka, ale pewnych rzeczy nie jest w stanie sama zrobić.

- Więc ta chora pani ma pięcioletnie dziecko?

- Ma jeszcze drugie, siedmioletnie.

- O Boże, biedna kobieta! - uzalila się mama; zobaczyłam, że jej usta drżą.

- Gdyby się panie spotkały, miałybyście sobie wiele do powiedzenia - orzekła Teresa.

- Tak pani uważa? - zaciekała się mama.

- Jeszcze o tym porozmawiamy, ale na razie proszę mi powiedzieć, do czego jeszcze mogłabym się przydać. Czy radzi sobie pani z uśmierzaniem bólu? Może mogłabym coś podpowiedzieć w sprawie diety. A może potrzebna pani pomoc w czasie kąpieli lub przy ubieraniu się?

- Co prawda mam duże trudności z wchodzeniem do wanny i wychodzeniem z niej, ale przecież nie mogę panią prosić, by przychodziła po to tylko, by mnie wykąpać.

- Mamo, nic mi nigdy nie wspomniałaś o tych trudnościach - wtrąciłam się.

- Nie chciałam ci przysparzać zmartwień. I tak masz ich bez liku.

- Ale przecież mogłabym ci pomóc.

- Nie, nie przy kąpieli.

- Ależ mamo, czy myślisz, że nie widziałam gołych ciał?

- To jest inne... - odparła.

- Chodźmy na górę - zaproponowała Teresa. - Pokażę pani, w jaki sposób można sobie ułatwić wchodzenie do wanny i wychodzenie z niej. A teraz chciałabym przepłukać pani kateter, musi się więc pani wygodnie położyć.

- Czy to będzie bolało?

- Nie, to nie będzie zbyt bolesne zwłaszcza w porównaniu z tym bólem, do którego, jak sobie wyobrażam, jest pani przyzwyczajona.

Wargi mamy znowu zadrżały.

- Ten, do którego zdążyłam się już przyzwyczaić, jest okropny - wyznała.

- Wiem - potaknęła Teresa i wzięła matkę za rękę. - Ważne jest, żeby pani nie cierpiała. - Głowa mamy opadła jak pomarańczowy nagietek dotknięty suszą, a łzy płynące z oczu kapały na złączone dłonie jej i pielęgniarki. Poczulałam się obco, jak jakiś przypadkowy podglądacz. Teresa pomogła mamie się podnieść, a potem chwilę stały obok siebie.

- Przepraszam - szepnęła mama i wyciągnąwszy z rękawa papierową chusteczkę, przytykała ją do twarzy, ocierając łzy. - Zwykle bywam w lepszej formie.

- Co innego czuć się dobrze, a co innego nie pokazywać po sobie bólu. To są dwie różne rzeczy, pani Gulden. Uważam, że pani ma prawo, a nawet obowiązek, wyrażać to, co pani czuje. - Sięgnęła do swojej torby, wyjęła folder i zwróciła się do mnie: - Może zechce pani to przeczytać - powiedziała i wręczyła mi kolorową ulotkę. - Nie dla wszystkich pacjentów te wskazówki są odpowiednie, ale doktor Cohn uważa, że powinna się pani z nimi zapoznać, zwłaszcza z niektórymi technicznymi poradami. - Potem podała mamie ramię i razem skierowały się w stronę schodów. Zaglądając przez białe słupki balustrady, patrzyłam, jak szły do góry i powoli znikały mi z oczu ich głowy, torsy, kolana i stopy, jakby się wznosiły do nieba.

W folderze znalazłam artykuł zatytułowany „Prawa ludzi umierających”, a także informacje dotyczące morfiny. Zbiór praw zawierał szesnaście zasad. Przejrzałam je wszystkie. „Dopóki nie umrę, mam prawo być traktowana jak człowiek żyjący” - głosiła jedna. „Mam prawo nie umierać samotnie” - mówiła druga. Załamalam się dopiero przy ostatniej: „Mam prawo, do tego, by opiekowali się mną troskliwi, wrażliwi, światli ludzie, którzy będą rozumieli moje potrzeby i będą czerpali satysfakcję z tego, że pomagają mi stawić czoło śmierci”.

- Jakąż satysfakcję?! - Ikałam i gorące lzy spływały mi po twarzy. Potem długo jeszcze płakałam w poduszkę. W końcu miałam twarz tak nabrzmiąłą, że bez trudu sobie wyobraziłam, jak spuchnięty jest brzuch mojej mamy, przykryty ojcowską koszulą.

Nie wiem, jak długo Teresa u nas była, ale nie pokazywała się i nie słyszałam jej. Kiedy wreszcie podniosłam wzrok, zobaczyłam, że stoi obok mnie ze stetoskopem wiszącym na szyi i buszuje w swojej torbie, wydając z niej różne narzędzia, a także waciki i tampony sterylne opakowane.

- Powiedziałam doktor Cohn, że nie potrzebujemy pielęgniarki - wyjaśniłam Teresie, wciąż zapłakana - ponieważ obcy człowiek w domu bardzo mnie denerwuje, a nie mogę dopuścić do tego, żeby się całkiem załamać.

- Nie sędzę, proszę pani, żeby groziło pani załamanie. Mówimy o takim stanie wtedy, gdy ktoś leży skulony w pozycji płodowej i przez tydzień nie wychodzi z łóżka - powiedziała Teresa. - To, co pani przeżywa, świadczy tylko o emocjach i wzruszeniu, jakie nas ogarnia, gdy tracimy kogoś bliskiego i kochanego. Płacemy, żeby dać upust naszemu bólowi.

- Pani słowa zabrzmiały niezwykle poetycko, ale nie czuję się przez to ani trochę lepiej.

- Jeszcze przez długi, bardzo długi czas nie będzie się pani dobrze czuć, panno Gulden, i chyba wie pani o tym lepiej ode mnie. Ale nie wierzę, że zamykając się w sobie i ukrywając ból, będzie pani cierpiała mniej niż płacząc.

- Jak pięcioletnia dziewczynka? - wydukałam, siąkając nosem.

- Ta pięcioletnia dziewczynka, która lubi ze mną żartować, nigdy nie płacze, panno Gulden. Dziecko nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje, ale pani dobrze to rozumie.

Potrząsnęłam głową.

- Wiem, że mogę pomóc pani matce - zapewniła Teresa i znowu weszła na górę. Po paru minutach usłyszałam krótki, ostry krzyk, a potem długo toczoną półgłosem rozmowę. Wstałam, by zaparzyć herbatę. Nalałam dwie filiżanki, usiadłam przy stole w kuchni i popijałam z jednej, podczas gdy na drugiej stygnącej na ladzie tworzył się kożuch z mleka. Z pokoju mamy na piętrze doszedł jeszcze inny dźwięk. Przeszłam do salonu i wtedy znowu go usłyszałam: był to żywiołowy, serdeczny śmiech.

- Co się działo na górze? - spytałam, gdy Teresa zeszła na dół, wymachując stetoskopem.

- Niech mama sama pani opowie - odparła i zaczęła się pakować. - Nauczyłam ją, jak może sobie sama radzić w kąpielni. Ma usiąść na brzegu wanny i potem powoli, stopniowo zsuwać się na dno wanny. Będzie jej łatwiej, jeśli kupi pani gumową matę zapobiegającą ślizganiu się i położy ją na ścianie wanny. Mama poczuje się wtedy pewniej i bezpieczniej.

- Czy powinnam jej pomagać w kąpielni?

- Pani mama czuje się zawstydzona i skrępowana wyglądem swego ciała, ale pani pomoc może się wkrótce okazać konieczna. Czy mama brzydko pachnie?

- O Boże, nie!

- Ale boję się, że to może nastąpić i wtedy będzie pani musiała z nią o tym porozmawiać. - Zamknęła torbę na zamek błyskawiczny i po raz pierwszy, od kiedy przyszła, uśmiechnęła się. Była bardzo piękna.

- Ile pani ma lat? - spytałam.

- Dwadzieścia trzy - odparła.

- O Jezu, ja mam dwadzieścia cztery! Dlaczego zdecydowała się pani wykonywać tego rodzaju pracę? Przecież mogłaby pani w szpitalu jako pielęgniarka kąpać małe dzieci.

- Każdy potrafi wykąpać dziecko, ale nie każdy może robić to co ja.

- Pani jest dobra.

- Doktor Cohn powiedziała to samo o pani, panno Gulden.

- Ellen - poprawiłam ją.

- Ellen - powtórzyła. - Zjawię się u państwa znowu w przyszły poniedziałek, chyba że będzie mnie pani potrzebowała wcześniej. - Wręczyła mi swoją wizytówkę.

Postawiłam czajnik i świeżo zaparzoną herbatę zaniiosłam mamie. Siedziała na podłodze w sypialni i przeglądała zawartość długiego brązowego pudła, w jakim zwykle adwokaci przechowują akta.

- Czy przypominasz sobie to Halloween, kiedy nasi chłopcy przebrali się za kostki do gry? Chodzili po domach, doszli aż do centrum i tam Brian się przewrócił, a Jeff nie chciał mu pomóc wstać. Śmieszyło go, że brat leży na ziemi, wymachując rękami i nogami na wszystkie strony. Mówił, że Brian wyglądał jak żółw przewrócony na grzbiet. Byłam na niego taka wściekła, że mogłabym go zabić, ale to jego porównanie wydawało mi się komiczne.

- Chyba nie powiesz, że do dziś chowasz w tym pudle kostiumy z tamtego Halloween?

Mama trzymała w ręce fotografię przedstawiającą dwóch chłopców stojących obok siebie na trawniku przed domem. Z tyłu za nimi gasły już światła dnia, a w prawym górnym rogu fotografii ostatni promień słońca błyszczał jak gwiazda. Kostium Jeffa wyobrażał kostkę z numerem dwa, a Briana z numerem pięć; szczęśliwa siódemka.

- Pożyczyłam komuś te kostiumy, ale nigdy mi ich nie zwrócono. To dopiero był numer...

- I właśnie z tego tak się śmiałyście?

- Kiedy?

- Gdy była tu Teresa.

- Ach - zaczęła mama i znowu się roześmiała. - Nie, rozbawił mnie inny dowcip, który mi opowiedziała. - Mały góral wchodzi do klasy, a jego nauczycielka mówi: „Spóźniłeś się. Gdzie byłeś?” „Na Hali Orpad” - odpowiada. Po chwili wchodzi drugi mały góral i nauczycielka znowu go strofuje: „Spóźniłeś się. Gdzie byłeś?” „Na Hali Orpad” - pada odpowiedź. Także spóźniony trzeci mały góral tłumaczy, że był na Hali Orpad. A potem weszła mała dziewczynka i nauczycielka pyta: „Pewnie i ty byłaś na Hali Orpad?” „Nie, proszę pani, ja się nazywam Hala Orpad”.

Mama głośno chichotała.

- Czy od tej pięcioletniej dziewczynki usłyszała Teresa ten dowcip? - zapytałam.

- Nie, to ten drugi, siedmioletni dzieciak, jej opowiedział - odparła mama.

- Gdybym ja ci powiedziała taki dowcip, kiedy miałam siedem lat, zabroniłabyś mi wychodzić z domu do końca dnia.

- *Autres temps, autres moeurs** - wyrecytowała mama, gładząc jednocześnie palcem wybrzuszenie w miejscu, gdzie pod skórą miała kateter.

- To chyba powiedział Voltaire - zauważyłam.

- Naprawdę? - zdziwiła się matka. - A ja myślałam, że to wymyślił twój ojciec. - I roześmiała się, zaglądając raz jeszcze do pudła. - A czy pamiętasz to Halloween, kiedy byłaś przebrana za *Bo-Peep***?

- Oczywiście. Niosłam te owieczki, które zrobiłaś z wełny, i gubiłam cukierki. Wciąż mi się wysypywały... Na pewno nie zapomnę tego Halloween.

- Ja je wszystkie świetnie pamiętam - westchnęła mama. - Z najdrobniejszymi szczegółami.

* *Autres temps, autres moeurs* - inne czasy, inne obyczaje.

** *Bo-Peep* - bohaterka dziecięcej rymowanki, pasterka, która pogubiła swoje owieczki.

* * *

Tego ranka, kiedy mama miała dekorować swoje drzewo, przewlekliśmy czerwoną wstążkę przez szprychy kół jej fotela, dokładnie tak, jak za naszych dziecięcych lat mama przewlekała czerwonymi, białymi i błękitnymi wstążkami koła naszych rowerów z okazji Święta Czwartego Lipca. Natomiast sami ozdabialiśmy koła kartami do gry, ale tylko czerwonymi: karo i kier. Przyczepialiśmy je do szprych klamerkami do bielizny i kiedy jechaliśmy, robiliśmy niemal taki sam hałas, jak stare samochody model T* w filmach.

* Chodzi o popularny model Forda T, produkowany w latach 1909-1919.

Żadna z Cór Minnie nie wspomniała o wstążkach, nawet pani Duane, która długo opowiadała nam o jakiejś dziewczynce porwanej w Teksasie. „Ach, cóż to za tragedia!” Ludzie uwielbiają takie wiadomości, zwłaszcza gdy ich bezpośrednio nie dotyczą. Córy Minnie nie wspomniały o wstążkach, bo gdyby się przyznały, że o nich wiedzą, znaczyłoby to, że wiedzą także o fotelu na kółkach, a skoro wiedzą o fotelu, musiałyby także wiedzieć o tym, jak kruche są matki ramiona i jak bardzo trzęsą się jej dłonie, kiedy je unosi z podłokietników.

A skoro nie były już dla nich tajemnicą jej choroba, lęki i groźba śmierci, lepiej niż ktokolwiek inny rozumiałam, dlaczego nie chciały się do tego przyznać. Lepiej niż wszyscy, z wyjątkiem być może mojej matki.

Wyobraźcie sobie, że zamiast samemu pisać powieść lub nowelę dyktujecie tekst komuś innemu; albo mówicie komuś, gdzie położyć błękit i jak go mieszać z białą, aby w malowanym pejzażu odtworzyć

kolor chmur. Jeśli potraficie to sobie wyobrazić, zrozumiecie, co czuła moja mama, gdy musiała siedzieć w fotelu przed srebrzystym świerkiem, który po latach urósł z malutkiej sadzonki do sześciometrowej wysokości, i kierować moimi niezręcznymi ruchami, gdy usiłowałam umieścić choinkowe ozdoby tam, gdzie ona chciała. A tych ozdób były setki. Obie miałyśmy na palcach bolesne odciski oraz małe plamki zaschniętej krwi, powstałe od ukłuć szpilek, a także od mocowania pineskami cekinów i prostowania wiszących drutów. Wszystkie ozdoby były utrzymane w barwie czerwonej i złotej; również pasy, kropki czy wzorzyste brzegi były w tych dwóch kolorach. Szerokie czerwone wstążki mieniły się złotem, a dzięki specjalnym usztywnieniom z drutu dawały się łatwo upiąć w kunsztowne kokardy.

- Nie, Ellen, nie, nie! - wołała mama z dołu, kiedy przymocowywałam kokardę do gałęzi. - Ona powinna falować - i dłonią nakreślała w powietrzu płytką falę. Zimowe słońce rozświetlało błękitne żyły na grzbiecie jej dłoni. Wyglądały jak miniaturowe rzeki, stanowiące dopływy jej serca. - Ta kula tuż koło twojej ręki... nie... nie... tak, tam. Ona wisi zbyt nisko. Trzeba ją umocować bliżej gałęzi i wyżej... teraz dobrze. I trzeba jeszcze jedną kulę umieścić tuż pod tamtą... nie... niżej. - To było tak, jakbym próbowała podrapać kogoś po plecach i szukała właściwego miejsca, tylko że w tym wypadku chodziło o nieporównanie większą powierzchnię i wymagało ogromnego wysiłku, który, zdawało się, nie miał końca.

Pani Best miała swoje drzewo tuż obok naszego. Udekorowała je złotymi wstążkami, czerwonymi ozdobami i złożonymi drewnianymi żołnierzami.

- Ciekawa jestem, gdzie twoja matka kupuje wstążki, które tak dobrze utrzymują kształt? - spytała mnie, pretensjonalnie ściągając usta.

- Nie wiem. Mama po prostu ma takie rzeczy - powiedziałam. - Mamie wystarczy powiedzieć, że potrzebne są srebrne gwiazdy, a ona pójdzie na górę do szafy i wykopie je spod sterty bielizny.

- Nie przejmuj się, Lindo - rzuciła mama w stronę, gdzie obie z panią Best stałyśmy na drabinach. - Twoje drzewo bardzo pięknie wygląda.

Ja i tak byłam zdania, że mimo niewątpliwych moich niedociągnięć, jeśli chodzi o umiejętność rozmieszczania, skupiania i wiązania ozdób, drzewo Guldenów jest najpiękniejsze. I nie pomogło pani Duane omotanie swojej choiny złotymi taśmami, które wyglądały jak zrobione z czternastokaratowego złota: jej dekoracja robiła dziwaczne wrażenie, choć niewątpliwie było w niej coś magicznego.

- Niektóre z naszych pań nigdy się nie nauczą, że mając do przystrojenia drzewo takiej wielkości i w publicznym parku, trzeba koniecznie stosować jaskrawe i wpadające w oko elementy dekoracyjne. - Mama wygłosiła tę teorię w odpowiedzi na moją uwagę, że nasze ozdoby przypominają pulchne girlsy z podrzędnego teatryku, jakie występowały w filmie pt. *Czterdziesta Druga ulica*.

Kiedy się cofnęłam, żeby się lepiej przyjrzeć naszemu dziełu, przyznałam mamie rację. Dekoracje pani Best, choć bardzo gustowne, były ledwo widoczne wśród srebrzystych gałęzi wielkich drzew. A kiedy się zaświecą czerwone lampki, które pracownicy robót publicznych zainstalowali poprzedniego dnia, spokojniejsze zdobienia znikną, staną się niedostrzegalne.

- A nasze cekiny będą odbijały światło - triumfująco oznajmiła mama, przerzucając małe błyszczące krążki w drżących dłoniach. I po chwili usłyszałam: - Ellie, popraw jeszcze tę kokardę po drugiej stronie, bo jest stanowczo za blisko końca gałęzi. - Wydawszy instrukcje, mama spokojnie zabrała się do przeglądania ozdób, które jeszcze zostały w pudle leżącym na jej kolanach.

Dekorowanie drzewa zajęło nam trzy godziny. Kiedy skończyłyśmy, mimo chłodu położyłam zakiet na trawie i zdjęłam rękawice; palce mi zdrętwiały i bolały od ukłuć igiełek sosnowych i wkręcania haczyków, na których zawieszałam łańcuchy.

- Strasznie mnie boli krzyż - poskarżyła się głośno któraś z Cór Minnie, trzymając się jedną ręką drabiny, a drugą masując sobie plecy.

Pani Duane zdobyła się na miły gest: poszła do pobliskich delikatesów i kupiła nam wszystkim kawę i kanapki. Siedziałam więc u stóp mamy, jadłam sandwicze z pieczoną wołowiną i piłam czarną kawę. Mama nic nie jadła, tylko popijała herbatę z mlekiem.

- Jak się czujesz? - spytałam cicho.

- Mam pewien problem. Wprawdzie nie wiem, co jest na rzeczy, ale czuję, że coś jest nie tak.

- Co takiego?

- Chodzi o kokardy. Wydaje mi się, że powinny być skierowane trochę bardziej w dół.

Zatem znowu weszłam na drabinę, a pani Best stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi i patrzyła to na swoje drzewo, to na nasze.

- Kate, ty masz oko! - westchnęła. - Najważniejsze to mieć dobre oko. A z okiem jest tak, że albo się ma, albo nie, a ty je masz.

„Co za głupota” - pomyślałam, przechylając kokardy w dół.

- Nie bądź niemądra, Lindo - połajała ją mama, ale z wesołego tonu jej głosu mogłam się domyślić, że się zgadza zarówno ze zdaniem Lindy Best, jak i moim. - Twoje drzewo wygląda pięknie, a dzieci będą zachwycone żołnierzami. Masz ich więcej?

- Całe tony - odparła pani Best.

- Czemu więc nie wpakujesz ich wszystkich na drzewo? Im więcej ozdób, tym lepiej - przekonywała mama.

Nie wiedziałam, czym sobie tłumaczyć, że mama tego dnia wydawała się taka niezmordowana. Czy wpłynęła na to wspaniała pogoda, czy przyjemność, jaką czerpała z wykonywania pięknych przedmiotów, i powrót do czegoś, czym zajmowała się przez tak wiele lat? A może ożywiało ją współzawodnictwo i duch rywalizacji?

Mój tata, kiedy rozmawialiśmy o tym przy śniadaniu, tak określił namiętność pań z miasteczka do dekorowania drzew:

- To jest dla nich wyjątkowa okazja, tak jak dla piłkarzy Super Bowl najważniejszy mecz futbolowy roku.

Na pewno mama odniosła się do rozterek pani Best z wesołością większą niż wypadało, bo należało jej raczej współczuć. Zbyt żywiołowo też okazywała radość, gdy pani Best rozwiesiła złote żołnierzyki na każdym wolnym miejscu na gałęzi, co znacznie poprawiło wygląd jej drzewa.

Na dobry nastrój mamy mógł również wpłynąć fakt, że poprzedniego wieczoru wyszła z ojcem na kolację. Na tę okazję włożyła wiśniową tunikę, do której przypięła złotą broszkę w kształcie kokardki wysadzanej brylancikami. Wpięła ją w miejscu, gdzie obniżyło jej się jedno ramię i suknia wyglądała o wiele za duża. Mama zrobiła sobie staranny makijaż, ale ponieważ nie mogła opanować drżenia rąk, więc i pomadki do ust nie mogła równo nałożyć, a podkreślenie oczu kredką przypominało zygzakowatą linię, jaką widzi się nieraz w szpitalu na monitorach.

Mama dokładnie obliczyła, kiedy ma zażyć morfinę, tak aby czas, w którym czuła się najlepiej i była najmniej śpiąca, wypadł wtedy, gdy będzie jadła z mężem kolację, a potem pójdą na zaplanowany koncert muzyki kameralnej. Włożyła futro i pochyliwszy głowę, ocierała policzek o miękki kołnierz.

Gdy rodzice wyjechali z domu, usiadłam na kanapce w salonie, dłonie złożyłam na podołku i próbowałam ułożyć plan spędzenia tego wieczoru. Tyle było zawracania głowy z przygotowaniem dla mamy sukni i lekarstw, a także z wyszukaniem miejsca w samochodzie na jej fotel na kółkach, że zapomniałam, iż po raz pierwszy od wielu miesięcy będę sama w domu. Zadzwoiłam do Jonathana, ale go nie zastałam, więc zostawiłam mu radosną wiadomość na automatycznej sekretarce: „Dzwonię, aby się zameldować. Proszę, żebyś oddzwonił, jak tylko będziesz mógł”. Miałam ochotę porozmawiać z Jules, lecz gdy usłyszałam nagraną informację: „W tej chwili nie mogę podejść do telefonu” - odłożyłam słuchawkę.

Ucieszyłam się, znalazłszy w programie telewizyjnym film *Wszystko o Ewie*. Zjadłam trochę lodów, wypiłam lekkie piwo i poczułam się bliższa swojemu dawnemu ja. Znowu byłam tą Ellen Gulden, która podczas pierwszej nocy we własnym mieszkanku w centrum Nowego Jorku chodziła z pokoju do kuchni, po kolei dotykała przedmiotów: mebli, zlewozmywaka, kuchenki gazowej, kurków w łazience, i myślała „to wszystko jest moje, moje, moje”...

Jonathan zapowiedział, że nie przyjedzie do domu na Boże Narodzenie, bo na trzy tygodnie zatrudni się przy opracowywaniu danych. W ten sposób zarobi pieniądze, by stać go było w lecie na wynajęcie mieszkania. Powiedział też, że ma mnóstwo zajęć na uczelni. Możliwe jednak, że chodzi o jakąś studentkę z pierwszego roku prawa, która uwielbia patrzeć, jak Jon przejeżdża językiem po górnej wardze i nawiązuje zuchwały kontakt wzrokowy, gdy pomaga jej zrozumieć zawile prawne problemy.

Miałam ucisk w głowie i ból w okolicy oczu i szczęki. Może zaszkodziło mi piwo. Zastanawiałam się, czy nie zażyć morfiny, ale czy można łączyć ją z alkoholem. Oglądałam film w telewizji i przeżywałam losy bohaterów: aktorka teatralna, Eve Harrington, została wielką gwiazdą, ale zaprzedała duszę temu dandysowatemu diabłu, Addisonowi deWitt. Nigdy bym nie przypuszczała, że tak się stanie. Okazało się jednak, że bardzo źle na tym wyszła, chociaż powinna była mieć tyle rozsądku, by nie zrazić sobie Bette Davis, tej aktorki o sennych oczach, bezczelnym spojrzeniu i nieładnych ustach.

Następnym filmem miało być *W samo południe* z Gary Cooperem i Grace Kelly, ale wyłączyłam telewizor. Obie z Jules nie znosimy tych aktorów. Zawsze na ich widok jednocześnie wykrzykiwałyśmy „co za lukrecje!”, co miało znaczyć, że ckliwie grają. Gdy telewizor zamilkł, usłyszałam, że na dworze ktoś zatrzaskał drzwi samochodu.

Jeszcze zanim rodzice weszli do domu, wiedziałam, że im się ten wieczór nie udał. Już na podjeździe mama kłóciła się z ojcem, a kiedy tata otworzył drzwi i wszedł z mamą uczeponą jego ramienia, poznałam po jego bladej twarzy i ściemniałych ze złości oczach, że stało się coś złego.

- ...wszyscy na mnie patrzyli - słyszałam, jak mama mówiła, gdy ojciec pomógł jej dojść do tapczanu. Kładła się powoli, ostrożnie, etapami, a jej eleganckie czółenka porzucone na podłodze stanowiły swoiste memento.

- Pójdę po fotel - powiedziałam.

Kiedy wróciłam, ojciec zapalił lampy i poszedł do kuchni. Sądząc po dźwiękach, jakie stamtąd dobiegały, robił herbatę. Mama leżała z zamkniętymi oczami, ale zauważyłam, że przygryza dolną wargę. Gdy otworzyła usta, miała na zębach ślady szminki. Tusz do rzęs zgromadził się w kącikach oczu i utworzył brudne cienie.

- To była katastrofa - wyszeptała.

Ojciec wrócił z kubkiem herbaty w ręce i podał go mamie. Uniosła głowę, napiła się, po czym odstawiła kubek na stół i opadła do tyłu.

- Nigdy więcej nigdzie nie wyjdę! - oznajmiła.

- Głupstwa mówisz, Kate! - ofuknął ją ojciec. - W kaplicy podczas koncertu muzyki kameralnej drzemało z tysiąc osób, a rektor robi to niemal za każdym razem, od kiedy pamiętam, więc dlaczego nie miałabyś i ty się zdrzemnąć.

- Dlatego że nigdy przedtem coś takiego mi się nie przydarzyło, i w dodatku wszyscy wiedzieli, z jakiego powodu to się dzieje. Pamiętam, że grali Vivaldiego, potem Mozarta, a następną rzeczą, jaką sobie uświadomiłam, było to, że się obudziłam z oślinioną brodą i ludzie się na mnie gapili.

- Nikt się nie patrzył - sprostował tata. - Wszyscy się szykowali do wyjścia i zbierali swoje rzeczy.

- Nieprawda, na mnie się gapili! W restauracji też mi się przyglądali. Zwłaszcza wtedy, kiedy się awanturowałaś o fotel, kiedy nie mogłaś go przepchnąć przez drzwi.

- Bo drzwi w lokalu powinny być tak szerokie, by pomieścić fotele na kółkach. Tego wymaga prawo. Uważam, że restauracja dopuściła się karygodnego zaniedbania.

- I powiedziałeś to straszne słowo...! - wybuchła przeraźliwie podniesionym głosem. - Użyłaś go...

- Przepraszam - szepnął tato.

- Nie jestem inwalidką, zapamiętaj to sobie. Oboje macie to zapamiętać. Nie jestem inwalidką! - powtórzyła. - Jestem po prostu osłabiona i miewam zawroty głowy. Czasem tracę równowagę i dlatego potrzebny mi jest fotel.

- Ja tylko powołałem się na prawo, które nakazuje właścicielom lokalu przystosować drzwi, by mogli z nich korzystać ludzie niepełnosprawni. Wcale nie sugerowałem, że jesteś niepełnosprawna.

- Nie wymawiaj tego słowa! - krzyknęła. - Nie mów tak!

- Przepraszam - powtórzył tata.

Poszłam do kuchni i zrobiłam sobie herbatę. Kiedy wróciłam do salonu, ojciec klęczał obok otomany, z głową na mamy podółku, a ona głaskała go po włosach. Rozmawiali ze sobą. Nie słyszałam słów, tylko jej płaczliwy głos i jego pomrukiwanie. Odwróciłam się na pięcie i poszłam do kuchni. Wylałam do zlewu herbatę i wrzuciłam do śmieci pojemniki po lodach. Zażyłam dwie aspiryny, bo wciąż bolała mnie głowa, i postanowiłam położyć się do łóżka. W domu panowała cisza, tylko z piwnicy dobiegało słabe brzęczenie urządzeń ogrzewniczych, przenikające przez deski podłogi.

Idąc przez hol w stronę schodów, mijałam ścianę, na której wisiały akwarelowe portrety: Briana, gdy miał sześć lat, Jeffrey, gdy miał osiem, i moje - jedenastoletniej Ellie z poważnymi oczami, surowymi ustami i różową wstążką, przytrzymującą szczesane do tyłu ciemne włosy. Rodzice znaleźli się na schodach przede mną. Ojciec stał o trzy stopnie wyżej; niósł na rękach mamę, która opierała głowę o jego ramię.

- Jestem taka zmęczona, Gen - szepnęła cicho, nie zdając sobie sprawy z mojej obecności.

- Wiem, kochanie - odparł.

Następnego dnia rano ojciec przyznał, że kolacja była fiaskiem.

- Gdyby mama była dzieckiem, powiedziałbym, że przy stole bawiła się jedzeniem. - Wypił kawę do dna, wziął torbę z książkami i udał się na wykład, zanim mama zeszła na śniadanie. Gdy zjawiała się na dole, była rozpromieniona, rozmarzona i uśmiechnięta; nawet zmarszczki wokół ust i na czole jakby się wygładziły. W tym wspaniałym nastroju pozostała przez cały dzień. Natomiast ojciec przed pójściem do pracy sprawiał na mnie wrażenie dziwnie roztargnionego. Nie tylko włosy miał w nieładzie; zauważyłam plamkę krwi na jego kołnierzyku i małe zacięcie pod brodą. Zmarszczki na twarzy chyba mu się pogłębiły, bo wyglądał jak na kiepskim portrecie albo na jakiejś bezlitosnej czarno-białej fotografii.

- O czym będzie dziś twój wykład? - spytałam, nalewając mu kawy.

- O kobietach w pisarstwie Dickensa.

- Będiesz mówił o pannie Havisham i Estelli*, czy o tych mięczakach: Małej Dorrit**, Dorze i pobożnej matce Dawida?***

* Panna Havisham i Estella - postacie z *Wielkich nadziei*.

** Mała Dorrit - bohaterka powieści o tym samym tytule.

*** Dora i matka Dawida - postacie z *Dawida Copperfielda*.

- O wszystkich - odparł, wstając z krzesła.

- A powiesz studentom o żonie Dickensa i o jego kochance?

- Nie, bo zamierzam mówić tylko o dziele pisarza, a nie o jego biografii. Ale, Ellen... chcę cię o coś prosić: zauważyłem, że mam uszkodzone guziki przy kołnierzykach w dwóch koszulach. Zostawiłem je na

krześle w sypialni. Czy możesz się tym zająć? I jeszcze coś: wolałbym, żebyśmy pili mleko raczej od-
tłuszczane, nie pełne. Najlepiej kup jedno i drugie, i niech mama pije pełne. Chłopcy zjawiają się w domu w
czwartek po południu i z myślą o nich trzeba zaopatrzyć się w odpowiednie produkty.

- Nie rozumiem, jak możesz oddzielić dzieło pisarza od jego życiorysu?

- Słucham?

- Chodzi o Dickensa. Jak możesz objaśnić jego twórczość, nie mówiąc o jego biografii?

- Chyba wiesz, jak brzmi rutynowa odpowiedź na to pytanie? - spytał lekko zniecierpliwiony. -
Dzieło mówi samo za siebie. Kiedy ma znowu przyjść do mamy pielęgniarka?

- W poniedziałek.

- Spodobała się mamie. Powiedziała mi wczoraj wieczór, że pielęgniarka bardzo jej pomogła.

- Tak było. To dobra pielęgniarka.

- Dowiedziałem się również, że pani doktor postanowiła nie kontynuować chemioterapii.

- Co takiego?

- Podobno rozmawiały o tym z mamą przed paru dniami w szpitalu. Z wczorajszej relacji mamy
wynika, że zdaniem doktor Cohn chemioterapia nie przynosi oczekiwanych efektów. - Ojciec poszedł do
holu po teczkę i żegnając się, przypomniał: - Spotkamy się wieczorem o siódmej i razem pójdziemy na
skwer na uroczystość zaświecenia choinek.

- Jak to tak można? Nie będzie więcej chemioterapii, i kropka? Koniec dyskusji?

- A cóż tu jeszcze można dodać? - spytał i wyszedł.

* * *

Ten wieczór, kiedy na miejskim skwerze zapalają się bożonarodzeniowe choinki, jest w naszym
mieście jedyny w swoim rodzaju.

Latem bywają w Langhorne tajemnicze noce, kiedy łagodnie dmie chłodny wiatr, a w powietrzu
unoszą się lekkie zapachy petunii. W te noce, które czasem są bardzo upalne, a czasem mniej gorące, pływa-
liśmy nieraz nago w basenie i zaraz po wyjściu z wody wskakiwaliśmy do niej z powrotem, ponieważ wo-
da wydawała się nam cieplejsza od powietrza.

Jesień to okres noszenia swetrów i futbolu; słońce świeci jasno, ale jest bladożółte, w kolorze białej
kukurydzy. Zdarza się, że idziesz sobie spacerkiem po ulicy i nagle liść wykręca pirueta i spada na chodnik
tuż przed twoimi oczami, niemal ociera się o twój nos. A późno w nocy nieraz gruchnie coś w instalacji
ogrzewniczej i dźwięk przypominający głośne chrapnięcie zatrząśnie domem.

Wiosna, kiedy już się pojawia, urzeka swoim urokiem. Czysta woń deszczu, świeżości i żonkilów
odurza na miejskim skwerze, w naszych przydomowych ogródkach, a także pośród wilgotnej trawy pora-
stającej tajemnie, dzikie zakątki na stokach wzgórza pochylonego nad rzeką.

W zimie bywa wiele nocy podobnych do tej szczególnej, w czasie której zapalamy światła na cho-
inkach. Niebo spływa w dół niczym czarny jedwab z mnóstwem ponacinanych otworków, a padające z tyłu
jasne światło prześwieca przez nie i tworzy tysiące malutkich punkcików. Zimne powietrze szczypie w

język, cienkie palce nagich gałęzi drzew sięgają wysoko, jakby chciały objąć okrągłą twarz księżycy w pełni. Na dworze jest jasno i srebrzyście. Cienie rzucają tylko krzewy, domy i ludzie. Tłumy spacerują chodnikiem i zadzierając głowy, patrzą na księżyc. Ludzie wierzyli, że to on porusza przyływami i odpływami ich życia, i odczuwali to falowanie.

O tym, jak wspaniałe są noce w Langhorne, zwykle się dowiadaliśmy, gdy wychodziliśmy z domu, aby wynieść śmieci, i wtedy niespodziewanie oślepiło nas piękno wieczoru, albo kiedy wracając późną porą z pracy czy z kina, zatrzymywaliśmy się właśnie po to, aby podziwiać czar nocy. Na ogół ludzie w Langhorne pozostawali po zmroku w domu, ale nie dlatego, że czegoś się bali. Nie! Powód był inny: po prostu właśnie tam, w ich domach, kuchniach, gabinetach i sypialniach toczyło się życie.

Gdyby jakiś obcy przybysz przemierzał o tej porze ulice naszego miasta - co się nie zdarzyło za mojej pamięci - widziałby z chodnika coś, co można by nazwać oazą spokoju i miłości: przez niejedno kuchenne okno dostrzegłby może głowę kobiety, której ramiona poruszają się w powolnym, regularnym rytmie, bo właśnie zmywa naczynia. Może widziałby dzieci, które wbiegają do swoich pokojów i wybiegają z nich, bo poszukują ołówków albo na czyjeś polecenie wyłączają odtwarzacz stereo. Może zauważyłby mężczyzn drzemiących w dużych wygodnych fotelach. Wieczorami, zwłaszcza gdy na dworze robiło się chłodno, ulice pustoszały. Nie spotykało się nikogo, z wyjątkiem może jakiegoś dzieciaka, który wracał od kolegi. Pewnie siedzieli razem nad jakimś szkolnym zadaniem, budowali z papier mâché piramidy lub pisali wypracowanie o tragedii Romea i Julii. A może dziecko wyszło z domu po jakiejś rodzinnej awanturze. Późnym wieczorem na ulicach naszego miasta niewiele byś też usłyszał prócz cichych odgłosów dochodzących z domów: ćwiczeń na pianinie, szumu wody czy słów komentatora sportowego z telewizji.

Ale noc, w czasie której świecono lampki na choinkach, była inna. Mieszkańcy całymi rodzinami udawali się w stronę miejskiego skweru w płaszczach z podniesionymi kołnierzami, które miały ich chronić nie tyle przed zimnem, ile przed myślą o nim, bo skoro Boże Narodzenie jest tuż-tuż, to należy się spodziewać chłodu. W głąb naszego domu wnikały odgłosy rozmów z ulicy. Przypominały brzęczenie pszczoł, które w piękne letnie dni oblegały krzaki hortensji.

Mama ubierała się na górze, a ja pakowałam do torebki jej lekarstwa, dodatkową parę rękawiczek i cztery ozdoby choinkowe, których na wszelki wypadek nie umieściłyśmy na drzewie. Trudno było powiedzieć, o jaki wypadek mamie chodziło, ale to ona tak zdecydowała. Mama włożyła stare wełniane spodnie, które musiała mocno ściągnąć w pasie, czerwony golf i czerwony rozpinany sweter zdobiony na przodzie ładnie wrobionym wzorem, przedstawiającym skaczącego renifera; od kilku lat wkładała ten sweter na uroczystość zapalania świateł na drzewach. Teraz powoli zeszła ze schodów, mocno się trzymając poręczy, po czym usadowiła się w fotelu i na tę resztkę włosów, jakie jej jeszcze zostały, wciągnęła берет.

- Nie bierzesz zakietu? - spytał ojciec.

- Nie potrzebuję - odparła - bo się ubrałam na cebulkę. A poza tym chcę się pochwalić swetrem.

Ja też się ubrałam na czerwono, a ojciec włożył zielony lodenowy płaszcz. Razem tworzyliśmy wesołą grupę, nawet przybrany wstążkami fotel na kółkach nie stanowił dysonansu. Ojciec pchał fotel, a ja

szałam obok. Księżyc ślizgał się po rączkach fotela i odbijał w ich srebrze lśniąca poświata. Mama odrzuciła głowę do tyłu i patrzyła w niebo.

- Jaka piękna noc - powiedziała cicho.

Ulice wokół skweru były wypełnione ludźmi. Tłum był tak wielki, że sporo osób musiało stać w bocznych ulicach, które wachlarzowo rozchodziły się od centrum. Nam jednak udało się precyzyjnie do przodu, ponieważ mojej matce i innym Córcom Minnie ofiarowano miejsca obok podium, z którego burmistrz dawał sygnał do zaświecenia lampek.

- Dobry wieczór, pani Gulden! - zawołała mała Hetty Belknap, znana z tego, że jej urodzenie odmieniło życie Hugh i Sophie Belknapów. Była to drobna, chuda piegowata dziewczynka o włosach koloru piasku; wyglądała, jakby się pocięła nożyczkami do manikiuru.

- Co, kochanie? - spytała mama.

- Bardzo mi się podoba, jak pani udekorowała koła swego fotela - powiedziała Hetty. Ojciec rzucił jej surowe spojrzenie. -

Przecież nie mówiłam niczego o chorobie - zajęczała Hetty, ale ojciec od razu ją wyprowadził.

- Witaj, Ellen! - zawołał młody policjant, który starał się powstrzymać napierający tłum. Nie mogłam sobie przypomnieć jego imienia; odżyło mi w pamięci dopiero po miesiącach, kiedy go spotkałam w magistracie.

- Cześć, jak się masz! - przywitałam go wesoło. - Niech cię obejrzą w mundurze.

- Popatrz, jak mnie nasza Ellen naśladuje - zwróciła się mama do ojca, jednocześnie mrugając do mnie porozumiewawczo.

Prezbiteriański chór przygotowywał się do występu. Chłopcy ubrani na czerwono, ze śpiewnikami pod pachą, stali, czekając na sygnał. Amanda Bollan, która razem ze mną była w Komitecie Honorowym, pomachała mi ręką, a potem się odwróciła i coś szepnęła pani stojącej obok.

- Czy Brian już przyjechał? - spytała szczupła dziewczyna w futrzanych nausznikach, pochylając się ku mnie.

Burmistrz Best i jego żona Linda przywitali się ze wszystkimi. Zauważyłam, że włożył na dzisiejszą okazję kapelusz z napisem „Best na kongresmana”.

- Słyszałem od Lindy, że jej poradziłaś, jak uatrakcyjnić dekorację drzewa - zwrócił się do mamy.

- Zapewniam cię, Ed, że ona wcale nie potrzebowała moich rad - odparła mama.

- Dobrze wyglądacie i ty, i Ellen - powiedział.

Córy Minnie zwykle stały półkolem za podium, ale tego roku zgromadziły się wszystkie wokół fotela mamy. Burmistrz odczytywał ich nazwiska, a w tym czasie matki syknięciem uciszały swoje dzieci, by przestały hałasować. Jakaś dziewczynka głośno płakała. Kiedy ją wynieśli, szloch zaczął zanikać, jak wycie karetki pogotowia, gdy skręca za rogiem.

Przypomniałam sobie, że już tu byłam jako dziecko. Tata niósł mnie na plecach, a ja kurczowo trzymałam się jego włosów. Mama dźwigała Jeffrey'a, niezgrabnie przyciskając go do biodra. Była wtedy

w zaawansowanej ciąży z Brianem. Od kiedy mama została Córá Minnie, zawsze rano zaglądałam do jej kosza w holu, żeby zobaczyć, co poprzedniego wieczoru przygotowała do ozdobienia swojego drzewa na skwerze. Nigdy przedtem jednak nie pomagałam mamie dekorować drzewa, zrobiłam to dopiero teraz, i to nieproszona. Sama się zaoferowałam.

- Wesołych świąt, Langhornianie - powitał nas burmistrz inaczej niż w poprzednich latach, kiedy to życzył mieszkańcom szczęśliwego Bożego Narodzenia. Zmienił treść życzeń na skutek sprzeciwu żydowskiego profesora ekonomii w tutejszym college'u; zarzuty przeciwko temu sformułowaniu, zamieszczone na łamach „Tribune”, przez tydzień ukazywały się na pierwszej stronie tego dziennika. Burmistrz podniósł rękę i drzewa ożyły: iskry sypnęły się spomiędzy gałęzi, a cekiny na naszym drzewie zalśniły czerwienią i złotem. Zachwycony tłum bił brawo i wiwatował, a chór zaczął śpiewać.

Kiedy przebrzmiał głęboki i donośny dźwięk kolędy *Cicha noc, święta noc*, ludzie na chwilę zamilkli. Ojciec w skupieniu i z zaciśniętymi wargami przyglądał się mamie, ale gdy napotkała jego wzrok, szeroko się uśmiechnął.

- Które drzewo jest mamy? - spytał, jakby przez całe tygodnie nie widział cekinowych ozdób, zalegających stoły i lady w naszym domu.

- Trzecie od lewej - szepnęłam. Czulałam zapach jego cytrynowej wody kolońskiej i wilgotnej wełny palta. „Tatusiowe zapachy” - tak je nazywałam jako dziecko, dołączając do nich jeszcze zapach jego pasty do butów.

- Tak myślałem - powiedział.

Chór z zapalem odśpiewał następną tradycyjną kolędę *Deck the Halls*, ostro wybijając spółgłoski; ciepłe powietrze wydychane w zimną noc akcentowało je białymi dymkami. Córy Minnie obejmowały się, składając sobie życzenia, a burmistrz dziękował im za piękne dekoracje. Potem tłum ruszył do przodu, by każde drzewo obejrzeć z bliska. Na chwilę straciłam z oczu mamę, gdy otoczona kółkiem sąsiadów gdzieś się zapodziała. Młody policjant uśmiechał się do mnie ponad głowami ludzkiej ciżby. Jego blada twarz górowała jak księżyc nad gromadą dzieci, które przepychały się, próbując odszukać swoich bliskich.

- Czy to pani Ellen? - spytała mnie młoda blondyna z włosami zaczesanymi do tyłu. Wysokie czoło przewiązała aksamitną wstążką z naszytymi jedwabnymi liśćmi ostrokrzewu i czerwonymi jagodami z cekinów. Miała na sobie czarną wełnianą pelerynę, której poły otwierały się przy każdym ruchu. Była w zaawansowanej ciąży.

- Jestem Halley McPherson - powiedziała, ściskając moją dłoń.

- Właśnie przeprowadziliśmy się tutaj z Atlanty. Mój mąż jest głównym księgowym w college'u. Piękną macie państwo uroczystość - dodała.

- Tak, rzeczywiście, ale po Atlancie nasze miasto pewnie wydaje się pani bardzo małe.

- Właściwie wszystkie miasta są w jakimś sensie małe, no nie? Mój mąż to samo mówi nawet o stawach. Słyszałam od pani mamy, że mieszka pani w Nowym Jorku, więc może się nie zgodzić z tym twierdzeniem.

Uśmiechnęłam się. Rzeczywiście się z nim nie zgadzałam.

- Bardzo chciałam panią poznać. Pani mama była dla mnie taka dobra. Powiedziałam panu w sklepie z naczyniami, że szukam podręcznika do dekorowania mebli, bo chcę ozdobić pokój dziecinny, a on mnie zapewnił, że gdy porozmawiam z pani mamą, książka nie będzie mi potrzebna.

- Ach, więc to pani pytała mamę o zdobienie kołyski? No i jak wyszło?

- Przepięknie. Nikt nie wierzy, że sama to zrobiłam.

Tłum wokół nas się rozstał i utworzył szpaler, którego środkiem szedł mój ojciec, pchając fotel na kółkach. Mama się uśmiechnęła i wyciągnęła do mojej rozmówczynie rękę.

- Witam panią, pani Halley, i cieszę się, że możemy się poznać. - Zerknąwszy na jej kształty, dorzuciła: - Wspaniale pani wygląda.

- Chyba rozwiązanie już blisko - zauważył tata.

- Myślę, że stanie się to od piątku za tydzień - wyznała pani Halley.

- Ciekawa jestem, mamó, jak panią poznałaś? - spytałam.

- Po przepasce na włosy - pospieszyła z odpowiedzią młoda kobieta. - Bo pani mama namówiła mnie także na zrobienie ozdobnej przepaski - wyjaśniła, podnosząc dłoń do włosów. - Umówiliśmy się, że po niej właśnie mnie rozpozna. Ale mam nadzieję, że wkrótce odwiedzi mnie pani w domu i zobaczy kołyskę.

- Na pewno. I to bardzo niedługo... - obiecała mama.

Kiedy w drodze powrotnej szliśmy pod górę, otaczały nas dzieci, a dorośli składali nam życzenia świąteczne, wołając do naszej trójki z drugiej strony ulicy. Mama, spojrzawszy znowu na księżyc, stwierdziła, że uwielbia Boże Narodzenie.

- To zawsze były moje ulubione święta - oznajmiła. - Kiedy byłam mała, dekorowałam całe mieszkanie papierowymi wycinankami. - I chwytając mnie za rękę, powiedziała z naciskiem: - Musimy mieć drzewko, Ellen!

- Nie! - krzyknęłam tak głośno, aż ludzie się obejrzel, żeby zobaczyć, co się dzieje. - Zmiłuj się, Panie Boże, i nie każ mi dekorować jeszcze jednego drzewka! Odsuń ode mnie ten kielich!

- Tylko jeszcze to jedno - śmiała się mama. - I nie może być wyższe niż trzymetrowe, bo inaczej nie zmieści się w salonie.

- Dobrze - zgodziłam się. - Niech będzie to jedno, i na tym koniec!

- Gdy za dwa dni przyjadą do domu chłopcy, podamy na kolację szynkę. To o wiele łatwiejsze niż pieczenie indyka.

- Indyk nie jest zły - mruknęłam.

- Na wszelki wypadek byłoby dobrze, gdybyś się nauczyła, jak się robi indyka.

- Na jaki wypadek? - spytałam.

- Ach, ty... - zaśmiała się.

- Drzewo Guldenów było najpiękniejsze - pochwalił nas tata.

- Wiem - zgodziła się mama.

Księżyc był wspaniały i błyszczał jak moneta. Gdzieś tam świeciły się kolorowe lampki na choinkach, a ich zarys ginął w mroku śpiących już domów i także tych, których mieszkańcy nie wrócili jeszcze z uroczystości na skwerze. Wiał słaby wiatr, a świerki rosnące przed domami szeleściły, wydając dźwięk przypominający delikatne zacieranie rąk. Mamę przebiegł dreszcz.

- Zimno ci, a mówiłem, że powinnaś włożyć żakiet - przypomniał ojciec.

- Nie jest mi zimno - odparła.

Mały chłopiec w czerwonej czapeczce wciągniętej głęboko na uszy przebiegł obok nas, wołając matkę. Z dołu, od podnóża wzniesienia zbliżała się grupa młodych ludzi śpiewających kolędy; co chwila gubili wątek i brakowało im słów.

- Uwielbiam Boże Narodzenie - powtórzyła mama i smutno westchnęła.

Ojciec pochylił się nad nią tak, że dotknęli się głowami.

- A co z Wielkanocą? - spytał. - Wiem z pewnego źródła, że w tym roku będziemy mieli wczesną Wielkanoc. Nawet bardzo wczesną... - zapewnił. - A ta miła młoda dama na pewno będzie potrzebowała twojej pomocy: poprosi, żebyś ją nauczyła malować jaja i pleść koszyczki.

Mama przyłożyła dłoń do policzka ojca, a potem jeszcze raz spojrzała na księżyc.

- Nie, Gen - powiedziała. - Wielkanoc nigdy nie była moim ulubionym świętem. Do diabła z Wielkanocą!

* * *

Gdy Teresa zjawiała się u nas po raz drugi, Jeffrey i Brian byli już na feriach w domu. Przyjechali Jeffowym jeepem, który jest dziurawy i nieszczelny, zmoczeni do ostatniej nitki, bo tuż przed Filadelfią złapał ich jeden z tych okropnych zimowych ulewnych deszczy. Koniecznie chcieli dotrzeć do domu na kolację, więc kontynuowali podróż. Ale gdy się w końcu zjawili, mama spała. W noc po uroczystości zapalania świateł na choinkach zbudziła się z ogromnym bólem i musiałam dać jej większą dawkę morfiny. Wprawdzie zaraz potem zasnęła, wkrótce jednak znów się obudziła i płacząc, mówiła bez ładu i składu o jakichś małych dzieciach, o burzy i o rosnącym w ogródku drzewie, w które uderzył piorun, rozszczępił je i spadło na dom. Stałam w drzwiach sypialni rodziców i patrzyłam, jak tata próbuje ją uspokoić. Był bardzo zaniepokojony dziwnym wyrazem jej oczu i gadaniną bez sensu. Trzymał ją w ramionach.

- Coś ci się przyśniło, Kate - przekonywał. - To jakaś nocna zmora. Koszmar senny. Nie ma żadnej burzy i nie ma żadnych małych dzieci...

- Nie ma dzieci? - zdziwiła się.

- Nie ma.

- Ja tu jestem - wtrąciłam się.

- Miałam koszmar senny - powtórzyła po ojcu.

- Tak.

Ostatecznie udało się tacie uspokoić mamę i przykryć kołdrą. Powieki jej opadły, jakby ktoś nagle wyłączył światło, i zaczęła oddychać ciężko jak przy silnym zaziębieniu. Ojciec wyszedł z łóżka w samych bokserkach, więc odwróciłam od niego wzrok i oparłam się o futrynę drzwi, on zaś od razu wciągnął na siebie spodnie i koszulę, które nosił poprzedniego wieczoru.

- Po czymś takim już nie będę mógł zasnąć - narzekał. - Jak myślisz, skąd się biorą te halucynacje? Może jest to uboczny efekt leczenia?

- Nie wiem, ale to całkiem prawdopodobne. Wolę jednak - stwierdziłam z naciskiem - żeby miała halucynacje i nie cierpiała, niż musiała znosić te straszne bóle.

- Nie sugeruję bynajmniej, że mama powinna cierpieć, ale wydaje mi się, że nie możemy stosować lekarstw, o których ubocznym działaniu nic nie wiemy.

- Ależ tato, nic mnie to nie obchodzi, czy po lekach jej skóra stanie się sina albo nawet krew jej się puści nosem... Najważniejsze, żeby nie cierpiała, żeby leki uśmierzały ból. Tu nie chodzi o intelektualne rozważania, ale o to, żeby dało się przebrnąć przez dzień.

- Najlepiej będzie, jak spytasz o to panią doktor - poradził, schodząc na dół.

- Sam się spytaj! - odparowałam.

Zamiast lekarki zagadnęłam o to Teresę. Poprzedniego wieczoru Jeff wybrał się na jakąś imprezę z kolegami z liceum i nie było go niemal do świtu. Biegał teraz po kuchni boso i w szortach, gdy nagle zadzwonił dzwonek.

- To pewnie moje towarzystwo - zapowiedział i trzymając w ręce masło orzechowe i sandwicza z galareta, szeroko otworzył drzwi.

- Proszę! Wejdz, Tereso! - powiedziałam, patrząc przez jego ramię. - Mama jest na górze. Zauważyłam, że dookoła kateteru poczerwieniała jej skóra. Mama ma nadzieję, że rzucisz na to okiem i także na jakieś gule, które utworzyły jej się na ciele, z boku.

- Oczywiście, zaraz zobaczę - obiecała, a Jeff trzymał drzwi otwarte i patrzył za nią. Położyła płaszcz w salonie na jednym z foteli z wysokim oparciem, wyjęła z torby mały woreczek i poszła na górę. Za chwilę usłyszałam jej wołanie:

- Pobudka! Wstajemy z łóżka!

- Możesz mi wyjaśnić, kto to jest? - spytał Jeff.

- Pielęgniarka.

- Pielęgniarka? - powtórzył zdziwiony.

- Przecież ci już mówiłam. Doktor Cohn uznała, że raz na tydzień powinna do mamy przyjść pielęgniarka, i to jest właśnie ona. Nazywa się Teresa Guerrero.

- Teresa?

- Jeff, złotko, muszę umyć podłogę i mam mnóstwo bielizny do prania, więc nie marudź. Doktor Cohn przysłała pielęgniarkę, nazywa się Teresa Guerrero, i ja też zauważyłam, że jest bardzo młoda i niezwykle atrakcyjna.

- Kiedy wspomniałaś o pielęgniarce, wyobraziłem sobie kobietę przypominającą bułeczkę: jakaś okrągła, biała, pulchna i kojąca osóbkę...

- A tymczasem zjawił się ktoś całkiem inny...

- Aż dziw bierze... - Jeff kręcił głową, jedząc kanapkę. - Jestem nią żywo zainteresowany... i nie ma w tym nic niezwykłego.

Zanim Teresa zeszła na dół, Jeff włożył dzinsy i koszulę do rugby.

- Włożyłeś nawet buty... Gdzie to zapisać? - szydziłam.

- Zamknij się, Ellie! - warknął brat.

- Naprawdę się cieszę, że jesteście obaj w domu - zapewniłam go.

- Ja też się cieszę, zwłaszcza ze względu na Briana. Ciężko mu teraz w szkole. Nienawidzi współlokatora z pokoju w akademiku, nie znosi opiekuna roku i nie lubi wykładów. A wszystko dlatego, że jest daleko od domu. Wspominał nawet, że chętnie przeniósłby się do Langhorne, aby być blisko mamy.

- Ojciec na to nie pozwoli. A poza tym, jeśli planuje przenieść się w następnym semestrze, to w ogóle nie będzie miał już po co tu przyjeżdżać.

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak. Chyba że stanie się cud... Boję się, że zbliża się ostatni etap choroby.

- Do diaska! - zaklął Jeff. - Jak szybko to może nastąpić?

- Nie wiem. Żyję tylko dniem dzisiejszym. Nie jestem w stanie przewidzieć, co przyniesie następny tydzień.

- Widziałem się niedawno z Jonem w Cambridge. Pojechałem tam, aby się spotkać z chłopcami z Boston University* i wypilem z Jonathanem drinka. Powiedział, że na święta nie przyjedzie do domu.

* Boston University jest jedną z kilku bostońskich szkół wyższych.

- Bo Jon jest właśnie taki. Nie potrafi zrozumieć kogoś, kto traci matkę.

- Jesteś dla niego bardzo wyrozumiała. Myślę, że Jon odgrywa jakąś własną psychodramę, żeby się pozbyć urazu, iż ktoś, na kim mu rzekomo zależy, nie potrzebuje go tak jak kiedyś. Uważam, że zachowuje się poniżej wszelkiej krytyki.

- Powiedziałeś mu to?

- Oczywiście, że tak. To się samo przez się rozumie - odparł, uśmiechając się.

- I co?

- Jon nie jest facetem, na którego możesz liczyć w trudnych chwilach.

- Nie jest - przyznałam.

- Ale z drugiej strony, jeszcze rok temu powiedziałbym to samo o tobie.

Wymachując stetoskopem, Teresa zeszła na dół. Miała w uszach kolczyki w kształcie wielkich złotych kół. Tym razem nie była w spodniach, lecz w długiej, fałdzistej, białej spódnicy, którą niemal zamia-

tała podłogę. W ręku niosła gwiazdkowy prezent, który otrzymała od mamy: małe pudełko owiązane czerwoną i czerwoną w zielone prążki wstążką. Przez cały tydzień, kiedy mama spała, zanosila prezenty sąsiadom, pielęgniarkom, a także doktor Cohn. Lekarka dostała ręcznie tkaną gobelinową poduszczkę na wstążce z napisem „Aj Waj”.

- Ten okrzyk obrazuje stan ducha onkologów - orzekła pani doktor i powiesila poduszczkę na kłamce w swoim gabinecie.

- I chyba to właśnie miała na myśli ofiarodawczyni - zapewniłam.

Teresa ucieszyła się upominkiem. Patrząc na pudełeczko, uśmiechała się.

- Twoja matka jest przemiłą kobietą - wyznała.

- Może znasz jeszcze jakieś śmieszne anegdoty? - zmieniłam temat.

- Nie znam. To może się wydawać dziwne, ale dzieci, o których opowiadałam, mają bzika na punkcie historyjki o Hali Orpad. Zwróciłyśmy im uwagę, że dowcip jest wulgarny i pewnie dlatego... Ten mały chłopiec wciąż powtarza słowo „wulgarny”, „wulgarny”, jakby mu się szczególnie podobało.

Jeff wyciągnął do Teresy rękę.

- Jeff Gulden - przedstawił się, a po chwili dodał: - W naszym hrabstwie najlepiej gram w piłkę nożną i lacrosse, a poza tym jestem starszym synem i mam mocny serw.

- Wiem już o tym wszystkim od pana mamy - chłodno skwitowała Teresa, a zwracając się do mnie, wyjaśniła: - Nie widzę niczego niepokojącego w miejscu, gdzie jest kateter. Ponownie go przepłukałam i pobrałam krew, o co prosiła doktor Cohn. Kiedy mama ostatnio brała lekarstwo?

- Nie umiem dokładnie określić, która to była godzina.

- Wydaje się ogromnie zmęczona. Mam wrażenie, że dawki nie są właściwie dobrane i częstotliwość podawania leku też nie jest taka, jak być powinna. Czy mogę porozmawiać o tym z doktor Cohn?

- Oczywiście, bardzo proszę. Mama śpi teraz rano i po południu, ale zapada w sen nagle i nieoczekiwanie. Nieraz zasypia na kanapce w trakcie czytania albo w fotelu, kiedy ogląda telewizję. Po obudzeniu się przez jakiś czas czuje się dobrze, ale mija godzina lub dwie i mama znowu gdzieś odpływa. W tym tygodniu czuje się szczególnie zmęczona, bo miała we wtorek noc pełną koszmarów. Ojciec chciałby wiedzieć, czy morfina wywołuje halucynacje.

Teresa rozejrzała się po pokoju i rzuciła okiem na Jeffa.

- Może usiądziemy? - zaproponowała. - Na temat halucynacji i ich związku z zażywaniem morfiny istnieją różne opinie - powiedziała, gdy znaleźliśmy się w salonie. - Wielu lekarzy uważa, że nie ma takiego symptomu. Inni jednak sądzą, że jest to jeden z możliwych efektów ubocznych. Znam pielęgniarki, które twierdzą, że to wcale nie są halucynacje. A kiedy się to mamie przydarzyło?

- Kilka dni temu zbudziła się w nocy i przerażona krzyczała coś o małych dzieciach i burzy z piorunami.

- Rozumiem. Można to tłumaczyć w rozmaity sposób. Można na przykład uznać to za koszmary nocne, jakie i zdrowi ludzie przeżywają, przy czym wasza matka zareagowała niezwykle ostro, znacznie

ostrzej niż gdyby zdarzyło się to wam lub mnie, i tu powodem może być morfina. Jest też możliwe, że rzeczywiście miała halucynacje. Ale moim zdaniem są pewne sprawy, które waszą mamę w głębi duszy gnębią, i to się w ten sposób przejawia. Może to, co mówię, wydaje się niezbyt zrozumiałe, niemniej zjawisko jest znane: u niektórych chorych bolesne dla nich myśli i odczucia przybierają takie dziwne formy. Bliscy, którzy się nimi opiekują, nie domyślają się, o co naprawdę chodzi, i najczęściej sądzą, że to halucynacje.

- Mogłaby pani podać nam jakiś przykład.

- Opiekuję się pewną starszą kobietą, która umiera na raka trzustki. Otóż zarzuca ona swojemu mężowi, że ją zdradza z różnymi ich wspólnymi znajomymi. Mówi o tym w niezwykle ożywiony sposób i tak szczegółowo, że dowiedziałam się od niej o pewnych rzeczach, o których nie słyszałam nawet na zjeździe seksuologów.

- A niech to diabli... - zaklął Jeff.

- Czy na pewno mąż tej pani tego nie robi? - spytałam.

- W tym wypadku jestem o tym przeświadczona - odparła Teresa z lekkim uśmiechem. - Na temat tych urojeń mam własną teorię. Sądzę, że chora rozmyśla nad dalszym życiem swego męża już bez niej, czuje z tego powodu ogromną złość i lęk, i to jest przyczyna jej dziwacznych zachowań się.

- Ale żeby bredzić o małych dzieciach i burzach z piorunami... - wciąż dziwił się Jeff.

- Nie jestem psychiatrą, proszę pana, a słyszałam, że Ellen odmówiła, gdy proponowano jej zasięgnąć porady tego specjalisty. Być może właśnie wy jesteście tymi małymi dziećmi, które się przyśniły Kate, a wszystko, co tu nas otacza - zakreśliła w powietrzu krąg ręką, jakby chciała im uzmysłwić, że chodzi o dom - to jest ta burza... - Położyła rękę na swojej torbie zawierającej medyczne wyposażenie.

- Czy nie powinna pani pomyśleć o studiach psychiatrycznych, bo tłumaczenie pani brzmi bardzo wiarygodnie.

- Może ty, Ellen, spróbujesz porozmawiać z matką o jej snach - zaproponowała Teresa.

- Ja pragnę tylko jednego; wziąć stetoskop i posłuchać jej serca. Nie bicia serca, ale jego wnętrza...

Teresa wyjęła z torby stetoskop i wręczając mi go, powiedziała:

- Możliwe, że ci pomoże, bo każde serdeczne zbliżenie pomaga, a ja znajdę sobie inny stetoskop. Jeśli pozwolisz, wkrótce znowu się u was zjawię.

- Będzie pani mile widziana o każdej porze - odezwał się mój brat.

- Nie mieszaj się do nieswoich spraw, Jeff - zwróciłam mu uwagę; stetoskop powiesiłam sobie na szyi. Nieraz później wracałam myślami do tego dnia, w którym po raz pierwszy w życiu miałam w rękę stetoskop i założyłam go sobie tak jak lekarze i pielęgniarki. Myślałam o okolicznościach, w jakich mi go Teresa dała, i o tym, że go przyjąłam i zachowałam, chociaż powinnam była zaproponować, że jej zaraz zwrócę.

- Mama ciebie lubi, Tereso - zapewniłam ją. - Przychodź tak często, jak możesz i kiedy uznasz, że trzeba, że jej przyniesiesz ulgę. Mam wrażenie, że mama będzie cię teraz coraz częściej potrzebować.

- Tak, na pewno - odparła Teresa, sięgając po płaszcz.

- Jak długo jeszcze, zdaniem pani, to potrwa? - spytał Jeff.

- Nie da się tego dokładnie określić, ale starajcie się jak najlepiej wykorzystać ten czas, jaki macie, zamiast się martwić, ile go jeszcze zostało.

I to robiliśmy przez następny tydzień. Chłopcy wozili mamę jeepem. Otulaliśmy ją w szale i koce, żeby nie zmarzła, i nie szczydziliśmy wysiłków, aby mogła obejrzeć wszystkie bożonarodzeniowe dekoracje, jakie były w tym mieście. Zaczęliśmy od skromnych białych światełek lśniących w gałęziach krzewów i drzew rosnących przed największymi domami w sąsiedztwie, a skończyliśmy na domu przy wąskiej stonowej drodze prowadzącej do Przylądka Cod, jakieś piętnaście kilometrów od miasta, gdzie na trawniku stały wielkie plastikowe figury przebrane za chłopców z chóru; plastikowi śpiewacy mieli żarówki o mocy 200 watów w środku różowych główek i głośno wyśpiewywali popularne kolędy. Na dachu zaś stały sianie zaprzężone w osiem reniferów w przedziwnych pozycjach. I nie koniec na tym, bo na całej szerokości drzwi do garażu migotały lampki tworzące napis: JOYEUX NOËL! Gdy późnym wieczorem chłopcy z mamą wrócili z tej wyprawy, głośno krytykowali to, co Jeff określił jako *La Maison de Billion Lumières**, i zastanawiali się, jaki rachunek za elektryczność będzie musiała zapłacić rodzina, która tam mieszka. Ich rozmowę słyszałam w kuchni, gdzie robiłam sobie kakao. Wyjęłam z piekarnika świąteczne, pięknie upieczone ciasteczka i ułożyłam je na paterze.

* „Dom miliarda świateł”.

- Żałuję, że nie mogliśmy tam wejść bez uprzedzenia i jak najgrzeczniej zapytać: „Monsieur, Madame, dlaczego życzenie nam wesołych świąt po francusku? Dlaczego?! - gorączkował się Jeff. - Czy może po to, żeby podnieść wartość tych małych plastikowych urwisów w togach chórzystów? Zrozumcie wreszcie ludzie, że to już na nikogo nie działa!”

Wniosłam paterę do pokoju.

- Jezu, El! - zwrócił się do mnie Brian. - Szkoda, że nie mogłaś tego zobaczyć. Jeff prowadził jeepa naprawdę bardzo powoli i dokładnie, nie pomijając żadnego szczegółu, opisywał wszystko, co ci ludzie tam mieli. Mama go uciszała. Mówiła: „Jeffrey, uważaj, bo oni gotowi cię usłyszeć!” Ale on nie przestawał, bo mama się przy tym głośno śmiała i jej słowa do niego nie docierały.

- Jeff rzeczywiście bezczelnie się zachowywał - potwierdziła mama, chichocząc.

- Może i byłem bezczelny - przyznał Jeff - ale te dekoracje mnie sprowokowały... Szczególnie dom Byersów z białymi świeczkami w każdym oknie... Nie lubię takiego wyróżniania się. Jestem zwolennikiem równych szans dla każdego i nikt nie może nazwać mnie snobem...

- Ależ ty jesteś snobem! - zarzucił mu Brian. Jeff chwycił go nelsonskim chwytem.

- Zrobię z ciebie placek, jesteś skończony! - wrzeszczał.

- Czy możecie się uciszyć? - syknął ojciec, który wszedł do pokoju ze słuchawką telefoniczną w ręce. - Właśnie rozmawiam z Cambridge.

- O Boże! - szepnął Jeff. - Z Cambridge. Nigdy bym się nie ośmielił przeszkodzić w rozmowie z kimś z Cambridge - zakpił.

- Jeff! - upomniała go matka.

- Już nie będę, mamusiu, ale ciastka są wspaniałe, jak zawsze.

- Komplement należy się twojej siostrze, kochanie. Ellen je upiekła.

Jeff wbił we mnie zdziwiony wzrok.

- Czy w ogóle można sobie coś takiego wyobrazić? Żeby Ellen Gulden we własnej osobie sypała mąkę i lała wodę w to samo miejsce i w tym samym czasie, i mieszała te substancje przy użyciu miksera?

- A co wy, u diabła, myślicie, że ja tu cały czas robię?! - oburzyłam się. - Jak myślicie, kto tu odkurza, pierze bieliznę i przyrządza wszystkie posiłki? Jak myślicie? Kto robi zakupy i ściele łóżka? - Głos mi się załamał i w oczach pojawiły się łzy. Zamilkłam, odwróciłam się i pobiegłam do kuchni.

- Cholera! - Usłyszałam, jak Jeff zaklął, ale tym razem mama nie zwróciła mu uwagi.

Przez cały wieczór oglądaliśmy w telewizji bożonarodzeniowe filmy: *Cud w Nowym Jorku* i *Życie jest piękne*. A gdy brat George'a Baileya nazwał go najbogatszym człowiekiem w mieście, wszyscyśmy się rzewnie rozplakali. Nawet tata cicho popłakiwał. Na wigilijną kolację przygotowałam krewetki i otworzyłam szampana.

- Usiądź przy mnie, Betty Crocker!* - zażartował Jeff, ale już się tym nie przejęłam. Na koniec pokazali w telewizji *Opowieść wigilijną* w starej, czarno-białej angielskiej ekranizacji z Alistairem Simem.

* Betty Crocker - mistrzyni kuchni, autorka książek kucharskich.

- Ciekawe - zaczął ojciec - że nikomu dotąd nie udało się nakręcić ani jednego dobrego filmu na podstawie powieści Dickensa. - Tata spoglądał na ekran telewizora znad okularów do czytania, a na kolanach miał rozłożony dodatek do „New York Timesa” poświęcony recenzjom książek. - Bo zrobienie takiego filmu po prostu nie jest możliwe - sam sobie odpowiedział. - Najistotniejszą cechą prozy Dickensa jest materialny opis i właśnie tego opisu nie udaje się przedstawić twórcom filmowym. Popatrzcie choćby na tę scenę mającą zobrazować przyjęcie albo tę, gdy Scrooge rozpoczyna pracę sprzedawcy w sklepie... Oni nie potrafią tego pokazać, nie umieją właściwie obsadzić ról ani prowadzić dickensowskich dialogów... Na przykład taka, powiedzmy sobie, postać jak Fezziwig nawet się nie umywa do tego, kim jest ten człowiek w książce.

- Jestem przekonany, że to samo Mario Puzo mówi o *Ojcu chrzestnym* - wtrącił się Jeff.

- Wsłuchaj się w dialog, Ellen - ojciec zwrócił się do mnie - przecież nie ma w nim ani za grosz rytmu...

- Wiesz, Gen, lepiej byś się zamknął - nieoczekiwanie odezwała się mama.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Wszyscy, z wyjątkiem ojca, który zaczerwienił się od brody po czoło. Jeff przyniósł z mego pokoju egzemplarz *Opowieści wigilijnej* Dickensa i na głos czytał oryginalne dialogi jednocześnie z filmowymi, które, o dziwo, okazały się zupełnie niezmienione.

- Bardzo was przepraszam - mówiła mama - ale przestańcie już znęcać się nad tym filmem, przynajmniej tej nocy...

- Chodziło mi o to... - nie dawał za wygraną ojciec.

- Wiem, o co ci chodziło, ale ja chcę spokojnie obejrzeć ten obraz do końca.

Myślę, że gdyby to się zdarzyło w innym czasie, ojciec by nie ustąpił i nadal by się sprzeczał i argumentował. A może powinnam raczej powiedzieć, że w innym czasie moja matka nigdy by takiej dyskusji nie zaczęła... Niemniej tata zamilkł i zagłębił się w czytaniu, a my wszyscy piliśmy szampana. Jedną butelkę skończyliśmy i zaraz otworzyliśmy drugą.

- Gniewasz się jeszcze na mnie, Gen? - spytała matka podczas przerwy na reklamy.

- Nigdy się na ciebie nie gniewałem - odparł.

Niedługo potem, kiedy na ekranie odmieniony Scrooge nauczył się czcić Boże Narodzenie i zaczął je uroczyście obchodzić, zauważyliśmy, że mama zasnęła. Myśleliśmy, że tata zanieśie ją na górę, ale tego nie zrobił. Może mu się wydawało, że byłby to zbyt intymny gest, którego nie wypada uczynić w obecności trojga swoich dzieci, a może kierował się czym innym. Przypomniałam sobie, jaka mama była szczęśliwa rano po ich nieudanej kolacji. I przyszło mi do głowy, że zanieśenie mamy na górę mogłoby być przez nią odczytane jako zapowiedź czegoś, co nastąpi potem, a na co tata najwidoczniej nie miał ochoty.

Zbudziliśmy mamę i Brian zaprowadził ją do pokoju.

- Czy już się skończyło? - pytała jak małe dziecko, które zasnęło podczas przedstawienia w cyrku.

Następnego dnia obudziła się o siódmej rano, wcześniej niż jej się to zdarzało od tygodni, leżała na kanapie i rozpakowywała prezenty. Od Jeffa dostała jedwabny wzorzysty szal w kiście czerwonych winogron. Był duży, w świetnym gatunku i bardzo elegancki. Mama od razu zarzuciła go sobie na ramiona. Brian ofiarował jej książkę *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* Gibbona.

- Dawno już pragnęłam tę książkę przeczytać - powiedziała i twarz jej się rozjaśniła, a potem nieoczekiwanie oboje wybuchnęli śmiechem, i to tak żywiołowym, że się zakrztusili i trzeba ich było walnąć w plecy. Wszystko się wyjaśniło, gdy Brian pochylił się nade mną i szepnął: „To jest jeszcze jedna z tych makabrycznych powieści miłosnych, ale Duane'owie dla niepoznaki włożyli na nią obwolutę z dzieła Gibbona”.

Ja dałam mamie walkie-talkie, żebyśmy mogły się ze sobą porozumiewać, będąc w różnych częściach domu. Tata kupił jej platynową obrączkę z małymi brylancikami rozmieszczonymi dookoła pierścienia: odbijały światło, zamieniając je w błękit i róż. Gdy mama poruszyła ręką, obrączka zsunęła się i zatrzymała na knykcium, ale nikt z nas nie zasugerował, żeby oddała pierścionek do zmniejszenia.

- Taką obrączkę nazywają pierścieniem wieczności: symbolizuje wiecznie trwałą miłość - wyjaśnił ojciec nieśmiałym głosem.

- Wiem - odparła mama. Małe brylanciki wspaniale błyszcząły na tle jej granatowej aksamitnej podomki. - To jest piękne, Gen. Najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek otrzymałam.

Jonathan przysłał mi na Gwiazdkę angielski kalendarz-terminarz. Była to jedna z tych grubych, oprawnych w skórę książek, jakie kobiety pracujące na wyższych stanowiskach lub zajmujące się biznesem zwykle wyjmują z torebki i kładą na stole podczas lunchów. Strony terminarza wypełnione są numerami telefonicznymi i notatkami do zapamiętania. Na każdy dzień roku przeznaczona jest jedna strona. Kalendarz zawiera też mapę londyńskiego metra, jakby te zapracowane panie jeździły czymkolwiek innym niż samochodami. Przewracałam stronicę, które przesuwają się pod moimi palcami jak puste i czyste karty do gry: luty, lipiec, listopad... Usiadłam na podłodze obok choinki i przewertowałam cały. Moje urodziny w sierpniu wypadały w piątek, mamy - pod koniec czerwca we wtorek; święta wielkanocne miały być w tym roku wcześniej: w końcu marca.

- Jaki ten Jon jest subtelny, prawda? - ironizował Jeff, patrząc przez moje ramię na niezapisane białe strony.

* * *

Mam ten kalendarz do dziś. Używam go codziennie. Zagubiłabym się bez niego, bez tych wszystkich numerów telefonicznych i notek - krótkich informacji dotyczących czasu i wyników konsultacji oraz leków, jakie stosuję moim pacjentom. Zaglądam do niego i od razu wiem, gdzie mam być w następny wtorek albo w pierwszy piątek przyszłego miesiąca. Czasem mi się wydaje, że gdybym zgubiła kalendarz, zostałabym pozbawiona kompasu sterującego moim życiem. Już raz w pewnym sensie straciłam tę busołą. Stało się to przed laty, niedługo potem, gdy ten prezent otrzymałam...

Zawsze z końcem roku wyjmuję niedbale zapisane i często niemożliwe do rozszyfrowania karty (bo skąd mam teraz wiedzieć, co na przykład oznaczała zanotowana dwunastego maja uwaga: 11 - DMC?), wkładam je do koperty z manili, zaklejam, a następnie chowam w pudełku po butach. Jules wszystko trzyma w pudełkach, które gromadzi w zamykanych schowkach po całym mieszkaniu. Przechowuje w ten sposób wyciągi z banku, rachunki telefoniczne, przekazy, starą korespondencję, różne rupiecie i rodzinne fotografie. Jej zdaniem to, że zachowuję stare karty z kalendarza, świadczy o podświadomej potrzebie wprowadzenia zewnętrznego porządku do chaotycznego życia wewnętrznego. Ale dziś, gdy minęło pięć lat, odkąd zaczęłam wszystko zapisywać, ten zwyczaj stał się po prostu jedną z tych czynności, które wykonuję machinalnie. To jest tak, jak ktoś, składając skarpetki, zawsze formuje z nich kłębek albo je kuku-rydź z lewej strony do prawej, lub odwrotnie. Nigdy nie otwieram kopert ze starymi zapiskami. A ten, kto spojrzy na nie po mojej śmierci, niewiele się z nich dowie, z wyjątkiem może tego - co i tak jest oczywiste - że jestem bardzo, ale to bardzo zajęta kobietą i że lubię używać cienko piszącego długopisu czarnego, a nie niebieskiego.

Ale każdego, kto rozerwie te żółte koperty i zajrzy do środka, z pewnością zadziwią stronicę z dwóch pierwszych miesięcy pierwszego roku. Dobrze pamiętam, że były one niezapisane.

Przez cały styczeń i luty kalendarz leżał na moim biurku nietknięty. Zapisałam w nim jedynie, i to zupełnie niepotrzebnie, numer Jules, który znałam na pamięć. Zanotowałam także adresy college'ów Jeffa i Briana. Nie umieściłam w nim adresu Jonathana, gdyż zrobił to sam, w dodatku niebieskim długopisem. I jest to jedyny zapis niebieskim długopisem w tej książce.

- Jak ci się podoba kalendarz? - spytał Jon. - Początkowo myślałam o kupieniu ci takiego, w którym na jednej stronie mieści się cały tydzień, ale doszedłem do wniosku, że nie starczyłoby ci miejsca na opisanie wszystkiego, co uznasz za konieczne. Natomiast jedna strona na każdy dzień powoduje wprawdzie, że książka jest bardzo gruba, ale sądzę, że dzięki temu terminarz będzie bardziej przydatny.

- Jest wspaniały, Jon. Dziękuję.

- Coś mi mówiło, że właśnie ten jest dla ciebie... Jakby przywoływał twoje imię.

I chyba tak rzeczywiście było. Ale kalendarz przywoływał imię dawnej Ellen Gulden. Dziewczyny, która gotowa była bez wahania mocno dać się we znaki własnej matce, która swoją ostrą krytyką odstraszała studentów na seminariach, która po zdaniu z wyróżnieniem egzaminu w Harvardzie w czwartek, już w najbliższy poniedziałek zaczęła pracę w redakcji i która uwielbiała te chwile w biurze, kiedy, wyglądając oknem na nieprzeniknioną czerń East River, widziała światła dzielnicy Queens odbijające się w niej jak gwiazdy, a jedynymi towarzyszącymi jej wówczas osobami były sprzątaczk.

Dawna Ellen myślała o swoich przełożonych w redakcji, wychodzących na różne przyjęcia i kolacje w restauracjach, a także o własnych wypadach do klubów w centrum czy do tanich, lecz tchnących autentyzmem lokali w chińskiej dzielnicy, i nie bez satysfakcji mówiła sobie w duchu: robię karierę...

Tamta Ellen Gulden, którą szef podejrzewał, że posługując się oszukańczym wymysłem o rzekomo umierającej matce, usiłowała wydebić od niego podwyżkę czy awans w pracy. Tamta Ellen wypełniłaby zapewne każdy centymetr pustych stron kalendarza gorączkowym opisywaniem swoich niepohamowanych ambicji...

Przez dwa miesiące niczego w terminarzu nie zapisałam. Nie miałam potrzeby. Wielkim wydarzeniem w styczniu stało się dostarczenie nam szpitalnego łóżka. Aby je zmieścić w dawnym moim pokoju, wynieśliśmy z niego meble do salonu. I tak dom Kate Gulden stopniowo stawał się miejscem, w którym o życiu myślało się w czasie przeszłym dokonanym.

Do czasu przeszłego należała też Ellen Gulden, która kiedyś karmiła się ambicją na śniadanie, a na obiad pożerała każdego, kto stawał jej na drodze.

Ostatnie przyjemne popołudnie spędziłam wtedy, kiedy mama nauczyła mnie piec chleb. Wyrabiałam, zagniatam i wałkowałam ciasto, a potem przykryłam je ściereczką. W kuchni mówiłyśmy o Teresie i o tym, co dla nas robi. Kiedy ciasto rosło, obie przeniosłyśmy się do salonu i trzymając na kolanach grube tomy *Anny Kareniny*, rozpoczęłyśmy klubową dyskusję. Przyznaję, że czytając nie po raz pierwszy przecież tę książkę, całkowicie się w niej zatraciłam. Rozmyślałam o Lewinie, który w upalnym słońcu kosił zboże, o Wrońskim, który tak bardzo ulegał własnym pragnieniom, o romansach i intrygach, o wielkim i prawdziwym nieszczęściu Anny i jej niepohamowanej namiętności. Dopiero wtedy, gdy zapadł zmrok, w

pokoju zrobiło się ciemno i nie widziałam wyraźnie liter, spojrzałam na matkę, a ona - trzymając otwartą książkę w ręce - patrzyła na mnie.

- Cieszę się, że omawiamy tę właśnie powieść - powiedziałam - i jestem naprawdę ciekawa twojej opinii. Ostatnio czytałam ją, gdy mieliśmy na seminarium cykl wykładów poświęconych kobiecie w literaturze. Nasza młoda pani profesor za słabość książki uważała to, że jest dziełem mężczyzny. Jej zdaniem

Anna mogła oczywiście porzucić męża dla kochanka, ale nigdy nie zostawiłaby synka. Gdyby kobieta napisała tę powieść, inaczej by problem rozwiązała. Kiedyś rozmawiałam o tym z ojcem, ale on odrzucił taki tok rozumowania. „Dla Anny - powiedział - ważne było ciało, a dla Kitty - dusza”. O ile dobrze pamiętam, tak się właśnie wyraził i uważam, że miał rację. A co ty o tym myślisz, mamó? Czy rację miała pani profesor, mówiąc, że dla dobra dziecka Anna pozostałaby przy mężu?

Zapadła długa cisza. Sądziłam, że mama się namyśla, jak ma odpowiedzieć na moje pytanie, ale nagle usłyszałam jej przerażony szept:

- Nie widzę. Nie rozróżniam słów!

- Bo już się zrobiło ciemno - powiedziałam i zapaliłam lampę. - Szkoda, że wcześniej nie kazałaś zaświecić.

Przecząco poruszyła głową, deszcz czerwonych iskier przeleciał jej przed oczami, książka wysunęła się z dłoni i spadła na dywan.

- Przestaję rozróżniać słowa - powtórzyła. - Nie mogę czytać. Tracę wzrok, jakbym była staruszką. - Westchnęła głęboko, a potem doszedł mnie dźwięk, jakby coś ją dławiło w gardle. Siedziałyśmy w milczeniu. - Wracając do Anny Kareniny - odezwała się po chwili - trudno mi uwierzyć, by jakakolwiek kobieta dobrowolnie opuściła swoje dziecko.

- Nawet gdy w grę wchodzi miłość?

- Właśnie miłość jej na to nie pozwoli. - I schyliła się, żeby podnieść książkę.

- Przyniosę ci szkło powiększające - zaproponowałam.

- Nie, lepiej mi przynieś tabletkę. Muszę znowu zażyć lek.

Gdy później opowiadałam Teresie o kłopotach mamy ze wzrokiem, wcale się nie zdziwiła. Uznała, że to może być jeden z dość rzadkich co prawda, ale zdarzających się ubocznych efektów leczenia, a także skutek ogólnego wyniszczenia organizmu.

- Utworzyłyśmy z mamą klub czytelniczy - zaczęłam, ale wydarł mi się z gardła dźwięk podobny do tego, jaki wydała mama: jakbym połknęła szloch.

- Musicie sobie znaleźć inny obiekt zainteresowania - poradziła Teresa.

- Potwornie się boję, przeraża mnie to, co się dzieje z mamą - wyznałam, przykrywając twarz dłońmi.

- Zupełnie zrozumiałe - orzekła Teresa. - Wszystko, co czujesz, jest naturalne. Teraz przyszła kolej na strach.

- Nie jestem w stanie wytrzymać tego dłużej.

Zrobiło się tak cicho, że mogłam usłyszeć, jak biegną wskazówki kuchennego zegara. Teresa milczała; w końcu padły te gorzkie słowa:

- Wytrzymasz tak długo, jak trzeba będzie. - Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiał jakby cień współczucia i jakaś przedziwna miękkość.

Gdyby nie Teresa Guerrero, pewnie wcale by mi się nie chciało kąpać ani ubierać. Siedziałybyśmy z mamą w salonie jak Baby Jane i jej nieszczęsna siostra w płaszczach kąpielowych i z tłustymi włosami. Ale ze względu na Teresę - bo chciałam, żeby dobrze o mnie myślała - wstawałam wcześnie, brałam prysznic, czyściłam kuchenną ladę zabrudzoną poprzedniego wieczoru i zmywałam naczynia. Na talerzu ojca były resztki jedzenia, które sam wziął sobie z kuchni; mój talerz był po cieście z czereśniami, które zjadłam przed pójściem do łóżka.

Chyba przybrałam na wadze, bo pasowały na mnie jedynie spodnie z gumką w pasie. Natomiast tata wyglądał szczupło i wytwornie jak zawsze, chociaż bywały dni, kiedy wyglądał lepiej niż w innych, i zastanawiałam się, czy nie następowały one po nocach spędzonych z jakąś młodą profesorką lub sekretarką na skrzypiącej skórzanej kanapce w jego gabinecie. Kiedy tak myślałam, czułam, że złość równie silna jak ból kipi we mnie, ale ją zdusiłam, bo nie mogłam sobie pozwolić na gniew. Potrzebowałam ogromnej energii, żeby zmierzyć się z tym, co miała przynieść najbliższa przyszłość; musiałam być silna teraz, kiedy moja matka już na serio zaczęła umierać.

Może wyciągane przeze mnie wnioski są bezpodstawne, ale wydaje mi się, że mama sama przyczyniła się do pogorszenia swego stanu. Proces degradacji nastąpił z chwilą wyjazdu braci z domu. Pamiętam, że powiedziała: „Do diabła z Wielkanocą!”, i myślę, że walczyła przede wszystkim o to, by doczekać do

Bożego Narodzenia. Bardzo chciała podtrzymać tradycję i spędzić święta wspólnie z rodziną. Mobilizowała wszystkie siły na ten okres. Święta miały być ukoronowaniem tego stylu życia, jakiemu mama zawsze hołdowała i jaki pragnęła uprawiać w swoim małym, ładnym, białym domu. Życie miało się tu toczyć zgodnie z miłymi, tradycyjnymi zwyczajami, w otoczeniu pięknych przedmiotów, a jego rytm miały wyznaczać rodzinne posiłki.

W ciągu dwóch ostatnich tygodni mama często bywała wesoła. Była to jednak niespokojna wesołość, taka, jaka być może ogarnia człowieka na moment przedtem, zanim włoży sobie lufę rewolweru do ust, albo tuż przed zrobieniem kroku w długi powietrzny tunel z dachu wieżowca na chodnik... Myślę, że mama postanowiła już się dłużej nie borykać z przeciwnościami i w pewnym momencie zrezygnowała z dalszej walki o życie. Było to wtedy, gdy Jeff wstawił swoją podróżną torbę, pochodzącą z wojskowych nadwyżek, obok bagażu Briana na tylne siedzenie jeepa, a sam skoczył na przednie, i gdy obaj chłopcy ubrani w puchowe kurtki i wełniane spodnie żegnali się z mamą przed wyjazdem. W ów szary styczniowy poranek moja matka przez dłuższą chwilę przytulała głowę Briana do swego ramienia i dłonią wycierała jego łzy, a potem obie stałyśmy i machałyśmy odjeżdżającym na pożegnanie. Przypuszczam, że właśnie wtedy mama postanowiła odejść.

- Wydaje mi się, że mama straciła chęć do życia - powiedziałam Teresie w jakiś tydzień potem. - Czy jest możliwe, żeby to było aż tak proste?

- Tak, tak właśnie jest - potwierdziła Teresa i lekko skrzywiła usta w uśmiechu, który początkowo uważałam za chłodny i nieco protekcyjny, a teraz odnajdywałam w nim po prostu szlachetny wyraz zrozumienia. - Dobrze choć, że twoja matka może żyć w tych ostatnich kilku miesiącach w taki sposób, do jakiego przywykła i jaki kocha. Boję się jednak, że zdała sobie sprawę, że dłużej tak nie będzie, bo zacznie się stawać coraz mniej sprawna. Uczono nas, że w śmiertelnej chorobie następują po sobie kolejne stadia: najpierw niemożność akceptacji, złość, a w końcu pogodzenie się z losem.

- Do diabła z pogodzeniem się, Tereso!

- Nie ty masz się z tą śmiercią oswoić, lecz ona. Jeśli chodzi o ciebie, to raczej nie mam nadziei, że łatwo zrezygnujesz z buntu.

W tym czasie Teresa przychodziła do nas trzy razy w tygodniu. Któregoś dnia, gdy była u nas, pod moją nieobecność zadzwoniła Jules. Wyjaśniłam jej potem, że osoba, która odebrała telefon, to pielęgniarka mamy, Teresa.

- Pewnie się leni i niewiele robi - powiedziała moja przyjaciółka; była w złym humorze, bo właśnie zerwała ze swoim ukochanym. Jej przyjaciel, malarz, stwierdził, że Jules jest zbyt wymagająca, gdyż nie podobało jej się, że podrywał kelnerki w restauracji, w której razem jadali.

- Nie masz racji, Jules! - przekonywałam. - Teresa jest wspaniałą pielęgniarką. To połączenie psychiatry z księdzem.

- Ciekawa kombinacja... - przyznała Jules. - I naprawdę dobrze się opiekuje twoją mamą?

- Tak. I zajmuje się także mną. Rozmawia ze mną i pomaga mi zachować równowagę psychiczną. Chwilami się zastanawiam, która z nas jest właściwie jej pacjentką. Ty i ona jesteście moimi jedynymi łączniczkami ze światem. A może raczej powinnam powiedzieć, że ty mnie łączysz z zewnętrznym światem, a ona ze światem wewnętrznym.

- Czyżbyś wymagała psychoterapii? - zaniepokoiła się Jules. Słyszałam, że żuje coś po drugiej stronie telefonu.

- Wypraszam sobie! - ofuknęłam ją. Pamiętałam, co mówiła o ludziach stosujących psychoterapię, że łatwo ich poznać, bo są zupełnie zwariowani.

- Myślę, że zmienię zdanie na temat psychoterapii - wycofywała się przyjaciółka - i chyba sama będę potrzebowała kogoś, z kim mogłabym porozmawiać.

- Możesz rozmawiać ze mną.

- Wiem, kochanie, ale nie mogłabym ci mówić o moich zmartwieniach, bo mam świadomość, że moje są żadne w porównaniu z twoimi. - W ciszy, jaka zapadła, wyraźnie słyszałam, że Jules coś żuje i połyka. - O moich nawet nie warto wspominać.

Ciekawa jestem, czy ta pielęgniarka, wysłuchując twoich zwierzeń, nie opowiada ci zaraz potem o swoich kłopotach.

- Nie wydaje mi się, by ona jakieś miała.

- Godne pozazdroszczenia - mruknęła Jules. - Co za życie...

Teresa rzeczywiście nigdy mi nie mówiła o swoich sprawach, choć często opowiadała mi o problemach, jakie mają inni ludzie, i te historie działały na mnie nadzwyczaj kojąco. Słuchając ich, czułam się częścią wielkiego ogólnoludzkiego braterstwa bólu i cierpienia. Dowiedziałam się od Teresy o kobiecie cierpiącej na raka trzustki; umarła w ramionach męża we własnym łóżku. Opowiedziała mi także o pani, która chorowała na nowotwór piersi. Miała dwoje małych dzieci. Na szczęście jej stan się poprawił, była w remisji, i już Teresy nie potrzebowała.

- Nie sądzisz, że może jednak nadejść taka chwila, kiedy będziesz musiała znowu do tej pani wrócić? - spytałam, chcąc jak Dickensowski Scrooge połączyć scenę szczęścia ze śmiercią.

- Modlę się, żeby to się nie stało - odparła z nagłym błyskiem w oczach i zrozumiałam, że jej życie splatało się także z życiem innych ludzi, nie tylko z naszym.

- Czy z kimś się spotykasz? Czy masz kogoś? - zagadnęłam ją któregoś dnia.

- Tak, spotykam się z mężczyzną, który mieszka w Nowym Jorku, ale trudno o bliski kontakt na taką odległość.

- Opowiedz mi o nim - poprosiłam. - Jak go poznałaś?

- W kościele. Moja matka знаła jego matkę. Jeszcze dwa lata temu mieszkaliśmy blisko siebie w Brooklynie.

- Ach, więc dawniej mieszkałaś w Nowym Jorku? Nie miałam o tym pojęcia. A jak do tego doszło, że się znalazłaś tutaj?

- Jakies pięćdziesiąt kilometrów stąd znajduje się schronisko dla dzieci z biednych rodzin. Nazywaliśmy je Obozem Marzeń. Przebywałam tam jako dziecko. Kiedyś przyjechaliśmy do Langhorne do kina. Oglądałam to miasteczko z okien autobusu, spodobało mi się i pomyślałam, że chciałabym tu zamieszkać.

- A więc sama wybrałaś sobie to miejsce. Ale jak ci się udało tu osiąść?

- Wszędzie brakuje pielęgniarek...

- Dziwię się, że chciałaś wyjechać z Nowego Jorku. Ja kocham Nowy Jork. Pamiętam, że gdy spędziłam pierwszą noc w moim tamtejszym mieszkanku, poczułam się, jakbym znalazła prawdziwy dom. Czasem mnie ludzie pytają, jak mogę spać w takim hałasie. A ja słucham klaksonów i sygnałów karetek i myślę, że właśnie tam, za oknami, toczy się prawdziwe życie.

- Znam to uczucie...

- Więc dlaczego wyjechałaś?

- Bo nienawidzę Nowego Jorku równie mocno jak ty go kochasz. Nie znoszę tamtejszych hałasów, brudu ani tego, co nazywasz prawdziwym życiem. Mam dość prawdziwego życia. W Langhorne mogę w mieszkaniu otworzyć okno i słuchać, jak szumią drzewa... nigdy nie wrócę do wielkiego miasta.

- Nawet z wizytą?

- Nie mam tam kogo odwiedzać. A na twoje pytanie odpowiem: nie! Matka zmarła, gdy miałam osiemnaście lat. Potrafiła ją cygańska taksówka na Nostrand Avenue. Szła do pracy. Kierowca wyraził wielki żal. Bardzo boleśnie przeżyłam śmierć matki. Wkrótce potem opuściłam Nowy Jork i przybyłam tutaj. Jeśli mężczyzna, z którym się widuję, szczerze się mną interesuje, przyjedzie tutaj, ale jeśli nie, to... Bóg z nim.

- Jest coś, co nas łączy, myślę: nasze matki - orzekłam.

- Moja matka była twardą kobietą i miała trudne życie.

- W jakim sensie?

- Teraz ci tego nie wytłumaczę. Nie jest łatwo powiedzieć komuś, że powinien być szczęśliwy, bo żyje w takich, a nie innych warunkach.

- Masz rację - zgodziłam się. I rozglądając się po salonie, patrzyłam po kolei na fortepian, stare piękne sztychy na ścianach i fotografie w ramkach.

- Nigdy nie spotkałam się z twoim ojcem - zauważyła Teresa. - Wyobrażam sobie, że musi być interesującym mężczyzną.

- A nie zastanawiałaś się, dlaczego nigdy go nie ma? - spytałam.

- Przypuszczam, że w tym czasie, gdy tu jestem, on jest w pracy.

- Ale czy cię nie dziwi, że nie wpadnie choćby tylko po to, żeby cię spotkać?

- Ty się nad tym tak mocno zastanawiasz, że wystarczy za nas dwie. Ktoś, kto wykonuje taką pracę jak ja, powinien wiedzieć, że choroba w domu wydobywa z bliskich zarówno dobre, jak i złe cechy. Niektórych wzbogaca... Wiem, że takiej możliwości nie rozważasz, ale to prawda, miałam tego dowody. Niektórzy ludzie mają wrodzoną dobroć, a inni stopniowo do niej dorastają. Są jednak i tacy, których strach moralnie degraduje. Często wręcz odmawiają bliskim pomocy albo w jakimś momencie z niej się wycofują.

- Jeff miał rację: powinnaś być psychiatrą.

- Twój brat jest bardzo interesującym człowiekiem. Przypuszczam, że wasz ojciec jest do niego podobny.

- Mylisz się. Ojciec jest podobny do mnie, a raczej ja jestem bardzo podobna do niego. W każdym razie byłam... Teraz jestem inna. Niewiele z dawnej Ellen we mnie zostało... jeśli wiesz, co mam na myśli.

Teresa znowu się uśmiechnęła. Nikły uśmiech najpierw zajaśniał w jej oczach, a dopiero potem pojawił się na ustach.

- Cierpienie przemienia ludzi - powiedziała.

- Cierpienie jest obrzydliwe - uzupełniłam.

- Zgoda. Prawdę mówiąc, zgadzam się z obiema opiniami.

Nikt nas nie odwiedzał i nikt do nas nie przychodził. Jedynym wyjątkiem był pracownik firmy dostarczającej paczki, przez którą Jules odesłała mi moje książki z redakcji, a także rękopisy, żebym - jak powiedziała - nie straciła kontaktu z pracą. Cisnęłam to wszystko w ką i nadal czytałam *Annę Kareninę*, chociaż bardzo dobrze wiedziałam, jak się powieść kończy. Czułam się w jakiś sposób zobligowana do kontynuowania lektury aż do momentu, gdy pociąg z głośnym dudnieniem ruszy ze stacji...

Nieraz idąc po zakupy, przypadkiem natykałam się na starych przyjaciół. Zdarzało się to przeważnie w drodze do sklepu spożywczego, do księgarni czy do kwaciarni po bukiet margerytek. Zwłaszcza kwiaty sprawiały mamie dużą przyjemność, nieproporcjonalną do wartości zakupu. Najczęściej spotykałam Córy Minnie lub żony profesorów naszego college'u. Z góry wiedziałam, co mi powiedzą, zanim jeszcze któraś z pań otworzyła usta. Zawsze mówiły to samo:

- Od dawna mam zamiar wpaść do państwa, ale...

Zwykle iskra złości, która zapalała się we mnie, szybko gasła, ale raz zdarzył się wyjątek. Pewnego popołudnia udałam się do księgarni Duane'ów, a przy okazji miałam kupić mamie szkło powiększające. Teresa sądziła, że leki psują mamie wzrok, ale moim zdaniem powód był inny: po prostu jeszcze jedna cząstka jej organizmu wyniszczona chorobą wysiadła.

Gdy pani Duane zaczęła znów tę samą gadkę, że „właśnie miała zamiar do nas wpaść, ale...” - spojrzałam w jej jasne oczy, niebieskie jak kolor nieba, w te mądre oczy, chyba świadome dwulicowego postępowania, bo uciekły przed moim wzrokiem, i nie namyślając się długo, weszłam jej w słowa:

- Niechże się pani wreszcie do nas wybierze. Proszę się nie tłumaczyć ani nie wyrażać żalu, że pani nie przyszła, tylko po prostu przyjdź! Przecież choroba mamy nie jest zaraźliwa.

- Ellen!

- Proszę nic nie mówić! - krzyknęłam, a mój głos przybierał coraz wyższe i głośniejsze tony. Zdawałam sobie sprawę, że ludzie w księgarni stanęli i słuchali, ale nic mnie to nie obchodziło. - Od przedświątecznego tygodnia nikt się u nas nie zjawił, żeby mamę odwiedzić. Mama czuje się bardzo samotna, jest smutna i doskonale zdaje sobie sprawę, że przyjaciele o niej zapomnieli. A wszystko przez to, że nikt nie jest skłonny do najmniejszych nawet poświęceń. Każdy myśli tylko o tym, żeby w zimie wyjechać na narty czy choćby zrobić zakupy na kolację... - W złości zabrałam swoją paczkę i odeszłam, nie płacąc.

W domu położyłam szkło powiększające na stole w salonie, tuż obok *Anny Kareniny*. Ale nie znalazłam żadnych śladów świadczących o tym, że mama tę książkę jeszcze czyta. Nie odłożyłam jednak powieści na półkę razem z dwiema innymi. Nie miałam zamiaru ogłosić, że guldenowski klub czytelniczek książek zbankrutował...

Następnego dnia pani Duane zadzwoniła do nas i spytała, czy mogłaby przyjść na lunch. Zrobiłam kanapki z kurczakiem, nakryłam stół i obie z mamą zasiadły do obiadu w jadalni.

- Zapomniałaś położyć maty, Ellen! - mama zwróciła mi uwagę.

Pani Duane unikała mego wzroku. Plotkowała z mamą o dzieciach, ich wspólnych znajomych i o styczniowej obniżce cen w sklepach.

Zauważyłam, że pani Duane w ogóle nie podejmuje rozmów o męskich wadach, inaczej niż kiedy ja spotykałam się z Jules. Mężczyźni i ich wady to zawsze był nasz najważniejszy temat. Zastanawiałam się, co jeszcze różni kobiety w wieku mojej mamy od dziewczyn w naszym wieku. Czyżby różnica polegała tylko na tym, że jedne były niezamężne, a inne miały mężów, więc zainwestowały w mężczyzn o wiele więcej niż my? A może chodziło o to, że mamy przyjaciółki wiedziały o miłostkach mego ojca i dlatego w szczególny sposób rozmawiały z mamą. A może robiły to, bo nie miały pewności, czy ich własne małżeństwa są bezpieczne, i bały się, by ich rola jako małżonek nie ograniczyła się jedynie do podawania sałatek ze szpinaku i mrożonej herbaty.

Mama poprosiła, żebym pomogła jej przenieść się z fotela na kółkach na krzesło, na którym w jadalni zwykle siadał mój ojciec, a które miało poręczce. Tam właśnie siedziała, kiedy przyszła pani Duane. Mama włożyła golf w kolorze morskiej zieleni, a na to w tym samym kolorze rozpinany sweter z okrągłym dekoltem. Ale ani wysoki kołnierz golfowy, ani luźny sweter nie mogły ukryć jej chudości.

Nazajutrz po tym „uroczym obiedzie” - jak go nazwała, opowiadając o nim ojcu - mama długo spała, a ja zmywałam i sprzątałam w kuchni. Nagle usłyszałam jej ciche niepewne stąpanie na górze po starej sosnowej podłodze. Potem doszedł dźwięk płynącej wody, lekkie pojękiwanie rur, jakby nikłe i nieśmiałe zwiastuny śmierci, jeszcze stłumiony trzask zamykanych szuflad i drzwi, i nastąpiła cisza.

Usiadłam przy stole i przeglądałam jedno z czasopism mamy. Przypatrywałam się reklamom wiosennych bylin, chociaż, prawdę mówiąc, nie wiedziałabym, gdzie je zasadzić, i nawet nie miałam na to ochoty, bo praca w ogrodzie strasznie mnie nudziła. Następnie zwróciłam uwagę na instrukcję, jak zrobić ozdobną falbanę na kołyskę. Może mama chowała te wzory dla Halley, której córka dziwnie spóźniła się z przyjściem na świat. Z góry, jakby z łazienki, spłynął jakiś dźwięk; najpierw pomyślałam, że to znowu rury, a potem wydało mi się, że pewnie któreś dziecko woła z ulicy albo zimowy wiatr wściekle atakuje okna mansardy. Gdy jednak dźwięk się powtórzył, zaczęłam uważnie nasłuchiwać. Po chwili znów go usłyszałam i podeszłam do schodów.

- Ellen! - wołała mama.

Puściłam się pędem po schodach do góry.

Nie biegłam tak od czasu, gdy byłam w liceum i gnałam do domu jak szalona, żeby jak najszybciej oznajmić ojcu nowinę i sama w nią uwierzyć: „Tato! Dostałam się do Princeton. Wygrałam konkurs na esej. Zdałam celująco i będę wygłaszała mowę pożegnalną w liceum!” Wiele razy mi się zdarzyło, że biegnąc, bez tchu dopadałam do drzwi i waliłam w nie, żeby coś ojcu powiedzieć... I musiałam się zadowolić rozmową z mamą, która bez trudu odczytywała rozczarowanie malujące się na mojej twarzy.

- Ellen! - powtórzyło się wołanie.

Sypialnia mamy była pusta, kołdra odrzucona. Zanim mama zachorowała, tylko dwa razy widziałam łóżko moich rodziców niezasłane: raz, gdy oboje w nim leżeli, a ja przyleciałam do ich sypialni prze-

straszona po złym śnie, i drugi raz, kiedy wetknęłam tylko głowę przez uchylone drzwi, by im powiedzieć, że bezpiecznie wróciłam do domu... o pierwszej nad ranem.

Trykotowe spodnie i góra matczynej piżamy leżały na krześle przysuniętym bliżej drzwi do łazienki, aby mama, wstając z łóżka, mogła się przytrzymać stołu, potem krzesła i tak dojść do wanny. Drzwi do łazienki były zamknięte, więc cicho zapukałam.

- Musisz tu wejść! - zawołała zdławionym głosem.

W łazience było ciepło i cuchnęło potem i jeszcze czymś słodkawym i intensywnym. Mama leżała w wannie i ramionami zakryła oczy, jakby chciała po dziecięcemu udawać, że jeśli ona nie widzi mnie, to i ja jej nie zobaczę.

- Nie potrafię wyjść z wanny - poskarżyła się.

Milcząc, wzięłam ręcznik, który leżał na ławce tuż obok wanny, i zawiesiłam go sobie na ramieniu. Pamiętam, że mama kupiła komplet części do samodzielnego montażu i własnoręcznie tę ławkę zestawiała. Potem ją pomalowała, a następnie starła tu i ówdzie farbę papierem ściernym, żeby ławka robiła wrażenie starej. Chwyciłam mamę za ręce i próbowałam ją podnieść, ale przebierała bezradnie nogami w wodzie, bo stopy śliskie od olejku kąpielowego nie znajdowały oparcia i obsuwały się na gładkim porcelanowym dnie wanny. Sięgnęłam więc głębiej i obejmując mamę przez pierś, jednym mocnym pociągnięciem wy dostałam ją poza brzeg i posadziłam na ławce. Zasapałam się; przód drelichowej bluzy miałam mokry od wody z kąpieli, a trochę i od potu. Mama prawie nic nie ważyła, a wydawała się bardzo ciężka.

Nigdy przedtem ani potem nie stanęłam wobec takiego zadania: wymagało ono natychmiastowego działania bez zastanowienia się, co i jak robić. Matka opierała się łokciem o brzeg wanny, głowę wsparła na ręce i płakała, a ja jej biedne, zniszczone chorobą ciało wycierałam kawałek po kawałku; nie odrywałam wzroku od miejsca, które osuszałam, bo wiedziałam, że prędzej umrę, niż zmuszę się do podniesienia oczu, by ją całą ogarnąć spojrzeniem i zobaczyć to straszne spustoszenie, jakie się w niej dokonało.

Mama się domyślała, co czuję, i podczas gdy ja nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, ona nie potrafiła milczeć. Otarła sobie twarz dłonią.

- Nie chciałam, żebyś mnie zobaczyła w takim stanie - powiedziała. - Powinnam była zostać w wannie, aż ojciec wróci, ale nie mogłam się zdecydować, co jest gorsze: czy żebyś ty mnie taką ujrzała, czy on.

- I tak bym w końcu weszła na górę - zapewniłam ją, kończąc wycieranie pleców.

- Zdawało mi się, że wolałabym umrzeć, niż pozwolić, żebyś widziała mnie gnijącą... bo tak teraz wyglądam: jak zgniła brzoskwinia, jak zepsuty owoc. Dlaczego nie mogę po prostu umrzeć i mieć to już za sobą? Zbrodnią jest kazać człowiekowi wegetować w takim stanie, gnąć za życia jak ja... - Opuściła głowę.

To było trafne spostrzeżenie. Rzeczywiście w pewnych miejscach skóra mamy rozmiękła jak przejrzały owoc i luźno zwisała, co widoczne było zwłaszcza po wewnętrznej stronie ud i na ramionach. Większość mięśni, mocno rozciągnięta na kościach, stanowiła jakby osłonę szkieletu: długich kości ramion i nóg, a także miednicy i żeber, wyraźnie rysujących się pod skórą. Na jej twarzy, tam gdzie zanikły mięśnie,

widoczny był każdy fragment czaszki: zarysy sklepienia głowy, szerokie otwory oczodołów, ostro sterczące kości policzkowe i stawy szczęk. Piersi miała płaskie i obwisłe, jakie widuje się na fotografiach starych kobiet prymitywnych plemion. Ze wzgórka łonowego zniknęły prawie wszystkie włosy.

Podeszłam od tyłu i włożywszy mamie ręce pod pachy, podciągnęłam ją do pozycji stojącej. Uwieściła się mego ramienia i szurając nogami, dotarła do sypialni. Tu chwyciła się brzegu toaletki, a ja pomogłam jej włożyć figi i piżamę. Staralam się jej nie dotykać, nie głaskać ani nie obejmować. I gdybym wam dziś powiedziała, że od tamtej chwili chyba ze sto razy rozważałam, czy nie powinnam była wtedy otoczyć ją ramionami, a nie oddzielić się od niej ręcznikiem, czy nie powinnam była przytulić ją i ukołysać, tak jak ona kołysała mnie w dzieciństwie - to skłamałabym, ponieważ myślałam o tym nie sto, ale wiele, wiele razy więcej.

Nigdy nie próbuję nawet sobie przypomnieć, jak mama wyglądała owego ranka. Pamiętam tylko, że jej wówczas ani razu nie dotknęłam i ani razu nie spojrzałam jej w oczy. Kiedy skończyłam ją ubierać, mama powoli ruszyła w stronę łóżka. Szła jak osoba ociemniała, gdy znajdzie się w pokoju, którego nie zna. W łóżku ułożyła się na wznak i wpatrywała się w sufit. Po raz pierwszy zauważyłam, że szalem, który Jeffrey podarował jej na Gwiazdkę, zasłoniła lustro nad toaletką. Zamiast własnego odbicia w lustrze widziało się teraz błyszczące grona czerwonych winogron, zielone liście i wijące się pędy winorośli.

- Znowu chce mi się spać - powiedziała.

W styczniu dostarczono nam łóżko szpitalne, co spowodowało, że w pokoju powstał bałagan, a w salonie zrobiło się ciasno od przeniesionych tam mebli. Na dębowej podłodze w holu pokazała się długa rysa. Zawinili tragarze, którzy nie zauważyli, że metalowa rama łóżka rysuje parkiet. Ale mama nie odezwała się ani słowem. Leżąc w nowym łóżku, odwróciła się w stronę okna i patrzyła na nasz podjazd i ścianę sąsiedniego domu. Miałam wrażenie, że coś się w niej wówczas załamało, chyba jednak stało się to wcześniej: wtedy, gdy ją posadziłam na ławce w łazience.

* * *

W końcu stała się jednocześnie dzieckiem i matką, nauczycielką i uczennicą, uosobieniem zarówno siły, jak i słabości. Leżała w łóżku z wysokimi ramami, żeby, obracając się w nocy, nie wypaść. Czasami cicho stawałam w drzwiach i w ciemności podpatrywałam mamę jak *Peeping Tom**.

* *Peeping Tom* - „Podglądający Tomasz”. Według XI-wiecznej legendy miał podglądać Lady Godivę jadącą nago na koniu ulicami Coventry.

Słyszałam, jak płacze i mówi jakieś niespójne zdania to o moim ojcu, to znów o nas, dzieciach, zawsze o swoich małych dzieciach, chyba nawet niemowlętach. Wspominała też jakichś ludzi o nieznanym mi imionach. Może były to duchy zmarłych albo postaci fikcyjne, a może ktoś wzbudzający żal za utraconymi szansami. Którejś nocy mówiła do swego brata, Stevena. Choć oczy miała otwarte, ich szkliste spojrzenie zdradzało ślepotę w sposób równie oczywisty jak biała laska. Pomyślałam, że skoro mama

zwraca się do swego brata, który od wielu lat nie żyje, to znaczy, że oczami duszy widzi już inny świat, a jej serce wystukuje nieziemski rytm.

Gdy ją obserwowałam, często łzy mi spływały po twarzy i kapiąc, moczyły przód nocnej koszuli. Nie był to jednak zwykły płacz, lecz jakby samoistna, niezależna od woli funkcja ciała, taka jak na przykład ciekący nos. Nie szlochałam, nawet nie wdychałam, co kojarzy się zwykle z uzalaniem się nad sobą. Nie słyszało się żadnego innego dźwięku oprócz chrapliwego i ciężkiego oddechu mamy. Stałam pośrodku pokoju i cicho płakałam.

Kiedyś zeszałam na dół i zobaczyłam, że łóżko mamy z jednej strony jest niżej opuszczone i obok niej siedzi ojciec, wciśnięty w kąt, w niezbyt wygodnej pozycji. Spojrzeliśmy na siebie, ale zaraz się odwróciłam, wyszałam z pokoju i udałam się na górę. Nie słyszałam, czy tata też potem poszedł w moje ślady, czy nie.

Mój pokój miał boazerię z jasnych sosnowych paneli, a w oknach zasłony w kwiecisty, różowo-zielony deseń; wciąż go wspominam. Zielony tapczan został przeniesiony do salonu, a jego miejsce zajęło szpitalne łóżko. Stało przed regałem na książki i naprzeciw telewizora. Zimą piękno wystroju psuło ciemne i szare oświetlenie. Promienie styczniowego i lutowego słońca są bowiem surowe, nieprzyjazne i ponure. Teraz moje serce pogrąża się w żalu na Nowy Rok, a radość wstępuje w nie przekornie wtedy, gdy na horyzoncie pojawia się Wielkanoc. I to są moje nieszczęsne rocznice...

Pewnego wieczoru gałęzie jodły Douglasa rosnącej przed domem głośno uderzały w moje i mamy okna przez całą noc, a rano śnieg zaczął sypać gęsto i tak intensywnie, że pokój ogarnęła ciemność i w środku dnia musiałam zaświecić lampy. Napadało tyle śniegu, że jego pokrywa sięgnęła niemal okien. Mama przez cały dzień miała głowę zwróconą w stronę okna; wyjątek stanowiły chwile, kiedy spożywała swój płynny pokarm, podnosząc łyżkę do ust długim, powolnym łukiem. Otwierała usta już wtedy, kiedy łyżka z zupą znajdowała się zaledwie w połowie drogi, jakby nie miała do siebie zaufania i nie wierzyła, że uda jej się precyzyjnie skoordynować ruchy.

- Śnieg jest taki piękny - szepnęła do mnie, oddając naczynie, i zaraz potem zasnęła.

Siedziałam pod lampą i przy jej żółtym świetle czytałam, dopóki nie zmęczyły mi się oczy. Wtedy wyszałam przez kuchnię na dwór, aby sprawdzić, ile śniegu napadało. Stwierdziłam, że po szalejącej burzy śnieg ułożył się w fale i tam, gdzie przykrywał krzewy z tyłu domu, powstała całkiem spora górka, natomiast na podwórku z frontu, w miejscu, gdzie rosła azalia, utworzył się nasyp. Dobrze, że zabezpieczyłam azalię, przykrywając ją koszem na brzoskwinie i jutowym workiem. Zadzwoił telefon i w ciszy domu zabrzmiał jak krzyk. Podnosząc słuchawkę, spojrzałam na zegar i zobaczyłam, że dochodzi siódma. Dzień szybko minął. Zwykle dobrze się orientowałam, jaka jest pora dnia, ale dziś słońce skrywało się przez całe popołudnie. Telefonował ojciec.

- Ellen - powiedział. - W żaden sposób nie mogę dostać się do domu. Policja zamknęła oba mosty dla pieszych i nikt nie uruchomił pługów. Prześpię się gdzieś tutaj.

- Chcesz spać w biurze? - spytałam.

- Jeszcze nie wiem. Ale niektórzy u nas na wydziale mają rozkładane kanapy. Jeśli znajdę niezajętą, to z niej skorzystam. Gdybyś do mnie dzwoniła, a ja bym nie odpowiadała, to znaczy, że mi się udało.

- Aha - burknęłam.

- A jak tam mama?

- Bez zmian.

- Powiedz jej, że zobaczę się z nią jutro.

- Dobrze.

- U ciebie wszystko w porządku?

- Tak, czuję się dobrze.

Pamiętam, że kiedy odłożyłam słuchawkę, przemknęło mi przez myśl, że gdyby mama umarła tej nocy, ojciec przez resztę życia cierpiałby na wspomnienie dzisiejszego wieczoru. Śnieg wciąż sypał, a tata utknął gdzieś na wydziale i pewnie spał na rozkładanej kanapie z jakąś erudytką, absolwentką college'u Siedmiu Sióstr, która zdała egzamin z wyróżnieniem i miała wyrobione zdanie na temat Henry'ego Jamesa. Niewątpliwie miała też ciepły kącik w sercu dla przystojnych, żonatych mężczyzn. Może zresztą nie zapamiętałam właściwie owej przelotnej myśli: pamięć płata nam nieraz figle.

W pokoju mama leżała z otwartymi oczami, wpatrzona w nicość.

- Kto dzwonił? - spytała cicho.

- Twój mąż - odparłam, starając się, by głos zabrzmiał obojętnie. - Nie może się z pracy wydostać, żeby dojść do domu, więc przenocuje w college'u. Powiedział, że zobaczycie się rano.

- Tak, burza śniegowa jest naprawdę okropna - zauważyła, patrząc w okno.

- Nie jest tak źle... - mruknęłam.

- Ellen! - zawołała mocniejszym głosem, niż to jej się ostatnio zdarzało. - Odłóż książkę!

Nie pamiętam, żeby jej głos kiedykolwiek przedtem zabrzmiał równie mocno i poważnie jak teraz. Chociaż był jeden wyjątek: kiedyś w dzieciństwie zdarzyło się, że wyśmiewałam, naśladując małą dziewczynkę z zespołem Downa; kiedyś mieszkała ona u stóp naszego wzgórza. Mama tak ostro wtedy zareagowała i była dla mnie tak bezlitosna, jak sądziłam, że bywa tylko ojciec. Mama przypominała teraz sprintera, który odpoczywa, zbierając siły, by na krótko znów mogła się stać dawną sobą.

- Co się dzieje między tobą a ojcem? - spytała surowo.

- Nie rozumiem, co masz na myśli?

- Od kiedy wróciłaś do domu, jesteś na niego wyraźnie zagniewana. Jeśli już musisz być na kogoś zła z powodu tej naszej sytuacji, to tylko na mnie, bo ja jestem winna temu, że tu jesteś, a nie on.

- Mamo, tu nie chodzi o ciebie. I nie sędzę, że powinnyśmy teraz tę kwestię roztrząsać. Owszem, doszło do pewnej różnicy zdań z ojcem, ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Jak to nie ma? Oczywiście, że ma, zwłaszcza teraz, gdy wkrótce tylko ojciec ci zostanie.

- Przestań! Proszę cię, przestań! - Podniosłam ręce, zwracając dłonie na zewnątrz, jakbym chciała odepchnąć od siebie te słowa.

- Nie, to ty przestań! Ty i ojciec będziecie się nawzajem potrzebowali. Twoi bracia też będą ojca potrzebowali i mam nadzieję, że jego stosunki z chłopcami się poprawią, kiedy mnie braknie i nie będę stawała na drodze. Ale twoje stosunki z ojcem zawsze były poprawne; jesteście do siebie bardzo podobni...

- Wolałabym, żebyś tak nie mówiła.

- Dlaczego? Czy masz pretensje do ojca, że nie jest doskonały? Bo cię rozczarował i nie jest takim człowiekiem, za jakiego go uważałaś?

- Mamo, nie mogę z tobą o tych sprawach rozmawiać!

- Posłuchaj mnie, Ellen! - Starła się odwrócić w moją stronę. Bładymi dłońmi, jak szponami, ścisnęła ramię łóżka, a nogami tłamsiła prześcieradło. - Słuchaj uważnie, bo usłyszysz to z moich ust tylko raz, choć nie powinnam ci o tym mówić. Otóż przyjmij do wiadomości, że nie wiesz o ojcu niczego, czego ja bym też nie wiedziała... i nie rozumiała lepiej od ciebie - dodała po chwili.

Obie przyglądałyśmy się sobie w milczeniu, a potem mama skinęła potakująco głową i położyła się na plecy.

- No i dobrze - mruknęłam.

- Bo widzisz, gdy się długo ze sobą żyje, idzie się na ustępstwa; na początku małżeństwa nie uwierzyłybyś, że kiedykolwiek będziesz do tego skłonna. Jesteś młoda i mówisz sobie, nie będę tego czy owego tolerowała, nigdy na to nie pozwolę... Wierzysz, że miłość jest najważniejsza na świecie i że istnieje tylko jeden rodzaj miłości: ten, który sprawia, że czujesz się nadzwyczajnie, inaczej niż zwykle, promieniejesz. Ale czas mija, przespaliście się już ze sobą tysiące razy... Bywa, że małe dzieci chorują i wszystko przechodzi zapachem wymiocin... Po latach wasze ciała robią się mało sprężyste i zaczynają obwisać... Zdarzają się noce, kiedy mówisz sobie, mam tego dość, nie będę w tym trwała ani minuty dłużej. A następnego ranka budzisz się, z kuchni dolatuje przyjemny zapach kawy, dzieci mają pięknie wyszczotkowane włosy, ptaki dziobią ziarenka w karmniku i wtedy patrzysz na swego męża innymi oczami... Chociaż wiesz już, że on nie jest taki, jak myślałaś, to i tak czujesz, że jest całym twoim życiem. Opiera się na nim twój dom, dzieci i tak wiele z tego, co robisz, nie tylko twoja teraźniejszość, ale i przeszłość. Jeśli go zostawisz, jeśli z niego zrezygnujesz, to będzie tak, jakbyś wycięła twarze ze wszystkich fotografii, pozostawiając tylko wielką i brzydką dziurę. To doprowadziłoby was do ruiny. Tu chodzi o coś więcej niż miłość i o coś ważniejszego niż miłość. Pomyśl o Annie!

- O Annie?

- Mówię o Annie z książki. - Wskazała dłonią na stół, gdzie leżał egzemplarz *Anny Kareniny*.

- Przecież nie skończyłaś jej czytać!

- Przeczytałam tę książkę już dawno temu. - Patrzyła, jak pada śnieg, jak małe wirujące duszki stukają w okno, lecąc znikąd donikąd. - Wszystkie te książki kiedyś przeczytałam, ale cieszę się, że mam okazję do nich wrócić. Bardzo pragnęłam przeczytać je z tobą.

Pochyliłam się nad ramą łóżka i czułam na piersi jej metaliczny chłód i twardość. Ujęłam dłoń mamy i lekko ją ścisnęłam, a ona odpowiedziała mi mocnym, niemal bolesnym uściskiem, który po chwili

zelżał. Zsunęłam nizej ramę i przytuliłam się do mamy, uświadamiając sobie, jak chude jest jej ciało. Położyłam głowę na prześcieradle osłaniającym koc i płakałam, a mama gładziła mnie po włosach, nie przestała nawet wtedy, gdy prześcieradło stało się mokre od łez. Jej ręka prawie pozbawiona mięśni wydawała przy tym chrzęst brzmiały niczym szept. Potem już słabszym głosem mówiła dalej:

- Sprawy, które poruszam, są trudne, Ellen; niełatwo je pojąć, jeśli się sama nie znajdujesz w ich kręgu. Ciężko ci też będzie je zrozumieć ze względu na sytuację, w jakiej zostałaś postawiona, i na to, co w związku z tym czujesz. Niemniej bardzo chcę ci swoje przemyślenia przekazać. Pewnie nie umiem się zbyt dobrze wysłowić, nie jestem pisarką, ale pragnę ci o nich powiedzieć, bo może nie będę już w stanie zrobić tego później. Wiem, że nieraz ogarnia cię taki nastrój, że zamykasz drzwi przed miłością i krytycznie odnosisz się do „głupich romansów”, bo uważasz, że to nie to, co być powinno. Wiem też, że potrafisz być twarda i szybko osądzasz innych, i te dwie cechy wystarczą, by zniszczyć życie. Obawiam się, że nie wierzysz, iż może ono być piękne. Są tysiące rzeczy, których mogłabym cię nauczyć, gdyby dane mi było być z tobą jeszcze dziesięć lat. Żałuję, że o wszystkim, co ważne, przez pierwsze dwadzieścia cztery lata życia uczyłaś się od ojca, a nie ode mnie. To boli. Rani mi serce myśl, że tak mało dla ciebie zrobiłam.

- Ależ nie, mamoo! - szepnęłam.

- Wiem, że tak było, i niech mi wreszcie wolno będzie powiedzieć prawdę. Pozwólcie mi mówić prawdę! - Podniosła głos niemal do krzyku. - Twój ojciec mi na to nie pozwala, bo się boi, że się zdenerwuję. Ty też mnie powstrzymujesz: „Nie, mamoo, proszę cię, nie!” Tylko przy Teresie mogę się wygadać. Wyrzucenie z siebie tego, co mnie gnębi, jest jedyną rzeczą, która przynosi mi ulgę. Nawet morfina tak nie pomaga... Tymczasem wszystkie te sprawy, które przemilczamy, wszystkie słowa, które połykamy, wyrządzają nam tylko szkodę. Zanim umrę, chcę o pewnych rzeczach powiedzieć głośno. Chcę wyrazić to, o czym myślałam i nad czym się głęboko zastanawiałam. Gdy umrę, wy nadal będziecie mogli mówić, a ja nie... Nie zabraniaj mi więc tego teraz, nie uciszaj mnie dlatego, że to, co chcę powiedzieć, mogłoby cię zabołec. Jestem zmęczona tym ciągłym uciszaniem.

- A co chciałabyś powiedzieć? - spytałam. Podniosłam głowę i odgarnęłam do tyłu zwilgotniałe włosy. - Proszę! Mów!

- Właściwie już niewiele, może tylko to, że jest mi smutno. Smutno dlatego, że nie będę mogła uczestniczyć w przygotowaniach do twego ślubu. Ale ci radzę, żebyś nie angażowała żadnej dziewczyny do rzucania kwiatków przed orszakiem ani nikogo do przynoszenia obrączek. Ci młodzi niewłaściwie się zachowują, odwracają uwagę od panny młodej. I nie zapraszaj zbyt wielu osób.

- Mamoo, ja wcale nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek wyjdę za mąż.

- Nie mów takich rzeczy, Ellen! Pomyśl lepiej o radach, jakich ci właśnie udzieliłam, i zapamiętaj je.

- Dobrze. I co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

- Że się boję, że gdy zasnę, więcej się nie obudzę. I brakuje mi tego, że nie śpię z twoim ojcem.

- Czy mam mu to powtórzyć?

- Nie, bo już sama mu to wyznałam.

- I co jeszcze?

- Gdybym wiedziała, że będziesz szczęśliwa, mogłabym teraz zamknąć oczy i odpocząć. - Jej głos cichł i zanikał, jakby się wyczerpywał. Słowa się plątały, przechodziły w szept. - Byłoby łatwiej... - usłyszałam.

- Wiem, że byłoby ci łatwiej. Chciałabym, żeby mogło się tak stać.

- Nie, nie o to chodzi. Chodzi o szczęście. O wiele łatwiej jest nauczyć się kochać to, co masz, zamiast wciąż tęsknić do czegoś, czego ci brak albo sobie tak wmawiasz. Lepiej jest zadowalać się tym, co się ma, bo to daje spokój.

- Spróbuję się tego nauczyć - obiecałam.

- Nie, to nie tak... - zaczęła i nagle przysnęła. Otworzyła usta, ale zaraz zamknęła, a odgarnięte z czoła włosy wydawały się proste i sztywne, jakby dawno niemyte. Pomyślałam, że rzeczywiście nie myłam jej głowy od czasu, gdy zrobiła to Teresa, a od tej pory upłynęło już kilka dni. Głębokie zmarszczki na jej czole wyglądały jak narysowane za pomocą linijki i ołówka. Odwinięta część prześcieradła pociemniała od moich łez.

„Wszystko, o czym ty wiesz, ja wiem także” - powiedziała mi. I to była prawda. To ja okazałam się ignorantką. Gdybym sporządziła listę rzeczy, które mama zrobiła, i dodała - co dla mnie ważniejsze - spis tego, czego nie zrobiła, suma wcale nie dawałaby wyobrażenia, jaka była moja matka. I przez analogię mogę stwierdzić, że nic nie mówię o moim ojcu jego wykłady „O kobietach w twórczości Dickensa”.

Bo rodzice to dla nas nie ludzie, lecz cechy charakteru, pięty achillesowe, ciemne nocne zmory, tiki w wymowie, kiepski zmysł detektywistyczny, gorące łyzy - i to wszystko narzucone nam z góry - a my jesteśmy na nich skazani... To dla nas ogromny problem... Pomyślałam: odwróć się i spójrz na tę kobietę, na swoją matkę. Postaraj się ją zrozumieć i użal się nad nią, zechciej ją polubić i porozmawiaj z nią. Uznaj fakt, że chociaż wychowała się w spartańskich warunkach, potrafiła przemienić swoje życie. Chłodne i do przesady higienicznie urządzone pokoje zamieniła, wkładając w to całe swoje, może nawet zranione, serce, w ciepłe i kolorowe otoczenie. Jej życie składało się z gotowania dla rodziny, pieszczona i dogadzania wszystkim jej członkom i starania, by jej mały, własny kącik w świecie był piękny i przyjazny. Nie czujesz zależności od niej jako rodzica. Ale aby to się ziściło, musiałaś stać się dorosła. W łodzi ratunkowej, która może ocalić życie, jest jedno miejsce, więc ratujesz tylko siebie. A rodzice? Oni są ci potrzebni wyłącznie do tego, żebyś mogła się utrzymać na powierzchni.

Mama obudziła się tuż przed północą. Najpierw powoli oblizwała wargi, potem poruszała rękami, wykręcając je i przeginając, a w końcu odwróciła głowę i spytała:

- Czy jest już rano?

- Nie.

- Muszę wziąć tabletkę.

Dałam jej nową, prawie pełną fiolkę. Połknęła jedną tabletkę, zakaszła i popiła. Całe jej ciało poruszało się przy tym wysiłku. Westchnęła i coś jej chrapliwie zarzęziło w krtani. Usłyszałam jakby jęk:

- Pomóż mi, Ellen. Nie chcę już dłużej tak żyć! Patrzyłyśmy na siebie w przyciemnionym świetle lamp.

- Proszę cię - powtórzyła. - Przecież wiesz, co trzeba zrobić. Błagam cię, pomóż mi! O nic więcej nie proszę.

- Rano poczujesz się lepiej - powiedziałam. Przez chwilę się nie odzywała, tylko jęczała.

- Nie będzie lepiej. Na pewno nie będzie lepiej! - Mówiła jak zmęczone i zirytowane dziecko. Otoczyła palcami przegub mojej dłoni: dłoni, w której trzymałam tabletki. Jej uchwyt był zadziwiająco silny i z niewiadomego powodu pomyślałam o ludziach, którzy podnoszą volkswagena, aby uwolnić przygniecione dziecko, o ludziach zatrzaśniętych w samochodzie, a jednak ocalonych. Uratowało ich połykanie śniegu. I co dziwne - żyli jeszcze długo, znacznie przekraczając wiek, kiedy teoretycznie powinni byli umrzeć.

- Proszę cię - znowu się do mnie zwróciła - pomóż mi! Nie chcę tak cierpieć. - Ale zauważyłam, że tabletki zaczęły już działać lub zmorzył ją wysiłek, jakim okupiła swoje słowa, śmiałe żądanie i uścisk mojej ręki. Patrzyła na mnie smutno spod opadających powiek; tak patrzą nieraz mądre, stare ptaki. - Pomóż mi - szepnęła. - Ty jesteś bystra i wiesz, co trzeba zrobić. - I zanim zamknęła powieki, raz jeszcze szepnęła: - Błagam cię!

Tę noc przespałam na fotelu w jej pokoju. Śnieg wciąż padał i wszystko bezgłośnie przykrył. Słyszałam jedynie ocieranie się gałęzi sosny o ścianę naszego domu. Gdy się zbudziłam, świat był okryty grubą białą śniegową pierzyną, która lśniła złowieszczą jasnością. Ten świat zdawał się całkowicie odmieniony. Czułam, że niełatwo mi będzie spotkać w nim wzrok mojej matki.

* * *

Jakie to musi być straszne, gdy trzeba pochować kogoś, kogo się kocha, w maju, kiedy ziemia zaczyna odmarzać, odpręża się i przybiera kolor jasnej zieleni; kiedy krzewy bzu pachną, udzielając nam swojej woni jak błogosławieństwa. Równie przykre musi to być we wrześniu, kiedy słońce w południe delikatnym ciepłem ogrzewa twarz, ale wieczorem jest już tak chłodno, że trzeba włożyć flanelowe spodnie, a w środku nocy wstać i wyciągnąć dodatkowy koc z pojemnika na pościel.

Chyba najgorsze musi być chowanie kochanej osoby na Boże Narodzenie. Tak, to musi być okropne... Odpowiednim miesiącem na umieranie wydaje się luty. Wszystko dookoła jest martwe; drzewa są ciemne i tak zamrożone, że absurdalna byłaby myśl, iż w ciągu dwóch miesięcy pojawią się na nich zielone pędy. Ziemia jest twarda i zimna, śnieg brudny, zima już zniechęcona, bo się przewleka i trwa za długo. Z początkiem miesiąca wybrałam się do kwaciarni na ulicy Głównej i kupiłam mamie anemony. Za malutki bukiet zapłaciłam piętnaście dolarów. To dużo, ale te delikatne lawendowe i jasnoczerwone kwiaty były o tej porze tak trudno osiągalne, niemal jak księżyc. Postawiłam je na stoliku koło okna, tak żeby mama, spojrzawszy w nie, widziała nie tylko zwały szarego starego, pooranego bruzdami śniegu z

boku podjazdu, przypominające hałdę odpadów z kopalni, nie tylko ścianę sąsiedniego domu i wielki dąb, trzeszczący gołymi gałęziami na zimowym wietrze, ale te delikatne kwiaty, skłaniające swoje piękne główki w jej stronę. Lecz już po dwóch dniach anemony zwiędły; pochyliły się tak nisko, że niemal dotykały zakurzonego blatu stolika. Być może zaszkodził im przeciąg, który pewnie osłabił łodygi kwiatów. Musiałam je wyrzucić.

- Jakie one są piękne... - szeptała mama nawet wtedy, gdy już anemonów nie było. - Jakie piękne kwiaty...

Teresa przyszła do nas któregoś dnia i przyniosła małą maszynkę, jakby miniaturowy, z czerwonymi cyframi magnetofon, który, gdy się z jego boku wcisnęło guziczek, pompował morfinę do kateteru mamy. Teresa zaprogramowała urządzenie i nauczyła mnie obsługiwać.

- Będziemy musiały obliczyć, jaką stosować dawkę i na jak długo powinna ona wystarczyć - powiedziała.

- Czy mama mogłaby przedawkować? - spytałam. Teresa dziwnie na mnie spojrzała, lekko unosząc brwi.

- To mało prawdopodobne - orzekła.

Chora się skrzywiła, gdy Teresa umieściła igłę w kateterze, ale kiedy przykleiła ją plasterem i położyła małe pudełeczko obok ciała mamy, ta zapewniała, że nic nie czuje prócz trochę przykrego rozciągania się pod przylepcem skóry, bardzo teraz wrażliwej.

- Mogę spróbować jeszcze raz przykleić plaster. Co pani na to, pani Gulden? - spytała Teresa, przygładzając sobie włosy, szesane do tyłu i przewiązane czarną opaską. - Być może przykleiłam go za ciasno.

- Nie, Tereso! - zaprotestowała mama. - Tak jak jest, jest dobrze. Dziękuję.

Obie z Teresą prawie godzinę siedziałyśmy przy chorej, ale z nią nie rozmawiałyśmy. Teresa notowała coś w zeszytiku, który zawsze z sobą nosiła, a ja kończyłam wyszywać tło na poduszce ze słonecznikami. W czasie snu mama nerwowo dotykała pieluszek, któreśmy jej ostatnio zakładały. W ubiegłym tygodniu trzy razy zabrudziła łóżko. Wezwałam wtedy Teresę, chociaż właściwie zmiana pościeli nie należała do jej obowiązków. Robią to salowe, a więc osoby niemające takich kwalifikacji i niezarabiające tyle co pielęgniarki. Teresa jednak uznała, że teraz nie pora przyjmować do domu kogoś nowego i obcego. Umyła mamę i pomogła jej położyć się na kanapce, a ja w tym czasie zebrałam prześcieradła i jak najszybciej zaniósłam do pralki w suterenie, wstrzymując oddech, żeby nie zwymiotować.

- Tak mi przykro... - mówiła mama za każdym razem. - Przepraszam.

Teresa usiadła na brzegu łóżka i wzięła mamę za rękę.

- Pani Gulden, co by pani powiedziała, gdybym ściągała pani mocz kateterem?

Mama powoli uniosła rękę i dotknęła małej wypukłości na piersi, tuż nad sercem.

- Nie, nie tym, ale specjalnym kateterem do cewnikowania moczu. Wtedy nie musiałyby pani używać basenu ani liczyć na pomoc Ellen.

- Nie, Tereso, nie wydaje mi się, żebym potrzebowała cewnikowania.

- Ja jednak myślę, że go pani potrzebuje.

- Nie, nie chcę.

- W takim razie powinna pani zakładać pampersy...

- O nie! Tego już za wiele... - zachnęła się mama i położyła głowę na poduszce, a łzy płynące spod jej powiek torowały sobie drogę bruzdami prowadzącymi od oczu do nosa i od nosa do brody.

- Wiem, że to przykre - mówiła Teresa, gładząc mamę po ręce. - Ale uważam, że ułatwiłoby pani życie. I także Ellen byłoby lżej.

Za każdym razem mama, zasypiając, poprawiała sobie pieluszki. I teraz także to zrobiła, jakby to właśnie pieluszki uosabiały ból, rozkład i życie, które było już tylko połowiczne.

Jeśli mama w ogóle coś jadła, co nie zdarzało się często, to jedynie potrawy, jakie daje się niemowlętom: owsiankę, sok jabłkowy, budyń, jogurt. Wargi miała popękane i suche; kilka razy dziennie smarowałam je wazeliną, żeby się nie łuszczyły i nie krwawiły. Trudno mi było ocenić, czy mama śpi, czy półświadomie czuwa, a może tylko leży z przymkniętymi oczami, a w jej głowie kłębią się straszne myśli, jakie zapewne nurtują tych, którzy stoją na urwistym występie, a przed nimi otchłań.

- Co słyszać u chłopców? - spytała mama, kiedy Teresa wyszła.

- Myślę, że wszystko w porządku. Jeff jak zwykle po swoim dowcipkuje, a Brian ma nowego współlokatora w akademiku i chyba lubi go bardziej niż poprzedniego.

- To dobrze, bo martwiłam się o Briana.

- Czy chcesz, żebym ich sprowadziła do domu, mamó?

- Nie, Ellen - powiedziała stanowczo.

W to ostatnie popołudnie dałam na obiad zabielaną zupę pomidorową, ale po trzech łyżkach miała jej dosyć i potrząsała przecząco głową. Może dlatego, że czynność przenoszenia łyżki od kubka do ust była tak powolna, tak skomplikowana i tak brudząca że musiałam potem zmienić bieliznę. Mama miała na sobie welurową podomkę. Włos aksamitnej tkaniny spłaszczył się w ciągu dni spędzonych w łóżku, a spod szlafroka widać było nogi chude jak patyczki.

- Wyglądam tak jak ludzie na filmach o obozach koncentracyjnych - szepnęła, spuszczać wzrok.

Dałam jej czystą pościel, ładną i świeżo pachnącą, i uczesałam włosy. Na metalowym stoliku na kółkach w rogu pokoju trzymałam tabletki, wodę, pudełko z papierowymi chusteczkami, a teraz jeszcze kubek z zupą. Na stoliku stało również małe zdjęcie w ramce w kształcie serca. Przedstawiało noworodka, którego twarz miała kolor skóry zaczerwienionej po gorącym prysznicu. Dziewczynka małeńkie piąstki miała uniesione ponad głowę, jakby się poddawała, a jej buzia wyglądała jak nieupieczony biszkopt z roźdzynkami zamiast oczu. Czubek pokryty puszką nie znajdował się pośrodku głowy, która przez to robiła wrażenie trochę zdeformowanej. Była to fotografia córeczki Halley. Bo kiedy w końcu Halley urodziła swoje dziecko, przyniosła mamie jego zdjęcie zrobione w szpitalu. Od razu przy wejściu ją powiadomiłam, że mama nie może przyjmować żadnych gości, ale na nic się to zdało, bo z tyłu doszedł do nas słaby głos:

- Dobrze, Ellie, niech wejdzie. - Wprowadziłam więc Halley do pokoju, żeby parę minut posiedziała przy łóżku. Powiedziała, że i tak długo nie zostanie, bo karmi dziecko piersią, a pokarm szybko jej wzbiera. Gdy wychodziła, objęła mnie w drzwiach i płacząc, szeptała:

- Tak mi przykro, tak przykro... - Sama też miała czarne koła pod oczami i włosy nieuczesane jak mama. Pomyślałam, że im obu macierzyństwo dało się we znaki. - Musi ci być ciężko - łkała Halley, próbując stłumić płacz chusteczką.

- Koniec już blisko - rzuciłam przyciszonym głosem.

Kiedy wróciłam do pokoju, mama wpatrywała się w fotografię córeczki Halley.

- Trudno ją nazwać pięknym dzieckiem - skonstatowałam.

- Takie maleństwa nigdy nie są piękne, szczególnie pierworodne. Dzieci, które długo się rodzą, w tym czasie doznają różnych obrażeń.

- Młoda mamusia też nie wygląda najlepiej - zauważyłam.

- Wróci do formy - zapewniła mama. - To ciężka praca, ale ona sobie poradzi. Znałam ludzi, którzy mieli dzieci, choć nie powinni byli mieć nawet kota, a jednak jakoś się te dzieci wychowały.

- Ty byłaś dobrą matką, mamó - pochwaliłam ją.

- Ale się ciężko przy was napracowałam - wyznała.

Było około czwartej, gdy mama się zbudziła i próbowała odwrócić się w moją stronę. Zaraz jednak przypomniała sobie o pompce, sięgnęła ręką do guziczka, wcisnęła go i wpuściła płynną morfinę w kateter, a stamtąd do żyły. Zamknęła oczy, jej oddech stał się chrapliwy i bardzo głośny; przypominał odgłos kija wodzonego wzdłuż parkanu. Kiedy uderza się nim o sztachety, jedną po drugiej, powstają zadziwiająco donośne i daleko się rozchodzące dźwięki. Staralam się dostosować własny rytm oddychania do jej rytmu i obie unisono podnosiłyśmy i opuszczały piersi.

- To urządzenie jest lepsze od tabletki - oznajmiła mama. Po kilku minutach jej dłoń znowu odnalazła maszynkę z lekiem i ponownie wcisnęła guziczek, ale ja wiedziałam, że jest za wcześnie i teraz nic z tego nie wyjdzie. Może powstał jednak jakiś efekt placebo, bo mama znowu spała przez godzinę. Zaświeciłam lampę, gdy spostrzegłam, że się zbudziła i jej otwarte oczy lśniły w mroku.

- Kocham cię, Ellen - powiedziała.

- Ja też cię kocham, mamó.

- Zawsze o tym wiedziałam - wyznała i uśmiechnęła się swoim dawnym uśmiechem, ciepłym i otwartym. Uśmiech był także w jej oczach i na twarzy. Miałam wrażenie, jakby spustoszenie, jakie się w niej dokonało w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, gdzieś znikło i jej dusza w całej krasie przede mną jaśniała.

Próbowałam odwzajemnić uśmiech, ale nie potrafiłam opanować drżenia ust i brody ani mrugania oczami, jakbym miała tik.

- Gen?! - zawołała nagle mama. - Czy ojciec jest w domu? - spytała po chwili.

- Dzisiaj chyba ma do późna wykłady.

- Mam nadzieję, że szybko wróci - dodała.

Przymknęła oczy i zmarszczki na jej czole jakby się pogłębiły.

- Zadzwoń do niego - powiedziałam.

Tym razem mama nie próbowała mnie powstrzymać.

Gdy się znalazłam w kuchni, opadłam na krzesło i ręce mi się trzęsły, kiedy przyciskałam guziczki telefonu. Dwa razy się pomyliłam i źle wybrałam numer, a gdy się w końcu połączyłam, telefon dzwonił i dzwonił, i nic... Oczami wyobraźni widziałam gabinet ojca ze ścianą pełną regałów, na których książki poutykane były byle jak, niedbale wciśnięte w wolne miejsca albo poukładane jedna na drugiej. Część książek zalegała na podłodze obok wielkiego, ciężkiego biurka z rzędem wąskich szufladek z jednej strony. Książki leżały też pod krzesłami, na których siadywali studenci, i piętrzyły się na części podrapanej i porysowanej brązowej skórzanej kanapki; zdobiła ją jedna jedyna poduszka, a na niej wyhaftowany przez matkę gobelinowym ścięciem napis: „Imię moje - Ismael”.

- Ach, tato! Zgłoś się wreszcie! - szeptałam, ale odpowiedzi nie było. Coś mi mówiło, że taty nie ma. Uznałam to za oczywiste, bo nigdy go nie ma i nigdy nie było, gdy go potrzebowałam. Telefon nieprzerwanie dzwonił, a ja wołałam ojca w duchu: „Przyjdź do domu, tato! Podejdź do telefonu! Mów do mnie. Mów! Mów!”. Ale nie było odpowiedzi.

- Gen?! - zawołała mama. W jej głosie znowu się pojawił ów płaczliwy ton.

- Pójdę na campus i przyprowadzę go, bo coś się dzieje z tym telefonem... - poinformowałam mamę.

Z wieszaka koło kuchennych drzwi zdjęłam puchową kurtkę i szukałam po kieszeniach kluczy. Po raz pierwszy od trzech dni wychodziłam z domu. Zimno wydało mi się szokujące. Panował cichy, nieruchomy i przenikliwy chłód i czułam, że mrozi mi wszystkie miękkie i wrażliwe części ciała: błonę śluzową nosa, końce uszu i czubki palców. Początkowo samochód krztusił się i nie chciał ruszyć.

- No, rusz się! - krzyknęłam. Właściwie trudno by mi było wytłumaczyć, dlaczego tak się śpieszę. Jedyny powód, jaki mi przychodził do głowy, to ten, że mama nigdy przedtem nie wzywała ojca, gdy był w pracy. „Nie będę mu zawracała głowy w dzień” - mówiła. Wyjątek zrobiła tylko wtedy, gdy się dowiedziała, że jej ojciec doznał udaru mózgu. Zawsze, bez względu na to, czy mieliśmy dobre, czy złe wiadomości, czekaliśmy, aż tata wróci, z tylnego siedzenia samochodu zabierze swoją skórzaną teczkę i wejdzie do kuchni. Czekaliśmy, aż drzwi się za nim zatrzasną.

Ulice prowadzące do miejskiego skweru były niemal opustoszałe. Witryny sklepowe pokrywała lśniąca para, gdyż wewnątrz było gorąco, a na zewnątrz mroźno. Biegi w samochodzie zgrzytały, kiedy wjeżdżałam pod górę, a potem wzdłuż rzeki, w stronę małego mostu, który łączył miasto z campusem. Oblodzony most był śliski, szybko więc zmieniałam bieg, kiedy wóz zaczął zarzucać. Powinna byłam zmniejszyć prędkość, ale wciąż trzymałam stopę na gazie w desperackim odruchu, żeby spełnić życzenie matki. Bałam się, że gdy wrócę do domu, mamy żywej już nie zastanę. Wiedziałam, że jeśli tak by się stało, nigdy bym nie wybaczyła ojcu ani on nie wybaczyłby mi.

W miejscu, gdzie most się kończył, zjeżdżało się ostro w dół; stały tam dwa kamienne słupy. Na jednym widniała tablica z napisem LANGHORNE, a na drugim z napisem COLLEGE. Przejechałam obok parkingu przy gmachu nauk ścisłych, minęłam salę gimnastyczną i dwa budynki, w których mieściły się sale i pracownie lingwistyki. Nie informowano jednak, jakich języków tam uczą. W końcu dojechałam do starej, szarej kamiennej budowli, przy której wejściu nad dwuskrzydłowymi drzwiami widniał wielki napis: ANGLISTYKA, złożony z prostokątnych liter wielkości pudełek na obuwie. Zaparkowałam na miejscu zarezerwowanym dla pojazdów uprzywilejowanych i w tym momencie zaświeciły się latarnie. Były to wysokie słupy, zwieńczone lampami w stylu wiktoriańskim, w kształcie kul. Ich żółte światła migotały nad ciemnymi drózkami, przypominając nastrój londyńskich ulic z czasów Dickensa.

- Pani nazwisko, panienko? - spytał portier.

- Jestem córką profesora Guldena - odparłam i minąwszy go, pobiegłam w stronę schodów. Szybko pokonałam cztery piętra; na ostatnim poczułam serce w gardle i dzwoniło mi w uszach.

Drzwi do gabinetu ojca były zamknięte, a światła w przedpokoju wygaszone. Przy czerwonej lampce wskazującej, gdzie jest wyjście, i nisko wiszącej świetlówce w holu dostrzegłam kartkę papieru przypiętą do drzwi. Okazało się, że jest to pismo okólne zawiadamiające o mających się odbyć zebraniach dla nowo przyjętych studentów anglistyki. Arkusz zawierał też rubrykę na ich podpisy. Chodziło o dwunastu nieszczęśników skierowanych na kurs, jakiego ojciec najbardziej nie lubił prowadzić.

Drzwi do sekretariatu były także zamknięte. Pozostała część holu tonęła w ciemności. Panowała cisza. Tylko z zewnątrz dochodziły słabe odgłosy samochodów i co jakiś czas nawoływania z dołu.

- Do diabła! - głośno zakląłam.

Gdy znów znalazłam się na dole, portier siedział rozwalony na krześle, a obok niego leżała książka wejść i wyjść.

- Panienska musi mi się tu wpisać - zwrócił uwagę z dezaprobatą w głosie.

- Czy widział pan profesora Guldena? - spytałam.

- Profesor wyszedł z budynku jakieś dziesięć minut przed pani przyjściem. Usiłowałam to pani powiedzieć, ale pani zbyt szybko się oddaliła.

Nie odpowiedziałam mu, tylko pobiegłam do samochodu i uruchomiłam silnik. Usłyszałam, że gra radio, i domyśliłam się, że przez cały czas było włączone, ale tego nie zauważyłam. Z radia się dowiedziałam, że w Sudanie wybuchła wojna domowa, a w Waszyngtonie są kłopoty z budżetem. W Teksasie stracono na krześle elektrycznym dwudziestojednoletniego mężczyznę, a pięcioro dzieci zginęło w wypadku drogowym szkolnego autobusu. Na dzisiejszą noc zapowiedziano ochłodzenie. Jadąc za szybko i nieuważnie, uderzyłam prawym przednim zderzakiem w przesło mostu, ale tylko przycisnęłam hamulec, cofnęłam wóz i znowu ruszyłam do przodu. Latarnie rzucały na ciemny asfalt ulicy białe koła światła, jasne jak powierzchnia księżyca. Znalazłam się na rondzie w momencie, gdy państwo Duane'owie zamykali księgarnię. W Langhorne ta noc wydawała się bardzo zwyczajna. Podjechałam pod dom i patrzyłam z zewnątrz przez bawełniane koronkowe firanki na naszą kuchnię: wyglądała na oazę bezpieczeństwa i ciepła.

Ojciec był już w domu. Jego torba z książkami stała na stole. Wszedł do pokoju mamy i pochylił się nad nią. Wziął do ręki małe urządzenie, z którego morfina płynęła do jej żył, a potem pogłaskał mamę z tyłu po włosach.

- Gdzie, u diaska, byłaś? - spytał mnie cicho, nawet nie odwracając się w moją stronę.

- Byłam w college'u, szukałam ciebie.

- Po co? - indagował mnie dalej, ale teraz już się do mnie odwrócił.

- Mama się o ciebie pytała. Chciała cię zobaczyć.

Znowu się nad nią pochylił, musnął jej włosy, potem przesunął dłoń po jej wychudłej szyi i doszedł do obojczyków, wystających niczym półka nad jej zapadłą piersią.

- Musieliśmy się minąć. - powiedział. - Myślałem, że cię zabiję ze złości, kiedy tu przyszedłem i ciebie nie zastałem.

- Podczas gdy ty byłeś w drodze do domu, ja byłam w drodze do college'u. Zupełnie jak w opowiadaniu O. Henry'ego.

- Istna *Komedia omyłek** - zauważył. - Powiniennem być się domyślić, ale przeżyłem szok, gdy znalazłem mamę samą. W jakim jest stanie?

* *Komedia omyłek* - tytuł komedii Williama Szekspira.

- Kiepskim.

- Jadła coś?

- Niewiele.

Ojciec znowu dotknął urządzenia do włączania morfiny, ale zrobił to końcami palców, jakby się tego bał.

- To jest ta pompka do morfiny? Potaknęłam.

- Czy to pomaga?

- Myślę, że tak.

- Moja biedna Kate - szepnął, a mama jakby go usłyszała, poruszyła się, szarpnęła papierowe pieluszki założone w kroczu i powoli otworzyła oczy.

- Gen - ucieszyła się.

- Tak, kochanie.

Oboje odwrócili się w moją stronę i spojrzeli na mnie: mama ociężała, jakby to wymagało wielkiego wysiłku.

- Idź odpocząć, Ellen - poprosiła z uśmiechem.

Niezbyt pamiętam, jak spędziłam kilka następnych godzin. Nie potrafię tego dokładnie odtworzyć nawet teraz, kiedy byłam o to pytana więcej razy, niż mogłabym zliczyć. Wiem tylko, że dopóty, dopóki z pokoju dochodziły do mnie odgłosy cichej rozmowy, nie wchodziłam tam. Słyszałam, że rozmawiają

znacznie dłużej, niż sądziłam, że jest to możliwe. Raz doleciał podniesiony głos mamy. Zdawało mi się, że słyszę jej płacz i słowo „proszę” wypowiedziane wysokim, błagalnym tonem. A także podniesiony głos ojca, który zaklął i uderzał dłonią o coś płaskiego. Ale większość tego, co słyszałam, było spokojną rozmową dwojga ludzi. Często łowiłam uchem coś w rodzaju mruczenia, które brzmiało jak gruchanie gołębi w parku miejskim. Mam na myśli gruchanie dzikich leśnych gołębi, które zamieszkują miejsce, gdzie trawnik styka się z linią drzew.

Wzięłam prysznic, położyłam się na chwilę na łóżku i zmoczyłam poduszkę mokrymi włosami. Myślę, że spałam jakąś godzinę. W domu było bardzo cicho. Przez okno zaglądał półksiężyc, ale w pewnej chwili jego profil zasłoniła chmura.

Gdy zeszłam na dół, drzwi do pokoju mamy były otwarte.

Zwróciłam uwagę na cienie na podłodze i ścianach. Cienie to podnosiły się, to znów opadały, a ich falowanie odbywało się powolnymi, zgranymi ruchami. Rodzice siedzieli naprzeciw siebie; ojciec na krześle i na kolanach trzymał porcelanową miseczkę z budyniem ryżowym. Mama miała górną część szpitalnego łóżka ustawioną niemal pionowo, tak że wyglądała, jakby siedziała wyprostowana.

Unosiła wysoko głowę, usta miała otwarte, wzrok tępy. Ojciec napełniał łyżkę, potem łukiem podnosił ją do jej ust. Mama powoli to otwierała, to znów zamykała usta; wyraźnie było widać, jak pracują mięśnie jej szyi i szczęk; potem następowało połknięcie i głowa mamy opadała do tyłu. Przypominała pi-skłę, a ojciec karmiącego niemowlę.

Kolejność ruchów powtarzała się: głowa mamy do przodu, łyżka do góry, łyżka do ust, głowa do tyłu. Za każdym razem, gdy dochodziło do zbliżenia łyżki do ust, oczy mamy nabierały blasku. Ale teraz, gdy wielokrotnie tę scenę sobie odtwarzam, zawsze w ciemnobrązowej, sepiowej tonacji, jestem przekonana, że mama spoglądała z błyskiem w oczach nie na porcję ryżowego budyniu na łyżce, ale na ojca.

Wciąż go widzę, jak podnosi łyżkę. Ten obraz najgłębiej utkwił mi w pamięci. Tak właśnie zapamiętałam moich rodziców: blisko siebie - zanim straciłam ich oboje. Próbowałam odtworzyć sobie tę scenę, zrekonstruować ich ruchy, motywy, emocje i dojść do prawdy. Muszę jednak wyznać, że to, co dzisiaj uważam za prawdę, różni się od tego, co sądziłam dawniej.

Odeszłam od drzwi do pokoju mamy i udałam się do salonu. Długo tam siedziałam, czytając wciąż jedną i tę samą stronicę *Anny Kareniny*. Ciągle wracałam do opisu, w którym Anna jedzie konno w czarnej amazonce, włosy ma w lokach... Jawi mi się ten obraz, jakby był jeszcze jedną fotografią stojącą na fortepianie, i oczami duszy widzę konia, strój do jazdy i ciemne loki Anny.

Myślałam też o mamie. Uświadomiłam sobie, że ona przeczytała tę i dwie inne książki i założyła klub czytelniczy tylko po to, aby przełamać chłód i nieufność własnej córki. W porę znalazła coś, o czym mogliśmy rozmawiać, zanim mogło być na to za późno. I jakich przemyślnych używała sposobów...

- Opowiadaj! - polecała i ja opowiadałam. A nawet doprowadziła do tego, że mówiłam także bez jej zachęty.

Po jakiejś godzinie do salonu wszedł ojciec. Dłonią odgarnął włosy z czoła. Miał zaczerwienione oczy.

- Nikt nie powinien tak żyć - powiedział.

- Jak mama się zachowywała? - spytałam.

- Nie powinno się nikogo zmuszać, aby tak żył. Nikogo! - powtórzył.

- Tak samo myśli mama.

- Wiem - potaknął, a usta mu drżały. - Mama ma rację. Ani chwili dłużej nie powinna tak żyć. - Przetarł oczy dłonią. - Mama chce, żebym spał przy niej w tamtym pokoju, ale ja nie mogę. Nie jestem w stanie. Nie tej nocy... Idę na górę.

- Ja jeszcze przez chwilę z nią zostanę - oświadczyłam.

- Niepotrzebnie, Ellen!

- I tak nie mogę spać.

- Zostaw ją w spokoju - radził.

Przez następną godzinę siedziałam w salonie i przyglądałam się ręcznym robótkom mamy, które były wszędzie. Przy jednej ścianie, na komodzie z drewna czereśniowego stała wielka miedziana misa, a nad nią wisiała stara mapa Langhorne w pięknej oprawie. Na krytej aksamitem kanapie leżały poduszki wyszyte ścięciem gobelinowym w wielkie róże w pełnym rozkwicie. Obok znajdował się stolik do kawy, który był biurkiem, zanim mama nie obciąła mu nóg. Robiła to w garażu i skaleczyła się piłą. Pamiętam, że gdy weszła do kuchni po apteczkę, którą chowaliśmy w drugiej szufladzie obok zlewu, trzymała krwawiącą dłoń przy ustach. Krew zawsze jaskrawo się odbijała od jej białej skóry.

Po wyjściu z salonu przez długi czas stałam w drzwiach pokoju mamy i obserwowałam ją, mimo że byłam bardzo zmęczona. Tej nocy zachowywała się raczej spokojnie. Nie wypowiadała urywkowych zdań, nie mamrotała żadnych imion, nie szarpała gwałtownie włosów ani zniechęconych pieluszek. Oddychała przez otwarte usta; jej oddechowi towarzyszył dźwięk podobny do mrużenia. Między jednym a drugim oddechem zalegała wielka cisza, cisza jak wieczność.

Usiadłam na łóżku mamy z boku i w swoją ciepłą, spoconą rękę wzięłam jej dłoń. Była zimna; wyczuwałam kostki jak małe kruche patyczki. Spróbowałam oddychać w tym samym rytmie co ona, ale po każdym wdechu czekałam długie minuty, aż mama wypuści powietrze, bym ja mogła uczynić to samo. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Może dlatego że przerwy między tymi oddechami były długie, a może z powodu mojego osłabienia, po jakimś czasie doznałam uczucia, jakbym obserwowała nas z oddali, jakbym znajdowała się gdzieś w kącie sufitu i patrzyła w dół na tę umierającą kobietę z rudymi cienkimi włosami bez połysku. Jej ręce leżały odwrócone wnętrzem do góry na pościeli jakby w błagalnym geście; obok niej córka o nieco kwadratowej twarzy, zasłoniętej kurtyną ciemnych włosów, wolną dłonią nerwowo szarpała stare czarne spodnie na kolanie.

Wdech i wydech. Wdech i wydech. Oddychały unisono. Kiedy im się przyglądałam, zastanawiałam się, która pierwsza przestanie oddychać. I jedna z nas przestała: moja matka. Usłyszałam dziwny dźwięk,

który sprawił, że wróciła mi świadomość i wyszłam z ośpienia, w jakie wpadłam, słuchając powolnych, powtarzających się oddechów. Ten dziwny dźwięk, który się nagle pojawił, przypominał pykanie silnika, kiedy w zimny poranek nie chce zapalić; brzmiał jak ech, ech, ech, ech i wydobywał się z głębi gardła mamy. A ja mocno trzymałam jej rękę w swoich długich, silnych palcach, jakbym chciała ją zgnieść w uścisku. Dreszcz wstrząsnął ciałem mamy, po czym usłyszałam jeszcze pyknięcie: ech, ech, ech i jeden, ostatni, przeciągły wdech.

Długo czekałam, kiedy nastąpi wydech, nieskończenie długo, i wciąż trzymałam jej drobne palce w swojej dłoni. Potem położyłam głowę w nogach jej łóżka i nie zmieniałam pozycji dopóty, dopóki nie stwierdziłam, że noc przemija i wkrótce nastanie świt. Dłoń mamy była całkiem zimna, gdy ją w końcu odłożyłam na pościel. Ta zaś zachowała swą czystą biel jak śnieg, gdy przestaje padać. Patrzyłam na jej martwą twarz i czułam, że nic już na niej nie ma z mojej mamy, zupełnie nic, jakby cichutko, na palcach, wyszła w połowie nocy, kiedy drzemałam. Mama często tak robiła, gdy byłam małą dziewczynką. Nuciała swoją ulubioną piosenkę *Safe and Sound**, a gdy usypiałam, wychodziła. Nadal przy niej siedziałam. Byłam tam jeszcze wtedy, gdy zaczynało dzień i ojciec powoli zszedł po schodach. Stanąwszy w drzwiach, drżał, jakby mu było zimno lub coś mu dolegało.

* *Safe and Sound* - „Cały i zdrowy” - przebój śpiewany przez Cheryl Crow.

- Jak mama się czuje? - spytał.

- Nie żyje - odparłam. - Zaraz zaparzę kawę.

Część druga

Niewiele rzeczy nabyłam w ciągu tych pięciu miesięcy, kiedy mieszkałam w moim dawnym pokoju. W zapadającej ciemności wodziłam oczami po odbitym szablonem szlaczku w kwiaty, który ozdabiał brzegi sufitu, i w końcu usypiałam znużona dobrze znanym kształtem mansardowego okna. Czasem się budziłam, słysząc płacz z piętra pode mną, gdzie przez tyle miesięcy żyłam, oddychałam i umierałam razem z moją matką. Ofiarowany mi przez Jonathana terminarz leżał na biurku, ciągle pusty, niezapisany. Do nowo zdobytych rzeczy należał niewątpliwie gruby sweter w kolorze owsianki - prezent na Gwiazdkę od rodziców. Tak właśnie określało się u nas zawsze ofiarodawcę podarunków, chociaż dobrze wiedzieliśmy, że kupiła je mama. Były tu również dzinsy, które Jeff zostawił, gdy bawił ostatnio w domu na Święto Dziękczynienia, a które ja sobie przywłaszczyłam, oraz nowa para butów wypatrzonych w centrum handlowym, ponieważ pewnego dnia w październiku mama się uparła, żebym koniecznie coś sobie sprawiła.

W szafie wisiał granatowy kostium, który kupiłam specjalnie na pogrzeb. Włożyłam też stare lakerki, które znalazłam w tyle szafy; pozostały mi z czasów licealnych. Pamiętam, że miałam te czółenka na nogach podczas uroczystości zakończenia nauki w ostatniej klasie liceum. Postanowiłam nie zabierać kostiumu do Nowego Jorku. Wiedziałam, że go już więcej nie włożę.

Kiedy w dwa tygodnie po śmierci mamy i w tydzień po jej pogrzebie pakowałam torbę podróżną, nie miałam więcej ubrań niż po przyjeździe do domu, przeciwnie - było ich nieco mniej, ponieważ się okazało, że dwie pary sztruksów są teraz za ciasne, więc je zostawiłam w szufladzie.

Nie zamierzałam od razu wyjeżdżać z domu. Zostałam jeszcze kilka dni. Jedno przedpołudnie zajęło mi dopilnowanie demontażu łóżka szpitalnego i zwrotu fotela na kółkach. Jego siedzenie obite skajem po prostu się zapadło, co zrobiło na mnie nieco przygnębiające wrażenie. Cały dzień poświęciłam na przedstawienie mebli. Wezwałam też kogoś do uprania specjalnym szamponem tapicerki i dywanów. Musiałam jeszcze wyczyścić srebra. Skończyłam wyszywać słoneczniki i zaniiosłam kanwę do zakładu, by przyszyli spód z aksamitu i napełnili poduszkę pierzem. Doskonale wiedzieli, co i jak mają zrobić, bo już przedtem mama wiele razy zamawiała u nich takie usługi, ustalając z nimi fason, materiał i obramowanie powłoczki. Właśnie się zabierałam do wyjścia z zakładu, gdy usłyszałam dźwięk dzwonka w drzwiach nad sobą, podobny do tego, jaki Jimmy Stewart słyszy na końcu filmu *Życie jest piękne*. Otwierałam już parasol, który wzięłam dla ochrony przed chłodnym i intensywnym zimowym deszczem, gdy nagle się zatrzymałam i poprosiłam, żeby gotową poduszkę wysłali na adres Jules w Nowym Jorku. Postanowiłam nie zostawiać jej w Langhorne, ale zachować dla siebie na pamiątkę.

Któregoś dnia przy śniadaniu zaproponowałam ojcu, że mogę mu zrobić porządek w szafie z ubraniami. Ale tata, nie spojrzawszy nawet na mnie znad talerza z otrębami i znad swego „New York Timesa”, powiedział:

- Nie, w żadnym wypadku!

Niemniej kiedy wychodził do college'u, zauważyłam, że ma na sobie ten sam golf, który nosił od trzech dni, udałam się więc na górę, otworzyłam żaluzjowe drzwi szafy w ścianie, przesunęłam dłońmi nad tęczową gamą jego garniturów: jasnoniebieskich, białych na lato, w szkocką kratę, bordowych i czerwonych, po czym, nie myśląc długo, ramionami objęłam te ubrania. Uderzył mnie zapach bzu wody toaletowej i Jean Naté, i Joy*, i olejku różanego - wszystko zmieszane razem: perfumy na dzień i na wieczór, olejki do kąpieli i toniki do twarzy. A nad nimi unosiła się woń jeszcze czegoś chłodnego, stęchłego i martwego - przykrzejsza od tej, jaką czułam na cmentarzu, gdy stałam obok czystej i lśniącej jak nasz stół kuchenny dębowej trumny mamy.

* Jean Naté firmy Revlon i Joy Jeana Patou - to perfumy damskie.

- Ten dom jest teraz straszliwie pusty - powiedział ojciec w dzień pogrzebu przy śniadaniu. I to była prawda. Podobnie jak ciało mojej matki wydało mi się czymś bez znaczenia z chwilą, gdy zrozumiałam, że ciepło i światło, które w nim żyło, bezpowrotnie zniknęło - jej dom był teraz dla mnie jedynie przypadkową, zupełnie mi obojętną kolekcją rzeczy i przedmiotów mało znaczących niczym wystawa w sklepie meblowym.

- Czy ty mnie kontrolujesz, by sprawdzić, co robię? - spytałam Jules, która tak często do mnie dzwoniła, że zaczęłam się z niej nabijać.

- Idź do diabła! - odparła. Jules była już spakowana, gotowa wsiąść do pociągu i przyjechać na pogrzeb mamy, gdy jej powiedziałam, żeby nie przyjeżdżała. Zrobiłam to, mimo że chciałam zobaczyć przyjaciółkę, ucisnąć jej palce złączone z moimi i opowiedzieć o wszystkim, co przeżyłam. W jej małym saloniku usiadłybyśmy skulone w przeciwległych rogach wielkiego, starego tapczanu obitego welwetem w kolorze bordo, a nasze buty stałyby na podłodze obok. Jules co jakiś czas wyciągałaby strzępy końskiego włosia z rogów, gdzie welwet się przetaił, a ja za każdym razem dawałabym jej klapsa po łapach. Ale na to wszystko było jeszcze za wcześnie.

- Nie chcę cię tu teraz widzieć - powiedziałam jej przez telefon. - Wracam do Nowego Jorku. Pragnę, by wszystko tam było takie jak dawniej i nie miało nic wspólnego z tym, co mam tutaj. Nie życzę sobie, żeby moja przyszłość była przedłużeniem mojej obecnej rzeczywistości.

- Chcesz, żeby twoja przyszłość była jak niezapisana karta, jak coś, czego jeszcze żadna ludzka ręka nie tknęła?

- Tak. Tego właśnie pragnę.

- Ale redakcja wysłała delegację na pogrzeb.

- Proszę cię, Jules, powiedz im, żeby tego nie robili. Ja tego po prostu nie chcę. Wszystko, co się tu dzieje - to jedna sprawa, a moje życie w Nowym Jorku to druga, zupełnie inna i nie chcę, żeby się obie ze sobą zetknęły; mają pozostać rozgraniczone i odrębne.

- A czy ja nie mogłabym stanowić wyjątku? - spytała łagodnie.

- Nie. Nawet ty nie możesz...

- Mam ładny czarny kostium, który kupiliśmy na wyprzedaży u Bendela...

- Włożysz go, gdy pójdziemy na kolację, żeby oblać moją nową pracę.

- Co? Jaką pracę?

- No, może się zagalopowałam... Myślałam, że jak dostanę pracę, to będziemy tę okazję oblewać...

Jules na chwilę zamilkła.

- Sama nie wiem... - mruknęła w końcu.

- Proszę cię, Jules - nalegałam.

- A co ty włożysz? - spytała.

Roześmiałam się i chyba śmiałam się za długo i zbyt żywiołowo, niż jej pytanie na to zasługiwało.

- Takich twoich pytań mi właśnie brakowało - zażartowałam. - Właśnie tego potrzebuję...

- Nie, nie tego - sprostowała Jules. - Potrzebujesz butelki mocnego wina, no i musisz dobrze się wypłakać.

Po leciutkim drzeniu jej niskiego, kontraltowego głosu poznałam, że ona też mówi przez łzy. Wzięłam głęboki oddech, a zamiast wydechu wydałam głębokie westchnienie.

- Na to, co proponujesz, przyjdzie czas później - zapewniłam przyjaciółkę.

Na pogrzeb włożyłam granatowy kostium, ojciec był w granatowym ubraniu, a chłopcy mieli granatowe marynarki. Czy to nie Diana Vreeland* napisała kiedyś, że w Indiach odpowiednikiem naszego granatu jest kolor różowy? Nawiązałam do tej opinii w czasie stypowego obiadu w pięknym, choć nieco surowym domu państwa Duane'ów przy ulicy prowadzącej na wzgórze i równoległej do naszej.

* Diana Vreeland - dziennikarka pisząca o modzie w „Harper's Bazaar”.

- Czy nie jest tak - spytałam, zajadając się sałatką z kurczaka i biszkoptowym ciastem - że w naszych miastach uniwersyteckich używamy granatu zamiast koloru czarnego?

Nikt się oczywiście nie zaśmiał, a od pani Best usłyszałam:

- Czy ty zawsze musisz żartować, Ellen? - Po miesiącach okazało się, że wszyscy obecni bardzo dobrze zapamiętali tę scenę.

Podczas stypy ojciec zachowywał się inaczej niż zwykle; nie był sobą. Nie przypominał owego niezrównanego anegdociarza, który uczył mnie mówić w żartobliwy sposób. Tego dnia tata nie objawiał typowego dla siebie poczucia humoru, nie pachniał białym winem ani cytrynową wodą kolońską. Zawsze biegły w mowie, dziś owdowiały i w żałobie, nawet nie wspomniał, jak bardzo by się mamie spodobała muzyka grana w czasie uroczystości pogrzebowej czy odczytany na niej rozdział z listu świętego Pawła do Koryntian, czy wreszcie wygłoszona przez Isabel Duane pożegnalna mowa. Nic takiego w ogóle nie powiedział, tylko stał przy stole, trzymał w ręce kubek kawy, przyjmował kondolencje i słuchał, jak inni wspominają mamę.

Ręce mu się trzęsły, był szary na twarzy. Wydawał się bardziej chory niż moja matka jeszcze kilka miesięcy temu, wtedy gdy wyszedł na ganek i zarzucił mi, że nie mam serca. Tata nie poznał pani doktor Cohn, która wzięła go za rękę i przybliżyła się, by powiedzieć mu coś na ucho. Miał oczy tak szkliste i otepiałe jak ci, którym życie upływa za murami zakładów dla umysłowo chorych. Miałam wrażenie, że dusza z niego uleciała.

Doktor Cohn poprosiła, żebym ją odprowadziła do samochodu. Miała na sobie czarny wełniany płaszcz i kapelusz z odchylonym rondem, który odsłaniał jej pełną wyrazu twarz. Była bardzo podobna do ortodoksyjnych Żydówek, które widywałam na Upper West Side w sobotnie poranki, gdy prowadziły stadka swoich dzieci do synagogi: dziewczynki poubierane były w odświętne sukienki, a chłopcy w marynarki i na głowie mieli jarmułki.

- Czy pani doktor zawsze chodzi na pogrzeby swoich pacjentów? - nie zawahałam się spytać.

- Nie - odparła. - Chodzę tylko na pogrzeby tych, których szczególnie lubiłam.

Otworzyła drzwi samochodu, weszła do środka i ruchem ręki zaprosiła mnie, żebym usiadła obok. Patrzyła prosto przed siebie na stary śnieg piętrzący się w brzydkich stertach wzdłuż krawężników i podjazdów. Zachowywała się tak, jakbyśmy dokądś jechały i musiała się skoncentrować na tym, jak wziąć następny zakręt.

- Zastanawiałam się, czy mam ci to powiedzieć, czy nie - po chwili odezwała się stanowczym tonem - ale ci powiem. Patologowie odkryli coś niewłaściwego, robiąc sekcję zwłok twojej mamy.

Wydałam z siebie ni to parsknięcie, ni to śmiech. Byłam troszkę wstawiona i bardzo zmęczona.

- Nie zaskoczyła mnie pani doktor tą sensacją... Łatwo się domyślić, że przy złym stanie mamy musieli znaleźć wiele niewłaściwych objawów.

- Nie żartuj, Ellen. Chciałam powiedzieć, że patologowie stwierdzili, iż przyczyną śmierci twojej mamy było przedawkowanie morfiny.

- Czyżby to była wina pompki?

- Nie. Już ją sprawdzono i okazała się sprawna.

- Więc chodzi o tabletki?

- Nie wiem. Wiem tylko tyle, że badania toksykologiczne wykryły u pani Gulden tyle morfiny, że musiało to spowodować jej śmierć. Miała jej o wiele więcej niż wynosi norma.

- I co z tego? Przecież mama przez cały czas otrzymywała morfinę i pani doktor doskonale o tym wie. Także Teresa może potwierdzić, że agonia matki się przeciągała. Pod sam koniec to już nie było życie, tylko wegetacja. Mama nosiła pieluszki, mówiła od rzeczy, nie wiedziała, jaki jest dzień, i nie mogła sama wstać. Czy to ważne, jak umarła? Należało już tygodnie temu uwolnić ją od cierpień. Gdyby była psem, na pewno by ją uśpiono...

- Powinnaś uważać na to, co mówisz, Ellen! - zwróciła mi uwagę doktor Cohn.

- Nie dbam o to, co inni o mnie pomyślą.

- Czy cię nie zastanawia, kto to zrobił?

- Co zrobił?

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Ktoś zaaplikował twojej matce śmiertelną dawkę morfiny!

- Czy pani doktor powiedziała o tym memu ojcu? - spytałam.

- Musieliśmy powiadomić prokuratora okręgowego. Znowu parsknęłam, tym razem głośniej.

- Pana Besta? O mój Boże!... Ale wszystko mi jedno. - Zapytałam ją raz jeszcze: - Czy pani doktor powiedziała o tym memu ojcu?

- Próbowałam - wyznała - ale on jest jakiś niewyraźny, nie daje jasnych odpowiedzi. Odniosłam wrażenie, że zachowuje się jak ktoś nieobecny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

I pani doktor miała rację, bo wprawdzie, jak słyszałam, na uczelni ojciec całkiem dobrze sobie radził, w domu wydawał się roztargniony i jakby znużony. Rektor zaproponował mu urlop naukowy, ale tata odpowiedział to samo co mnie, kiedy zaofiarowałam, że uporządkuję jego rzeczy w szafie: „Nie, w żadnym wypadku”.

Zastanawiałam się, czy ojcu nie przeszkadza wspomnienie dłoni trzymającej łyżkę, w której przynosił budyń ryżowy z miseczki do ust swojej żony; łyżka ta należała do sztucców z gorszej zastawy stołowej mamy i miała na trzonku wzorek w drobne muszelki. Zastanawiałam się, czy to wspomnienie nie dokucza ojcu, gdy przejeżdża przez most na rzece Montgomery, udając się do szarego kamiennego budynku, gdzie urzęduje w narożnym gabinecie. Czy nie myśli o tym, kiedy wręcza studentom pierwszego roku spis lektur lub przegląda eseje słuchaczy ostatniego roku. Czy nie wraca do tej chwili, kiedy któraś z asystentek zaprasza go na kolację i częstuje dobrym wytrawnym martini, gdyż rozglądając się za jakimś towarzyszem życia, doszła do wniosku, że wdowiec nie powinien się wzbraniać przed powtórny małżeństwem. Bo ja nie przestawałam myśleć o tym budynku, którym ojciec karmił mamę, od momentu, gdy po pogrzebie doktor Cohn powiedziała mi o morfinie, choć sobie początkowo nie uświadamiałam, że komuś może tak cholernie zależeć na tym, by się dowiedzieć, w jaki sposób morfina dostała się do wychudzonego ciała mojej matki.

Rozmyślałam o tym, gdy się pakowałam - srebro już było wyczyszczone, a meble stały na dawnym miejscu. Kiedy usłyszałam jękliwe, brzęczące odgłosy dochodzące z niższych pięter, przez moment pomyślałam, że to dźwięk, jaki wydawał fotel na kółkach, gdy mama przejeżdżała nim z salonu do kuchni. Ale się okazało, że sprawcą tych odgłosów jest urządzenie ogrzewcze. Zdawało mi się też, że słyszę z dołu jakiś piskliwy krzyk: płaczliwy, cierpiący, jak żywy... Ale to był ptak stukający dziobem w kuchenne okno. Zwiodło go własne odbicie w szybie i biedak w sobie samym się zakochał. Typowy przypadek pomyślonej tożsamości. Puk, puk, puk, puk... Ptak uparcie stukał w szybę i nie zamierzał przestać, a ja się pakowałam. Włożyłam do kosmetyczki tabletki aspiryny, wazelinę, krażki dopochwowe i pomadki do ust. Znalazłam pustą fiolkę po tabletkach z morfiną i wyrzuciłam ją do śmieci. Identycznie postąpiłam z drugą fiolką, która leżała na stole w pokoju mamy. Zrobiłam to zaraz rano, kiedy ojciec tam siedział i mówił coś szeptem do martwej mamy, do swojej nieżyjącej żony. Jego głos brzmiał miękko i intymnie, ale się w końcu zała-

mał. Nie mogłam tego słuchać. Przeszłam do drugiego pokoju i puściłam Vivaldiego tak głośno, żeby zagłuszył ojca. Dopiero potem poszłam do kuchni i zaparzyłam kawę.

Puk, puk - znowu zastukał ptak, ale tym razem dźwięk był nieco inny. Z torbą podróżną w ręce zeszałam na dół. Rozkład jazdy pociągów leżał na stole w holu. Zamierzałam pojechać o 6.10, bo właśnie tym pociągiem wybrałam się do Nowego Jorku tego dnia we wrześniu, kiedy wypiwszy sok pomarańczowy, stłukłam szklankę i przysięgłam sobie, że udowodnię ojcu, iż mam serce.

Ktoś zapukał do drzwi: dwaj panowie w garniturach. Ich stukanie zabrzmiało jak echo dziobania w szybę ptaka. Po czerwonym upierzeniu poznałam, że to kardynał; tak zajadle walił dziobem w okno, że na szybie zostały plamy czegoś w rodzaju śliny i ślady krwi. Obcy mężczyźni stali na progu i kiedy im otworzyłam, żaden się nie poruszył. Po chwili starszy z nich, w brązowym garniturze, powiedział całkiem nawet przyjemnym tonem i z półśmiechem:

- Panna Gulden? - Ale to nie było pytanie.

Funkcjonariusz Patterson oraz funkcjonariusz Brown byli ubranymi po cywilnemu policjantami. Gdybym chciała obudzić ojca z otępienia, opowiedziałabym mu o tym tanim pseudodickensowskim triku. O tym, jak funkcjonariusz Brown, zanim mi zadał pytanie, pociągał za węzeł krawata, targając nim na wszystkie strony. Miałam wrażenie, że jest on postacią z powieści, umieszczoną na konkretnej stronie książki; kimś, komu autor nadał specyficzne, dokładnie określone cechy.

- Ładny dom - powiedział funkcjonariusz Patterson. A funkcjonariusz Brown od razu przeszedł do rzeczy:

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Patterson odmówił, gdy im zaproponowałam kawę, a Brown spytał, czy mogłabym udać się z nimi do centrum.

- Co tu tak hałasuje? - spytał Patterson.

- Jakiś ptak puka w kuchenne okno - wyjaśniłam i obydwaj na siebie spojrzeli.

Moja torba stała na podłodze obok stołu z opuszczanym blatem. Rozkład jazdy pociągów był wtknięty pod chińską wazę w kolorach błękitnym i pomarańczowym. Każdy, z funkcjonariuszem Brownem łącznie, ją podziwiał. Mama była bardzo dumna z tej wazy, bo udało jej się kupić ją w chińskiej dzielnicy, w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego za dwadzieścia pięć dolarów. Wytargowała tę cenę od sprzedawcy, który początkowo żądał za nią trzydzieści pięć dolarów. W dodatku mama zażyczyła sobie, aby kupiec dołożył do transakcji jeszcze torebkę ciastek z niespodzianką*. „Dobra gospodyni to szczęście dla domu” - głosiła sentencja na pasku papieru ukrytym w jednym z ciastek. Miałam pecha, bo właśnie mnie przypadł w udziale ów smakołyk i niezadowolona zmarszczyłam nos, gdy musiałam na głos przeczytać ten napis.

* Ciastka z niespodzianką (ang. *fortune cookies*) mają w środku karteczkę z przepowiednią, przysłowiem lub dowcipem.

Kiedy szłam z funkcjonariuszami do ich czarnej limuzyny, ze smutkiem spojrziałam na mój futon, który stał gotowy w garażu i czekał, żeby go za parę dni wrzucić do Jeffowego jeepa. Brat obiecał zawieźć futon do mieszkania Jules, u której miałam się zatrzymać po powrocie do Nowego Jorku. Gdy policyjnym wozem odjechałam, dwaj inni funkcjonariusze zjawili się u mego ojca i przeszukali dom. W czasie rewizji znaleźli puste opakowanie po tabletkach z morfiną w koszu na śmieci i drugie na dnie worka ze śmieciami w garażu. Znaleźli też mój dopochwowy krążek, rozkład jazdy pociągów i zapakowaną torbę podróżną. Gazety później pisały, że przygotowywałam się do ucieczki.

- Na miłość boską... Przecież ja tylko chciałam zdążyć na pociąg o 6.10... - tłumaczyłam Jeffowi w restauracji, zjadając się potrójnym sandwiczem, do którego zamówiłam mleczny koktajl z czekoladą. Do restauracji na spotkanie z Jeffem pojechałam z panią Forburg po wyjściu z więzienia za kaucją, którą do spółki zapłacili mój brat i moja była nauczycielka języka angielskiego. - Miałam wrócić do Nowego Jorku, bo tylko tam mogę naprawdę żyć... - Ktoś usłyszał, gdy to mówiłam, i te słowa także znalazły się w gazecie.

Funkcjonariusz Brown wypytywał mnie, co moja matka jadła, co piła, jak spała i jak wyglądała, czy ją lubiłam, czy ją kochałam, czy chciałam jak najprędzej skończyć z pielęgnowaniem matki, by wreszcie znaleźć się w Nowym Jorku i zacząć znowu żyć własnym życiem. Wypytywał mnie o dozowanie morfiny, w jaki sposób ją podawałam, jakie były efekty uboczne, o tabletki i pompkę. Powiedziałam mu wszystko, co na ten temat wiedziałam. Stenografka notowała każde moje słowo, a ja patrzyłam, jak za oknami zachodzi słońce, i myślałam, że pan Best czeka na mnie w swoim biurze i się niecierpliwi. Pociąg o 6.10 właśnie opuszczał naszą stację, gdy zostałam aresztowana i oskarżona o zamordowanie mojej matki.

- Chyba żartujecie - powiedziałam. I to także znalazło się w gazecie.

Następnego rana, po nocy spędzonej w areszcie, gdy w końcu brzęczenie elektrycznych przewodów ukołysało mnie do snu, zjawiłam się w sądzie. Potem minęłam gromadę reporterów, tłoczących się przy wejściu z frontu, wsiadłam do starego beżowego samochodu pani Forburg i razem z nią pojechałam na spotkanie z Jeffem do greckiej restauracji w innym dość odległym miasteczku. Powiedziałam pani Forburg, że nie mogę się doczekać, aby opowiedzieć memu ojcu o funkcjonariuszu Brownie w brązowym garniturze i o tej makabrze, jaką okazała się sala sądowa, jakby żywcem wzięta z Evelyny Waugh. I właśnie w tym momencie uświadomiłam sobie, że ojca nie było tam ani w nocy, ani rano.

- W czwartki ma wcześniej wykłady - starałam się go wytłumaczyć.

- Miałabym ochotę sprawić temu człowiekowi tęgie lanie - skwitowała moje słowa pani Forburg.

Nie widziałam mego ojca przez osiem lat, z jednym wyjątkiem. Spotkałam się z nim pewnego popołudnia na długim, szarym i wysokim korytarzu sądu okręgowego. Znowu oboje byliśmy ubrani na granatowo i oboje już wiedzieliśmy, że iluzją była wiara w naszą rzekomą nierozłączność i przekonanie, że nasze osobowości są niemal tożsame. Przestaliśmy się tymi złudzeniami karmić wiele miesięcy temu, wtedy gdy ojciec powiedział, że nie mam serca, a ja postanowiłam mu udowodnić, że jednak mam. Teraz te złudzenia rozwiały się na zawsze.

Wiadomo, że to, o co mnie oskarżano, mógł zrobić albo on, albo ja. Gdy mnie aresztowano, byłam przekonana, że to on.

* * *

Tego lata, kiedy skończyłam siedem lat i zaczęłam ósmy, spędzałam dwutygodniowe wakacje u dziadków ze strony ojca. Przez cały ten czas lało bez przerwy. Takie rzęsiste, szare, chłodne deszcze zdarzają się nieraz w sierpniu w północno-wschodnich stanach. Dzieci, które o tej porze spędzają wakacje na koloniach letnich albo przebywają w miejscowościach nadmorskich, muszą szukać sobie jakiegoś zajęcia pod dachem. W ruch idą wtedy gry planszowe, takie jak „Monopoly”, ale i karty czy kregle. Bawią się też w chowanego, kryjąc się w szafach, piwnicach i suterrenach, w których czuć wilgocia. Jeśli okres niepogody trwa długo, rodzice doprowadzeni do szału pozwalają dzieciom bawić się na deszczu, traktując to jako ostatnią, desperacką szansę na zapewnienie im rozrywki.

W dni deszczowe moja babcia uczyła mnie grać w wojnę. Obie zasiadałyśmy do kart, wkładając ciepłe swetry na letnie sukienki. I jak pamiętam, świeciłyśmy wszystkie lampy, żeby choć trochę rozjaśnić szarość, jaka panowała na dworze. Ślubna obrączka babci i jej wypolerowane na wysoki połysk paznokcie lśniły w blasku lamp, kiedy odkładała karty. Chociaż już dawno z tego wyrosłam, grałyśmy też w chińczyka, a także - mimo że niezbyt dobrze mi to szło - w indyjską grę w kości o nazwie *Parcheesi*.

Babcia obiecywała, że dziadek nauczy mnie grać w szachy, ale nigdy do tego nie doszło. Bez względu na pogodę, nie bacząc na deszcz czy zimno, dziadek musiał pełnić na terenie obozu sezonowe obowiązki: wyłączać dopływ wody do domków kempingowych, uszczelniać okna, usuwać plastikowe butelki z toalet i stosować środki przeciwdziałające zamarzaniu wody w basenie. Do domu przychodził na obiad. Na wieszaku obok kuchennego wejścia wiesział żółtą nieprzemakalną kurtkę z kapturem, ociekającą wodą. Po zjedzeniu obiadu znowu wychodził. Wracał dopiero na kolację, po czym zasiadał przy lampie na godzinę lub dwie i czytał książki o wojnie domowej. Czasem oglądał w telewizji mecze baseballowe. Babcia wieczorami robiła na drutach; w jej pracowitych rękach druty szybko migały, odbijając światło.

Na małym stoliczku obok fotela dziadka zawsze stała butelka whisky w pięknym kolorze bursztynu, a tuż przy niej wysoka szklanka, w której nigdy nie brakowało tego złocistego płynu. Przywiązanie dziadka do whisky wcale nie znaczyło, że dzięki niej stawał się rozmowny, błyskotliwy czy złośliwy, choć na mego ojca tak właśnie ten napój działał. Dziadek był z natury cichy, pod wpływem whisky robił się jeszcze bardziej milczący. Pamiętam wszystkie słowa, jakie kiedykolwiek do mnie powiedział; mogę je po kolei wymienić, bo były nieliczne, jak drzewa na pustyni...

Kiedy już zupełnie nie miałyśmy co robić, babcia wyciągała stare albumy z fotografiami. Były oprawne w wytłaczaną skórę i wiązane skórzanymi rzemykami; karty z grubego, sztywnego, czarnego papieru wypełniały zdjęcia wsuwane w małe, brązowe, trójkątne narożniki. Fotografie miały karbowane brzegi i przedstawiały czarno-białe widoczki z czasów, gdy babcia była młoda. Na zdjęciu, które najlepiej zapamiętałam, ojciec i dziadek stali obok siebie nad jeziorem położonym w najbardziej na południe wysuniętej części obozu.

Rzuciła mi się w oczy data, z której wynikało, że mój ojciec miał na tej fotografii tyle lat, ile ja miałam wtedy, gdy jego zdjęcia oglądałam. Dopiero później sobie uświadomiłam, jaki tata był drobny: szczupły chłopczyk w koszuli w kratkę i ciemnych krótkich spodenkach. Zdziwiłam się, że ma takie wystające kolana, ale to dlatego, że stał z lekko ugiętymi nogami. Ręce trzymał na biodrach, plecy miał wyprostowane, pierś wypiętą - wszystko to robiło takie wrażenie, jakby tata chciał zająć na fotografii więcej miejsca, niż mu przysługiwało. Natomiast dziadek był tęgim mężczyzną, wysokiego wzrostu. Silny i rostry - słowa te najlepiej określają jego wygląd. Miał kręcone ciemne włosy, kwadratową szczękę, potężne ramiona i duże ręce. Wydawał się o wiele większy, niż był w rzeczywistości. W porównaniu ze stojącym obok synkiem wyglądał jak ogromny ciemnozielony świerk obok bladozielonego żdźbła trawy. Obaj mieli na fotografii sztuczny wyraz twarzy. Z łatwością sobie wyobraziłam, że pewnie babcia wciąż ich upominała, żeby się uśmiechali: „Uśmiechnijcie się! Uśmiechnijcie się wreszcie!” Tak samo moja mama zawsze mnie nękała, żebym się uśmiechała do fotografii. Myślę, że właśnie dlatego mieli nienaturalnie ponure miny, gdy tak stali i milczeli, nie chcąc się poddać dyktatowi babci. Żeby koniecznie zmieścić całego mego ojca na fotografii, babcia nieco „uszczknęła” głowę swego męża.

W pierwszych tygodniach po śmierci mamy mój ojciec przypominał chłopca ze zdjęcia. Wydawał się jakby zmniejszony, przyćmiony, zastygły w pozycji niepasującej do jego normalnej życiowej postawy. Być może przyczyniły się do tego jego dzieci.

Bo moi bracia, zjawiwszy się w domu wieczorem tego dnia, kiedy umarła mama, po prostu go ignorowali. Nie robili tego w jakiś ostentacyjny sposób, ale zachowywali się tak, jakby ich związek z ojcem był czymś drugorzędnym w porównaniu z tym, co ich łączyło z kobietą, którą on poślubił, a oni kochali. Gdyby opisać naszą rodzinę jako doskonale okrągły przedmiot, jako koło toczące się wzdłuż drogi, to mama, będąc piastą tego koła, nadawała mu jednocześnie kierunek. My natomiast nie widzieliśmy przed sobą celu, a ojciec tak samo jak my nie potrafił wytyczyć kierunku; powiedziałabym, że był jeszcze gorszy od nas.

I właśnie dlatego, gdy nazajutrz po moim aresztowaniu i postawieniu w stan oskarżenia zbudziłam się w obcym łóżku i obcym domu, byłam jedyną osobą, która nie czuła się wcale zaskoczona tym, że ojciec nie przyszedł mnie ratować. Wydawał mi się teraz taki mały, taki skarłały, że absolutnie nie mogłam sobie wyobrazić, iż byłby zdolny do takiego czynu.

Poza tym ludzie nie wiedzieli tego co ja: że wsparcie mnie byłoby równoznaczne z jego przyznaniem się do winy. Bo ludzie nie mogli go zobaczyć, gdy karmił swoją żonę budyniem ryżowym, gdy trzymana przez niego łyżka śmigła w powietrzu jak gołąb pocztowy, przybywający do domu z ważną wiadomością. I nie słyszeli mamy proszącej szeptem „pomóż mi”! Wystarczyło, żebym w tym szarym kwadratowym pokoju z pojedynczym łóżkiem, toaletką i bez obrazów na ścianie na moment zamknęła oczy, zaraz go widziałam, jak podnosi łyżkę, jak nabiera budyni, karmi mamę i znowu podnosi łyżkę... Ludzie się zastanawiali, jak się morfina dostała do organizmu mamy, a mnie się zdawało, że wiem... Moja mama sprawiła, że w jej domu panował idealny porządek. Zaprowadziła go głównie dlatego, że pragnął tego jej mąż.

A potem za sprawą mamy w tym samym domu zrobił się bałagan: nieodkurzane meble, fotel na kółkach, nocne koszmary, łóżko szpitalne, odór potu i ostry zapach chemikaliów. Może ojciec nie mógł tego znieść... a może się nad nią litował.

Być może nawet ją kochał... Pewnie mama tej ostatniej nocy, kiedy słyszałam ich rozmowę, prosiła go o to samo, o co wcześniej mnie błagała, a on miał w sobie dość odwagi i miłości, aby uczynić to, na co mnie nie było stać. Już choćby dlatego, że taka możliwość istniała, uznałam, że tata zasługuje na ochronę z mojej strony. W każdym razie tak to oceniam, gdy dzisiaj próbuję analizować tok myślenia kobiety, jaką byłam wtedy.

Kiedy weszłam do małej kuchni pani Forburg, ona wyłączyła radio i powiedziała:

- Napij się kawy, Ellen.

Byłam w tych samych spodniach i w tym samym swetrze, w których spałam w celi, gdy znalazłam się w areszcie hrabstwa Montgomery.

Milcząc, usiadłam przy niewielkim białym stole i wpatrywałam się w blat, rysując łyżeczką jakieś nieokreślone wzory. Pani Forburg zajęła miejsce naprzeciw.

- Nie wybiera się pani dzisiaj do szkoły? - spytałam.

- Wzięłam sobie wolny dzień, jaki mi przysługuje na załatwienie spraw osobistych.

- Tak, to rzeczywiście są sprawy osobiste...

- Możesz u mnie zostać, jak długo chcesz, Ellen.

- Ile pani zapłaciła, żeby mnie wyciągnąć z więzienia?

- Dziesięć tysięcy dolarów, co stanowi dziesięć procent kaucji. Zwrócą mi te pieniądze co do grosza pod warunkiem, że nie wyjedziesz z miasta.

- Trzeba wiać z miasta...

- Co takiego?

- Tak zwykle mówią przestępcy w filmach: „Trzeba wiać z miasta”. Proszę się jednak nie martwić, nigdzie się nie wybieram.

- Ale oni twierdzą, że aresztowali cię dlatego, że się podobno przygotowywałaś do ucieczki.

- Można to i tak nazwać, jeśli się bardzo chce. Bo ja rzeczywiście przygotowywałam się do wyjazdu. Spakowałam torbę podróżną, bo miałam zamiar wrócić do Nowego Jorku. Dwaj faceci, którzy zjawili się przed moimi drzwiami, powiedzieli tylko, że chcą mi zadać parę pytań w komisariacie policji, i zanim się zorientowałam, o co im chodzi, już byłam aresztowana.

- Nie rozumiem cię, Ellen. Przecież wiedziałaś, co odkryto podczas sekcji. Pani doktor wspominała, że poinformowała cię o tym w zeszłym tygodniu po pogrzebie. Czemu nie poczyniłaś żadnych kroków?

- Niby co miałam zrobić?

- Powinnaś była postarać się o adwokata. Porozmawiać o tym z kimś lub choćby przyjść do mnie.

Czy nie zdawałaś sobie sprawy, co się stanie?

- Niczego złego nie zrobiłam. Nie podałam mamie śmiertelnej dawki morfiny - odparłam spokojnym tonem.

Na ileż różnych sposobów można ten sam sens oddać? Kiedy oficerowie śledczy na policji zadawali mi pytania w pokoju, którego ściany miały kolor podobny do wnętrza moich dłoni, i siedzieli na takich samych plastikowych krzesłach, na jakich mama i ja siedziałyśmy w szpitalu, czekając, aż któraś z pielęgniarek przygotuje pokój do chemioterapii, powiedziałam im to, co mówię teraz, i ciągle powtarzałam te słowa. Nie zrobiłam tego! Czy to ja podałam jej tabletki? Nie! Czy wiem, dlaczego fiolka była pusta? Nie! Czy kochałam moją matkę? Czy nienawidziłam moją matkę? Czy się gniewałam na moją matkę? Czy chciałam, żeby matka umarła?

- Gdyby pani, moja droga, zobaczyła mamę i zdała sobie sprawę, jaka była dawniej i jak bardzo się zmieniła, to też by pani wolała, żeby już umarła! - wzburzyłam się.

Ale czy ja ją zabiłam? Nie! Na pewno nie!

Widziałam jednak, jak ta łyżka w ręku ojca poruszała się najpierw do góry, w stronę ust mamy, a potem na dół, a jej oczy błyszczały w świetle lampy. Nigdy nikomu nie wspomniałam o tej łyżce. Nigdy... przez ten cały ten czas.

Tego lata, gdy zaczęłam ósmy rok życia, tata zawiózł mnie samochodem do swoich rodziców. Mieszkali na terenie obozu, w małym drewnianym domku osłoniętym szeregiem ogromnych sosen, które mój dziadek zasadził, gdy tata był dzieckiem. „To drzewa George'a” - mówiła o nich babcia. Nasza podróż trwała długo, ponad trzy godziny. Zatrzymaliśmy się w restauracji, w mieście, które nazywało się Liberty. Lokal oferował potrójne sandwicze i mrożoną herbatę. Deszcz właśnie zaczął padać, choć w radiu zapowiadali, że pogoda zepsuje się dopiero nazajutrz. Ale prawdę mówiąc, nie przywiązywałam wagi do pogody. Podczas jazdy tata recytował poezję, modulując głos jak aktor. Deklamował poematy Szekspira, Johna Donne'a, a nawet Edny St. Yincent Millay:

Czyje ja usta całowałam, po co,
W czyich ramionach budziłam się rano -
Już nie pamiętam; jednak deszcz za ścianą
Pełen jest duchów, które teraz nocą
O szyby dzwonią słuchając, czy wspomnę;
I niepokoi serce jakiś obcy
Żal, że ci moi zapomniani chłopcy
W nocy nie przyjdą już ze łzami do mnie.
Podobnie drzewo, zimą tak samotne,
Nie zna tych ptaków, co już poznikały,
Lecz wie, że całe jest objęte ciszą -
Nie znam ja żadnej z miłości ulotnych,
Lecz wiem, że lato raz we mnie śpiewało

I że tych pieśni więcej nie usłyszę*.

* Wiersz amerykańskiej poetki Edny St. Vincent Millay (1892-1950) przetłumaczył Juliusz Żuławski, *Poeci języka angielskiego*, PIW, 1974.

Słowa i uczucia, których nie rozumiałam, zdawały się wypełniać wnętrze samochodu, a zakończenie wiersza: „I że tych pieśni więcej nie usłyszę”... odbijało się wielokrotnym echem. Potem nastąpiła długa cisza. Tylko z lasu, który otaczał nas po obu stronach drogi, dochodziły krótkie, ostre dźwięki; wysoki i powtarzający się trzask jakiegoś ptaka i przerywane furczenie owadów. Po dłuższej chwili ojciec spojrzał na mnie i wzruszając ramionami, powiedział:

- Pamiętaj, Ellen, że nawet poezja drugiej kategorii jest lepsza niż żadna.

Przypominam sobie, jakiej doznałam wówczas ulgi - było to uczucie niemal fizyczne - że czekałam, by ojciec pierwszy się odezwał i pouczył, co należy odczuwać, słuchając poezji. Jak to dobrze, że natychmiast po wysłuchaniu wiersza nie powiedziałam, jak bardzo wydał mi się piękny.

- Jesteś wyjątkowym dzieckiem. Mała Nell - ojciec mnie pochwalił, spojrzawszy na zachwycony wyraz mojej twarzy.

Coraz bardziej zagłębialiśmy się w las. W samochodzie było ciemno, ponieważ wielkie stare dęby i wiąz, skłaniając się ku sobie z obu stron wąskiej wiejskiej drogi, łączyły górą swoje gałęzie i tworzyły rodzaj sklepienia. Przejechaliśmy wiele kilometrów i nie spotkaliśmy żadnego domu ani samochodu. Nie widziało się nic prócz królików o dzikim spojrzeniu i tłustych, ospałych świstaków, które pasły się na poboczach porośniętych marną trawą. Tego właśnie rodzice pragnęli dla swoich dzieci, wysyłając je na obóz letni do moich dziadków. Chcieli, żeby jakiś czas były odseparowane od wielkiego świata, żeby żyjąc blisko natury, poznały inną, prawdziwą Amerykę. Ale z trudem mogłam tu sobie wyobrazić mego ojca w wieku szkolnym, jak ślęczy nad bajkami Ezopa przy świetle lampy stojącej na starym biurku albo jedzie szkolnym autobusem dwadzieścia kilometrów do najbliższego miasta i mało ciekawej szkoły podstawowej z czerwonej cegły, a także gdy wyjeżdża stąd spakowany, udając się na kurs przygotowujący do studiów wyższych.

Byliśmy już blisko wielkiej drewnianej budowli w kształcie łuku, wskazującej drogę do obozu, kiedy tuż przed maską samochodu nie wiadomo skąd znalazła się sarna. Przez moment widziałam jej delikatny pysk zwrócony w moją stronę i nawet z tej odległości mogłam dojrzeć okrągłe czarne oczy i wielkie postawione pionowo uszy. Próbowала nimi pewnie rozpoznać, co się dzieje na drodze, ale zrobiła to o sekundę za późno. Siła uderzenia, kiedy ją samochód potracił, była ogromna. Czarne i czerwone plamy pokryły przednią szybę, gdy tata ostro skręcił i raptownie zahamował. Kiedy potem u dziadków spojrzałam w lustro, stwierdziłam, że mam otartą skórę i guz na czole; musiałam więc uderzyć głową o tablicę rozdzielczą.

- Do jasnej cholery! - zaklął ojciec.

Sarna leżała po przeciwnej stronie drogi na samym skraju i nerwowo grzebała ziemię wąskimi racicami. Nie mogła wstać ani przesunąć się dalej, tylko lekko odwracała tułów raz w lewo, raz w prawo. Wygiętą w łuk szyję odchyliła do tyłu, jakby chciała dotknąć głową długiego, beżowoszarego, jedwabistego grzbietu.

Ojciec wyszedł z samochodu i obszedł go dookoła, aby obejrzeć przedni zderzak.

- Cholera! - warknął ze złością, patrząc to na zwierzę, to na samochód. - Cholera! - powtórzył.

Dźwięki, jakie sarna wydawała, kopiając racicami ziemię, brzmiały tak, jakby ktoś wystukiwał na maszynie: staccato, przerwa, staccato, przerwa. Potem na chwilę przestała. Uniesiona szyja zwierzęcia pochyliła się i mogłam zobaczyć pyszczek: nozdrza pulsujące w takt nierównomiernego podnoszenia się i opadania boków ciała. Ojciec wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

- Nic nie mów! Ani słowa! - polecił. A ja bałam się nawet odwrócić na siedzeniu, aby spojrzeć na sarnę, gdy odjeżdżaliśmy z miejsca wypadku.

Dziadkowie byli na dworze, kiedy zajechaliśmy przed ich dom, mijając po drodze puste domki kempingowe, ujeżdżalnię i basen. Między drzewami prześwitywało srebrzące się jezioro, położone tuż pod wzniesieniem, na którym stał budynek.

- Muszę wypić kieliszek czegoś mocnego - oznajmił tata, kiedy wysiadł z samochodu i opowiedział swojej matce, co się nam przydarzyło.

- Ach, jakież to przykry wypadek - odparła babcia i biorąc syna pod ramię, poszła z nim w stronę domu.

- Zwierzę? - zdziwił się dziadek. Mówił niskim, gardłowym głosem.

- Tak! Nie żyje! - wyjaśnił ojciec.

- Leży przy drodze - dodałam.

Dziadek wszedł do mieszkania, po chwili ukazał się w drzwiach ze strzelbą; umieścił ją w tyle starego kombi i wskazując na mnie, powiedział krótko:

- Pokażesz mi gdzie.

- Natura i tak zrobi swoje - próbował powstrzymać go ojciec, ale dziadek uruchomił wóz i otworzył drzwi, żebym usiadła obok niego.

- Na miłość boską! Może raczej ja z tobą pojedę! - zawołał ojciec, wrywając się z uścisku matki. Twarz babci przypominała w tym momencie pyszczek sarny: też miała błyszczące oczy, miękkie wargi i cała drżała. Zajęłam już miejsce na przednim siedzeniu, gdy ojciec usiłował mnie stamtąd wyciągnąć, ale się opierałam i potrząsając przecząco głową, twardo siedziałam przy dziadku. Ojciec usiadł z tyłu.

- Ile cholernych saren muszą ludzie z miasta zabić tu każdej jesieni! - dziadek mruczał pod nosem.

Kiedy wróciliśmy na to nieszczęsne miejsce przy drodze, z łatwo zauważalną falistą wstęgą czarnych śladów po poślizgu, sarna wciąż jeszcze żyła i nadal bezskutecznie poruszała nogami. Gdy dziadek skierował broń w jej stronę, mierząc w głowę, zwierzę na chwilę wygięło się i odwróciło, jakby chciało zobaczyć, co się dzieje; potem leżało już cicho. Ramieniem dziadka szarpnęło do tyłu, kiedy celnym strza-

łem pozbawił sarnę życia. Przez całą powrotną drogę płakałam, kryjąc twarz w dłoniach. Dziadek klepał mnie pocieszająco po ręce, a ojciec milczał, wyglądając przez okno.

- Teraz potrzebny mi jest kieliszek czegoś mocnego i nowy samochód - oświadczył babci, gdy razem weszliśmy do domu.

O tej scenie i o fotografii, na której tata stoi obok dziadka, najczęściej myślałam, kiedy zamieszkałam w gościnnym pokoju pani Forburg i piłam kawę przy kuchennym stole. Po południu zjawił się Jeff. Szedł drogą na skróty przez las i zbliżył się do budynku od tyłu, żeby uniknąć spotkania z miejscowymi reporterami i fotografami, którzy pilnowali wejścia z frontu. Jeff zapukał w szybę kuchennego okna i zajrzał do środka. Widziałam jego oczy ponad żółtymi zazdrostkami.

- To, co się tu wyrabia, przypomina scenę ze złej szpiegowskiej powieści - powiedziałam.

- Muszę zatelefonować - oznajmiła pani Forburg, zostawiając nas samych.

Jeffrey i ja siedzieliśmy naprzeciw siebie przy stole i przyglądaliśmy się sobie.

- Wyglądasz okropnie - stwierdził mój brat.

- Wiem, ale nic na to nie poradzę. Noszę ubranie już dwa dni i nie mam nawilżającego toniku.

- Przywiozłem twoją podróżną torbę. Jest w jeepie, wniosę ją do środka, kiedy ci faceci stąd odejdą.

- Chyba prędzej czy później się znudzą...

- Nie, nigdy się nie znudzą. Jutro będzie ich tu dziesięciu, a potem dwudziestu. Złapali temat, który się nadaje na pierwszą stronę gazet i który przykuwa uwagę czytelnika. Właśnie dlatego ten idiota Best kazał ciebie aresztować. Wcale nie po to, żeby wytoczyć ci sprawę, ale dlatego, że sam chce znaleźć się na pierwszej stronie gazet i pozostać na niej przez wiele dni. Będzie wygłaszał mowy na temat zabójstwa z litości i domagał się sprawiedliwości dla wszystkich... Niektórzy ludzie w naszym mieście twierdzą, że nigdy by nie doszło do takiego rozgłosu, gdyby nie ten esej, który wysłałaś na konkurs i w którym była mowa o zabójstwie z litości. Do tego dodaj jeszcze sensacyjne doniesienia o lekarzu, który zabijał ludzi kroplówką, i o pielęgniarce z Kanady, która wykończyła całą masę chorych, o czym szeroko pisała prasa w ubiegłym miesiącu... I stąd ta nagonka na ciebie...

- Ale to minie.

- Niezbyt szybko, kochanie. Niezbyt szybko.

- Co jeszcze mówią o mnie w mieście?

Jeff pochylił głowę i rude błyski w jego włosach przypomniały mi na chwilę mamę.

- Niektórzy mówią, że postąpiłaś słusznie.

- A inni?

- Że postąpiłaś źle.

- A czy jest ktoś, kto wierzy, że tego nie zrobiłam?

Jeff zaprzeczył ruchem głowy.

- A ty? Co ty o tym sądzisz?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Wiesz, El, ty masz dużo niedociągnięć i wad, z których najgorsze wydaje mi się w tej chwili błędne mniemanie, że większość ludzi jest zdrowo myśląca i rozsądna. Niemniej jestem przekonany, że nigdy nie postąpiłaś nieuczciwie, i to też chyba błąd z twojej strony... powinienem dodać.

- A co sądzi Brian?

- Brian jest naprawdę nieszczęśliwy. Dzwoni do mnie z college'u i po prostu płacze, i płacze. Myślę, że jemu jest wszystko jedno, co mamę zabiło. Chodzi mu o to, że ona nie żyje. I to jest właśnie największa krzywda, jaką ci idioci nam wyrządzili: zamiast pozwolić nam boleć nad faktem, że nasza mama nie żyje, zajmują się tylko tym, w jaki sposób to się stało. Naszą matkę zabił rak. Takie jest moje zdanie.

- Kiedy wracasz do college'u?

- Zostanę tu, dopóki się ta sprawa nie skończy.

- Będziesz mieszkał w domu?

- Staram się jak najmniej tam przebywać. Trudno mi porozumieć się z ojcem.

Pomyślałam o ojcu, cichym i jakby zmałym w domu, który zbudowała jego żona, i znowu zobaczyłam tatę z łyżką w ręce, jak się ta łyżka podnosiła do ust mamy i opadała.

- Ojciec bardzo by chciał się z tobą zobaczyć, El. Naprawdę - zapewniał mnie brat. - Codziennie rano przy śniadaniu mówi: „Muszę porozmawiać z twoją siostrą”. I każdego dnia przy kolacji pyta: „Czy rozmawiałaś z Ellen?” Ojciec twierdzi, że wy dwoje musicie ze sobą porozmawiać, i nalega, żebym zaaranżował wasze spotkanie tutaj, żebyście mogli znaleźć się tu sami. Ojciec rozumie, że nie chcesz przyjść do domu.

- Uważam, że ani ja nie mam potrzeby mówić z nim w tej chwili, ani on ze mną - odparłam.

- Ojciec nie przyjmie odmownej odpowiedzi.

- Będzie musiał. Powiedz mu, że spotkanie jest niemożliwe.

- Adwokat ojca też go pouczył, że nie powinien się z tobą widzieć do momentu, kiedy sprawa wejdzie na wokandę, ale tato nalega, że musicie porozmawiać.

- To ojciec ma adwokata? - zdziwiłam się.

- Tak. I ty też potrzebujesz adwokata, i to dobrego.

- Może wezwałabym Jona na świadka obrony. Co?

- Jona?

- Tak. Jona F. Lee Beltzera, znawcę prawa i mego oficjalnego absztyfikanta. - Wprawdzie na pogrzebie mamy Jon także pojawił się w granatowym ubraniu, ale w ogóle się mną nie interesował. Tylko w kościele, po nabożeństwie, wziął mnie za rękę, ale do Duane'ów na stypę nie przyszedł.

- Nie czytasz gazet?

- Nie.

- Niech to diabli! - zaklął Jeffrey. Wstał, zajrzał do lodówki, zamknął ją, znowu otworzył i ponownie zajrzał do środka. - Właśnie przez Jona masz te kłopoty... Po śmierci mamy Jon powiedział swemu ojcu, że ty mówiłaś, iż pragniesz jej śmierci. A jego ojciec, gdy tylko usłyszał o sekcji, od razu poleciał do

prokuratora Besta i zasugerował, że należy przeprowadzić dodatkowe badania. To Jon ciebie w to wszystko wrobił.

- Jon?

- Tak!

- On mnie wydał? - spytałam.

Jeff potaknął.

- Znalazł dość drastyczny sposób na zerwanie ze mną - zauważyłam.

- Daj sobie spokój z tym wrednym facetem, Ellen. Wiem, że się mieliście ku sobie, i to bardzo, ale drań z niego. Zawsze taki był. Drogo teraz zapłacisz za swój gówniany gust, jeśli chodzi o mężczyzn. - Jeff wziął mnie za rękę. - Ja wiem, co się stało - powiedział. - Czy nie sądzisz, że ja wiem, co się stało? I to, że jest tylko jedna osoba, dla której ty byłabyś w stanie coś takiego zrobić.

- Robię to dla niej - oświadczyłam.

- Dla kogo?

- Dla mamy. Robię to dla niej, Jeff. Nie mogę teraz na ten temat mówić. Nie powiem ani słowa więcej. Po prostu nie mogę. Czy postarasz się dla mnie o adwokata?

- A co mam przekazać ojcu? - nalegał.

- Powiedz mu, że go rozumiem. I że pewnie o tym porozmawiamy, tylko nie wiem, kiedy...

- A jeśli wpadnę na Jona?

Przez chwilę rozważałam, co czuję do Jona. Przypomniałam sobie, co mi opowiadał o swojej matce. Kiedyś zadzwonił do niej do Kalifornii i spytał, jak mogła pewnego dnia po prostu odejść i go zostawić, jak mogła porzucić dwuletnie dziecko, żeby rosło z raną w sercu? Myślałam o odpowiedzi, jaką od niej wtedy otrzymałam: „Widać można, skoro ja to zrobiłam” - tylko tyle miała do powiedzenia. Pomyślałam o dłoniach Jona błędzących po moim ciele, pieszczących moje piersi, o jego ustach na moim łonie, o terminarzu, jaki mi podarował, i o jego mieszkaniu, które przypuszczalnie już wynajął, a które miało duże podwójne łóżko. Poczułam ból w sercu.

- Powiedz mu, żeby poszedł do diabła! - przykazałam.

- Masz to jak w banku - odparł Jeff.

* * *

Kiedy mi moja psychoterapeutka zaproponowała, żebym prowadziła dziennik i drobiazgowo przeanalizowała wszystkie wydarzenia tego roku, chodziło jej głównie o to, żebym sprecyzowała uczucia, jakich doznawałam zaraz po zaarrestowaniu, zanim jeszcze sąd zapoznał się ze sprawą i zdecydował, czy będę postawiona w stan oskarżenia, czy nie. Początkowo myślałam, że mój dziennik powinien przypominać pamiętnik, jaki prowadziłam w szkole, w klasie pani Forburg. To za jej podszeptem zaczęłam pisać wypracowania, a także wiersze, czyli - mówiąc górnolotnie - z jedwabnej tkaniny inteligencji wysnuwać nie sztucznej emocji. Muszę wyznać, że łatwiej mi było oszukiwać moją terapeutkę niż kiedyś panią Forburg. Moja nauczycielka angielskiego była bowiem ostrzejsza i bardziej wymagająca, niżby to sugerowała

jej skłonność do żartów. Odsyłała mi na przykład moje wiersze z krótko ujętą negatywną oceną: „Zręcznie napisane, ale”... lub trochę delikatniej: „Piękny język, ale gdzie w tym jesteś ty?”

Ciężko mi było przyznać się mojej terapeutce, choć w końcu to zrobiłam, że bardzo niewiele emocji przeżywałam w czasie pierwszych tygodni od chwili, gdy oskarżono mnie o spowodowanie śmierci matki.

Gdybym wtedy wiedziała o psychiatrii tyle, ile wiem dzisiaj, uznałabym, że odpowiedź, jakiej udzieliłam terapeutce, była całkiem dobra, bo brak emocji można bez trudu zakwalifikować jako „chłód uczuciowy”. W tamtym czasie byłam przekonana, że ów chłód bierze się stąd, iż w sferze uczuć popełniałam wciąż te same błędy i jak alkoholik lub umysłowo chory miewałam nawroty. Próbowałam być córeczką mamusi, a potem zdecydowanie zmieniałam zdanie i chciałam być córeczką tatusia, i tak moje chwiejne uczucia utrwały się w roztworze cynizmu i wewnętrznego pogmatwania... Czasem się zastanawiam, czy wszystkie dzieci muszą dokonywać tego rodzaju wyborów. Wyobraziłam sobie swoją matkę, jak siedzi i pilnuje dzidziusia, który ledwo zaczął chodzić, i wypatruje wczesnych oznak, czyje to dziecko będzie: jej czy męża, jakby chodziło o ręczniki... Rozważam też, czy nie dlatego moi rodzice mieli aż troje dzieci, żeby łączące nas z nimi więzy rozmięknąć na drobne... Liczbowo zwyciężała mama, ale jeśli chodzi o siłę uczuć i oddanie ze strony dzieci, z tym było już gorzej. Chyba nie wygrywała w konkurencji z ojcem, w każdym razie nie do końca.

Trudno to wytłumaczyć, ale się okazało, że można prowadzić zwykle życie nawet wtedy, gdy w otoczeniu dzieją się nadzwyczajne rzeczy. Jeff miał rację: liczba reporterów przed domem pani Forburg wzrosła w następnych kilku dniach. Potem wprawdzie nastąpił odpływ, ale wkrótce znowu przybyło ich więcej. Stało się tak wtedy, gdy wyszły na jaw nowe szczegóły śledztwa. Sensację wzbudziło zwrócenie się prokuratora z prośbą o pomoc do słynnego patologa z Florydy, wiadomość, że przed Sądem Prисяięgłych ma zeznawać mój były kochaś, i możliwość zastosowania przez kuratorium dyscyplinarnej kary wobec nauczycielki Brendy Forburg za to, że kiedy co rano wychodzi z domu do szkoły, nie unika dziennikarzy, ale chętnie staje w blasku telewizyjnych jupiterów i błysku licznych fleszów.

- Proszę bardzo, niech mnie wyrzucą - mówiła pani Forburg, robiąc kawę tego dnia, gdy po raz ostatni wystąpiła na łamach „Tribune”. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby żyć z renty socjalnej, ale chciałabym nadal móc wpajać moim uczniom zasady właściwego postępowania.

- A ja wciąż do końca nie rozumiem, dlaczego pani to robi - powiedziałam.

- Bo uważam, że nie ma gorszego marnotrawstwa niż marnowanie rozumu.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Potrzebowałaś pomocy, a ja byłam w stanie ci jej udzielić i nie ma w tym niczego niezwykłego.

- W filmie, który się w pani życiu teraz rozgrywa, przypada pani chyba rola Shirley Booth - rzuciłam bez głębszego namysłu.

- Szczerze nie znosiłam tej aktorki - odparła pani Forburg.

Gdy chwilę potem wyszła, usłyszałam hałas, szum, a potem trzaskanie aparatów fotograficznych. Jednocześnie dochodziły do mnie głośno zadawane pytania przybierające formę niczym nieuzasadnionej poufałości.

- Brendo, czy to prawda, że stracisz pracę?

- Może nam opowiesz, co porabia Ellen?

- Czy rozmawiasz z nią o tym, co zrobiła?

Odgłosy skręcającego samochodu i rozpryskującego się żwiru świadczyły o tym, że pani Forburg opuściła podjazd, i wszystko ucichło.

Przykreść sprawiała mi nie tylko natarczywość reporterów, ale i sposób, w jaki ludzie na mnie patrzyli w supermarkecie czy na targu. Nieraz rzucali mi ukradkowe spojrzenia z boku, a często nachalnie się we mnie wpatrywali. Po dwóch tygodniach reporterzy odeszli przed drzwi domu, w którym mieszkałam. Postanowili chyba przeczekać, aż zaczną się następne przesłuchania i rozegra się łatwy do relacjonowania dramat na sali sądowej. W „Tribune” nadal jednak ukazywała się fotografia, pokazująca mnie, jak opuszczam sąd po postawieniu mi formalnych zarzutów, ilekroć prokurator Best ogłaszał na mój temat nowe szczegóły. Któregoś dnia nawet się roześmiałam, gdy w supermarkecie, w alejce otoczonej z obu stron półkami pełnymi towarów, jakaś mała dziewczynka na mój widok założyła sobie spódniczkę na głowę. Po chwili opuściła spódniczkę i podeszła do sportowego wózka, w którym spał jej mały braciszek. Dzieciak miał otwarte usta, a tłusciutkie nóżki, wygięte w kabłąk, obejmowały potężny wkład pieluszek.

Innym razem zamyśliłam się, wspominając, co mi matka kiedyś opowiadała o szcurach sklepowych, gdy ktoś przechodzący obok mnie zmrużył oczy i gapił się, jakby w duchu rozważał: „Tak... chociaż nie jestem pewien... ale tak, to ona”... A czasem słyszałam, jak szemrzą: „jej matka”...

Kiedyś w sklepie „Safeway” pewna starsza kobieta wcisnęła mi do ręki mały modlitewnik z różą na okładce.

- Niech cię Bóg błogosławi i strzeże, moja droga! - szepnęła.

- Wyglądasz lepiej w rzeczywistości niż na zdjęciach - usłyszałam innym razem od kasjerki w domu towarowym.

W poczcie głosowej w telefonie pani Forburg aż się roiło od wiadomości dla mnie. Julie Heinlein, reporterka „Tribune”, niezmordowanie na mnie polowała. Pewnie wietrzyła w mającym się odbyć procesie jakąś szansę opuszczenia Langhorne i przeniesienia się do większego miasta, gdzie czekałaby ją może lepsza praca. Jej nagrany na taśmę głos przymilał się, namawiał i schlebiał. Prosiła o wywiad albo rozmowę w cztery oczy bez nagrywania, albo moją relację opowiedzianą w pierwszej osobie.

- Słyszałam, że pani też jest dziennikarką - powiedziała kiedyś, co mi przypomniało opinię oburzonego Billa Tweedy'ego, który pewnej nocy spędzonej na whisky i piwie w irlandzkim barze „Blarney Stone”, mieszczącym się na dole pod redakcją naszego czasopisma, wypowiedział takie zdanie:

- Dziennikarz to reporter, który się za bardzo troszczy o swoje ubranie...

Oczywiście, zdarzało mi się też spotykać na swojej drodze różnych wariatów. Jedni proponowali mi małżeństwo, inni grozili, że gdy mnie dostaną w swoje ręce, zabiją w szczególnie bolesny sposób, żebym sobie w pełni uświadomiła, jak straszny popełniłam grzech. Byli także ludzie, którzy przyjęli na siebie rolę moich obrońców. Ośrodek Walki o Prawo do Śmierci zajął się moją sprawą i zaproponował, że mi załatwi adwokata.

- Czas już, żebyśmy wszyscy zrozumieli, że rodzina wie lepiej, co jest słuszne dla człowieka śmiertelnie chorego, niż sądy, policja czy nawet personel medyczny, za wszelką cenę utrzymujący pacjenta przy życiu - powiedział pewien mężczyzna, który nagrał się na moją automatyczną sekretarkę i przedstawił jako naczelny dyrektor ośrodka.

- Ale ja tego nie zrobiłam... Nie pomogłam mojej matce umrzeć! - krzyknęłam zirytowana w stronę nagrywającego urządzenia.

- Pani stała się symbolem dla milionów ludzi. Jest pani najlepszym przykładem, jak się w tym kraju prześladuje rodzinę, która szczerze troszczy się o bliskich sobie chorych, nie dając jednocześnie tym cierpiącym osobom żadnej nadziei... - mówił dalej dyrektor. - Pani głos może się stać bardzo ważny dla naszego ruchu, walczącego o to, by pozwolić ludziom umrzeć z godnością, a jeśli zachodzi taka potrzeba, nawet im w tym pomóc.

- Ale ja tego nie zrobiłam... - powtórzyłam.

Następna wiadomość nagrana na sekretarkę pochodziła od człowieka, który mnie poinformował, że zna mnóstwo różnych pozycji w seksie i jest pewien, że dałyby mi wiele rozkoszy. Sama te wiadomości odsłuchiwałam; nie chciałam, żeby wyręczała mnie pani Forburg, wołałam jej tego oszczędzić. Ale po ich wysłuchaniu poczułam się chora. Miałam wrażenie, że dopadła mnie jakaś żołądkowa grypa. Nie potrafiłam utrzymać w sobie jedzenia i w rezultacie straciłam na wadze.

Co parę dni na automatycznej sekretarce pojawiał się głos, który znałam tak dobrze jak swój własny; głos, który w tonacji i brzmieniu był bardzo podobny do mego.

- Ellen! - mówił ojciec. - Jeśli tam jesteś, to proszę, żebyś zechciała podnieść słuchawkę. - W ciszy słyszałam jego nieco zasapany głos, jakby biegł. - Ellen?

Nigdy nie powiedział nic więcej, tylko moje imię i prosił, żebym się odezwała. Pewnego popołudnia jednak przemówił:

- Ellen - zaczął cicho - chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co się wydarzyło. Wiem, że będzie ci trudno, ale nie możemy odkładać rozmowy. - Potem nastąpiła długa pauza. Taśma cicho brzęczała, obracając się w kasecie, która przypominała wyglądem oko. - Nie wiedziałem, co ci zrobią w komisariacie policji - mówił dalej - nie miałem pojęcia, że cię zaaresztują. Przyszedłbym, ale nie wiedziałem. Nie byłbym... - i usłyszałam, że głos mu się załamuje i oddech przyśpiesza. - Musimy koniecznie się spotkać. To nieodzowne. - Na końcu doszedł do mnie dźwięk sugerujący, że ojciec odłożył słuchawkę.

To była ostatnia wiadomość, jaką od niego otrzymałam.

Poza tym dni upływały mi zwyczajnie, powiedziałabym nawet, że w monotonnej nudzie. Jediną reakcją na to, co się działo wokół mnie w gazetach, w biurach, w sądzie i w prokuraturze było przejmujące uczucie, przypominające tęsknotę za domem. Dobrze je znałam: ogarniało mnie zawsze na początku pobytu na wakacjach u dziadków. Także podczas pierwszego roku studiów w college'u przez kilka miesięcy tęskniłam do rodziny, co mnie samą ogromnie zdumiewało.

Teraz odczuwałam nie tyle brak samego domu, który tak pięknie urządziła moja matka. Snując się po pokojach pani Forburg, przypominałam sobie, jaki pusty mi się wydał potem, gdy ze szpitala przyjechała specjalna karetka i obsługujący ją sanitariusze niezwykle sprawnie zabrali ciało mamy. Moja dusza tęskniła za domem w szerszym pojęciu tego słowa. Rozumiemy je w najbardziej czystej postaci w dzieciństwie. Wtedy dom jest dla nas metaforycznym uosobieniem wszelkich możliwych uczuć: bezpieczeństwa, spokoju oraz wszystkiego tego, co przewidywalne, szlachetne i dobre w naszym życiu.

Podczas tygodni, jakie spędziłam w domu pani Forburg, przyszłość nie wydawała mi się trudna do przewidzenia. Żyłam bardzo podobnie jak przez ostatnie kilka miesięcy, gdy doglądałam chorej matki, a jednak w porównaniu z tamtym okresem czułam pustkę. Nie miałam bowiem żadnego wyraźnego punktu odniesienia; pędziłam żywot gospodyni domowej, ograniczając się do takich zajęć, jak czyszczenie podłóg, składanie upranej bielizny oraz oglądanie głupich seriali w telewizji. Gotowałam, sprzątałam i czytałam. Dusiałam na małym ogniu mięsne potrawki, robiłam pierogi... Ale na nikim i niczym nie potrafiłam skupić zainteresowania. Staralam się spędzać czas w najmniej dla siebie bolesny sposób. Byłam jak matka, która po stracie dzieci w jakimś strasznym wypadku nadal piecze ich ulubione czekoladowe ciasto z orzechami i punktualnie o trzeciej każdego popołudnia stawia na stole gorący jeszcze placek.

Pewnego wieczoru wyszłam z workiem ze śmieciami, by zostawić go na końcu krótkiego podjazdu, na który skręcało się ze zwirowej wiejskiej drogi. Stąd bracia McNulty zawsze rano zabierali na ciężarówkę worek i zawozili na wysypisko. Tam często można ich było spotkać. Obaj mieli niskie czoła i brudne czapki baseballowe nosili tyłem do przodu. Przypominali te wielkie ptaki o lśniących piórach, które żerują na śmietniku i ostrymi dziobami rozszarpują cząstki pomarańczy upstrzone resztkami zmielonej kawy i kawałkami zielonej sałaty umazanej majonezem.

Nieco wcześniej wyniosłam przed dom inny worek ze śmieciami i wtedy przy świetle księżycy, który zbliżał się do pełni, zobaczyłam szopa. Spiczasty pyszczek zanurzył w róg jakiegoś błyszczącego, zielonego plastikowego naczynia, odwrócił się ku mnie i na powitanie odsłonił drobne żółtawe zęby. W jego podobnych do szczurzych oczkach i grzebiących w śmieciach łapkach nie zauważyłam niczego zabawnego ani karykaturalnego. Widać go jednak spłoszyłam, bo zwierzak przebiegł przez ulicę i ukrył się w ciemnościach. Dookoła stojącej w pobliżu skrzynki pocztowej spostrzegłam porozrzucane śmieci; bez trudu się domyśliłam, że szop tam porzucił swój łup. Obok nieskładnej kupki dokładnie wyczyszczonych kości, których kolor mienił się od barwy szarej do jasnej jak księżyc bieli, leżały: puszka po tuńczyku, mały słoik z resztką sosu tatarskiego, pół cytryny tak zeschniętej, że został tylko kawałek skręconej żółtej skórki, i dwie zmięte, splamione tłuszczem papierowe serwetki, kształtem przypominające zwiędłe kwiaty. Zaczę-

łam rozwierać zacisk na przyniesionym worku ze śmieciami, aby dorzucić tam jeszcze pozostawione przez szopa resztki, ale w chwili, gdy usiłowałam podnieść je z ziemi, pośliznęłam się i niezdarnie upadłam na trawę, skręcając nogę w kostce, przy tym ubrudziłam się błotem. Zebrało mi się na płacz. Leżałam piersią w dół w takiej pozycji, jakby ktoś dłonią podtrzymywał mnie za mostek. Potem usiadłam i głośno szlochałam z twarzą zwróconą ku niebu, jakby księżyc mógł mnie pocieszyć. Pod ręką miałam kości kurczęcia: kruche żebra, połączone chrząstką. Podniosłam je i z całą siłą rzuciłam przed siebie. Wylądowały bezgłośnie w gęstych zaroślach po drugiej stronie drogi.

- A niech to wszyscy diabli! - krzyknęłam, próbując wstać, gdy nieoczekiwanie z tyłu za mną pojawiła się pani Forburg; pochyliła się, kładąc mi dłonie na ramionach. - Jaki tu cholerny bałagan! Proszę tylko spojrzeć - powiedziałam, drżącą ręką zakreślając krąg. Przyłożyłam dłoń do piersi, czując, że coś mi zapiera dech.

- Idź lepiej do domu, Ellen - odezwała się pani Forburg - a ja tu zrobię porządek. - Posłuchałam jej rady.

Czasem pomagałam pani Forburg poprawiać przyniesione ze szkoły zeszyty. Czerwonym atramentem korygowałam wypracowania uczniów ostatniej klasy liceum i oceniałam testy na „prawdę i fałsz” młodszych klas. Za prawdziwe uznały dzieci twierdzenie, że to Szekspir rozpoczął jeden ze swoich sonetów od słów: „Nie pusz się, Śmierci...”*. Uważały też, że nie jest fałszem umiejscowienie pana Darcy'ego** w *Opowieści o dwóch miastach* Dickensa. I wreszcie napisały, że to prawda, iż *Silas Marner* jest dziełem pisarza o nazwisku George Eliot***.

* W rzeczywistości jest to sonet Johna Donne'a, tu w tłumaczeniu Jerzego Sity.

** Pan Darcy to postać z *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen.

*** George Eliot to pseudonim kobiety.

To śmieszne, co nas może nieraz doprowadzić do załamania... Bywa tak, że na przykład twój kochanek przenosi się do Londynu, zakochuje się w spikerce z BBC i wcale cię ta zdrada nie wzrusza. Aż tu nagle któregoś dnia, lekko unosząc parasol, przechodzisz ulicę Pięćdziesiątą Siódmą, stajesz przed sklepem Burberry, patrzysz na wystawę i od razu zbiera ci się na płacz. Albo inny przykład: twoje dziecko umiera tuż po urodzeniu. Mija pięć lat i w jakimś sklepie z antykami widzisz małą zniszczoną srebrną grzechotkę leżącą na wyściełanej aksamitem podstawce. Grzechotka nosi ślady dziecięcych ząbków i jest na niej wygrawerowane imię Emily. I oto gdzieś z głębi twoich trzewi wydostaje się gwałtowne łkanie i czujesz ból od lat uśpiony.

Albo nagle pęka worek ze śmieciami...

Błąd, błąd, błąd... napisałam i przekreśliłam wielkimi czerwonymi krzyżykami złe odpowiedzi na pytania zawarte w teście. Gdy jednak doszłam do *Silas Marner* i George'a Eliota, nagle zabolowało mnie wspomnienie i musiałam przycisnąć dłonią usta, aby powstrzymać łkanie. Ze spuszczoną głową pobiegłam do łazienki, jedynej, jaka była w domu pani Forburg.

- Nie możesz milczeć, dusić w sobie żalu - powiedziała moja nauczycielka, gdy wróciłam do pokoju.

- Owszem, mogę - odparłam.

- Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję. Miałabym wielką ochotę na drinka, ale to może być niebezpieczne.

- Racja - zgodziła się pani Forburg, która dwa razy w tygodniu chodziła na zebrania Anonimowych Alkoholików. Ich spotkania odbywały się w suterenie kościoła luterańskiego. Postawiła na stole talerz fi-staszków z uwagą: - Tylko mi nie potłuść moich papierów.

- Dlaczego belfry zawsze tak mówią? - spytałam, walcząc z chęcią roześmiania się. - Nawet w college'u podkreślali słowo „moje”, mówiąc o naszych pisemnych pracach. Dlaczego wam, belfrom, tak bardzo zależy na utwierdzeniu się w waszym stanie posiadania?

- Nigdy tak o tym nie myślałam - wyznała pani Forburg. - Być może jednak bierze się to stąd, że uczniowskie zeszyty są jedynym namacalnym sprawdzianem efektów nauczycielskiego trudu. Można by także uznać, że wy, studenci, stanowiąc ostateczny produkt naszego nauczania, jesteście jego najlepszym sprawdzianem, choć nawet to jest złudne. Obserwując uczniów w klasie, orientujemy się, oczywiście, czy wiadomości, jakie przekazujemy, są przyswajane, ale przekonać się o tym, w jakim stopniu wiedza została ugruntowana, możemy tylko, sprawdzając testy i wypracowania zawarte w tych właśnie zeszytach. - Podniosła wysoko zeszyt pokreślony czerwonym atramentem. - Ten akurat jest złym przykładem, ale sądzę, że rozumiesz, o co mi chodzi. Przeglądasz zeszyty i od razu widzisz, co uczniom zostało w głowach, a co nie. Tym sposobem zdobywamy przekonujący dowód, czy nauczamy dobrze, czy źle. Takim dowodem może też być czasem list od dawnego ucznia, który poświadcza, że nauczycielski trud wydał dobre owoce; ja takie listy otrzymuję.

- Żałuję, że nie wysłałam pani takiego listu, a powinnam była, bo bardzo wiele zawdzięczam pani. Także w pracy zawodowej ogromnie dużo korzystałam z wiedzy, jaką zdobyłam w ciągu czterech lat, kiedy uczyła mnie pani angielskiej literatury.

- Dziękuję ci, moja droga. Takich właśnie sukcesów oczekujemy i wierzymy, że będziemy je mieli, choć nikt nam tego nie zagwarantuje. Przypuszczam, że podobnie jest z wychowywaniem własnych dzieci. Nikt naprawdę nie wie, czy się do końca sprawdził jako rodzic. Paradoksalnie dowiadujemy się o tym wtedy, kiedy się nie sprawdzamy, kiedy się okazuje, że nasze dziecko weszło na złą drogę. A więc poświęciliśmy całe lata pracy, która na niewiele się zdała.

Nie wiem, co bym zrobiła bez pani Forburg przez te wszystkie tygodnie. Przypominała mi ojca, ale w łagodniejszej i szlachetniejszej wersji. Podobnie jak on, pani Forburg zawsze chętnie podejmowała rozmowy o literaturze i jej związku z życiem, ale nie potępiała opinii różniących się od jej własnych tak kategorycznie, jak to robił mój tata. Wieczorami zasiadałyśmy do kolacji, oglądałyśmy wiadomości w telewizji, a potem rozmawiałyśmy w kuchni przez godzinkę lub dwie przy dokładnie zamkniętych okiennicach.

Gdy pani Forburg wychodziła na jakieś zebranie, oglądałam w telewizji komedie lub czytałam sensacyjne powieści czy wreszcie rozmawiałam przez telefon z Jules.

- Chyba nie powinno się wypytywać o szczegóły dotyczące anonimowych alkoholików? - spytałam panią Forburg pewnego wieczoru, gdy wróciła z zebrania.

- Nie wiem, czy należy rozmawiać o poszczególnych ludziach - odparła - ale na pewno możesz mnie spytać o to, jak pracuje klub Anonimowych Alkoholików.

- Chciałabym przede wszystkim wiedzieć, po co pani tam chodzi.

- Chodzę na ich zebrania, bo pozwalają mi zrozumieć, dlaczego robię pewne rzeczy, które robię...

- Przepraszam. Chyba źle to pytanie ujęłam. O ile wiem, zwykle uczestniczy się w zebraniach Anonimowych Alkoholików wtedy, gdy ktoś z rodziny jest alkoholikiem. Czy ktoś z pani bliskich jest uzależniony? - Wyciągnęłam przed siebie ramiona i otwartymi dłońmi zataczałam koła, jakbym chciała pokazać, że dom, w którym się znajdujemy, jest pusty, nie ma w nim fotografii ani żadnych pamiątek; pod tym względem bardzo się różnił od domu mojej matki. - Przepraszam - powiedziałam. - Nie powinnam pytać tak nachalnie.

- Czy nie zauważyłaś, że ostatnio ciągle mnie za coś przepraszasz? - dziwiła się pani Forburg.

- A czy w ten sposób chce pani uniknąć odpowiedzi na moje pytanie?

- Nie, i to, co powiem, da ci wiele do myślenia. Otóż odpowiedź brzmi: tak, alkoholikiem był mój były mąż, a także oboje rodzice. Ja zaś pełniłam rolę tego, kogo w słowniku uzależnień nazywamy czynnikiem umożliwiającym, czyli zachowywałam się tak, by oni wszyscy mogli pić. Opiekowałam się matką, gdy była pijana i potem... gdy umierała, uwielbiałam mego ojca i usprawiedliwiałam wszystko, co robił.

- A pani mąż?

- Był taki sam jak mój tata, miałam więc jakby powtórkę z życia z ojcem: był czarujący, mądry, lecz bezwolny. O takiej historii jak moja możesz przeczytać w każdym podręczniku omawiającym temat alkoholizmu, ale wiedza o tym, że jest się typowym przykładem, wcale nie oznacza, że ma się lepsze samopoczucie.

- Od jak dawna jest pani rozwiedziona? - spytałam, choć mówiąc prawdę, nie pamiętałam, żeby pani Forburg kiedykolwiek była mężatką.

- Od dwunastu lat - odparła.

- I mimo że tyle lat minęło, wciąż nie potrafi się pani z tym uporać?

- To naiwne pytanie jak na kogoś tak inteligentnego jak ty. Bywa, że nie starcza życia, by móc zapomnieć ludzi, których się kochało; niektórych nigdy się nie zapomni.

- Wspomniała pani o inteligencji: Czy naprawdę pani wierzy, że człowiek mądry potrafi lepiej zrozumieć samego siebie?

- Masz rację. To naiwność z mojej strony. Zwłaszcza z mojej.

- Czy ojciec pani jeszcze żyje?

- Nie. Zmarł przed trzema laty, ale w mojej pamięci będzie żył wiecznie.

Doskonale ją rozumiałam. Ja też w ciągu minionych tygodni wiele myślałam o ojcu. A kiedy o nim nie myślałam, odwiedzał mnie w snach: ja uciekałam, a gonili mnie różni ludzie... Pościg był długi i odbywał się w zwolnionym tempie, jak zwykle zdarza się w majakach nocnych, a także - choć nie zawsze to sobie uświadamiamy - w życiu. Niekiedy wśród goniących mnie osób był mój ojciec. Innym razem był on tylko jednym z widzów lub naocznych świadków; bywało, że próbował mi pomóc, ale wypuszczał moją dłoń z ręki, kiedy przebiegałam obok, i nie potrafił mnie zatrzymać. Nasze palce wyslizgiwały się z uścisku i mijaliśmy się jak ryby, które przez chwilę płyną obok siebie równolegle, a potem w przeciwnym kierunku.

Pamiętam, że kiedyś - miałam wtedy dwanaście lub trzynaście lat - zesłam na dół, bo chciałam się napić mleka. Zastałam ojca i matkę siedzących przy okrągłym dębowym, kuchennym stole: oglądali model naszego genealogicznego drzewa, które stało na stylizowanym ornamencie przedstawiającym trawę i kwiaty. Z obu stron drzewa wyhaftowane były krzyżykami imiona George i Kate. Drzewo się rozgałęziało: każde dziecko z naszej trójki miało swoją gałąź oznaczoną pełnym imieniem, starannie wyszytym prostym ścięciem.

Przed ojcem stał wielki pękaty kieliszek brandy, której ostry, ale przepojony swoistą słodyczą zapach dotarł aż do mnie. Tata miał na sobie irlandzki rozpinany sweter robiony na drutach grubym splotem warkoczowym, a jego sportowa marynarka wisiała z tyłu na krześle. Ojciec balansował na jego tylnych nogach, czego nam, dzieciom, nigdy nie wolno było robić, ponieważ, zdaniem mamy, meble się od tego psuły.

- Ellen - powiedział ojciec i z głośnym stukiem opuścił krzesło na podłogę. - Chciałbym usłyszeć twoją opinię o pewnej sprawie. - Pochylił się do przodu i objął kieliszek obiema dłońmi. - Czytałaś może w dzisiejszej „Tribune”, że nowy blok mieszkalny ma powstać niedaleko college'u?

- Nie czytałam - odparłam, jeśli dobrze pamiętam. Miałam przecież niespełna trzynaście lat i większość dziewczynek w moim wieku nie interesowała się takimi pismami.

- Więc rzuć okiem na to! - I wręczył mi gazetę, którą podniósł z podłogi pod stołem. - Zapoznaj się ze sprawą. - Ojciec mówił tonem bezdyskusyjnym i zwięźle jak zawsze, kiedy sporo wypił.

W artykule pisano, że władze stanowe mają zamiar zbudować blok liczący dwadzieścia cztery mieszkania dla lokatorów o niskich dochodach. Dom miałby stanąć na terenie zalesionym, za kamieniołomem.

Spojrzałam pytająco na ojca.

- Twoja matka uważa to za bardzo dobry pomysł, który należy zaakceptować.

- Nie, Gen! Wcale tego nie powiedziałam - zaprotestowała mama.

- Doskonały pomysł... rzeczywiście!!! - z przekąsem powtórzył ojciec. - Chodzi o piękny, zalesiony teren; zostanie on brutalnie zniszczony po to, by zbudować na nim byle jakie mieszkania dla ludzi, którzy w ciągu kilku tygodni zarzucają trawniki wrakami starych samochodów, a ściany domu zdewastują, wypisując na nich swoje nazwiska czy jakieś slogany. Ale twoja matka się tym wcale nie przejmuje.

- Tego nie powiedziałam, Gen.

- Nie? A więc co powiedziałaś?

- Że każdy przecież musi gdzieś mieszkać.

- Sama widzisz, Ellen. To są słowa, którymi mamy się kierować: każdy przecież musi gdzieś mieszkać.

- Pójdę się położyć - oznajmiłam.

- Ja też - oświadczyła mama.

- W tym domu nikt nie ma ochoty podjąć cywilizowanej dyskusji - oświadczył mój ojciec.

Zastanawiam się, czy dobrze zapamiętałam przebieg tej wymiany zdań. Obawiam się, że zapamiętałam ją tak, jak chciałabym, żeby się odbyła. Przypominam sobie, że byłam wówczas sprzymierzona z matką przeciwko ojcu. Czy to jest możliwe? A może chodzi o takie złudzenie, że kiedy mama żyła, światło padało tylko na ojca, a teraz jedynie na to miejsce, które mama opuściła: nic, tylko niebiańskie promienie, pyłki kurzu i srebrna plama światła na ziemi...

Wszystkie moje wspomnienia mają teraz dwojake zakończenia, jak w popularnym opowiadaniu *Dama albo Tygrys**. Jedno jest takie, że ja zachowałam się zdecydowanie i mądrze. Ojciec patrzył na mnie znad oprawek swoich połówkowych okularów i błękit jego oczu przecinała w połowie szylkretowa ramka. Mała zmarszczka rysująca mu się w kąciakach ust świadczyła, że postąpiłam, jak należy. Ale może być jeszcze drugie zakończenie - należące do mojej matki.

* *Dama albo Tygrys* - jedno z opowiadań XIX-wiecznego amerykańskiego autora Franka Stocktona.

- Więc już wiesz, czym się należy kierować? Tym, że podobno każdy musi gdzieś mieszkać - mówi ojciec.

- Idę do łóżka - powiada wtedy mama.

- A ty, Ellen? - pyta ojciec.

- Chwilę zostanę na dole. Nie masz ochoty na jeszcze jedną brandy, tato?

Pewnej nocy mi się śniło, że prowadziłam samochód, siedząc na książce telefonicznej, żebym mogła widzieć tablicę rozdzielczą. I to ja potrąciłam sarnę, a tato mnie ofuknął:

- Bardzo nieostrożnie jeździsz, Ellen! - Jednak po jego uśmiechu poznałam, że tak naprawdę wcale nie jest na mnie zły. A gdy dziadek wziął strzelbę i wróciliśmy na skraj drogi, zwierzęcia wcale tam nie było; zamiast sarny leżała kobieta w nocnej koszuli, z odwróconą twarzą.

- A to kto? - spytał dziadek, ale ani mój ojciec, ani ja nie potrafiliśmy jej rozpoznać.

Lubiłam mego adwokata. Nie tego pierwszego, który mi towarzyszył, gdy postawiono mnie w stan oskarżenia; miałam wtedy palce czarne od tuszu, którego policja użyła, aby mi pobrać odciski. Nie chodzi tu o mecenasa Smitha, którego nazwisko było równie mało mówiące jak jego ubiór i robione przez niego uwagi.

Ten, którego polubiłam, był moim drugim adwokatem, który od mecenasa Smitha przejął sprawę; temu Jeffrey zapłacił za obronę pieniędzmi, jakie mu przypadły ze spadku pozostawionego nam przez dziadków ze strony ojca. Ale uświadomiłam to sobie później, kiedy już właściwie nie potrzebowałam adwokatów. Dowiedziałam się, że do pieniędzy Jeffa drugie tyle dołożyli nasi przyjaciele z Langhorne, którzy uważali, że nie powinnam odpowiadać przed sądem. Większość ich prawdopodobnie wierzyła, że ja zabiłam moją matkę, ale byli pewni, że popełniłam ten czyn z dobrego serca. Brat mi opowiadał, że pani Duane, wypisując czek na sporą sumę z konta księgarni, wciąż powtarzała:

- Ach, Jeff, gdybyś widział Ellen wtedy, gdy biedaczka pchała fotel na kółkach...

Mimo wszystko pieniędzy jednak było za mało i ja miałam tego świadomość. Jonathan mi się kiedyś zwierzył, że zamierza wystawiać swoim klientom rachunki, licząc po trzysta dolarów za każdą godzinę swojej pracy. Takie stawki miał osiągać wtedy, gdy zostanie współwłaścicielem firmy, i o takim stanowisku marzył. W firmie, której partnerem pragnął zostać, była szklana oranżeria, a w niej ogromne fikusy, oraz stołówka z amerykańskim szefem kuchni, serwująca potrawy w stylu francuskiej *nouvelle cuisine*: lekkie, o smaku naturalnym, bez ciężkich sosów itp.

Wiedziałam, że Robert Greenstein poświęci mi wiele godzin, zanim jeszcze moja sprawa trafi do sądu. W jego kancelarii nie było ani oranżerii, ani szefa kuchni, a pan mecenas jadł sałatkę z kurczęcia z papierowej torebki, siedząc przy swoim biurku. Parę razy i ja z nim jadłam.

Bob Greenstein był szanowanym adwokatem, specjalistą od spraw karnych i te dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, które mu dał mój brat, było stanowczo za mało. Powiedziałam Jeffowi, że moglibyśmy płacić adwokatowi jedzeniem: przynosić mu lasagne na tackach foliowych jednorazowego użytku, zupę w glinianych naczyniach, nieudany placek ananasowy, bo warstwa owocowa ułożyła się na spodzie zamiast na wierzchu, i czekoladowo-orzechowe ciasto, które wciąż zalegało lada w naszej kuchni i wypełniało zamrażalnik tak, że nie sposób było otworzyć drzwiczek, żeby nie wypadł stamtąd kawałek. Dajmy je więc adwokatowi, niech zje...

- Resztę należności mi pani zapłaci, gdy sprzeda swoją historię w telewizji - powiedział Bob Greenstein. - Tak właśnie postąpiła moja klientka z północnej części stanu, dziewczyna, która zabiła ojca ze złości, że zabronił jej wychodzić wieczorem z domu i krytykował jej kółko w nosie.

- To nie wchodzi w rachubę - zapewniłam mecenasa, mając pełne usta jego sałatki z kurczęcia.

Najbardziej lubiłam u mojego adwokata to, że nie starał się niczego tuszować, rozmawiał ze mną normalnie, bez przesadnej ostrożności, z jaką większość ludzi odnosiła się do sprawy śmierci mojej mamy,

bez względu na to, co myśleli o jej przyczynach. Nawet reporterzy, mówiąc o tym, przybierali ton pasujący raczej do domu pogrzebowego, choć to akurat można zrozumieć, bo przecież mówili o śmierci.

- Wiem, że przeżywa pani teraz trudny okres, ale gdyby mogła mi pani poświęcić pół godziny... -
Takie propozycje przekazywano mi za pośrednictwem automatycznej sekretarki w telefonie pani Forburg. -
Zatroszczymy się o fryzurę i makijaż - zapewniała mnie asystentka reżysera pewnej stacji telewizyjnej -
jeśli miałyby pani z tym jakieś trudności.

Ale Bob nigdy nie zniżył głosu, nie pochylał się nade mną z troską w brązowych oczach czy ze zmarszczonymi brwiami. Mego adwokata trudno byłoby nazwać przystojnym: niskiego wzrostu, przysadzisty, resztki włosów szeszywał na czoło, a tonsura na czubku głowy wyglądała jak narysowana ołówkiem do brwi. Koszule ciasno opinały jego okazały brzuch i nie odznaczały się zbyt świeżą bielą. W kancelarii Boba czuło się dym cygar, ale z jakiegoś powodu nigdy nie palił w mojej obecności. Biurko miał wprawdzie mahoniowe, nie był to jednak antyk, tylko mebel stylizowany na coś, co mogłoby pochodzić z Monticello* albo z Mount Vernon**. Na blacie biurka widniały ślady zadrapań. Tu i ówdzie rzucały się oczy ubytki politur, jakby ktoś zbyt blisko trzymał zapalone cygaro i żar zniszczył fornir. Całą jedną ścianę pokoju zajmowały szafki z segregatorami, ale widać nie wszystkie się tam mieściły, bo były także niedbale ustawione na szafkach. Z tyłu za fotelem mecenasa stał stolik, na którym spostrzegłam fotografie chłopca i dziewczynki w nieco sztywnych pozach. Przypominały szkolne portrety, ze sztucznym wiejskim pejzażem w tle.

* Monticello - posiadłość i dom Thomasa Jeffersona, trzeciego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

** Mount Vernon - dom Jerzego Waszyngtona, pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Żona? - spytałam, gdy po raz pierwszy usiadłam w fotelu naprzeciw mecenasa.

- Odeszła - odparł.

Dużą przyjemność sprawiała mi rozmowa z kimś, kto nie żądał wyjaśnień, nikogo nie obwiniał, nie psychologizował, ale mówiąc bez namaszczenia, dawał proste i jasne odpowiedzi z matematyczną niemal precyzją: Żona? Odeszła. Dla Boba Greensteina byłam klientką sprawą, problemem, przebiegiem zdarzeń, zadaniem do rozwiązania. I to mi się podobało. Poczulałam wielką ulgę, że mogę przebywać z kimś, kto wcale nie pragnie poznać mojej duszy ani moich najgłębszych sekretów...

Do kancelarii mecenasa Jeff zawoził mnie swoim jeepem. Jechaliśmy magistralą międzystanową do małego miasteczka, które wyrastało tuż za szosą, podobnie jak wszystkie inne miejscowości w tej okolicy. Pod estakadą widać było nędzne domki skupione po obu stronach. Takie same domki stały w centrum. A z tyłu za nimi usadowiły się wspaniałe wille należące do tych, którzy mają pieniądze i stanowisko. W późniejszych latach sporo podróżowałam; przekonałam się wtedy, że tak jest w każdym amerykańskim mieście, z wyjątkiem Nowego Jorku.

Tylko tu, jak okiem sięgnąć, bogaci i biedni grają ze sobą w klasy. Park Avenue* tkwi z jednej strony w latach osiemdziesiątych, a z drugiej w stu dwudziestych... Dzielnice Riverdale i południowy Bronx dzieli bardzo wiele, choć są położone blisko siebie.

* Park Avenue - aleja w Nowym Jorku, przy której stoją eleganckie domy mieszkalne i biurowce.

Nie wiem, gdzie mieszkał Bob, mimo że miałam jego domowy telefon na wypadek, gdyby... nigdy nie byłam do końca pewna, o jaki właściwie wypadek chodziło. Może o taką ewentualność, że w środku nocy zjawiłaby się u mnie policja albo że sędzia bez wyraźnego powodu cofnąłby mi zwolnienie. Wyobrażałam sobie, że mecenas mieszka byle jak i byle gdzie, podczas gdy jego żona i dzieci mieszkają w jednym z tych pięknych domów w stylu Tudorów niedaleko centrum. Bardzo podobne osiedle mamy także w Langhorne. Natomiast to, co o nim słyszałam, zasadniczo różniło się od moich wyobrażeń. Doszły mnie bowiem słuchy, że mecenas Greenstein ma wspaniały nowoczesny dom na nieogrodzonym terenie, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów stąd, że jest tam łazienka z jacuzzi i z widokiem na pobliskie lasy i że wieczorami sporo się tam dzieje...

Nie musiałam za dużo o nim wiedzieć, a i Bob wcale nie chciał zbyt wiele wiedzieć o mnie, opowiedziałam mu jednak ze szczegółami historię mego uwięzienia: jak w tydzień po pogrzebie matki policja zabrała mnie z domu na komisariat, mówiąc, że chodzi o przesłuchanie, a po czterogodzinnej rozmowie osadzono mnie w areszcie.

- Czy pani odpowiadała na pytania policjantów? - zainteresował się mecenas.

Potaknęłam, wzruszając ramionami.

- I nie prosiła pani o adwokata? Czyli odpowiadając na wszystkie ich pytania, starała się pani współpracować z policją, czy tak?

Znowu potaknęłam.

- Studiowała pani w Harvardzie?

- Tak, ale nie na wydziale prawa. Prawo studiował mój chłopak.

- Ach, tak... pani chłopak... żaden z niego przyjaciel. Czy ogląda pani telewizję?

- Niezbyt często. Głównie stare filmy.

- Proszę nigdy nie prowadzić rozmów z policją. Ona nie jest pani przyjacielem. Co innego, gdyby pani kot wlaźł na wysokie drzewo i trzeba go było zdjąć, wtedy trzeba być miłą dla funkcjonariuszy. Ale jeśli jest pani podejrzana o morderstwo, proszę nie być dla nich miłą, bo oni są pani przeciwnikami. Im nie chodzi o to, żeby dojść prawdy; oni chcą tylko dokładnie panią wy badać.

Pomyślałam, że skoro Bob Greenstein tak przekonująco argumentuje w rozmowie ze mną, to na pewno świetną mowę obrończą wygłosi w sądzie. Naświetlał bowiem sprawę w taki sposób, że w miarę jak mówił, wszystkie wątpliwości stawały się coraz jaśniejsze. Nie było to prawdziwe przekonanie, ale

coś, co przypominało czarowanie słowem, jakie stosowali dawniej sprzedawcy medycznych panaceów i Pisma Świętego.

- Pan jest cyniczny, mecenasie - zarzuciłam mu.

- Nie. Jestem realistą - odparł, potrząsając głową. I potrząsał nią także potem, gdy przeglądał stosy dokumentów na biurku. Po chwili wyjął zamazaną kserokopię jakiegoś artykułu z gazety i pokazał mi, a ja aż się skrzywiłam, gdy zobaczyłam tytuł i zamieszczone obok zdjęcie.

- Mógłbym się założyć - ciągnął, żywo gestykułując - że bardzo pani żałuje, iż kiedykolwiek napisała ten esej, a zwłaszcza tego, że dzięki niemu wygrała pani konkurs.

- Nie żałuję, że go napisałam, żałuję tylko, że nie zrobiłam tego lepiej.

- „Stary, piętnastoletni pies leży na metalowym stole - zaczął czytać. - Ma nierówny oddech. Za nim stoi weterynarz i przezroczystym płynem napełnia strzykawkę. Za chwilę uczyni to, co powinien: uwolni zwierzę od męki”.

Mecenas przerwał i spojrzał na mnie.

- Gdzie pani widziała taką scenę usypiania psa? - spytał.

- Nigdzie tego nie widziałam. Całą tę historię sobie wymyśliłam.

- I wiek psa, i wszystko inne?

- I wszystko inne - potwierdziłam. Adwokat westchnął.

- Ple, ple, ple, ple - mówił, wodząc krótkim, grubym palcem po artykule. - Ple, ple, ple... ale tu jest coś istotnego: „To oburzające, że ludzi, którzy cierpią tak samo jak zwierzę, nawet tych, którzy deklarują, że są już zmęczeni życiem i chcieliby je zakończyć, utrzymuje się przy życiu, stosując różne nadzwyczajne środki. Bo czym jest karmienie chorych przez rurki czy stosowanie respiratorów do sztucznego oddychania, jeśli nie zabawianiem się w zastępowanie Pana Boga? Utrzymywanie ludzi przy życiu, mimo że byłoby im lepiej, gdyby umarli, jest po prostu zwykłym okrucieństwem”. Ple, ple, ple... „Czy ludzie nie powinni mieć prawa uczestniczenia w decyzjach dotyczących ich własnej śmierci?” Ple, ple, ple... „Zabijanie z litości to doprawdy trafnie użyte słowa”. Ojej!

Znowu na mnie spojrzał.

- Cóż mam powiedzieć? - spytałam, wzruszając ramionami. - Miałam wtedy siedemnaście lat i nic na ten temat nie wiedziałam. Ten tekst powstał bez głębszego zastanowienia się, jest pyszałkowaty i w dodatku źle napisany.

- Ale pani go napisała?

- Tak.

- Czy pani matka to czytała?

- Tak.

- A czy zgadzała się z pani wnioskami?

- Nie rozmawiałyśmy o tym. Chociaż zdaje mi się, że gdy wysyłałam esej na konkurs, mama powiedziała: „Wybrałaś straszny temat”. Nie dam jednak głowy, czy dobrze zapamiętałam jej słowa.

- A pani ojciec?

- Ojciec zwrócił uwagę na gramatyczny błąd, który zrobiłam w końcowej części eseju. W miejscu, gdzie powinno być „kto”, napisałam „co”. Tata był wściekły, ale o treści eseju nie mówiliśmy.

- Ciekawi mnie pani ojciec. Jego rola w całej sprawie wydaje się dość tajemnicza. Czy pani z nim rozmawia?

- Nie.

- A dlaczego?

Zamiast odpowiedzi wzruszyłam ramionami.

- Czemu ojciec nie zapłacił za panią kaucji?

- Proszę jego o to spytać.

- Pytano go. Twierdzi, że nie wiedział, iż panią zatrzymano. Dowiedział się o tym dopiero następnego dnia rano, kiedy została pani zwolniona dzięki swojej nauczycielce angielskiego. Czy pani wydaje się to prawdopodobne?

- Tak.

- Czy ojciec spał w tym czasie, kiedy pani matka zmarła?

- Tak.

- Nie był z nią sam na sam w nocy poprzedzającej jej śmierć?

Milczałam. Nie wiedziałam, co ojciec powiedział policji. Ale mecenas, jakby czytając w moich myślach, dodał:

- Tak mówi pani ojciec.

- I tak było - potwierdziłam.

- Natomiast pani towarzyszyła matce w jej ostatnich chwilach, gdy pani Gulden była już zupełnie bezsilna. A kiedy matka umarła, pani nie powiadomiła ojca, tylko siedziała przy niej do rana?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie chciałam wypuścić z ręki jej dłoni - wyjaśniłam. Mecenas potaknął.

- Dobrze - powiedział.

Uznał, że to jest właściwa odpowiedź. Poza tym to była prawda. Poczułam się, jakbym wygrała los na loterii. Powiedziałam coś, co było nie tylko poprawne, ale również zgodne z rzeczywistością.

- Jakie były ostatnie słowa, które matka do pani powiedziała? - indagował dalej mecenas.

Nie mogłam ich sobie przypomnieć. Jedyne, co z tej nocy zapamiętałam, to niekończącą się ciszę, którą zakłócały tylko nasze oddechy.

Mówiliśmy po kolei o wszystkim, o co pytano mnie na policji: o pompce do morfiny, o czasie i miejscu wydarzeń ostatniej doby i o fiolce, w której były tabletki. Ale przez cały ten czas miałam przed oczami łyżkę napełnioną budyniem ryżowym i widziałam, jak ją wkładano w usta mamy i wyciągano z nich. Widziałam też oczy mojej matki lśniące jak topaz, ruch jej ust, zanim przełknęła jedzenie, a potem

już tylko leżącą na poduszce głowę, naznaczoną stygmatem śmierci, choć jeszcze razem ze mną oddychała. Mecenasek robił notatki, zapisując kolejne kartki papieru. Potem przechylił się do tyłu, przysunął plecami do poduszki umieszczonej na oparciu starego drewnianego krzesła i lekko się kołysał.

- Chciałbym poruszyć jeszcze sprawę artykułów, jakie się do tej pory w różnych pismach ukazały - powiedział Bob. - Mówię o tym, ponieważ więcej istotnych dla nas szczegółów dowiaduję się na przykład z „Tribune”, a nie od Eda Besta, który zachowuje się dziwnie tajemniczo. Można to wytłumaczyć tylko tym, że Bestowi bardzo zależy na dostaniu się na łamy gazet, bo myśli, że dzięki tak zdobytej popularności otrzyma awans na stanowisko prokuratora generalnego lub wybiorą go do Kongresu. Przy okazji dodam, że żona pana Besta rozpowiada, iż w czasie pogrzebu matki sypała pani dowcipami. Chciałbym usłyszeć, jak pani to wszystko ocenia. Potem ludzie zdecydują, komu uwierzyć. Są dwa scenariusze. Pierwszy - najbardziej przekonujący - to taki, że pani dała matce śmiertelną dawkę morfiny, ale miała pani uzasadnione powody, by tak postąpić, i że wobec tego był to czyn moralnie słuszny.

- Aha - burknęłam.

- Drugi scenariusz - zapewne przedstawi go prokurator - ukazuje panią jako bardzo stanowczą i bezlitosną młodą kobietę, która zmęczyła się doglądaniem umierającej matki i dała jej zbyt dużą dawkę morfiny, żeby móc się od niej uwolnić i zająć własnymi sprawami.

- Wydaje mi się, że ten drugi jest bliższy rzeczywistości.

- Niech pani posłucha, Ellen. Jeśli mówi pani tego rodzaju rzeczy, to musi pani wiedzieć, że działa przeciwko sobie. Może pani słowa brzmią wyszukanie i snobistycznie, ale ich treść jest równoznaczna z powiedzeniem policjantom, że każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, będąc na pani miejscu, zabiłby matkę, gdyby miał taką możliwość.

- Niczego takiego im nie powiedziałam.

- W porządku...

Spojrzałam na swoje złożone ręce i wydawało mi się, że mam teraz na nich większe, bardziej niebieskie i węzłowate żyły.

- Wiem, że ludzie lubią zmyślać różne, rzekomo z życia wzięte historyjki - powiedziałam - i lubią nadawać im specyficzną formę. Wygłaszają na przykład takie zdecydowane zdanie, że są córki, które uwielbiają swoje matki i oddałyby za nie życie, i takie, które nienawidzą matek i zabijają je. Szlachetne gesty i wielkie namiętności... To jest słuszne, a tamto niesłuszne. O niektórych mówią, że są dla siebie stworzeni lub że będą zawsze żyli ze sobą w szczęściu i radości.

Patrzyłam Bobowi Greensteinowi prosto w oczy i ciągnęłam dalej:

- Wszyscy sobie jakieś historyjki wymyślają, a potem się dziwią, dlaczego im się one nie sprawdzają w życiu. A byłoby ono o wiele prostsze, gdyby nie popadali w skrajność. Ellen to prawdziwy anioł, kochała swoją matkę tak bardzo, że nie mogła znieść widoku jej cierpień. Albo Ellen jest taką wiedźmą, że nie oszczędziłaby nawet własnej matki: po trupach, byle dostać to, czego chce... Lecz ja nie mogę być odpowiedzialna za historyjki, które ludzie wymyślają. Mam dość zmartwień z własnymi.

- To, co pani mówi, brzmi bardzo interesująco, ale tu się zaczyna mój problem i zaraz go pani wyluszczyć. Otóż ja muszę mieć jakąś historyjkę, z którą mógłbym wystąpić w sądzie, ponieważ wiem z doświadczenia, że jeśli jakiegś przed sądem nie opowiem, to pani znajdzie się w dużym kłopotcie.

- Już teraz mam duże kłopoty - stwierdziłam.

- Proszę mi wierzyć, że proces i ewentualny pobyt w więzieniu będzie znacznie większą przykrością. O wiele, wiele większą, moja droga.

- Powiem w sądzie, że tego nie zrobiłam, więc nie zostanę postawiona w stan oskarżenia - oznajmiłam i prawie sama w to uwierzyłam.

- Uważam, że to bardzo zły pomysł. Nie powinna pani występować przed sądem. Powtarzam: to kiepski pomysł. Nie przewiduję, by pani miała składać zeznania.

- Ale ja chcę i będę zeznawać! - upierałam się. - Czuję taką potrzebę i stanowczo na to nalegam.

Bob Greenstein przechylił się do tyłu i westchnął:

- Mam z tobą prawdziwy zgryz, dziecinko...

Gdy w jakiś czas potem poddawałam się psychoterapii, zawsze mi się przypominała ta scena w kancelarii Boba Greensteina, kiedy biedak bardzo się starał tak przedstawić moją historyjkę, by tworzyła spójną i logiczną całość. Nieraz pragnęłam, żeby moja terapeutka pochyliła się, przykryła rozpląszczoną dłonią notatnik i zawołała z uczuciem:

- Mam z tobą prawdziwy zgryz, dziecinko!...

Teraz gdy już jako lekarz pracuję w szpitalu, sama czasami myślę: „Ależ mam z wami zgryz”...

* * *

Wielkanoc wcześniej wypadła w tym roku. Przyszła, zanim szare gałązki azalii zdążyły pokryć się bladezieloną mgiełką, a krokusy i przebiśniegi - choć jeszcze niewiele większe od wydłużonych kropek - na dobre wyjść z ziemi wciąż zmarzniętej. „Małe dziewczynki poczują się rozczarowane - pomyślałam - że w kościele nie będzie widać ich sukienek schowanych pod znoszonymi zimowymi płaszczami i że ich białe słomiane kapelusiki nie będą pasowały do wełnianych kołnierzy, a białe lakierki - do grubych wierzchnich okryć”. Pani Forburg wybrała się z wizytą do swojej kuzynki w Filadelfii, więc zostałam sama na gospodarstwie. Brian przyjechał wprawdzie na świąteczny weekend do domu, ale do mnie nie zadzwonił ani nie przyszedł, żeby się ze mną zobaczyć. Z kolei Jeff postanowił zatrzymać się na okres świąt u dziewczyny, z którą się przyjaźnił, gdy chodzili do tej samej klasy w liceum.

Mecenas Greenstein kazał mi siedzieć w domu pani Forburg, nie zwracać na siebie uwagi i w ogóle żyć niczym zakonnica. Ale gdy nadszedł weekend, a ja wypastowałam już w mieszkaniu pani Forburg linoleum i uprałam firanki, poczułam się tak samotna, że lekceważąc wszystkie zalecenia adwokata, postanowiłam w Wielki Piątek udać się do baru Sammy'ego. Wzięłam beżowego chevroleta pani Forburg i ruszyłam w drogę; przebijałam się przez gęstą czerń zimowej nocy, póki nie wyłonił się z ciemności szyld baru, jakby zawstydzony, że znajduje się w samym centrum miasta. Gdy się patrzyło z boku na ten neonowy szyld, przedstawiał sylwetkę korpulentnego pana w czerwonym krawacie błyszczącym na tle bez-

gwiazdznego nieba. Przed barem parkowało niewiele samochodów. Przeczesalam włosy, ale nie umalowałam ust. Uznałam, że nie warto poprawiać urody tylko po to, aby jacyś mechanicy samochodowi czy sprzedawcy sklepowi nie obmawiali mnie, że zbrzydłam.

- Gdzie się podzieli klienci? - spytałam barmana. Wiedziałam, że ma na imię Mark i skończył liceum cztery lata przede mną. Był jednym z młodych mężczyzn, którzy nie rozstają się z baseballową czapką, by bez powodzenia ukryć przedwczesną łysinę.

- Chyba na Wielkanoc studenci nie przyjeżdżają do domu, bo święta za krótko trwają - powiedział, podając mi piwo.

- A czemu nie widać młodych mieszkańców Langhorne?

- Dziś wieczór będzie tu dansing, ale na razie jest pusto, bo goście jadający u nas obiady już wyszli.

Tak czy inaczej wszystkie stoliki poza jednym były wolne. Na każdym paliły się świeczki umieszczone w czerwonych szklanych kulach. Stolik stojący przy ścianie zajmowało czterech mężczyzn w wieku, według mojej oceny, od młodzieżowego do średniego; młodsi wyglądali na uczniów ostatniej klasy liceum. Wszyscy czterej pochylali się nad świeczką i złocisty blask padał na ich twarze, co mi się skojarzyło z grą, w którą kiedyś bawiliśmy się jaskrami: szukaliśmy kwiatka w najintensywniejszym żółtym kolorze; ten, który go znalazł, miał szczególnie lubić jajecznicę. Jeden z mężczyzn popatrywał w moją stronę i choć siedział na drugim końcu sali, zauważyłam, że gdy odwzajemniałam spojrzenie, on prowokująco spuszczał wzrok.

- Dawno pani u nas nie było - zauważył barman, stawiając przede mną talerz krakersów.

- Ostatnio w Boże Narodzenie.

- Nadal mieszka pani u pani Forburg?

- Gdybym zmieniła adres, już by pan o tym przeczytał w gazetach.

- Czytam tylko artykuły o sporcie.

- Nie wierzą, ale nawet jeśli tak jest, to na pewno usłyszałby pan o mnie w dwadzieścia minut od chwili, gdy wyjechałabym z podjazdu.

- Pani Forburg to miła kobieta - zauważył.

- Najzupełniej się z panem zgadzam.

- Skoro tak, to dlaczego naraża ją pani na kłopoty? Wiem, że powstała już komisja, która ma prowadzić dochodzenie w jej sprawie i że niektórzy rodzice przenieśli swoje dzieci z klasy pani Forburg, a inni nauczyciele obrzydzą jej życie.

- Kto to panu powiedział? - spytałam. Po chwili sobie przypomniałam, że matka Marka była jedną z tych rosnących, anonimowych kobiet w siatce na włosach, pracujących w kuchni szkolnej stołówki. Należała do sympatycznych pracownic, które dawały dzieciom podwójną porcję ziemniaków purée i duże porcje drożdżowego ciasta.

- Mówił mi o tym Murphy, ten, który zasiada w Radzie Szkolnej, więc chyba wie. On zresztą nie cierpi pani Forburg od czasu, gdy stanęła w obronie dzieci, które napisały pamflet na dyrektora szkoły. Od

tamtej pory Murphy opowiada na prawo i lewo, że pani Forburg jest lesbijką, a nawet że wy obie jesteście lesbijkami. Czy pani Forburg nic pani o tym nie wspominała?

- Może ona nie wie?

- Ależ wie! - odparł.

- Pewnie jej na tym nie zależy.

- Owszem, zależy - zapewnił Mark, wycierając ladę baru.

Jakiś młody facet usiadł obok mnie, zajmując najbliższy stół. Był niski i krępy, o szerokich plecach i potężnym torsie. Taka budowa gwarantowałaby mu wysoką pozycję w sekcji zapaśniczej naszego liceum. Chłopak był jednym z licznej gromady moich „obcych znajomych”, jak ich nazywałam. Do tej kategorii zaliczałam roczniki liczące w sumie nawet kilkadziesiąt osób; niektórzy z nich byli starsi, inni młodszy ode mnie. Znałam ich dobrze z twarzy, gdyż przez parę lat codziennie spotykałam na szkolnych korytarzach, ale często nie mogłam sobie przypomnieć nazwisk. W każdym razie nie od razu... Przypominały mi się całkiem nieoczekiwanie. Mama już się przyzwyczaiła, że po powrocie z zakupów, gdy siedzieliśmy przy kolacji, nagle wykrzykiwałam: „Ach, to była Lauren McNulty!” albo „To musiał być Jim Bettman!”.

Mężczyzna, który się do mnie przysiadł, zamówił setkę wódki i piwo. Potem lustrował barową ladę, ale cały czas usilnie się starał, by nie spotkać mego wzroku. W pewnej chwili podniósł kieliszek i trzymał go w ręce wyciągniętej w stronę czwórki kolegów siedzących przy stoliku. Myślałam, że może oni pomogą mi go rozpoznać, ale nie... „Hej!” - to wszystko, co usłyszałam, gdy jeden z nich w ten właśnie sposób odpowiedział na toast mego sąsiada, który był chyba o rok lub dwa starszy ode mnie. Nosił dość długie włosy, co sugerowało, że choć jest z miasta, raczej nie studiuje. Przypuszczalnie był robotnikiem, bo chłopcy z college'u strzygli się teraz krótko. Wtulił głowę w ramiona, tak że ledwo widać ją było spod szalika. Przypominał żółwia albo staruszkę.

- Cześć, Ellen! - powiedział w końcu i charakterystycznym ruchem odrzucił długie włosy do tyłu. Pomyślałam wtedy, że o wiele łatwiej nawiązywało się kontakty w Nowym Jorku, gdzie zwykle obie strony starały się sobie pomóc.

- Może mnie nie pamiętasz? - mówiło się na przykład. - Spotkaliśmy się na przyjęciu w Lincoln Center z okazji rocznicy powstania czasopisma. Byłam z moim przyjacielem, który pracuje u Jensena. Wiesz, chodzi o firmę Jensen i Bates; chyba znasz z college'u jego narzeczoną? - Mogłabym przytoczyć tu całą litanię takich sytuacji, kiedy powołujemy się na przyjaciół naszych przyjaciół albo na bezbłędnie zapamiętaną nazwę restauracji: „W zeszły wtorek siedziałam właśnie w Le Besoin”... Ale tak było w Nowym Jorku, a nie w Langhorne.

- Co u ciebie słyhać? - spytał mój „obcy znajomy” i poprosił Marka o jeszcze jeden kieliszek wódki. Była to wódka gatunkowa o nazwie Wild Turkey, odznaczająca się najpiękniejszym kolorem, jaki może mieć alkohol. W przyćmionym świetle baru lśniła barwą bursztynowobrazową, jaką spotyka się nieraz w czyichś pięknych oczach.

- Ja też poproszę o kieliszek tej wódki, Mark - powiedziałam. Kiedy jednak położyłam na ladzie pieniądze, mój sąsiad zgarnął banknoty z baru, złożył na pół i położył obok mego kufła z piwem. I nagle przypomniałam sobie, jak się ten chłopak nazywał. Chris brzmiało jego imię i z trudem się powstrzymałam, żeby nie wymówić go na głos. Chris (nazwiska nie znałam) podniósł kieliszek, upił kilka małych łyków, po czym wychylił do dna.

- Ach! - westchnął, gwałtownie wypuszczając powietrze, a potem się uśmiechnął, lecz nadal patrzył przed siebie, tak że uśmiech w jego oczach dotarł do mnie tylko przez odbicie w lustrze nad barem. Dolną część jego twarzy, usta i brodę zasłaniał rząd stojących przed lustrem butelek. Były wśród nich alkohole marki Stolicznaja, Bushmills i Courvoisier - też w pięknym kolorze, trochę ciemniejszym od wódki Wild Turkey. Nie widziałam czubka głowy mego rozmówcy ani jego włosów, bo miejsce ich odbicia w lustrze nad barem u Sammy'ego przykrywały proporczyki różnych college'ów. Chorągiewki naszej langhornowskiej uczelni wisiały tuż obok trofeów uniwersytetów: Michigan, Stanford, Yale i Penn, co miało świadczyć o jej randze. To, że nasz college jest ważny, mimo że mały, podkreślał nieraz jego ostatni rektor. Ale ilekroć to robił, mój ojciec stawiał oczy w słup, udając wielkie zdumienie. Podniosłam kieliszek i mrużąc powieki, opróżniłam do dna. Wstrząsnął mną tego rodzaju dreszcz, o jakim mama zwykła mówić: „To znaczy, że ktoś przeszedł po twoim grobie”. Gdy spojrzałam w lustro, zauważyłam, że Chris-jak-mu-tam też w nie patrzy i mruga do mnie, co wydało mi się dziwaczne i obce. Ale że mrugał bardzo powoli, trochę mnie tym wzruszył; poczułam, że łyzy cisną mi się do oczu. Kto wie jednak, czy powodem mego wzruszenia nie była wódka.

- Nie pamiętasz mnie, co? - spytał, zwracając się do mego odbicia w lustrze, jakby czuł się bezpieczniej w takim niebezpośrednim kontakcie.

- Ależ pamiętam - powiedziałam, czując, że alkohol spływa mi do brzucha, pachwin i stawów. - Jesteś Chris, prawda?

- Tak, Chris Mortensen - potwierdził. - Byłem jednym z tych, którzy w tym roku instalowali światła na choinkach.

Nie mogłam sobie przypomnieć, czy w ogóle widziałam facetów, którzy zakładali lampki na drzewach.

- Lepiej się przyznaj, czy nie uczestniczyłeś też w sadzeniu poinsecji, które zaraz zwiędły... - przygadałam mu.

Nadal mówiliśmy do siebie za pośrednictwem lustra. Mark przeszedł na drugi koniec lady barowej i kłócił się z dwoma małolatami, którzy okazali mu fałszywe dowody osobiste. Tylko całkiem głupie i naiwne dzieciaki usiłowały kupić alkohol w Langhorne, gdzie wszyscy znali uczniów miejscowego liceum. Na ogół niepełnoletni wiedzieli, że jeśli chcą się napić, to muszą udać się do dalej położonych miasteczek albo poprosić kogoś znajomego, by nabył dla nich butelkę sangrii. Potem wypijali alkohol w samochodzie lub, zawinięci w koce, pod mostem. Pamiętam, że Jon kradł wódkę swemu ojcu, ulewając ją do słoika, a później do butelki dolewał tyle wody, ile zabrał alkoholu.

Zapytany o poinsecje, Chris spuścił głowę, jakbym go na czymś przyłapała.

- Nie - powiedział w końcu - to się zdarzyło znacznie wcześniej, zanim podjąłem pracę w miejskich zieleńcach, ale mój kuzyn był jednym z tych, którzy sadzili poinsecje. Powiedział mi potem, że wiedział, że kwiaty zwiędną, ale mimo to je sadził.

- Żona rektora przez całe lata nie rozmawiała z moją matką, bo ona też wiedziała, że kwiaty zwiędną. Moja mama oczywiście, a nie żona rektora...

Chris patrzył chwilę na swój pusty kieliszek, po czym podniósł go do góry, chcąc zwrócić uwagę Marka, który wciąż znajdował się przy drugim końcu baru. Barman pomachał mu potakująco, a młodocianym amatorom alkoholu tłumaczył podniesionym głosem:

- W żadnym wypadku was nie obsłużę, więc wracajcie do domu albo pojedźcie dalej, do Montgomery Heights! - No i dzieciaki, klnąc pod nosem, wyszły.

- Masz ochotę na jeszcze jedną wódkę? - spytał mnie Chris.

- Owszem - odparłam.

Za drugim razem wódka jeszcze lepiej nam obojgu zasmakowała, ale piwo wydało mi się ostre i szczypało w język, kłując jak szpilki.

- Ten alkohol ma śliczny kolor - zauważyłam.

- Aha - mruknął Chris.

Położył dłonie na barze; stwierdziłam, że ręce ma takie same jak resztę ciała: szerokie i grube. Na grzbiecie jednej dłoni widniała ogromna blizna, wypukła i różowa, jak jakiś lśniący i brzydki robak. Palcem wskazującym lekko jej dotknęłam, a spojrzawszy na Chrisa w lustrze, zobaczyłam, że spuścił wzrok.

- To mi się stało w głupi sposób - wyznał. - Wycinałem choinki na jednej z farm. Miałem je dostarczyć na ten wielki plac w śródmieściu, na tyłach parkingu przy placu targowym. - Chris miał dziwną manierę: niemal każde zdanie wymawiał tak, jakby na końcu figurował pytajnik. Jakby się spodziewał, że go poprawię, sprostuję to, co powiedział, lub wręcz zaprzeczę, twierdząc na przykład, że nie ma takiej farmy choinek ani takiego targu czy parkingu. - Ciąłem piłą taśmową - opowiadał dalej - i w pewnej chwili ona po prostu wysliznęła mi się z rąk i ciach, ciach... już byłem skaleczony. - Sytuację tę relacjonował z nieco większą pewnością siebie, i jego głos już nie brzmiał pytająco. Uruchomił jednak moją wyobraźnię: oczami duszy widziałam żywą krew, odsłoniętą białą kość, czułam słodką woń skrzepów w ranie i lekarskie zapachy izby zabiegowej w pogotowiu. I te domysły wysnute z fantazji wydawały mi się bardziej realne niż prawdziwe przeżycia Chrisa. Znowu wstrząsnął mną dreszcz.

- Jezu! - szepnęłam.

Mężczyźni siedzący przy stoliku spierali się o to, co przyniesie nowy sezon baseballowy. Na drugim końcu lady barowej jakaś kobieta w spranym różowym swetrze i dzinsach próbowała namówić Marka, żeby jej sprzedał sześciopak. Miała brzydką, niezdrową cerę i na jej chudym ciele ubranie wisiało jak na kołku.

- „On mnie zabije”... - wciąż powtarzała, ale Mark wycierał ładę, nie patrząc na nią, i tylko potrząsał głową. W końcu kobieta wyszła, a przez otwarte drzwi na chwilę wdarło się do wnętrza świeże, chłodne powietrze, wypierając dym i zaduch. Czułam, że jestem wstawiona, i to tak mocno, że gdy spojrzałam w stronę drzwi, przywidział mi się Jon. Widziałam, jak wchodzi do baru w puchowej kurtce z wysoko postawionym kołnierzem. Początkowo myślałam, że widzę go tylko w wyobraźni, ale kiedy zobaczyłam, że na mój widok zeszywniał, zrozumiałam, że mój eks-przyjaciel jest tu naprawdę. Poznałam po szybkim ruchu jego oczu, że lada moment obróci się na pięcie i opuści lokal. Ale gdy nasze spojrzenia się spotkały, już wiedziałam, że nigdy by się na coś takiego nie zdecydował.

- Ellen! - zawołał, przechodząc obok lady barowej, przy której siedziałam z Chrisem, i zajął stolik u jej końca.

- Cześć, Jonathan! - odpowiedziałam.

Spojrzałam na Chrisa w lustrze i zauważyłam, że ma smutną minę.

- Napijesz się jeszcze? - spytał.

- Oczywiście, że tak - odrzekłam. Ten kieliszek sączyłam powoli, ale nie miało to większego znaczenia.

- To twój chłopak, z którym chodziłaś jeszcze w liceum. Nie myłę się, prawda? - upewniał się Chris.

Potaknęłam.

- Pamiętam cię z liceum, choć byłaś znacznie ode mnie młodsza - napomknął Chris, znowu kończąc zdanie pytajnikiem.

- Nie uważam nauki w liceum za szczególnie ważny okres w moim życiu - powiedziałam, a potem językiem sprawdzałam, czy mam jeszcze czucie w dziąsłach.

- Bardzo lubiłem nasze liceum - wspominał Chris, przeciągając palcem po bliźnie na grzbiecie dłoni. - Czułem się wtedy prawie jak dorosły, a jednocześnie nie ponosiłem żadnych związanych z dorosłością ciężarów, takich jak płacenie czynszu czy podatków, i nie miałem obowiązków, nie byłem za nic odpowiedzialny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem, bo tak samo czułam się, będąc w college'u.

- No tak... college... - powtórzył, wzruszając ramionami.

Czułam, że muszę pójść do ubikacji, i to tak bardzo, że zaczęło mnie boleć podbrzusze, ale aby dojść do toalety, trzeba było przejść obok stolika Jonathana, więc jeszcze zwlekałam. W końcu jednak ześliznęłam się z wysokiego stołka przy barze. Ostre światło w toalecie raziło mnie w oczy, więc szybko umyłam ręce, a potem przybliżyłam twarz do lustra i surowym wzrokiem taksowałam własne odbicie.

- Ach, Ellen - powiedziałam do siebie na głos.

Gdy wróciłam do baru, Jonathan znów mnie zawołał, tym razem nalegająco, lecz ja tylko pomachałam mu ręką przez ramię.

- Nie chciałabyś czegoś zjeść? - spytał Chris.

- Tutaj?

- Możemy pójść gdzie indziej.

Kiedyśmy wyszli, na dworze było tak ciemno, że prawie nie widzieliśmy się nawzajem, co mi jednak wcale nie przeszkadzało. Wsiadliśmy do kabiny jego ciężarówki. Zanim ruszyliśmy, Chris włączył radio; oświetlona skala radioodbiornika rzucała żółtozielony blask na jego bliznę, która wyglądała jak lawendowa wstążka.

- Właściwie nie jestem głodna - odezwałam się po chwili.

- Nie? Bo ja także nie.

Niewiele sobie przypominam z naszej jazdy, chyba tylko to, że było zimno i boleśnie marzły mi koniuszki palców. Mimo że Chris uruchomił ogrzewanie, w kabinie było tak zimno, że nasze oddechy przybierały postać białej mgiełki. Przy akompaniamencie radia głośno śpiewałam. Nie krępowałam się; czułam się, jakbym była sama.

Dobrze pamiętam przyczepę kempingową, do której mnie Chris zawiózł. Przyczepę podwójnej długości tak przerobiono, że wyglądała jak farmerski dworek z okiennicami i małym gankiem z frontu. Chris mi się zwierzył, że jego ojciec porzucił rodzinę i odszedł od nich.

- I chwała Bogu, że sobie poszedł - zażartował, ale nie było niczego wesołego w jego głosie, i to zapamiętałam. Mówił też, że jego matka przeniosła się do Kalifornii i wszystko mu zostawiła.

Sądzę, że chciał to powiedzieć z dumą, ale wyszło tak jakoś nijako i wciąż z pytajnikiem w głosie. Nalał mi drinka, a potem wódkę, która była przezroczysta, bez żadnego koloru.

Z tamtego wieczoru wyraźnie utkwiała mi w pamięci cisza panująca w przyczepie, jakby nikt w niej nie mieszkał, i cisza na zewnątrz w sosnowym lesie. Pamiętam też brzmienie własnego głosu i to, co powiedziałam wtedy, gdy Chris zwałił się na mnie w sypialni, gdzie całą powierzchnię wypełniało podwójne łóżko tak, że dolną jego część zastępowała komoda stojąca w nogach. Odwróciłam głowę, chcąc trzymać ją możliwie daleko od twarzy Chrisa, ale ta uparcie się do mnie zbliżała. Na brzegu łóżka widziałam dłoń, tę z blizną, i w pewnej chwili wyrzuciłam z siebie:

- Ja po prostu chcę coś poczuć... - Ta myśl dręcząco mnie nurtowała i w końcu wyraziłam ją słowami, i jak to zwykle się dzieje, gdy się jest pijanym, wibrowały one w mojej głowie. Słyszałam je jakby z oddali; zdawały się wisieć w powietrzu niczym ruchome zabawki zawieszane nad łóżkiem, wolno obracające się wahadłowym ruchem. - Ja po prostu chcę coś poczuć... - powtórzyłam. I rzeczywiście coś poczułam, ale to się działo daleko ode mnie, nisko, bliżej nóg łóżka, gdzie stała komoda.

Zbudziłam się tuż przed świtem. Ból rozsadzał mi głowę i język mi skołowaciał. Przez moment leżałam i próbowałam sobie przypomnieć, gdzie się znajduję. Okna przyczepy były niskie i wąskie, tak że tylko skrawek nieba, zaczynającego się rozjaśniać, był widoczny między drzewami. W powietrzu wisiał zapach seksu, używanych prześcieradeł i przenośnych grzejników. Wstałam, poszłam do łazienki, wypilałam dwie szklanki wody i wpatrywałam się w swoje odbicie w lustrze. Potem włożyłam stare rajstopy, w których puściło oczko i leciało przez cały tył, sztruksowe spodnie i sweter. Stanik został w pokoju, więc wło-

żyłam go do torebki; po chwili namysłu wzięłam klucze do ciężarówki Chrisa, leżące na małym stoliku przy drzwiach. Tego rodzaju małe stoliki chłopcy z langhornowskiego liceum robili nieraz na zajęciach praktycznych w szkolnych warsztatach. Ten był pomalowany na jasnobrązowo, a potem pokryty lśniąca politurą. Na stoliku stały dwie fotografie w ramkach: portret Chrisa w krawacie i kraciastej koszuli - co pewnie było zdjęciem z uroczystości ukończenia liceum - i ręcznie podkolorowana, staroświecka podobizna dziewczyny, która miała jego oczy i usta.

Wyszłam z przyczepy, wsiadłam do ciężarówki i uruchomiłam silnik, ale w zimnie panującym tej nocy rozgrzewał się powoli. Dwa razy musiałam naciskać pedał gazu, żeby przestał pracować na jałowym biegu i ciągle gasnąć. Za drugim razem usłyszałam, że ktoś gwałtownie stuka w szybę i aż podskoczyłam, gdy zobaczyłam twarz Chrisa. Miał na sobie tylko spodnie, a na jego gołej, pokrytej gęsią skórą piersi sterczały włoski.

- Jest dopiero piąta rano. Dokąd się wybierasz? - spytał.

- Muszę wracać - oznajmiłam. - Nie powinnam była zostawać na noc.

- No tak... - dukał - ale komu by się chciało... Przycisnęłam pedał gazu.

- Wybierzesz się ze mną do kina dziś wieczór? - spytał.

- Nie - odparłam.

- To może na kolację? Czuję, że ból głowy się potęguje.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Przechodzę teraz trudny okres w życiu i nie mam ani chęci, ani cierpliwości do tego, aby z rozmowy nawiązanej przypadkowo w barze robić coś wielkiego. Bo to nie jest ani wielkie, ani ważne. - Zobaczyłam, że Chris cofnął się i zrobił unik, zupełnie jakbym go uderzyła, i zrozumiałam, że w jakimś sensie to zrobiłam. Takiej reakcji Chris się na pewno nie spodziewał.

Przypuszczalnie od chwili, gdy postawił mi pierwszą setkę wódki, do momentu, kiedy ściągnął ze mnie sweter, snuł na mój temat jakieś fantazje, licząc, że zjemy razem kolację, porozmawiamy i będziemy się sobie zwierzać. Zapewne spędzał w tej przyczepie wiele samotnych nocy, leżąc w malutkiej, obitej boazerią sypialni bez obrazów na ścianie. W tej ciasnej koi było bardzo ciemno, jak kiedyś w kryjówce, w której dekowaliśmy się, bawiąc w chowanego, i przed którą inni, szukając nas, przystawali. Kiedy się nad tym później zastanawiałam, doszłam do wniosku, że Chris chciał seksu tylko po to, by mieć towarzystwo.

- A co będzie z moją ciężarówką? - spytał.

- Muszę czymś podjechać do lokalu Sammy'ego, bo tam został mój samochód. Zostawię ci wóz u Sammy'ego, a kluczyki włożę pod matę. - Nawet mi nie przyszło do głowy pomyśleć, jak on się dostanie do miasta, ale Chris się nie sprzeciwił. Zaciągnęłam szybę i wyjechałam przez prześwit między drzewami, oddalając się od przyczepy. W tylnym lusterku wozu widziałam Chrisa, jak stoi z rękami w kieszeniach, przestępując z nogi na nogę.

W takiej dziurze jak Langhorne zaraz bym się dowiedziała, gdyby mój nocny towarzysz komukolwiek o naszej przygodzie opowiedział, ale nigdy nic na ten temat nie usłyszałam ani od Jeffa, ani od pani Forburg, ani też od mego adwokata. Nie doszła także do mnie żadna plotka puszczona przez Marka, Jona

lub tych anonimowych mężczyzn, którzy obserwowali w milczeniu, jak tamtej nocy chwiejnym krokiem opuszczałam bar. Chris Mortensen zachował się jak przyzwoity chłopak i przypuszczam, że taki był. Ta myśl sprawiła, że poczułam się znacznie gorzej niż wtedy, gdy na dworze dniało, ja prowadziłam ciężarówkę Chrisa przez ciemny szpaler sosen, zostawiwszy go samego, a on, opuszczony, stał z oczami wpatrzonymi w przestrzeń.

* * *

- Będę z tobą szczerą - powiedziała Jules, która odeszła z redakcji czasopisma, gdzie kiedyś obie pracowałyśmy, i zajęła się redagowaniem artykułów w jednym z żurnalów mody. - Uważam, że owo poniżające przeżycie, które tak żywo opisujesz, można uznać za „wypadek przy pracy”; może on się zdarzyć każdego wieczoru każdej przeciętnej nowojorskiej kobiecie, dla której najważniejsza jest jej zawodowa kariera.

- Wiem - zgodziłam się z nią. - Jednak tu inaczej się na to patrzy.

- Inaczej? To znaczy jak? Czy chodzi o to, że na prowincji wszyscy znają sprawy dotyczące innych? Że u was każdy interesuje się cudzymi sprawami, a zwłaszcza twoimi?

Jules odeszła z redakcji głównie dlatego, że James zażądał od niej, by napisała w pierwszej osobie wspomnienia o naszej przyjaźni. Jules nazwała go pieprzonym leniem i opróżniła swoje biurko, zanim naczelny, to znaczy Bill Tweedy, dowiedział się o poleceniu Jamesa i je unieważnił. „To prawda, jesteś pieprzonym leniem” - miał wygarnąć Jamesowi, który bronił się, twierdząc, że prawdziwy dziennikarz powinien czerpać przykłady z własnego życia, aby wzbogacić swoje dzieło.

- Podobnie postępuje pewien pająk zwany czarną wdową - skomentował to naczelny, ale ci dwaj nigdy się nie rozumieli.

- Mam dziwne uczucie, że moja matka mnie obserwuje, osądza i wie o wszystkim, co robię - zwierzyłam się Jules.

- Ach, kochanie! - skwitowała Jules. - Jeśli chodzi o moją matkę, to od zawsze towarzyszy mi takie uczucie.

- Ale ja dopiero teraz nabieram przekonania, że mama ma do tego pełne prawo.

- Ach, moja droga... - westchnęła Jules.

Na początku kwietnia sąd przesłuchał prawie tuzin świadków. Jonathan specjalnie przyjechał do Langhorne na wielkanocny weekend, aby złożyć zeznanie. Kiedy powiedziałam Jeffowi, że tamtej nocy spotkałam Jona u Sammy'ego, zasugerował, że może mój eks-wielbiciel chciał ze mną porozmawiać.

- Trzeba mu było chlusnąć wódką w twarz, ale tego nie zrobiłaś, co?

- Taka myśl w ogóle nie przyszła mi do głowy.

- Zanim umrę, muszę utrzcęć mu nosa - zażartował mój brat.

- Masz na to moje pozwolenie - powiedziałam.

Kilka tygodni po Wielkanocy Jeff zabrał mnie na cmentarz. On czekał w samochodzie, podczas gdy ja niczym turystka wędrowałam między rzędami nagrobków, odczytując na nich napisy. Powtarzały się

tam nazwiska, które można znaleźć w langhornowskiej książce telefonicznej, na listach obecności w liceum, na pomniku ofiar wojny na miejskim skwerze, na mosiężnych tabliczkach umieszczanych na drzwiach kancelarii prawniczych i gabinetów lekarskich, a także w zawiadomieniach o zaręczynach i ślubach, drukowanych w „Tribune”. Wśród znajomych nazwisk, takich jak James, Benson, Warren, spotkałam również nazwisko Best. Zobaczyłam je na grobie matki pana Besta, która umarła w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat. Bestowie zawsze podkreślali, że Ed był jej niezwykle oddany. Może to ja nie miałam do tej rodziny szczęścia, a może na stosunkach między nami zaważyły różne prawdziwe lub urojone afronty, które zdarzały mi się w ciągu minionych lat. Przyznaję, że zawsze z pewnym rozbawieniem patrzyłam na dziwną nerwowość w zachowaniu się żony pana Besta, a jego dzieciom nie pozwalałam ślizgać się na jeziorze ani w nim pływać. Kto wie, czy nie zawinił też mój młodzieńczy wybryk: w mowie, wygłoszonej na uroczystości ukończenia liceum, skrytykowałam ojców miasta za ich wyobcowanie i ograniczoność.

- Nawet Holden Caulfield* lepiej by tego nie powiedział - ironizował wówczas mój ojciec, który do Salinger'a miał tak samo pogardliwy stosunek jak ja do mięczakowatych i otyłych dzieci pana Besta. W dodatku nosiły one pretensjonalne imiona: Allegra i Herbert. Podobno odziedziczyły je po dawno zmarłych krewnych. Kathryn - taką pisownię imienia swojej matki zastosował pan Best na jej nagrobku. Chyba naprawdę nie miałam do niego szczęścia. Ale może on po prostu uważał, że stoi na straży sprawiedliwości albo że buduje solidne podstawy pod przyszłą karierę polityczną, którą zamierzał zrobić, gdy osiągnie średni wiek. A może wcale nie kierował się względami osobistymi...

* Holden Caulfield - młodociany bohater powieści *Buszujący w zbożu* Jerome'a Davida Salinger'a.

Na grobie mamy stał pomnik z granitu w kształcie małego szarego prostokąta. Napis głosił: Katherine B. Gulden 1945-1991. Uklękałam i położyłam na nagrobku dłonie. Obejrzałam się i zobaczyłam, że Jeff odwrócił głowę. Światło słoneczne lśniło jasną smugą w jego kasztanowych włosach. Z magnetofonu w jeepie dochodził do mnie cichy dźwięk gitary.

Z kieszeni żakietu wyjęłam małą łopatkę i zaczęłam kopać dwa płytkie rowki wokół grobu. Gleba była zimna i sypka; tuż pod powierzchnią natrafiłam na miękkie, ciągnące się resztki pożółkłej trawy. Im głębiej kopałam, tym ziemia wydawała mi się cieplejsza. Wyobraziłam sobie, że na głębokości dwóch metrów musi być gorąca. Spojrzałam na kamień nagrobny i przywidziało mi się, że pod datami widnieją słowa: JEJ OSTATNIM POKARMEM BYŁ RYŻOWY BUDYŃ.

Jasne pasmo na głowie Jeffa miało dokładnie taki kolor jak włosy naszej mamy: były rudozłote i miały ciepły odcień, jakby ciągle oświetlało je słońce. Brud pod moimi paznokciami był o ton ciemniejszy od jej oczu, a wódka Wild Turkey trochę od nich jaśniejsza.

Kiedys poszłam na targ z zamiarem kupienia nasion i inspektów, postanowiłam bowiem założyć u pani Forburg kwietne rabaty i warzywniak z prawdziwego zdarzenia. Skierowałam się w stronę straganu,

przy którym od lat sprzedawała cebulki i bulwy kwiatów pewna kobieta z sekty amishów*; miała popielatoblond włosy i wyblakłe niebieskie oczy. Na głowie nosiła charakterystyczny biały czepek z falbanką otaczającą jej owalną twarz. Gdy zbliżałam się do jej stoiska, zauważyłam przy nim panią o rudozłotych włosach, ubraną w granatową wełnianą kurtkę; stała do mnie tyłem i wybierała bulwy i cebulki. Pochyliła się, by obejrzeć fotki, umieszczone nad skrzynkami, przedstawiające kwiaty, których cebulki sprzedawano. Po chwili coś ze skrzynki wybrała i na wyciągniętej dłoni trzymała mały bulwiasty korzeń, prosząc sprzedawczynię o bliższe informacje.

* Amishe - sekta protestancka od dwustu lat znana w Stanach. Jej członkowie nie uznają postępu i ubierają się tak jak ich przodkowie. Kobiety noszą proste ciemne suknie i tradycyjne czepki.

„Czy ja się nie zachowuję głupio?” - zadawałam sobie pytanie, gdy w pogoni za rudowłosą przeciskałam się między ludźmi trzymającymi egzotyczne pnącza i kosze pełne kwiatów i ocierałam się o kobiety niosące wielkie doniczki, w których zasadzone były jaskrawoczerwone tulipany, niczym żarłoczne usta kołyszące się na bladezielonych łądkach. Czułam się nieswojo, śledząc rudowłosą kobietę, która odeszła od stoiska z cebulkami i nadal tyłem do mnie odwrócona, zbliżyła się do okrągłej drucianej tacy z nasionami firmy Burpee, następnie zainteresowała się reklamą zdrowej żywności dla dzieci, po czym przeszła za róg wielkiego domu towarowego, gdzie sprzedawano torf i nawozy w dwudziestopięciokilogramowych workach, i wychodząc bocznymi drzwiami, wsiadła do niebieskiego samochodu z niezbyt czytelną nalepką jakiegoś college'u, umieszczoną na tylnej szybie. Z samochodu rzuciła mi spojrzenie z lusterka, a potem zniknęła. Zapamiętałam jeszcze, że jej rude włosy, lekko się wijąc, przykrywały granatowy kołnierz kurtki.

Wiele lat później czytałam monografię o żałobie. Chodziło o badania nad reakcjami osieroconych dzieci. Dowiedziałam się, że sieroty często wierzą, iż ich matki nie umarły, tylko dokądś wyjechały, przenieśli się do innego domu, zaczęły nowe życie i mają nowe dzieci.

- Wszyscy jesteśmy dziećmi - powiedziałam wtedy na głos, i czułam się głupio, bardzo głupio... nie bez racji, zresztą...

Gdy samochód z rudowłosą nieznajomą odjechał, wróciłam do stoiska i kupiłam tuzin cebulek tulipanów oraz tuzin bulw hiacyntów. Miały z nich wyrosnąć niskie odmiany hiacyntów i miniaturowe tulipany, dorastające do trzydziestu centymetrów, o strzępiastych, blad różowych płatkach, przypominające egzotyczne małe ptaszki.

Kiedy rowki były gotowe, wyjęłam z kieszeni cebulki i wrzucałam w zrobione w ziemi otwory, lekko je przyklepując. Oczywiście doskonale zdawałam sobie sprawę, że sadzę je o niewłaściwej porze roku.

- Nie może pani tak tego robić - zwrócił mi uwagę jakiś mężczyzna przechodzący obok. Zauważyłam, że miał na sobie szare robocze ubranie i sztywną z brudu kraciatą wełnianą kurtkę.

- To proszę mnie aresztować! - naskoczyłam na niego. Potem brałam małymi garściami ziemię i sypałam na cebulki, aż całkiem je przykryłam. Zapelnivszy otwory, położyłam na nie ochronne maty z

trawy, by utrzymać bulwy w ciepłe, dopóki ziemia nie odtaje. Po skończonej pracy wytarłam ręce o spodnie.

Prosto z cmentarza pojechaliśmy na kolację, na którą Jeff zaprosił mnie do baru przy szosie. Jedliśmy hamburgery z duszoną cebulką i skwarkami, piliśmy czekoladowe koktajle. Jeff mi opowiadał, że raz na tydzień spotyka się z panem Duane'em i grają w piłkę ręczną. Skarżył się, że trudno mu znaleźć złoty środek i grać tak, by z jednej strony dać starszemu panu szansę na satysfakcjonującą rozgrywkę, a z drugiej nie ulec ferworowi gry i nie pokonać partnera.

- Gdybym zwyciężył - wyjaśniał Jeff, mówiąc z pełnymi ustami - to pomijając już fakt, że nie chciałbym pozbawiać faceta reszty godności, zaistniałaby realna możliwość, że on gotów by mi paść na zawał. Tata jest w o wiele lepszej kondycji od pana Duane'a, ale i on zbytnio się denerwuje, gdy gram z nim w tenisa.

- Jak on się czuje? - spytałam.

- Przecież znasz Deana Duane'a. Nie przestaje opowiadać historyjek o dniach świetności na giełdzie, kiedy to wielcy giganci pojawiali się na korytarzach u Deana Wittera Reynoldsa*, a spekulanci grali z ogromną brawurą.

* Dean Witter Reynolds - właściciel wielkiej firmy ubezpieczeniowej.

- Ja miałam na myśli ojca - powiedziałam.

- Tata się nie zmienił. Chyba czuje się nawet lepiej, choć niewątpliwie brakuje mu mamy i ciebie. Wygląda na to, że odgrywałyście wielką rolę w jego życiu, a teraz obie odeszłyście... Lecz już mnie nie prosi, żebym cię namówił na spotkanie.

- Rozmawiacie o mnie?

- Nigdy - odparł Jeff.

- A o mamie?

- Też nie. Ale nie mówi ze mną także o twórczości Edith Wharton czy Jane Austen, ani o tym, jakie braki w wiedzy mają obecni studenci anglistyki. Prawdę mówiąc, nie nadarza nam się zbyt wiele okazji do pogawędek, skoro nasze kolacje polegają na odgrzaniu „gorących kubków”.

- Nie mów! Naprawdę odżywiacie się „gorącymi kubkami”?

- Nie. Chciałem cię tylko postraszyć. Tak naprawdę to przeważnie jadamy pizze i restauracyjne dania na wynos. Czy jadłaś kiedyś chińskie potrawy z restauracji w centrum handlowym tuż za sklepem „Safeway”?

- Nie, nie jadłam.

- I bardzo dobrze, bo to jest niewyobrażalne świństwo, El. Najgorsze jedzenie, jakie kiedykolwiek w życiu miałem w ustach. Tymczasem, kiedy wejdiesz do ich restauracji późnym wieczorem, zobaczysz, że wszyscy pracujący tam faceci siedzą wkoło nad pełnymi misami czegoś, co wygląda i pachnie jak naj-

lepsze jedzenie z Chinatown: wielkie porcje ryby w jarzynach i sosie. Więc pewnego razu wskazałem jednemu z nich na jego miskę i mówię: „Proszę mi podać to samo!” A wtedy oni zaczęli między sobą szwargotać w kantońskim dialekcie czy jakimś tam innym; kiedy przyniosłem to jedzenie do domu, okazało się, że w paczce jest zwykła wieprzowina ze smażonym ryżem. Oni po prostu nas, białych, dyskryminują; sądzą, że prawdziwie chińskie jedzenie jest za dobre dla nas i może nam zaszkodzić.

- Tata się pewnie z tego uśmieł?

- Nie, bo mu o tym nie mówiłem. Takie rzeczy na naszego ojca nie działają, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Skoro go nawet nie próbujesz zainteresować...

- Ja tylko odwzajemniam brak zainteresowania z jego strony. Chyba już zapomniałaś, jakie mamy z ojcem stosunki...

- Tak samo mógłbyś myśleć i o mnie...

- I tak myślałem, ale doszedłem do wniosku, że jest w tobie coś więcej niż to, co się na pierwszy rzut oka wydaje. Poza tym znasz wiele atrakcyjnych kobiet, które mogłabyś mi przedstawić. A skoro już o tym mowa, to ci powiem, że onegdaj na Mapie Lane spotkałem Teresę. Odwiedzała ojca Boby'ego Jacksona; biedak choruje na raka płuc.

- No tak... nam się wydawało, że mama jest jej jedyną pacjentką, a dla niej była tylko jedną z wielu.

- Niemniej Teresa bardzo cię polubiła i wciąż zachowuje w miłej pamięci. Prosiła, żebym ci przekazał, że już się nie spotyka z tym facetem, o którym ci wspominała. Aha, i kazała cię spytać, czy wiesz, dlaczego goryl wyszedł na drogę.

- Bo myślał, że jest kurczęciem.

- Brawo! - pochwalił mnie Jeff. - Jesteś dobra, nawet bardzo dobra!

- Sądząc po tym żarciku, domyślam się, że ta pani, która ma małe dzieci i raka piersi, znowu wymaga pomocy Teresy, a więc nawrót choroby... Ta choroba jest nie do przezwyciężenia...

- Wcale nie! Teresa mi powiedziała coś wręcz przeciwnego. Prosiła też, żebym cię zapewnił, że często o tobie myśli. Jest przekonana, iż te wszystkie złe rzeczy, które cię teraz spotykają, wkrótce przeminą.

- Wiem. Zadzwoiła do mnie tego samego wieczoru, kiedy ciebie spotkała. Była w pogodnym nastroju, chociaż wyznała, że ma teraz dwóch pacjentów, którzy szybko gasną.

- Czy masz zamiar się z nią spotkać? - spytał.

- Może tak - odparłam. Jednak mu nie wspomniałam, że kiedy zaprosiłam Teresę na kolację, chcąc jej podziękować za wszystko, co dla nas zrobiła, odmówiła.

- W szpitalu proszono mnie - tłumaczyła - żebym się z tobą nie spotykała, dopóki wszystko się nie uspokoi.

- Więc i ty, Tereso?! - wykrzyknęłam z wyrzutem.

- To nie jest tak, jak myślisz, Ellen. Nie osądzaj mnie, proszę! Bardzo bym chciała zobaczyć się z tobą i porozmawiać, i bardzo się o ciebie martwię, ale wiem, jakie to ważne dla innych, potrzebujących mnie ludzi, żebym tej pracy nie straciła.

- Przepraszam - wyjąkałam.

- Umówimy się, gdy będzie po wszystkim, na długą rozmowę - obiecała.

Nie miałam już ochoty udawać, że się świetnie bawię, i nie odwiedziłam więcej baru u Sammy'ego. Dobrze też rozumiałam, dlaczego Jeff znalazł dla nas restaurację oddaloną o dwadzieścia pięć kilometrów od domu, a w lokalu wyszukał zaciszny kąt, tak żeby w pobliżu nikt nie siedział. Sama także ściszałam głos, wiedząc, że będzie lepiej, gdy nikt nas nie podsłucha. Na automatycznej sekretarce pojawiało się teraz mniej wiadomości, ale gorliwi entuzjaści wspomagania tych, którzy chcieliby popełnić samobójstwo, i zwolennicy eutanazji wciąż mi się narzucali. A pewna wariatka z Missouri dwa razy dzwoniła, żeby mi powiedzieć, że rozmawiała z moją matką i ta ją zapewniła, że jest bardzo szczęśliwa i wszystko mi wybacza.

Ogromny siniak na mojej lewej piersi, przypominający kształtem otwarte usta, zmienił kolor z sinoczerwonego na żółtozielony, a potem znikł, ale dotąd mi się nie udało ustalić, skąd się u mnie pojawił.

Spędzałam czas na czytaniu i oglądaniu telewizji. Któregoś wieczoru obejrzałam *Zieloną Dolinę*, a następnego dnia *I'll Cry Tomorrow*. Potem zwidowały mi się dramatyczne sceny: płatanina rąk i nóg, gwałtowne, szaleńcze ruchy, głośne krzyki, i przerażona kryłam twarz w dłoniach.

- Czy pani przypomina sobie Chrisa Mortensena? - spytałam kiedyś panią Forburg, gdy, siedząc przy mnie, poprawiała wypracowania na temat *Dumy i uprzedzenia*.

- Tak, to miły chłopak - powiedziała. - Był często bity przez ojca, który zresztą żony też nie oszczędzał, ale ona była alkoholiczką i niestety nigdy jej się nie udało zerwać z nałogiem. Aż dziw, że Chris wyrósł na tak miłego chłopca. Jest jednym z tych, którzy pomogą ci wyjechać samochodem, kiedy utkniesz w śniegu na parkingu. Ciekawi mnie, skąd go znasz.

- Spotkałam go przypadkowo; to tylko przelotna znajomość.

- Chris przychodzi czasem na nasze zebrania rodzin alkoholików. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że bywa także na zebraniach samych uzależnionych.

- Czyżby był alkoholikiem?

- Chyba tak. Nie wiem, czy odziedziczył to po matce, czy też wpadł w nałóg z powodu ojca, ale jestem prawie pewna, że chłopiec miał alkoholowy problem. Być może udało mu się go już opanować albo właśnie nad tym pracuje.

- O Boże! - westchnęłam.

- To są trudne sprawy - przyznała pani Forburg - lecz zobacz to! - Podała mi kartkę z wypracowaniem, na której znajdowało się tylko jedno zdanie: „W *Dumie i uprzedzeniu* występuje dziewczyna o imieniu Elisabeth, która jest wredną suką”.

- No i jak mam się do tego ustosunkować? - spytała moja była nauczycielka z lekkim uśmiechem.

- To, co ten chłopiec napisał, jest prawdą - odparłam.

- Może, choć nie do końca...

- A więc tak właśnie powinna pani napisać: że jest to prawda, ale nie do końca. W ten sposób ten dowcipny uczeń wpadnie we własne sidła.

- Dlaczego zakładasz, że tu chodzi o chłopca?

- Bo użył słowa suka. Pewności nie mam. Sytuacja jest dość trudna. Być może jakaś koleżanka, której szafka sąsiaduje z jego szafką, ignoruje go i on mści się za to na bohaterce powieści Jane Austen. Może napisze mu pani tak: „Proszę, żebyś się ze mną spotkał po lekcjach. Porównamy, w jaki sposób zalecali się do kobiet mężczyźni w dziewiętnastowiecznej Anglii, a jak to robią dziś, i porozmawiamy o twoich trudnościach w umawianiu się z dziewczynami”.

- Prawda, ale nie do końca... - powtórzyła jakby do siebie pani Forburg.

- Proszę mi powiedzieć, czy może pani stracić pracę dlatego, że ludzie panią podejrzewają o trzymanie u siebie lesbijki i morderczyni i sądzą, że udziela jej pani schronienia z erotycznych pobudek?

Pani Forburg się roześmiała. Gdy spojrzałam na jej jasnoczerwony sweter, a nad nim jej roześmianą, zaczerwienioną i błyszczącą twarz, pomyślałam, że moja stara nauczycielka wygląda jak damska wersja świętego Mikołaja. I jeszcze do tego śmiejąc się, drżała jak galareta. Nigdy bym jej jednak tego nie powiedziała, bo na uwagi dotyczące jej tuszy była bardziej wrażliwa, niż dawała po sobie poznać.

- Mówię poważnie - dodałam.

- Wiem, ale to brzmi jakby żywcem wzięte z kiepskich sensacyjnych seriali telewizyjnych. Ja mam sześćdziesiąt trzy lata, Ellen, uczę od trzydziestu dwóch, a w Langhorne - od dwudziestu. Sto razy mnie pytano, dlaczego nie pracuję w college'u, a ja mam na to zawsze tę samą odpowiedź...

- Że George Gulden nigdy by się nie zgodził pani zatrudnić. Czy tak? - weszłam jej w słowa.

- To też jest możliwe. Sądzę, że twój ojciec uważa mnie za nieodwracalnie i na zawsze zhańbioną, ponieważ uczę opóźnionych w rozwoju piętnastolatków. Ale ja lubię ich uczyć, bo potrzebują mnie bardziej niż mądrzy studenci korzystający z rozszerzonego programu szkolenia. Studenciaki czytają Makbeta i myślą, że to oni odkryli seksualny nurt w przemocy. Albo piszą poezję nieuznającą wielkich liter i będącą w większości wypadków bez sensu.

- Ten opis świetnie pasuje do Ellen Gulden, która była pani uczennicą w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku.

- To prawda, ale gdyby to było wszystko, co warto o Ellen Gulden powiedzieć, nie byłoby jej tu teraz.

- A jednak dziewczyna o imieniu Ellen jest w tej historii wredną suką.

- To także prawda, ale nie do końca... Pamiętam, jak spotkałam kiedyś twoich rodziców; zdaje się, że z okazji tak zwanych otwartych dni w naszej szkole. Byłaś wtedy uczennicą drugiej klasy liceum i jednocześnie robiłaś kurs angielskiego według rozszerzonego programu dla uczniów ostatniej klasy. Zastanawialiśmy się, co będziesz robiła w szkole przez następne dwa lata, skoro już jesteś tak zaawansowana w

nauce. I nagle zrozumiałam, jakiej ty musisz ulegać presji, próbując naśladować z jednej strony tego człowieka o tak nadzwyczajnej umysłowości i tak wyniosłego, a z drugiej tę cudownie ciepłą i żywotną kobietę.

- Nigdy mi nawet nie przyszło do głowy, żeby naśladować matkę.

- A więc co robiłaś przez ostatnie sześć miesięcy?

- Nie mam pojęcia.

- Ta odpowiedź jest niegodna ciebie, Ellen. Wiesz dokładnie, co robiłaś. Robiłaś to, co należy, i sama ponosiłaś przy tym ogromne koszty. I że teraz stawia ci się z tego powodu zarzuty, uważam za rzecz skandaliczną i godną najwyższego potępienia. Mogę to powtórzyć każdemu, kto mnie zapyta. Mówi się, że żadna dziewczyna nie stanie się naprawdę kobietą, dopóki nie umrze jej matka. Ale ja myślę, że takie twierdzenie jest pozbawione sensu.

- W moim wypadku powinno by się ono odnosić do ojca.

- Dobrze, odnieśmy je do ojca. Chyba dla ciebie ojciec już umarł: nie widzisz go, nie rozmawiasz z nim. Czy ty czasem nie spoglądasz na ojca przez pryzmat tego, jakim go widziała twoja matka? - Pani Forburg patrzyła przed siebie, mrużąc oczy, jakby szukała odpowiednich słów gdzieś na ścianie pokoju, w którym wisiała reprodukcja słynnego obrazu Andrew Wyetha *Świat Krystyny**; wychudłe ramiona i postać cierpiącej kobiety przypominały mi matkę. - Pomyśl - mówiła pani Forburg - czy wrażenie, jakie robił na tobie ojciec, nie było oparte na wyobrazeniach o nim twojej matki. Czy on nie był po prostu wytworem jej wyobraźni?

* Ten najbardziej znany obraz malarza przedstawia jego sąsiadkę po heine-medinie.

- Dla mnie nie ulega kwestii, że mój ojciec ma bardzo silną osobowość - powiedziałam.

- Czyżby? Wydaje mi się, że jest raczej bardzo zmanierowany, a to nie jest równoznaczne z silną osobowością.

- Pani podchodzi do mnie zbyt analitycznie.

- Nie, to ty sama siebie badasz i analizujesz.

- Ale nadal nie usłyszałam odpowiedzi na moje pytanie, czy grozi pani utrata pracy.

- Przecież ci na nie odpowiedziałam, mówiąc, że za najważniejsze uważam zajmowanie się dziećmi, które najbardziej mnie potrzebują. Osiągnęłam wiek, w którym należy się już renta socjalna. A jeśli niektórzy ludzie w tym mieście są tak głupi, że sądzą, iż powinnam być zwolniona z pracy tylko dlatego, że ten niespełna rozumu Ed Murphy bierze moje współczucie dla ciebie za seksualną perwersję, to oni na mnie nie zasługują. Ty z kolei nie przyjmujesz do wiadomości moich spostrzeżeń odnoszących się do twoich rodziców.

- Bo mój ojciec nie umarł, ale wciąż żyje w moich myślach; słyszę go, jakbym słuchała jakiegoś radiowego reportażu, poznaję jego głos, jak po swojemu akcentuje puenty.

- A twoja matka?

- Ona też we mnie żyje, lecz niczego głośno nie komentuje. Jej, tak jak Bogu, wystarcza, że jest. Ale dla siebie nie widzę przy nich miejsca.

- Ach, kochanie - powiedziała pani Forburg tonem, jakiego zwykle Jules używała w stosunku do mnie. - To cała ty!

* * *

Gmach sądu hrabstwa Montgomery miał okres świetności dawno za sobą. Stał tuż za zieleńcem, na małym wzgórzu i za wąskim pasmem parku, w którym wiosną kwitły owocowe drzewa. W cieplejszych miesiącach ludzie chętnie tu przychodzili, by zjeść w porze lunchu przyniesione z sobą kanapki. Biblioteka mieściła się po przeciwnej stronie ulicy Głównej w jej górnej części, w starej kamienicy z czerwonej cegły z dużymi, kwadratowymi pokojami. Znajdowało się tu nieprzebrane mnóstwo podręczników, starych książek, modnych bestsellerów i podniszczonych tomików klasyki dziecięcej literatury. Budynek sądu był biało-szary, jego ścianę frontową zdobił rząd kolumn. Ciężkie, podobne do urn lampy wisiały na łańcuchach nad rzeźbionymi drzwiami, a na gzymsie, tuż pod frontową częścią dachu, umieszczony był cytat z Szekspira: **BĄDŹCIE SPRAWIEDLIWI I NIE LĘKAJCIE SIĘ!**

Wzniesiony na przełomie wieków gmach wykazywał pewne podobieństwo do budynku, w którym mieścił się wydział anglistyki w langhornowskim college'u. Oba projektował ten sam architekt. W mniejszych domach położonych w pobliżu sądu usadowiły się biura prawne i spółki. W ciągu wielu lat, które spędziliśmy w Langhorne, nie milkły słowa krytyki pod adresem starego budynku. Narzekano, że sale są trudne do ogrzania, nie można w nich założyć urządzeń klimatyzacyjnych i są za małe na obecne potrzeby. Przede wszystkim zaś utyskiwano na to, że stary gmach sądowy jest zbyt oddalony od biur prokuratury i komisariatu policji. Te biura, podobnie jak komisariat, zbudowano przed kilkoma laty - w ramach pewnego komercyjnego przedsięwzięcia - na odległych od „właściwego Langhorne” terenach, które częściowo objęły dawne pola kukurydzy i plantacje grochu oraz kamieniste ziemie nienadające się do upraw.

Stary gmach sądu przypominał wyglądem te, które często spotykamy w filmach. Pamiętam, jakim poruszającym wydarzeniem w okresie, gdy chodziłam do gimnazjum, było zjawienie się pewnego dnia w naszym mieście ekipy telewizyjnej, zamierzającej kręcić tu film kryminalny oparty na niezbitych faktach. Kluczowa scena miała się rozegrać na schodach, które prowadziły do frontowych drzwi gmachu i otaczających go kolumn. Artykuły o filmie, który na naszych oczach nagrywano, ukazywały się na pierwszej stronie „Tribune”. Wiele pisano także o głównym aktorze i statystach, którzy rekrutowali się spośród miejscowej ludności. To była jedna z największych sensacji, jakie pamiętam, ale nie większa od tej, jaką teraz budziła moja sprawa.

Mimo że wciąż słyszało się narzekania na stary budynek sądu, mieszkańcy Langhorne, którzy spędzili tutaj całe życie, byli przeciwni jakimkolwiek zmianom. Nie wpłynął na ich stanowisko nawet Ed Best, który, starając się o stanowisko okręgowego prokuratora, w kampanii propagandowej lansował, i to bardzo aktywnie, projekt zbudowania bardziej nowoczesnego gmachu. Jego głównym oponentem był sędzia we-

teran James P. Hallorhan, od czterdziestu lat pracujący w tutejszym sądownictwie. Mieszkał o dwa bloki od sądu i zajmował największe biuro w budynku: był to pokój narożny, który miał elegancką mahoniową boazerię i mały ozdobny kominek.

Po śmierci sędziego walkę z Bestem toczyła owdowiała pani Hallorhan, zdawało się, drobna i krucha kobieta, ale było to mylne wrażenie. Pani Alice codziennie spacerkiem udawała się do sądu, wchodziła do sal i witała się ze starymi znajomymi; byli wśród nich sędziowie, którzy właśnie przesłuchiwali świadków w jakiejś sprawie, ale pani Hallorhan na to nie zważała; po wizycie spokojnie wracała do domu. Ed Best, chociaż nieraz robił wrażenie nieco ograniczonego, marzył o tym, by znaleźć sposób na przeciągnięcie wdowy Hallorhan na swoją stronę, i to mu się w końcu udało. Mniej więcej na rok przed śmiercią mojej mamy rozpoczęto w naszym mieście budowę nowego sądu, który miał nosić imię Jamesa P. Hallorhana. Na jego lokalizację wyznaczono plac w ślepej uliczce biegnącej w bok od głównej szosy. Budynek zaprojektowano w formie sześcianu ze szkła i kamienia; miały się tam znaleźć pomieszczenia wszystkich wydziałów sądu oraz prokuratury i policji.

Ale budowy nie ukończono, ponieważ pojawiły się różnego rodzaju trudności konstrukcyjne. Tak więc gdy ja musiałam stanąć przed ławą przysięgłych mających zdecydować, czy zabiłam matkę, składałam zeznania w starym gmachu sądowym, w budynku tak dobrze mi znanym i swojskim jak niemal każdy inny dom w Langhorne.

Kiedy byłam w drugiej klasie liceum, zorganizowaliśmy szkolną inscenizację rozprawy sądowej i konkurs, w którym uczniowie współzawodniczyli ze sobą o najlepszą obronę lub potępienie kary śmierci. Ja byłam sędzią i skazałam oskarżonego na dożywocie bez prawa do warunkowego zwolnienia. Powołując się na rzekome orzeczenie Sądu Najwyższego, ogłosiłam, że kara śmierci jest niezgodna z konstytucją. Podobała mi się moja rola i władza, jaką mi dawała.

Dziękowałam Bogu, że nikt o tej sprawie nie pamiętał, a jeśli nawet pamiętał, nie wyjawiał tego prasie ani telewizji. W dniu, w którym zeznawałam przed sądem, w „Tribune” ukazał się artykuł o mnie. Początek artykułu wydrukowano na pierwszej stronie gazety, a ciąg dalszy zajął całą stronę wewnątrz numeru. Gazeta zamieściła także trzy moje zdjęcia: jedno z uroczystości ukończenia liceum, drugie zrobione w siedzibie władz stanu tego dnia, gdy wygrałam konkurs na esej. Na tym zdjęciu przyciskam do piersi dyplom, jaki z tej okazji otrzymałam. Po latach w taki sam sposób trzymałam tablicę identyfikacyjną na zdjęciach zrobionych przez policję. I oczywiście było jeszcze trzecie, wykonane w chwili, gdy opuszczam sąd po zwolnieniu za kaucją. Nagłówek wypisany dużymi literami głosił: DZIEWCZYNA SUKCESU, a pod nim mniejszymi literami: „Życie pełne wspaniałych osiągnięć kończy się oskarżeniem o morderstwo”.

- Jak to się kończy? - pytałam Jeffa przez telefon. - Co to znaczy? Przecież ani nie umarłam, ani jak dotąd nie zostałam postawiona w stan oskarżenia.

- Zamiast narzekać, ciesz się, że w całym artykule ani razu nie nazwano cię Aniołem Śmierci.

I rzeczywiście, to nie był zły artykuł. Autor trzymał się wiernie faktów, z jednym wyjątkiem: napisał, że rodzice mojej matki są emigrantami z Niemiec, a rodzice ojca kierowali pewnym górskim uzdrowi-

skiem. Ten błąd sprawił, że wyobraziłam sobie mego dziadka Guldena z daszkiem przeciwsłonecznym na głowie i w kraciastych bermudach zamiast roboczego kombinezonu. W artykule cytowano te same rozdziały, wyjęte z mego eseju o zabójstwie z litości, na które przedtem zwrócił już uwagę Bob Greenstein. A z mojej mowy na uroczystości z okazji ukończenia liceum prokurator zacytował takie zdanie: „Władza musi sobie zasłużyć na prawo przewodzenia nam, a my mamy prawo odmówić jej posłuszeństwa, jeśli nie zasłuży”.

- Cholera! - głośno zakląłam. Dobrze pamiętałam ten moment, gdy stojąc na podium ustawionym na trawniku langhornowskiego liceum, przemawiałam cienkim i namaszczonego głosem, bardziej przestraszona niż chciałabym się do tego przyznać. Matka chowała wzrok za przeciwsłonecznymi okularami, a ojciec lekko uniósł brwi. Tak nieznacznie, że tylko ktoś, kto go znał tak dobrze, jak ja, mógł to zauważyć. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy właśnie te słowa wypowiedziałam. Ale brzmiały jak moje...

Dziennikarze rozmawiali z ojcem Jonathana. Powiedział im, że ufa, iż przysięgli zrozumieją, dlaczego dopuściłam się tego czynu, i wezmą pod uwagę, że byłam bardzo wyczerpana opieką nad matką. „Obrona przez ucieczkę w obłąd” - powiedziałam na głos. Rozmawiano także z kilkoma Córami Minnie, które zgodnie relacjonowały, że tego dnia, kiedyśmy dekorowały drzewa na skwerze, wyglądałam na bardzo zmęczoną. Dziennikarze dotarli nawet do Halley McPherson, która ze łzami w oczach pokazywała im kołyskę i przypominała moje słowa: „Koniec już blisko!”, gdy odwiedziła moją matkę na krótko przed jej śmiercią. Prasa przeprowadziła też rozmowy z pielęgniarkami w szpitalu, które, zachowując anonimowość, dzieliły się swoimi wrażeniami; twierdziły, że zaskakująco dobrze orientowałam się w technikach medycznych. Wypytywano o mnie również koleżanki i kolegów z mojej klasy w liceum. Pytano tych, którzy mnie nie lubili, i tych, którzy mnie lubili, ale rozumieli, dlaczego inni mnie nie lubią. Ukazał się ponadto na łamach „Tribune” wiersz, który napisałam, będąc na drugim roku studiów, i wysłałam do pewnego piśma literackiego. Kierownictwo redakcji wstrzymywało się z jego publikacją i cały czas rozważało, czy zawarte w poemacie słowo „pieprzyć się” wykropkować, czy lepiej w ogóle wiersza nie drukować.

- Wiedzieliśmy, że Ellen będzie się z tego powodu awanturowała - powiedziała dziennikarzom moja nauczycielka wychowania fizycznego, pani Schultz, która z niewiadomego powodu zasiadała w Radzie Wydziału do spraw Studenckich Publikacji.

„Mój Boże” - pomyślałam. Wiersz był po prostu zły, ale „Tribune” wolała określić go jako „niecenzuralny”.

Ukazał się też artykuł reporterki „Tribune”, Julie Heinlein, tej, która przez dłuższy czas zamęczała mnie telefonami, domagając się wywiadu. Wprawdzie nie rozmawiała ani z Jeffem, ani z moim ojcem, nie zwracała też głowy Jules i Teresie, nie mówiąc już o pani Forburg czy Edzie Beście - ale mimo to wydawało się, że opisała moją historię w sposób fachowy. Gdy jednak przeczytałam artykuł, przypomniałam sobie, co powiedziałam Bobowi Greensteinowi o ludziach, którzy marzą o tym, by ich małe historyjki były ładne i „przewiązane wstążeczką”. Artykuł pani Heinlein był dokładny, jeśli chodzi o treść, ale nie całkiem

zgodny z prawdą. Opisowi życia naszej rodziny towarzyszyła atmosfera dziwnej ponurości, a mnie przedstawiła jako kobietę twardą jak stal, pozbawioną skrupułów i sumienia.

Cytowany przez autorkę mecenas Greenstein miał jej powiedzieć: „Ona tego nie zrobiła i to wszystko, co pani powinna wiedzieć”. To zdanie znalazło się w trzecim akapicie artykułu.

„Znałam Ellen z czasów, kiedy czytała detektywistyczne powieści dla młodzieży autorstwa Nancy Drew, i nigdy nie przyszło mi na myśl, że mogłaby w jakikolwiek sposób zrobić krzywdę Kate. Ona bardzo kochała swoją matkę. Gdyby pani widziała, jak pchała fotel na kółkach, kiedy mnie odwiedzały. Nikt, kto je widział, nie mógłby uwierzyć w jej winę”. - Tak Julie Heinlein relacjonuje swoją rozmowę z Isabel Duane. Zakładając oczywiście, że artykuł autorki zasługuje na wiarę, uważam, że to pięknie ze strony pani Duane, iż te słowa powiedziała, z tym tylko zastrzeżeniem, że Nancy Drew nigdy nie była moją ulubioną pisarką.

Mecenas Greenstein był wściekły z powodu ukazania się tego artykułu i wcale się z tym nie krył, gdy przyjechał rano, żeby mnie zawieźć do sądu. Prowadził nisko zawieszony czerwony sportowy wóz. Miałam dziwne wrażenie, że przyjechał tym samochodem tylko po to, żeby mi udowodnić, że potrafi bez trudu z niego wysiąść.

- Jak pani myśli - spytał - dlaczego ten artykuł ukazał się właśnie dziś rano? Był to celowy przeciek, zainspirowany przez prokuratora Besta, który świadomie zdradził prasie godzinę, o której pani przyjdzie na przesłuchanie. Niedobrze się stało, że pani uparła się zeznawać, ale ten tłum reporterów i fotografów jeszcze pogorszył sytuację.

- Myślałam, że postępowanie sądowe jest objęte tajemnicą - broniłam się.

- Tylko w teorii, moja droga, ale w praktyce... Podejrzewam Besta, że w ten sposób chce poprawić swój społeczny wizerunek. Wystarczyło, że szepnął odpowiednie słówko komuś z „Tribune”... - Mecenas obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem i dodał: - Wyświadczyć nam obojgu przysługę i nie uśmiechaj się, gdy będziesz zeznawać. Dobrze, Ellen?

- Spokojna głowa! - rzuciłam krótko.

Kiedy wchodziliśmy do gmachu sądu, przeczytałam na głos napis umieszczony na ścianie frontowej: **BĄDŹCIE SPRAWIEDLIWI I NIE LĘKAJCIE SIĘ**. Bob tylko westchnął... Spostrzegłam, że mój adwokat kieruje się w stronę tylnego wejścia. Zapukał do stalowych drzwi, próbował przekręcić gałkę i znowu zapukał. Strażnik z hukiem nam otworzył, coś mecenasowi powiedział, potem przeniósł wzrok na mnie i przecząco potrząsnął głową.

- Musimy niestety wejść od frontu, ale pamiętaj: nie odpowiadaj na żadne pytania!

Idąc schodami, cała drżałam. Ubrana byłam w ten sam granatowy kostium, który miałam na pogrzebie mamy. Jeff przywiózł mi go z domu. Długie włosy rozpuściłam, tak że okalały moją twarz, i umalowałam się: pierwszy raz od czasu Święta Dziękczynienia zrobiłam sobie makijaż.

Reporterzy zebrali się w okrągłym westybulu gmachu. Zwróciłam uwagę na mozaikową posadzkę, ułożoną w dziwny wzór wyobrażający ogromne brązowo-złote słońce. Jeden z reporterów, radiowiec z

magnetofonem, pierwszy nas zauważył i wydał coś w rodzaju stłumionego okrzyku, a potem niczym jakieś groteskowe stado zwierząt wszyscy razem ruszyli w naszą stronę. Kamery, notatniki, pióra i mikrofony trzymali wysoko jak broń. Zalali mnie takim potokiem pytań, że ledwo potrafiłam je z tej masy wyłuskać.

- Dlaczego postanowiła pani zeznawać? Jakie ma pani plany? Co pani powie przysięgłym?

Przebiliśmy się przez tłum reporterów, ale oni zaraz za nami ruszyli w stronę wind w tyle budynku. Do tych właśnie wind Bob chciał się dostać przez suterene, omijając hol, gdy pukał do stalowych drzwi. Niektóre pytania kierowano do niego.

- Dlaczego pan się zgodził, żeby panna Gulden zeznawała? Czy będzie też zeznawała na procesie?

Spuściłam oczy i stałam ze wzrokiem wbitym w noski lakierków, które mi kiedyś kupiła mama. Nosiliśmy ten sam rozmiar butów. Zauważyłam, że na brzegach zelówek zostało trochę błota od ostatniego razu, kiedy je miałam na sobie.

Bob zaprowadził mnie do windy, a potem stanął tak, by nikt inny nie mógł do niej wejść. Trzymał drzwi i pochylił się do przodu, zasłaniając mnie swoją kwadratową, szeroką postacią przed wzrokiem reporterów.

- Powiedźcie Edowi Bestowi - syczał w ich stronę - że przez takie sprawy może stracić licencję. - Na niewyobrażalnie krótki moment zapanowała zupełna cisza, w której usłyszałam czyjś płaczliwy głos, dochodzący z daleka i pytający: „Dobrze, ale kto to jest?” W tym momencie drzwi windy się zamknęły.

- To było sprytnie pociągnięcie z pańskiej strony - pochwaliłam adwokata.

- Tak? A dlaczego tak pani uważa?

- Bo teraz dziennikarze zamiast skupiać się na mnie i moich zeznaniach zainteresują się pańskimi groźbami pod adresem Eda Besta.

- Z pani też sprytna osóbką. Tylko proszę pamiętać, że w ten sposób wpakowała się pani w nie-szczęście i że spryt nie pomoże się pani z tego wyplątać. Doszła już pani do granicy; dalej niczego się sprytem nie osiągnie...

- Wiem - odparłam.

Pamiętałam, że kiedy w liceum przygotowaliśmy inscenizację procesu sądowego, sale rozpraw miały długie wąskie okna, a ściany oraz ława sędziowska i miejsca, gdzie siedzieli przysięgli, były wyłożone lśniąca drewnianą boazerią. Sale te wydawały mi się bardzo wysokie, odnosiłam też wrażenie, że hierarchia obowiązująca w wymiarze sprawiedliwości była jakby wpisana w rozmieszczenie miejsc. Sędzia siedział wysoko nad wszystkimi, przysięgli zaś zajmowali całą jedną stronę, skąd przypatrywali się zeznającym i wydawali orzeczenie.

Tymczasem sala sądu przysięgłych, gdzie się teraz znalazłam, niczym tego wszystkiego nie przypominała. Była o połowę mniejsza od tamtych, które znałam; na jednej ścianie miała dwa niewielkie okna, które wpuszczały do środka tak mało światła, że ktoś zapalił umieszczoną na suficie prostokątną migocącą świetlówkę.

Mecenas mi powiedział, że ława przysięgłych wystąpi w zwiększonym składzie: będzie dwudziestu trzech przysięgłych. Nie uprzedził mnie jednak, że w sali będzie tak ciasno, że udało mi się rozpoznać tylko prokuratora, który był asystentem w biurze pana Besta. Poznałam go po tym, że miał na sobie garnitur i krawat. Inni byli mniej elegancko ubrani. Siedzieli na twardych krzesłach, ustawionych w półkole otaczające mały stół. Początkowo starałam się na nich nie patrzeć w obawie, że mój wzrok może zabijać. Gdy zostałam zaprzysiężona, uspokoiłam się, jakbym zmówiła modlitwę za własną duszę. Postanowiłam, że będę mówić prawdę, choć może nie zawsze całą, w zależności od pytania...

Gdy prokurator zaczął mnie wypytywać, jak doszło do tego, że zaopiekowałam się matką, jak szybko mama podupadała na zdrowiu i kto był z nią sam na sam w ostatnim dniu jej życia - nie mogłam dłużej na niego patrzeć i przeniosłam wzrok na innego mężczyznę. Ten, może o dziesięć lat starszy ode mnie, miał zmierzwioną fryzurę i kołnierz koszuli co najmniej o pół numeru za mały, jakby nie chciał rozstać się z sobą takim, jakim był w wieku dwudziestu pięciu lat.

Z coraz większym zainteresowaniem zaczęłam przyglądać się siedzącym dookoła mnie ludziom. Pragnęłam, żeby oni zrozumieli, co się zdarzyło, ale chciałam także, powodowana czystą ciekawością, czegoś się o nich dowiedzieć. Trudno mi było uwierzyć, że tutaj, w hrabstwie Montgomery, jest dwadzieścia kilka osób, których nie znam po imieniu; że żadna z nich nie obsługiwała mnie w sklepach sieci „Pięć i dziesięć” ani w małych restauracyjkach; że nie spotkałam ich na parkingu przy supermarkecie z którąś z moich szkolnych koleżanek w samochodzie.

Prawdę mówiąc, kilkoro z nich wyglądało dziwnie swojsko. Nie na tyle wprawdzie, abym potrafiła wymienić ich nazwiska, ale wystarczająco, aby sądzić, że kiedy na stacji benzynowej tankowałam samochód, widziałam któregoś z nich, jak nabierał paliwo. Być może, przechodząc obok salonu kosmetycznego, mieszczącego się po drugiej stronie ulicy, którąś z obecnych tu pań zobaczyłam siedzącą pod kloszem suszarki. Jest też możliwe, że od któregoś z nich kupowałam na straganie pomidory, a na innego zwróciłam uwagę, gdy przekopywał ścieżkę przed jakimś domem na drugim końcu miasta.

Była tam jednak pewna kobieta, która wydała mi się znajoma, i to od pierwszej chwili, gdy tylko na nią spojrzałam. Ale im dłużej przebywałam w tej sali, tym jaśniej sobie uświadamiałam, że nie tyle ją znam, ile w jakiś sposób wyczuwam czy nawet rozumiem. Mój pobyt w sądzie trwał niemal dwie godziny, jeśli doliczymy czas, kiedy mi prokurator z wargami zaciśniętymi nad lekko wystającymi zębami kazał wyjść z sali, po czym znów zaprosił do środka. Wiek tej mojej znajomej-nieznajomej określiłabym jako średni: pierwszą młodość miała już za sobą, lecz jeszcze nie była stara. Miała szczupłą figurę i srebrne włosy, ścięte krótko na pazia, ale szesane na jedną stronę, jakby chciała zapobiec, by się nie kręciły. Ubrana była w niebieski kostium z dzianiny; spódnica ledwo zakrywała kolana. Wąskie białe dłonie, upstrzone ciemnymi starczymi plamkami, trzymała splecione na podołku. Od czasu do czasu dotykała dwóch obok siebie noszonych obrączek na palcu lewej dłoni i lekko je przekręcała. Przypuszczałam, że mieszka w jednym z tych ładnych małych domków położonych na południe od nas i że jest wdową po ja-

kimś kierowniku średniego szczebla, a kto wie, może nawet po wyższym urzędniku zatrudnionym w administracji naszego miasta.

Mam wrażenie, że to jej wygląd i zachowanie sprawiły, że wszystko, co mówiłam, kierowałam do niej i tylko do niej, tak jak aktor wybiera sobie jakąś twarz na widowni i gra jedynie dla niej. Siedziała wyprostowana, ale z lekkim pochyleniem do przodu. Zdawało mi się, że jej niebieskie oczy patrzą na mnie pytająco, jakby czekała na pomoc w rozwiązaniu zagadki, nad którą ona od wielu tygodni ślęczy; jakby chciała, żebym jej powiedziała, co naprawdę się stało.

- Panno Gulden - zwrócił się do mnie prokurator Peters. - Chciałbym, żeby nam pani coś przeczytała. - I wręczył mi tekst eseju, który napisałam na konkurs. Musiał to być oryginał, ponieważ nosił datę sprzed sześciu lat i litera „e” była lekko przesunięta w górę, co się mojej elektrycznej maszynie do pisania zdarzało od chwili, gdy pewnego dnia spadła mi z biurka.

- Czy to pani pisała? - spytał, gdy przeczytałam tekst na głos.

- Tak - odparłam.

- I dostała pani pierwszą nagrodę w dorocznym konkursie stanowym dla młodych pisarzy?

- Tak.

- Czy pani nadal się zgadza z opiniami wyrażonymi w tym eseju?

- Tak, ale tylko w tym zakresie, w jakim są one jeszcze aktualne.

- Co pani przez to rozumie?

- Nadal uważam, że ludzi na siłę utrzymuje się przy życiu nawet wtedy, gdy ono nie przedstawia dla nich żadnej wartości. Ale gdy pisałam ten esej, nie miałam jeszcze żadnych osobistych doświadczeń w tej dziedzinie, to znaczy nie zetknęłam się bezpośrednio z taką tragedią.

Patrzyli na mnie teraz wszyscy przysięgli z wyjątkiem pewnego młodego mężczyzny, niemal chłopca, który ostentacyjnie wyglądał przez okno.

- A obecnie ma już pani takie doświadczenia?

- Tak.

- Czy zdobyła je pani w czasie choroby i śmierci matki?

- Tak.

- Czy matka zgadzała się z pani opiniami wyrażonymi w tym eseju?

- Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

- Nawet wtedy, gdy wygrała pani konkurs?

- Nawet wtedy.

- Nie mówiłyście o tym także wówczas, kiedy pani doglądała matki i wykonywała te czynności, które zostały przedtem przez panią opisane, i kiedy obserwowała pani postępujące wyniszczenie matki?

- Wówczas też nie.

- Panno Gulden - powiedział prokurator, stukając ołówkiem w dłoń, ruchem, który tak bardzo mi przypominał aktorski gest z jakiegoś filmu, że już, już miałam się uśmiechnąć, gdy sobie przypominałam

napomnienia mecenasa Greensteina: „Nie uśmiechaj się! Pamiętaj, nie uśmiechaj się!” - Panno Gulden - powtórzył - czy pani zdaniem życie matki w jej ostatnich dniach nie miało dla niej żadnej wartości?

- Tak bym tego nie ujęła.

- A jak?

- Myślę, że moja matka utraciła swoją godność, pozycję i wszystko to, co czyniło jej życie szczęśliwym. Trzeba jej było zakładać pieluszki; niemal bez przerwy spała. A dla kobiety takiej jak ona, która zawsze była niesłychanie sprawna, pełna życia i energii, to było straszne. Straszne dla niej i dla mnie.

- Panno Gulden, czy to prawda, że powiedziała pani funkcjonariuszom policji, panom Brown i Patterson, że jeśli by widzieli pani matkę, to sami by uznali, że lepiej by dla niej było, gdyby umarła?

- Tak.

- Czy pani powiedziała Jonathanowi Beltzerowi, że gdyby pani była dobrą córką, położyłaby pani matce poduszkę na twarz i ją udusiła?

- Nie pamiętam, czy dokładnie tak brzmiały moje słowa, ale rzeczywiście coś w tym rodzaju powiedziałam.

- Czy pani piła wtedy alkohol?

- Nie.

- Czy pani wiedziała, jaka ilość tabletek morfiny spowodowałaby przedawkowanie?

- Tak.

- Czy pani wiedziała, że przez skruszenie albo połamanie na małe kawałki tabletki staną się jeszcze bardziej toksyczne?

- Tak.

Kobieta w niebieskim kostiumie, która pochylała się w moją stronę, robiła wrażenie, jakby chciała mi coś powiedzieć, może zadać mi jakieś pytania albo mnie przed czymś powstrzymać.

- Czy pani sobie przypomina, jaki był ostatni posiłek pani matki?

W tym momencie na chwilę przerwałam składanie zeznań. Zdenerwowałam się. Popatrzyłam na moje dłonie leżące na podołku i znowu jawiła mi się wytworna, pełna gracji dłoń mego ojca, trzymająca srebrną łyżkę w palcach, i zobaczyłam ten ruch: do góry i na dół, do góry i na dół...

- Nie pamiętam.

- Nic pani nie przychodzi do głowy?

- Przez kilka dni z rzędu wtedy nie spałam. To mogła być przypuszczalnie jedna z tych rzeczy: zupa krem, sos jabłkowy, jakiś budyń albo jogurt. Matka nie mogła jeść stałych pokarmów: wszystko musiało mieć konsystencję papki dla niemowląt.

- Czy pani ją karmiła?

- Nie zawsze. Czasem mama jadła sama, ale nie szło jej to zbyt sprawnie i musiałam potem zmieniać pościel.

- Czy to panią denerwowało?

- Od dawna już przestałam się denerwować, panie prokuratorze.

Niepotrzebnie to powiedziałam. To był błąd.

- Od jak dawna, panno Gulden? - spytał, traktując to pytanie jako retoryczne, bo kontynuował, nie czekając na odpowiedź. - Choć ryzykuję, że się będę powtarzał - mówił dalej - pozwolę sobie jednak wrócić do kwestii, którą już poruszaliśmy. Czy nie uważa pani, że w pewnych sytuacjach jakość życia pacjenta tak się pogarsza, że wolałby już umrzeć śmiercią naturalną lub wspomaganą.

- Tak uważam - odparłam.

- Czy nie sądzi pani, że w ostatnich dniach jakość życia matki bardzo się pogorszyła?

- Tak, tak sądzę.

- I dlatego podała jej pani śmiertelną dawkę morfiny?

- Nie. Nie zrobiłam tego.

- Nie? Wobec tego, biorąc pod uwagę to, co pani powiedziała poprzednio, muszę spytać: dlaczego nie?

- Co... dlaczego nie?

- Skoro pani nadal obstaje przy tym, co pani napisała w eseju, i przy tym, co pani przed chwilą powiedziała, to byłoby logiczne, gdyby podała pani matce śmiertelną dawkę morfiny. Przecież nawet wmaśniała pani policjantom, że sami by tak postąpili.

- Chciałabym to wyjaśnić. - Staralam się nie podnosić głosu i nie mówić ostrym tonem. Patrzyłam prosto w twarz kobiety w niebieskim kostiumie, siedzącej spokojnie i bez ruchu. - Zachodzi tu pewna istotna różnica. Taka sama jak między stwierdzeniem, że jesteśmy za karą śmierci, a chęcią uczestniczenia w jej wykonaniu, czy nawet włączenia prądu, by uruchomić elektryczne krzesło. Teoretycznie uważałam, że powinno się pomóc umrzeć cierpiącym i beznadziejnie chorym. Gdy jednak sprawa stała się realna i dotyczyła realnej osoby, wszystko się zmieniło. Byłam tak zapracowana, starając się utrzymywać matkę w czystości, szykując jej jedzenie i pilnując, żeby zawsze w porę dostała lekarstwa, że już nie miałam czasu na zastanawianie się nad czymkolwiek ponadto. Ważne wydawało mi się tylko to, by przeżyła następną godzinę. Myślę, że ta sytuacja przypominała w pewnym stopniu kierat domowy młodej matki opiekującej się niemowlęciem. Wszyscy mówią, jak to cudownie mieć małe dzieciątko, jak to pozwala kobiecie się spełnić... ale ja zawsze wiedziałam, że to nieustająca harówka, bez chwili wytchnienia: karmienie, zmienianie pieluszek, kąpanie... Chyba dopiero z perspektywy czasu ten okres w życiu dziecka może się matce wydać wspaniały... Kiedy się opiekowałam matką, nie miałam czasu pomyśleć o niczym więcej jak tylko o tych małych, codziennych obowiązkach. O wiele łatwiej jest wypisywać na papierze różne swoje myśli i opinie, aniżeli realizować je w rzeczywistości.

- Ale gdyby pani chciała te myśli zrealizować, panno Gulden, to mogłaby pani to uczynić. Prawda?

- Tak, ale nie chciałam.

Prokurator skończył, ale kobieta w niebieskim kostiumie jeszcze nie. Byłam tego pewna. Wysłali mnie do holu, gdzie siedział mój adwokat i przeglądał akta. Spojrzył na mnie przez półksiężycy szkieł do

czytania, ale żadne z nas nie odezwało się słowem. Stałam przed drzwiami, na których widniał wyblakły złoty napis: SĄD PRZYSIĘGLYCH. Drzwi były grube, z drewna o wąskich słojach i nie przepuszczały żadnego dźwięku. Po kilku minutach usłyszałam jakieś głosy dochodzące z korytarza. Gdy popatrzyłam w tamtą stronę, zobaczyłam mego ojca, który skręcał gdzieś w bok, ale się na moment zatrzymał, podniósł rękę i pomachał mi. W tej samej chwili, kiedy go zobaczyłam, przypomniałam sobie scenę z ostatniej nocy w życiu mamy, gdy była razem z ojcem i ja na nich oboje patrzyłam.

- Idź odpocząć, Ellen! - powiedziałam, zwracając się do Boba Greensteina, i czułam, że zaczyna mnie opanowywać jakieś dziwne drżenie.

- Co takiego? - spytał, nie patrząc na mnie, tylko na hol.

- Pytał mnie pan, jakie były ostatnie słowa mojej matki i właśnie sobie przypomniałam. Mama powiedziała: „Idź odpocząć, Ellen!” Chciała być z nim sama.

- Z pani ojcem?

- Tak.

- Czy pytali panią o to w tej sali? - wskazał na drzwi.

- Nie. - Skrzyżowałam ręce na piersi, a mecenas objął mnie ramieniem. - Mama mnie wtedy ode-słała - poskarżyłam się.

- A on posłał pani całusa.

- Kto?

- Pani ojciec. Właśnie posłał pani całusa.

- Nie, tylko mi pomachał ręką.

- A mnie się zdawało, że posłał całusa. Drzwi się otworzyły.

- Panno Gulden! - wezwał prokurator. Włosy miał wzburzone, jakby przejechał przez nie ręką. Wróciłam do sali sądu przysięgłych i usiadłam, a prokurator odwrócił się do mnie tyłem. - Panno Gulden - powtórzył po chwili, patrząc na mnie: - To moje ostatnie już pytanie: Czy pani kochała swoją matkę?

Nie oczekiwałam takiego pytania. Gdy spojrzałam na kobietę w niebieskim kostiumie, stwierdziłam, że ma pytający wyraz oczu, i patrzy na mnie w taki sposób, jakby się spodziewała, że teraz skłamię. Czekałam dwie godziny, siedząc na drewnianym fotelu z giętymi bocznymi oparciami, żeby mi w końcu zadano pytanie, czy mam jakiegokolwiek pojęcie, kto to zrobił, kto zabił moją mamę. Ale takie pytanie nie padło. Zapytana, czy kochałam moją matkę, mogłabym powiedzieć prawdę, ale nie wiedziałam jak.

- Jezu, dziewczyno - niemal słyszałam, jak mówi mój adwokat. - Odpowiedz „tak”. Proste, eleganc-
kie „tak”. Nikt tu nie wymaga od ciebie poezji.

Ale pani w niebieskim kostiumie patrzyła na mnie w takim skupieniu, jakby ona mi to pytanie za-dała. Wiedziałam od mecenasa, że każdy przysięgły może oznajmić prokuratorowi, że chce się ode mnie czegoś dodatkowego dowiedzieć, i prokurator jest zobowiązany spełnić takie życzenie, chyba żeby udało mu się wyperswadować to przysięgłemu. Bo w teorii prokurator tylko reprezentuje w tym sądzie przysię-

głych. Więc gapiłam się na panią w niebieskim i byłam pewna, że prokurator wcale nie chciał mi tego pytania zadać, ale ona go do tego skłoniła.

- Najprostszą odpowiedzią byłoby powiedzieć „tak” - zaczęłam - ale to byłoby zbyt proste, gdy chodzi o własną matkę. Bo to, co do niej czujemy, jest czymś więcej niż miłością. Prawda? - pytałam, jakbym się spodziewała, że wszyscy obecni potakną. - Gdy ktoś cię pyta, skąd się wzięłaś, odpowiadasz, że z matki. - Skrzyżowałam ręce na piersi, a kobieta w niebieskim kostiumie znowu przekreśliła obrączki na palcu. - Kiedy umiera ci matka, tracisz przeszłość. To jest o wiele więcej niż miłość. Nawet jeśli miłości nie czujesz, to i tak twoje uczucia do matki przewyższają wszystko inne, co dzieje się w twoim życiu. Kochałam moją matkę, ale nie wiedziałam jak bardzo, dopóki ona nie umarła.

- Czy pani ją zabiła? - spytał prokurator.

- Nie, nie zrobiłam tego - odparłam. - Nie mogłabym tego zrobić.

Jeśli wierzyć filmom, w chwili gdy ława przysięgłych jest już gotowa powiedzieć, czego się ich zdaniem dopuściłaś lub nie, wtedy stajesz przed nimi w całej okazałości, a oni jasno i otwarcie informują o swojej decyzji. Towarzyszy temu pewna uroczysta oprawa, jaką większość z nas rezerwuje na takie okazje, jak bierzmowanie czy ślub. Podobny ceremoniał towarzyszył dawniej także wykonywaniu wyroków śmierci, ale tego już się teraz nie robi.

* * *

Wracałam ze sklepu „Safeway”, gdzie kupiłam mięso, marchewkę i małe cebulki na sos, drożdże i mąkę pszenną, bo zamierzałam upiec chleb, a także tłuszcz i purée z dyni na nadzienie do placka. Włączyłam radiową stację, która nadaje same wiadomości. I właśnie z tego radia się dowiedziałam, że ława przysięgłych postanowiła odstąpić od oskarżenia Ellen M. Gulden o spowodowanie śmierci Katherine B. Gulden. Odniosłam dziwne wrażenie, jakbyśmy obie z mamą zastygły w bezruchu i stały się spiżowymi pomnikami: absolwentka Harvardu, która ukończyła uczelnię z wyróżnieniem, i żona kierownika katedry anglistyki w langhornowskim college'u. Już dawno temu poddano nas szczegółowej analizie: mamę i mnie, i rozłożono na czynniki pierwsze. Zdawało mi się, że niczym ostatni pozostały przy życiu weteran dawnej wojny jestem jedyną osobą, która wie, jakie byliśmy kiedyś i jakie byliśmy naprawdę.

Mimo chłodu odnosiło się wrażenie, że od ziemi idą fale ciepła. Kiedy się nosem głęboko wciągnęło powietrze, można było sobie wyobrazić, że z tej gleby w łatwej do przewidzenia przyszłości wykiełkują lilie, potem malwy, a w końcu wyrosną róże. U państwa Belknapów wkrótce już zaczną ożywać rabatowe byliny. A w przyszłym roku o tej porze pewnie zaczną się pojawiać hiacynty, które posadziłam wokół nagrobka mamy. Najpierw ukażą się drobne liliowe kwiatostanowe koszyczki, tak małe, że trzeba ich będzie szukać wśród trawy. W ślad za hiacyntami pójdą tulipany. Ludzie przestaną o mnie mówić na przyjęciach i szeptać w przejściach między półkami w księgarni państwa Duane'ów, kiedy hiacynty i tulipany znowu ożyją, rozwiną się, a potem zżółkną i uschną, by po zimowym śnie znów ożyć... Ale moja mama już ich nigdy przenigdy nie zobaczy. Kwiaty nadal będą żyć, choć ciebie nie ma, mamó. Tak okrutna jest śmierć...

„Nie wytoczono sprawy, nie będzie procesu” - powiedziano w radiu. Nie ma oskarżenia, nie ma rozprawy... Niczego nie ma. Nic nie czułam, gdy prowadziłam samochód i skręciłam w boczną uliczkę, prowadzącą do domu pani Forburg. Możliwe jednak, że coś mimo wszystko odczuwałam: było to dziwne doznanie, jakie stało się naszym udziałem, gdy uciekając co sił w nogach, wpadamy w jakąś ulicę i nagle odkrywamy, że jest to ślepa uliczka i nie ma z niej wyjścia.

Gdy przejechałam zakręt w kształcie litery S, rozpostarł się przede mną widok na jedną z tych uroczych małych dolin, które otaczają Langhorne, tworząc mozaikę różnych kolorów zieleni, gdy drzewa liściaste przeplatają się ze szpilkowymi. U podnóża wzniesienia stał dom pani Forburg. To on stanowił zabezpieczenie kaucji, jaką moja była nauczycielka zapłaciła za mnie dwa miesiące temu. Teraz przed tym domem, a także po drugiej stronie ulicy zobaczyłam mnóstwo parkujących samochodów i furgonetkę z satelitarną anteną telewizyjną. Zawróciłam i robiąc objazd w kształcie litery U, znalazłam się u dołu sąsiedniej ulicy. Zaparkowałam tam wóz i obciążona zakupami poszłam pieszo przez las. Gdy się wynurzyłam zza drzew, spostrzegło mnie kilku reporterów, ale na szczęście udało mi się szybko dotrzeć do drzwi kuchennych. Usłyszałam, że któryś z nich krzyknął, a potem wszyscy ruszyli w moją stronę w szyku niczym batalion piechoty na polu bitwy. Zdażyłam jednak wejść do środka, zanim dopadły mnie ich kamery.

Na automatycznej sekretarce jarzyło się w ciemności czerwone światełko, a ja wysłuchiwałam nagranych wiadomości. W domu nikogo nie było. Sprawdziłam, czy okiennice są dokładnie zamknięte; przez cały czas pilnie tego przestrzegaliśmy.

- Panno Gulden, mówi Nancy Barrett z CBS. To... - Wystarczyło pocisnąć guziczek i głos zniknął. Podobnie poradziłam sobie z reporterką magazynu „Time” o archaicznym nazwisku jakby wziętym z nagrobka na najstarszym cmentarzu Bostonu. Reporterka „Time” mówiła przez nos, jakby była przeziębiona, natomiast Julie Heinlein miała głos zmęczony. - Gdyby istniała szansa, że zechce pani ze mną porozmawiać, możemy to zrobić całkowicie na pani warunkach. - Pociśnięciem guziczka sprawiłam, że oni wszyscy zniknęli.

Zadzwoił Jeff.

- Nigdzie nie wychodź - powiedział z nutą triumfu i radości. - Zaraz po ciebie przyjadę.

Z zewnątrz dolatywały do mnie rozmowy reporterów. Któryś przyjmował od kolegów zamówienia na kawę i szykował się, żeby wyruszyć po nią do kawiarni w centrum. „Mocną czy słabą? - pytał. - Betts! - upomniał koleżankę - zadałem ci pytanie: mocną czy słabą? I do tego bułeczkę? Co ty, u diabła, myślisz? Że co to jest? Restauracja?” Dwaj mężczyźni rozmawiali o swoich dzieciach. Jeden się skarżył, że ma z nimi mnóstwo kłopotów, odkąd zaczęły chodzić. „Poczekaj, zobaczysz, co będzie, jak dojdą do piętnastu lat” - ostrzegł go drugi.

Podsmażyłam mięso i rozwałkowałam ciasto na placek. Zagniotłam też ciasto na chleb i odstawiłam na bok, żeby rosło w misce, która według słów pani Forburg należała jeszcze do jej matki. Zadzwoił telefon, a gdy automatyczna sekretarka się włączyła, usłyszałam głos Brendy:

- Ellen, jeśli tam jesteś...

Podniosłam słuchawkę, pozostawiając na niej i na tarczy ślady mąki.

- Jestem przy telefonie.

Pani Forburg telefonowała chyba z budki blisko szkolnego boiska, bo dochodziły do mnie niewyraźne rozmowy w tle i dziesiątki nieskoordynowanych głosów przerywanych co chwila wrzaskiem czy przedrzeźniającym kogoś krzykiem.

- Halo? Słucham - odezwałam się.

- Straszny tu hałas - powiedziała pani Forburg. Potem znowu zapanowała cisza i po jej oddechu poznałam, że płacze.

- Przygotowuję kolację - pochwaliłam się.

- Zostaw ją dla mnie na kuchni, zabierz swoje rzeczy i wyjedź stąd tak daleko i tak szybko, jak dasz radę, i na tak długo, jak możesz.

- Chyba mi przysięgli uwierzyli - podzieliłam się swoją radością.

- I powinni byli, do jasnej cholery!

- Hej, Michale! - ktoś krzyknął blisko niej, a potem dodał: - Ach, przepraszam panią, pani F.

- Teraz dostanie pani z powrotem pieniądze wyłożone na kaucję - zapewniłam ją.

- Mój Boże, Ellen, dlaczego myślisz o nic nieznaczących rzeczach. Czy Jeff zabierze cię do Nowego Jorku?

- Tak myślę.

- Kiedy się tam urządzisz, zadzwoń i podaj mi swój adres. Przyjadę do ciebie z wizytą.

- To dobrze, bo będzie mi pani brakowało. Dziękuję za wszystko. - Po chwili z drugiej strony zabrzmiało jak echo:

- Mnie też będzie ciebie brakowało i dziękuję ci za wszystko.

Obie odłożyłyśmy słuchawki. Za moment telefon znowu się odezwał. To był reporter z Associated Press; wiadomość przejęła automatyczna sekretarka, a ja usiadłam przy stole w kuchni i napisałam instrukcje, jak pani Forburg ma skończyć pieczenie chleba i kiedy zdjąć z ognia gulasz. Potem znowu ktoś zadzwonił i usłyszałam łagodny kobiecy głos z ledwo wyczuwalnym obcym akcentem.

- Ellen, tu mówi Teresa Guerrero. - Potem nastąpiła pauza, jakby Teresa wiedziała, że tu jestem i jej słucham. Nie wiem dlaczego, ale dopiero w chwili, gdy usłyszałam głos Teresy, coś jakby we mnie pękło i zaczęłam płakać.

- Witam, panno Guerrero - wydukałam.

- Jestem dziś bardzo szczęśliwa, panno Gulden - powiedziała - podobnie jak wielu moich pacjentów, którzy śledzili pani sprawę z ogromnym zainteresowaniem.

- A jak się czuje pani, która miała raka piersi i dwoje małych dzieci? - spytałam.

- Niezbyt dobrze.

- Tereso, chciałabym, żebyś wiedziała, że ja nie popełniłam tego czynu.

- To nieważne.

- Dla mnie to jest ważne. I to, żebyś ty mi uwierzyła. Zwłaszcza ty...

- Zawsze ci wierzyłam, ale nie o to chodzi. Masz wiele ważniejszych rzeczy do zrobienia. Tyle pracy przed tobą... Nawet ci z tego powodu współczuję, moja droga.

- Przecież ja nie mam pracy, Tereso.

- Ach, Ellen. Dobrze wiesz, że nie o takiej pracy mówię.

- Czy przyjedziesz, żeby mnie odwiedzić w Nowym Jorku?

- Tylko dla ciebie to zrobię i przyjadę do tego miasta - westchnęła. - Tylko dla ciebie.

Jeff wszedł do domu pani Forburg kuchennymi drzwiami; miał twarz mocno zaróżowioną nie tylko z radości, ale i z wysiłku, bo bardzo szybko biegł przez podwórze. Kiedy się zjawił, moja torba podróżna była już przygotowana.

- Pamiętam, że gdy ostatnio ją pakowałam, akurat weszli policjanci... - przypominałam mu.

- Więc teraz nie będziemy już ryzykować - zdecydował. Wziął mnie za rękę i przebiegliśmy podwórko do jego jeepa zaparkowanego obok wozu pani Forburg. Reporterzy zgromadzeni przed domem jedli kanapki i pili kawę, i wcale nie zauważyli, żeśmy się z bratem wyniknęli, trzymając się za ręce jak Jaś i Małgosia.

- Damy czadu... co? - szepnęłam.

- Jeszcze nie teraz - odparł Jeff i skierował się w stronę miejskiego skweru i ulicy Głównej, gdzie nad wszystkim górował gmach sądu. Pomyślałam znowu o kobiecie w niebieskim kostiumie, lekko pochylonej do przodu i patrzącej na mnie pytająco.

- Chyba mi uwierzyli - powiedziałam Jeffowi, który włączył radio nadające wiadomości.

Ale sądząc po tym, co gazety napisały następnego dnia, dochodzę do wniosku, że chyba nie uwierzyli albo jak wielu innych uwierzyli, że uczyniłam to, o co mnie oskarżano, z miłości względnie z poczucia obowiązku, i że prokuratorzy posunęli się za daleko. Lecz tego popołudnia miałam nadzieję, że może jednak ktoś dał wiarę moim słowom.

Jeff pędził ulicami miasta, a w radiu w jego samochodzie wciąż podawano wiadomość o decyzji sądu przysięgłych.

„...Gulden, absolwentka Harvardu, która otrzymała dyplom z wyróżnieniem, została oskarżona o zamordowanie swojej matki, Katherine. Pani Gulden, żona kierownika katedry anglistyki w langhornowskim college'u, zmarła w lutym i sekcja zwłok...” - buczało radio, a potem odbiór się zepsuł, fala uciekła i zamiast wiadomości usłyszeliśmy koncert Brahmsa. Gdy skręciliśmy za róg, znów przez chwilę słyszałam wystąpienie prokuratora Eda Besta. A potem nadano komunikat o pogodzie: „Jutro będzie słonecznie, temperatura wzrośnie do siedemnastu stopni. Jest już wiosna”.

Odkąd zabrakło mamy, nikt nie sadził kwiatów w skrzynkach na dole obok wejścia na ganek, a azalia rosnąca przy ścianie garażu wyglądała jak zwiędła, chociaż na jednej łodyżce pokazało się parę zielonych liści, świadczących o tym, że roślina żyje. Jeff zgasił silnik.

- Pomyślałem, że może chciałabyś wejść do środka. - Spojrzałam najpierw na niego, a potem na dom. - Ojciec powinien tu być za jakieś piętnaście minut. Zadzwoił do mnie, kiedy usłyszał o wyniku przesłuchania, i powiedział: „Może teraz będę się mógł zobaczyć z twoją siostrą”. Nie zawołał: „Czy to nie wspaniale?!” ani „Hurra dla Ellen”, tylko: „Może teraz będę się mógł zobaczyć z twoją siostrą”. Nigdy go nie zrozumiałem, Ellen, nigdy, żebym nie wiem jak bardzo chciał... Otworzył drzwi jeepa.

- Nie, Jeff. Nie mogę. Nie teraz, nie tak od razu...

- Jesteś tego pewna?

- Najzupełniej. - Raz jeszcze spojrzałam na dom, na mój dom. - Pewnie tonie w kurzu - mruknęłam.

- Nie. Tato ma teraz sprzątaczkę z college'u, która przychodzi raz na tydzień.

- To za mało. Czy tato coś w nim zmienił?

- Nie. Nic.

- Nie mogę tam wejść! - uparłam się. Jeff wysiadł z samochodu.

- W porządku. Poczekaj! - i poszedł w stronę kuchennych drzwi, a ja w wyobraźni zobaczyłam stół w kuchni od dawna pewnie nieczyszczony do połysku i niesprzątnięty.

- Jeff! - zawołałam, a gdy się odwrócił, dodałam: - Chciałabym coś stamtąd wziąć.

Brat wyszedł z domu, trzymając fotografię pod pachą; oprawione w ramkę szkło lśniło w promieniach słońca. Położył mi fotografię na kolanach. Był na niej ojciec, którego z jednej strony trzymała pod ramię matka, a z drugiej - ja. Sfotografowano nas w dniu, kiedy ukończyłam college. Otworzyłam torbę podróżną, zawinęłam fotografię w nocną koszulę i wcisnęłam ją na sam spód.

- Nie masz zdjęcia, na którym byłabyś tylko ty z mamą?

- Nie - odparłam. - Nie sądzę, żebyśmy w ogóle mieli takie zdjęcie.

Zjechaliśmy ze wzgórza, minęliśmy sklep z butami, sklep z narzędziami Phelpsa i księgarnię Duane'ów. Zdawało mi się, że widzę cień pani Duane i jej jasne włosy w oknie wystawowym. Na miejskim skwerze rosło mnóstwo żonkili. Stały wyprostowane i było ich tak wiele, że kiedy zmrużyłam oczy, pod masztem z flagą widziałam tylko żółtą plamę.

- Którędy pojedziemy? - spytałam.

- Najpierw na dworzec - powiedział Jeff i uśmiechnął się.

Na peronie czekała na mnie Jules ubrana po nowojorsku: w długiej przezroczystej czarnej spódnicy, kowbojskich butach, czarnym skórzanym żakiecie, ciemnych przeciwsłonecznych okularach i z czarnym plecakiem na grzbiecie. Jej czarne włosy wiły się niesfornie dookoła głowy. Gdy wyszłam z samochodu, podbiegła do mnie, stukając butami po peronie i schodach. Objęła mnie tak mocno, że obie niebezpiecznie się przechyliłyśmy.

- Przecież cię prosiłam, żebyś została w Nowym Jorku - powiedziałam, trzymając ją i wpatrując się w nią intensywnie. Była szczuplejsza niż ją pamiętałam i jej oczy zdawały mi się nieco zmienione.

- Dałam sobie wytatuować czarne linie pod oczami - wyjaśniła, mrugając. - Bolało jak cholera, ale teraz będę miała rano o jedną rzecz mniej do zrobienia.

- O Boże, Jules! - zawołałam. - Tak się tobą cieszę!

- Pisali o tobie w depeszy Associated Press - informowała mnie przyjaciółka. - Błędnie napisali twoje nazwisko. Nazwali cię Golden.

- Ach, tak? - zdziwiłam się.

- Może dlatego, że jesteś Golden - złota - czyli dziewczyna sukcesu - schlebiała mi Jules, wsiadając do jeepa.

- Przyjechałam po ciebie, bo pomyślałam, że nie powinnaś sama odbywać tej podróży - tłumaczyła się, gdy zajęłam miejsce z tyłu, a ona obok Jeffa.

- Jak to sama? A ja? Wybacz, Jules, ale kim wobec tego ja jestem? Szoferem? - złościł się Jeff. - Co pani rozkaże, panno Julie? - szydził. - Dokąd jedziemy, madam?

- Nie wydziwiaj! Przecież wiesz, co miałam na myśli - broniła się Jules.

Ponieważ we wszystkich informacyjnych programach radiowych ciągle mówiono o decyzji sądu przysięgłych, wybraliśmy inną stację i głośno słuchali muzyki. Jules zażyczyła sobie, żeby zsunąć dach; nasze włosy smagały nas teraz po twarzach, przylepiały się do warg, zębów i oczu. Przez godzinę rozkoszowaliśmy się pędem powietrza i śpiewali do wtóru piosenek nadawanych w radiu. Kiedy Jules się odwróciła, by móc ze mną porozmawiać, pochyliłam się ku niej i ręką przytrzymałam podróżną torbę, bo bałam się, że mi ją wywieje.

- Znalazłam pierwszorzędne mieszkanie o dwa bloki od mego! - krzyczała Jules, bo tylko tak mogłyśmy się słyszeć. - Naprawdę świetne lokum, kochanie. Ma kominek, dwie sypialnie i łazienkę z oknem. - Już niemal zapomniałam, jak ważne jest okno w łazience, gdy się mieszka w centrum Nowego Jorku.

- Jaki czynsz? - spytałam.

- Tylko o trzysta dolarów więcej niż płacę teraz. Weźmy je i zamieszkajmy razem, El. Muszę podjąć decyzję do jutra albo zrezygnować. Wiesz, jakie są te agencje... Gdy znajdziesz pracę, zapłacenie trzystu dolarów nie będzie stanowiło problemu.

- A może sprzedam moją historię do telewizji?

- Po to żeby sobie kogoś znaleźć? Daj spokój!

- No nie wiem, Jules. W tej chwili nie mam żadnego faceta ani żadnych ciekawych perspektyw.

Jules dłońmi przytrzymała włosy.

- Był facet, teraz nie ma faceta, potem będzie facet i znowu nie będzie nikogo, bo facet odejdzie.

Tak to już jest.

- Tak, wiem.

- A ten gówniarz... - zaczęła Jules i od razu obie wiedziałyśmy, o kogo chodzi.

- Tak to już jest... - powtórzyłam. - Trudno.

- Tak, niestety... Ale jeśli się na niego natknę, rozerwę go na strzępy.

- Nie interesuję się teraz mężczyznami - oświadczyłam.

- Wobec tego możemy wziąć to mieszkanie.

- Dobrze - zgodziłam się i Jules ucieszyła się jak dziecko.

- Jesteś bezkonkurencyjna, Jules! Ach Julie, Julie, Boboolie! - zawołał Jeff.

Jules pochyliła się ku mnie, tak że włosami dotknęła mego ramienia, i szepnęła:

- Szkoda, że twój brat nie jest nieco starszy, El.

- Słyszałem, coś powiedziała! - krzyknął Jeff. - I to jest nie fair, bo młodszy mężczyźni są teraz poszukiwani. Powiem więcej: młodszy są nawet w modzie.

- Ach, przestań! - upomniała go Jules. - Nie można układać sobie życia według mody. - Jeff ruszył szybciej i wkrótce znaleźliśmy się na wzniesieniu, z którego widać było wyspę Manhattan ze sterczącymi wieżowcami; wyglądała niczym kołczan pełen strzał. - Szmaragdowe Miasto, olśniewające, zjawiskowe.

- Trzy razy trzaśnij obcasami i powiedz, że nie ma drugiego takiego miejsca jak dom - z uśmiechem proponowała mi Jules.

- Dobrze, zrobię to, ale co mi z tego przyjdzie? - zastanawiałam się. Przez estakadę, a potem tunel przejeżdżaliśmy w milczeniu; nie rozmawialiśmy, dopóki nie znaleźliśmy się po drugiej stronie i nie dotarliśmy do centrum. Wyjechawszy z tunelu, omal nie otarliśmy się o wózek z hot dogami, nad którym umieszczony był niebiesko-żółty parasol, a z kwadratowego otworu pośrodku wózka wydobywała się gorąca para. Zaraz potem przemknęliśmy tuż obok młodego Murzyna, który trzymał w ręce przybory do czyszczenia szyb. Zauważyłam, że miał mocno napiętą skórę na twarzy i wystające kości policzkowe. Szybko uskoczył w bok i wrzasnął: „Hej, sukinkocie jeden!!!”. Jeff uruchomił wycieraczki, zmienił bieg i ruszył w dół Dziewiątej ulicy.

- Nie jestem pewny, gdzie się teraz znajdujemy - wyznał po chwili.

- Ale ja wiem, kochanie - zapewniła go Jules. - Witaj na wyspie zbłąkanych dusz!

- Obie dobrałyście się jak w korcu maku - orzekł Jeff.

- Ożeniłabym się z nią natychmiast, gdybym tylko mogła - powiedziała Jules i śmiejąc się, pacnęła mnie w kolano.

- Nie ma takiego drugiego miejsca jak dom - wyrecytowałam i powtórzyłam: - Nie ma takiego drugiego miejsca jak dom.

- Na pewno nie jesteśmy w Kansas - zażartowała Jules.

- Nie ma takiego drugiego miejsca jak dom! - zawołałam po raz trzeci, gdy skierowaliśmy się do południowej dzielnicy miasta.

Epilog

Mój pager zadzwieczał, sygnalizując, że ktoś mnie wzywa, w trakcie drugiego aktu nowego musicalu, którego akcja rozgrywała się na przełomie wieków w dziecięcym szpitalu przeciwgruźliczym. Mimo ciemności panującej na widowni teatru, zauważyłam, że w rzędzie krzeseł krytych aksamitem odwracają się głowy i ludzie patrzą na nas z potępieniem. Gdy już ten blaszany świergot przebrzmiał, sięgnęłam do torebki, znalazłam pager wciśnięty między portfel a książeczkę czekową, wyłączyłam go i spojrzałam na Richarda, uśmiechając się ze skruchą.

- Zawsze to samo - szepnął i ścisnąwszy mnie za ramię, popychał w stronę przejścia między rzędami, żebym poszła zadzwonić do szpitala. Sam przykucnął, nie chcąc widzom przeszkadzać.

Kiedy tamtej wiosny przed ośmiu laty sprowadziłam się z Jules do nowego mieszkania, długo nie mogłam znaleźć pracy. Być może miałabym szansę na zatrudnienie się w dziennikarstwie, a nawet na odzyskanie dawnego stanowiska w mojej redakcji, ale nie chciałam, bo na pewno byłabym obiektem niezdrowego zainteresowania, tematem rozmów i plotek.

Poza tym już za dużo wiedziałam o tym zawodzie, poznając go z drugiej strony, od podszewki. I nie chodziło mi tylko o historie, jakie o mnie wypisywano w czasie śledztwa, a także potem, ani nawet o to, że Jon sprzedał pewnemu czasopismu napisaną w pierwszej osobie relację z łączących nas stosunków; zamieszczono ją na czołowej stronie razem z moim często publikowanym zdjęciem, co było chyba niezamierzonym efektem mojego uśmiechu à la Mona Liza.

Chodziło mi o coś innego. Od dziennikarstwa odrzucało mnie przekonanie, że moja w nim przyszłość polegałaby jedynie na ślizganiu się po powierzchni życia. Tylko przelotnie interesowałyby mnie losy innych ludzi, ich bolesne doznania, kryzysowe sytuacje, wstydlive i intymne sprawy. Jako dziennikarz wciągałabym ich w swoją orbitę wyłącznie po to, aby móc o nich napisać. Nie zgłębiałabym ich problemów ani bym się nie starała utrwalić w pamięci tego, co zobaczyłam lub usłyszałam jako reporter. Jules także odeszła z zawodu: przeszła do wydawnictw książkowych. Powiedziała, że twarde okładki mają w sobie godność, jakiej pozbawiony jest gładki, błyszczący papier i liche druk.

Co roku na sylwestra Jules proponowała mi milion dolarów, żebym zechciała opisać życie, jakie ostatnio prowadzę, a ja na tegoż sylwestra nazywałam ją pieprzonym leniuchem, a potem razem się upiliśmy. Kocham Jules. Ta dziewczyna co roku w tym dniu zapewnia mnie też, że gdybym nie była kobietą, poślubiłaby mnie choćby jutro. Twierdzi nawet, że gdyby zmieniono obowiązujące w tej dziedzinie prawo, i tak by mnie poślubiła, nie patrząc, jaką mam płeć.

Kiedy zaczęłam studiować medycynę, niektórzy moi znajomi mówili, a parę osób nawet o tym napisało, że ten mój krok był nie tylko oczywisty, ale i łatwy do przewidzenia. Tymczasem prawda jest inna: Nie myślałam nawet o medycynie do dnia, w którym zaczęłam odwiedzać w szpitalu położonym blisko mego domu pacjentów chorych na Aids.

Tylko sześć miesięcy mieszkałam z Jules. Potem znalazłam sobie własne mieszkanie. Być może za nie zapłacić, miałam się różnych dorywczych prac. Wieczorami zatrudniałam się jako kelnerka w pewnym słynnym barze z grillem. Obsługiwałam tam młodych biznesmenów z Wall Street, którym dopiero zaczynały się tworzyć brzuszki pod szytymi na miarę koszulami. Od czasu do czasu lokal, w którym pracowałam, odwiedzali młodzi stażem, ale dobrze się zapowiadający aktorzy filmowi.

W tamtym okresie, a trwało to kilka miesięcy, spałam z wieloma mężczyznami. Tłumaczyłam sobie, że robię to tylko po to, by coś odczuć. Kilku z nich przypominało mi Jonathana, ale żaden nie był podobny do Chrisa Mortensena. Może właśnie dlatego bez żalu się z nimi rozstawałam. W jakiegoś dwa lata po moim wielkanocnym weekendzie z Chrisem mój brat Jeff w przypadkowej rozmowie poinformował mnie o śmierci Mortensena.

- Wiesz - powiedział - nazywał się Chris Mortensen. Może go pamiętasz z liceum? Wyobraź sobie, że zginął w wypadku samochodowym, gdy jego furgonetka zderzyła się czołowo ze śmieciarką braci McNulty. Oczywiście bracia McNulty wyszli z tego bez szwanku, nawet bez zadraśnięcia. Musieli jednak zwinąć swój biznes, gdy młodszy z nich stracił prawo jazdy za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, a starszemu za podobne przestępstwo odebrano prawo jazdy przed rokiem.

Uważnie przyglądałam się wyrazowi twarzy brata, gdy tę historię relacjonował. Chciałam zobaczyć, czy coś jeszcze się za tą wiadomością kryje, ale braciszek wydawał się całkiem szczery. Być może była to tylko langhornowska plotka, a może nie...

Jeśli nie liczyć odwiedzin Jules, czułam się bardzo samotna w pierwszym roku po powrocie do Nowego Jorku. Moi dotychczasowi przyjaciele dzielili się na dwie kategorie. Jedną stanowili ci, którzy mnie opuścili ze względu na to, co się wydarzyło z mamą, drugą zaś ci, którzy właśnie z tego powodu się do mnie zbliżyli. Interesowali się mną także działacze szukający mego poparcia w walce o prawo do umierania na własne życzenie. Chodziło im o wspomaganie samobójców i biernej eutanazji. Chcieli, żebym stała się dziewczyną z plakatu, agitującą za tą sprawą. Nie przyjmowali do wiadomości moich zaprzeczeń ani faktu, że sąd odstąpił od oskarżenia mnie; ignorowali moje stanowcze twierdzenia, że nie popełniłam czynu, z którego, ich zdaniem, powinnam być dumna. Pewien lekarz, oddany sprawie pomagania ludziom chorym na stwardnienie rozsiane, proponował im samobójstwo przez zamknięcie rury wydechowej w samochodzie specjalnym mankietem. Gdy ten doktor osobiście zjawiał się u mnie w mieszkaniu z owym mankietem w ręku, przycisnęłam mu drzwiami palce.

Moja decyzja zostania lekarzem nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Kiedy wyprowadziłam się od Jules, przenieśliśmy się do niewielkiego własnego mieszkania, składającego się z pokoju z wnęką zasłoniętą żaluzją, za którą znajdowała się kuchenka i mała lodówka. Na tym samym piętrze, po drugiej stronie holu mieszkał pewien aktor. Któregoś dnia dowiedziałam się, że mój sąsiad jest bardzo chory i leży w szpitalu. Od jakiegoś czasu chudł, co mnie się wydawało naturalne i początkowo nawet nie zwróciłam na to uwagi. W październiku odwiedziłam go w szpitalu; wielkie krosty szpeciły jego twarz, która kiedyś zapewniła mu role w tanich serialach i w reklamie kawy. Siostra oddziałowa usilnie mnie namawiała, żebym

przychodziła także do innych jej pacjentów. Kiedy mnie dwukrotnie poprosiła o powtórzenie nazwiska, trochę się zdenerwowałam. Ale gdy usłyszałam: „Gulden, Gulden? Ach, to tak jak ta musztarda”... - od razu mi ulżyło.

Byłam tak samotna, że odwiedzanie chorych traktowałam jako dobry uczynek spełniany z myślą o sobie samej i może jeszcze o Brianie. Po śmierci matki Brian mnie unikał. Sądziłam, że i on nie wierzył moim zapewnieniom, że jestem niewinna. Ale pewnego dnia przyjechał do Nowego Jorku pociągiem z Filadelfii. Spotkałam go na peronie stacji Penn. Na dworze było ciepło i zaczynało już szarzeć. Tłumy ludzi krążyły wokół nas, a my szukaliśmy siebie wzrokiem, jakbyśmy byli kochankami z jakiegoś starego filmu, na nowo spotykającymi się po wielu latach. Gdy w końcu nasze oczy się odnalazły i stanęliśmy twarzą w twarz, Brian się uśmiechnął tym swoim słodkim, jasnym uśmiechem, a ja tak długo trzymałam go w objęciach, że usprawiedliwione byłoby podejrzewanie nas o romans.

- Ach, El - wciąż powtarzał mój najmłodszy braciszek.

Tego wieczoru jedliśmy kolację w restauracji, w której sobie dorabiałam kelnerowaniem, więc karmili nas tam za darmo. W czasie kolacji Brian mi wyznał, że jest gejem. Myślał, że uda mu się to jakoś przemilczeć i że przez całe życie nie wypowie tych słów, które go przerażały. Podczas gdy ja sądziłam, że Brian ma do mnie żal o mamę i nienawidzi mnie za coś, czego nie zrobiłam, on się bał, że kiedy się dowiem, kim jest, odwrócę się od niego ze wstrętem. Teraz z radością dowiedzieliśmy się oboje, jak bardzo się co do siebie myliliśmy.

O ile wiem, Brian do dziś nie przyznał się ojcu, że jest gejem. Ale tamtego wieczoru, kiedy przez wiele godzin siedzieliśmy nad kawą, wyznanie prawdy ojcu wydawało mu się mniej ważne niż upewnienie się, że nasza matka by go zaakceptowała.

- Sądzę, że jej byłoby to obojętne, nie miałyby nic przeciw temu. Prawda? - spytał.

- Masz rację: nie miałyby - zgodziłam się.

Oczywiście to, co powiedziałam, było nieprawdą. Nasza matka na pewno bardzo by ubolewała nad tym, że jej najbardziej ukochane najmłodsze dziecko weszło na drogę, na której narażało się na ból i ośmieszenie, i że z tego powodu czekało go trudne życie. Bardzo by też ubolewała, że nigdy nie będzie miała synowej, którą zapewne nieraz sobie wyobrażała jako osobę spokojną, ładną i kochaną. Żałowałyby również, że nigdy nie będzie miała wnuków. Ale łatwiej było powiedzieć Brianowi, że mama nie miałaby zastrzeżeń. Mama nie żyła, więc uprościliśmy sobie sprawę. Lecz to też nie jest cała prawda, bo przez całe życie upraszczaliśmy sobie problemy mamy. Urabialiśmy ją sobie na taką, jaką chcieliśmy mieć, bo tylko ona była jedyną prawdziwą wartością, jaka się dla nas liczyła.

W rzeczywistości wszyscy pragniemy tylko tego, by uczynić swoje życie prostszym. Czasem ludzie się dziwią, że po tym, co mnie spotkało, nie jestem zgorzkniała. Muszę przyznać, że przez długi czas taka byłam i uważam, że jest to zrozumiałe. Śmierć jest czymś tak dziwnym, tak tajemniczym i smutnym, że bardzo chcemy obarczyć kogoś winą za nią. I chyba niektórym łatwo było obarczyć tą winą mnie. Ludzie się dziwią, jak mogłam przeżyć to, że zostałam oskarżona o zabicie własnej matki, ale nikt nie zdaje sobie

sprawy, iż patrzeć na jej umieranie było dla mnie czymś o wiele gorszym. Świadomość tego, że mogłam ją zabić, była niczym w porównaniu z poczuciem bezsilności wobec faktu, że nie mogłam jej uratować. Zdawałam sobie sprawę, jak niewiele brakowało, a mogłabym w ogóle do mamy się nie zbliżyć, nie poznać jej lepiej. Ta myśl bardziej mnie przerażała niż Ed Best i jego skromniutka armia panów w zbyt ciasnych garniturach.

Przez cały ten czas w Nowym Jorku, gdy odnajdywałam swoje zagubione drogi i odkrywałam nowe, ani razu nie spotkałam się z ojcem. Początkowo chyba nie unikałam go celowo. Po prostu nie obchodziłam już świąt z rodziną, a ojciec rzadko przyjeżdżał do Nowego Jorku. Poza tym przez rok wykładał gościnnie w Anglii. Ja z kolei przez ostatnie dwa lata tyle miałam pracy, studiując medycynę, że nieraz całymi dniami nikogo nie widywałam prócz kolegów z roku i tych, którzy akurat z jakiegoś powodu znaleźli się w szpitalu.

Nigdy nie wróciłam do Langhorne i nie sądzę, bym kiedykolwiek miała na to ochotę.

Jeff ukończył college, ale nie uczestniczył w uroczystości rozdania dyplomów. Powiedział, że uważa tego rodzaju uroczystości za bezsensowne; ja się jednak zastanawiałam, czy mój brat nie chciał mi w ten sposób pomóc uniknąć spotkania z ojcem. W miesiąc po opuszczeniu przez Jeffa college'u otrzymałam list zaadresowany dobrze mi znanym pismem taty. Byłam właśnie w drodze do pracy, więc wyjąwszy ze skrzynki pocztę, włożyłam ją do torby, żeby przeczytać później. Przez wiele dni ten list walał się wśród różnych drobiazgów na spodzie mojej torby: ochronnego sztyftu do ust, drobnych monet i kluczy. Wreszcie któregoś dnia postanowiłam wziąć list do ręki i zastanowić się, czy go otworzyć i pozwolić, by jego słowa przemówiły. Wtedy okazało się, że list zniknął.

Przeszukałam całe moje małe mieszkanie, ale nigdzie go nie znalazłam. Wyjęłam wszystkie książki z półek i trzymając je za grzbiety, gwałtownie nimi potrząsałam. Zajrzałam do zakamarków wersalki, szukałam w szafkach kuchennych - nadaremnie.

Może gdy w metrze wyjmowałam z torby bilet i potem biegłam na peron, list wypadł na podłogę, a stamtąd na szyny... A może upuściłam go, gdy zamyślona wyciągałam portfel w delikatesach i wpadł między szafkę chłodniczą z lodami a ladę; dopiero po latach go znajdą i wyrzucą, gdy będą przemeblowywali wnętrze sklepu.

Jak mawiamy my, psychiatrzy, nic się nigdy nie dzieje przypadkowo.

Często się spotykam z moimi braćmi, ale nie wiem, czy oni widują się z ojcem, bo nigdy o tym nie wspominają. Brian prowadzi zakład ramiarski w Filadelfii i wydaje się bardziej niż kiedykolwiek szczęśliwy, chociaż wciąż szuka kogoś, kogo by mógł pokochać. Po moim oczyszczeniu się z zarzutu czy uwolnieniu od winy - czy jak tam chcecie nazwać fakt, że nie wysunięto przeciwko mnie żadnego oskarżenia o to, o co wszyscy mnie podejrzewali i święcie wierzyli, że zrobiłam, Jeff postanowił studiować prawo i teraz jest prokuratorem na Manhattanie.

Choć oboje zdajemy sobie sprawę, jak ironiczną ma to wymowę, nie zamierzam ukrywać satysfakcji, jaką sprawia mi myśl, że Jeff wybrał ten zawód, by mieć pewność, iż ścigani będą właściwi ludzie.

Jeff, o dziwo, pracuje w dolnym Manhattanie w tym samym biurze, w którym Jon kiedyś latem zatrudnił się w czasie wakacji. Mimo że Jon dobrze wywiązywał się z obowiązków, nie zaproponowano mu stanowiska w prokuraturze okręgowej. Nie otrzymał też żadnej innej urzędniczej posady, o jaką zabiegał.

Pewnego letniego dnia przeczytałam na mikrofilmie w nowojorskiej Bibliotece Publicznej wywiad, jakiego Jon udzielił którejś z gazet. Wydarzyło się to tuż przed podjęciem przeze mnie studiów medycznych. Żeby na nie zarobić, pracowałam dorywczo jako recepcjonistka, a także przez dwa tygodnie pełniłam funkcję osobistej asystentki wiceprzewodniczącego zarządu pewnej agencji reklamowej. W wywiadzie dla gazety Jon twierdził, że będąc prawnikiem z wykształcenia, uważał, że jego moralnym obowiązkiem jest zabrać głos w sytuacji, gdy śmierć mojej matki wzbudziła określone podejrzenia. Potem dowiedziałam się od Jeffa, że wielu prawników w biurze Jona uznało, że postąpił podle, zeznając przeciwko swojej kochance, bez względu na to, co uczyniła. Poza tym uważano Jona za człowieka o niepoahamowanych ambicjach; ktoś nawet się wyraził, że byłby zdolny do okrucieństwa również wobec własnej matki.

A matka Jona? Jakże inaczej potoczyłoby się jego życie, gdyby umiała się pogodzić z nudą życia w Brooklynie i zabierała go jako małego chłopca na pikniki czy wozila do akwarium na Coney Island. Jon pracuje teraz w jednej z wielkich firm, chociaż nie w tej z oranżerią, o jakiej marzył. Przypuszczam, że nikt u niego w pracy nie docięka, jak podle wobec mnie postąpił, i nie potępia jego zdrady. Prawdopodobnie znęcanie się nad kimś bliskim uchodzi u nich za swoisty kunszt. Jon haruje tam pewnie po dziesięć godzin dziennie.

Ja też pracuję teraz tyle godzin. Jestem tak załatana, jak byłam wtedy, gdy pracowałam w redakcji, zanim wróciłam do domu. Ale nie jestem już taka pewna siebie jak dawniej. Nie wierzę też w wiele z tych rzeczy, w które wierzyłam kiedyś.

Gdy rozpoczęłam studia w akademii medycznej, w jednym z ilustrowanych pism goniących za sensacją ukazała się na stronie piątej moja fotografia: siedzę przy stoliku w akademickiej stołówce. Najwidoczniej zrobił ją któryś z moich kolegów. Nagłówek brzmiał: „Czy Anioł Śmierci chce teraz zostać lekarzem?” Mimo że artykuł wywołał ogromne poruszenie, lawinę protestów i spowodował wezwanie mnie do dziekana, pozwolono mi zostać na uczelni. Po jakimś czasie ludzie o tej sprawie zapomnieli.

Ja jednak nie zapomniałam. Przeciwnie. W miarę upływu lat moja pamięć o tamtych wydarzeniach jeszcze się wyostrzyła. Nigdy nie zamierzałam poświęcić się onkologii. Miałam jednak wystarczającą wiedzę, przerabiając po kolei wszystkie działy medycyny, żeby rozumieć, iż moja matka była pod każdym względem typową pacjentką, z jednym wszakże wyjątkiem, że zmarła szybciej niż wielu innych chorych cierpiących na ten sam rodzaj raka. Ale i tak nie miała szans na przeżycie. Gdybym ja była jej lekarzem, leczyłabym ją tak samo jak doktor Cohn i rezultat byłby identyczny. Domagałabym się także sekcji zwłok, podobnie jak to uczyniła doktor Cohn. I choć powodowała się czysto zawodową ciekawością, wynik badań tak bardzo odmienił nasze życie.

- Czy dziś jako córka pani Gulden zachowałaby się pani inaczej? - spytała mnie kiedyś moja psychoterapeutka z niezwykłym błyskiem w oku. Otóż przyznaję, że gdybym wiedziała wtedy to, co wiem

dzisiaj, postępowałabym inaczej. Stworzyłabym mojej matce odpowiednie warunki, by mogła do woli rozmawiać, narzekać, snuć fantazje, płakać i wypowiadać swoje zdanie. I tym właśnie jako lekarz zajmuję się teraz, opiekując się swoimi pacjentami. Oczywiście, wszystko wydaje się łatwiejsze, jeśli patrzymy z retrospekcji. W tamtym czasie robiłam to, co było w mojej mocy. Myślę, że wszyscyśmy się starali tak postępować, nawet ojciec, mimo że zachowywał dystans, próbował nas terroryzować i karmił mamę łyżkami pełnymi ryżowego budyniu.

Nieraz mi się wydaje, i powtarza się to mimo upływu lat, że widzę moją mamę w tłumie przechodniów. Widzę tę błyszczącą koronę włosów wynurzającą się nagle o parę głów dalej, ale zawsze odrobinę za daleko, by do niej sięgnąć. Któregoś dnia bez żadnego szczególnego powodu kupiłam stare nagranie filmu *South Pacific*. Pamiętałam, że oglądaliśmy go pewnego wieczoru, gdy mama bardzo się uskarżała na silny ból w krzyżu, a całkiem zapomniałam, że jako mała dziewczynka siedziałam kiedyś przed odtwarzaczem stereo i mama uczyła mnie śpiewać:

Tkwią po uszy, choć się ze mnie śmieją, w czymś, co się nazywa nadzieją. I choć chcę ją z serca wyrzucić, ona zawsze umie do mnie powrócić.

Niekiedy pewne rzeczy mnie zaskakują, pamięć płata figle, o niektórych sprawach zapominam, inne duszę w sobie. Nawet tamtej nocy w teatrze przeżyłam coś dziwnego. Na chwilę zanim mój pager zabręczał, usłyszałam kilka taktów muzyki, które wzbudziły we mnie taką tęsknotę za matką, że zapragnęłam do niej zadzwonić, zaraz gdy wrócę do domu. Czasem biorę słuchawkę do ręki i zaczynam wykręcać numer. Poduszka wyszywana w słoneczniki zawsze leży na moim tapczanie.

- Pani haftuje? - pyta kiedyś jakaś odwiedzająca mnie pani.

- Nie - odpowiadam.

Bywa też, że się spotykam z braćmi. Czas leci, robi się późno, za dużo wypiliśmy i nagle razem wykrzykujemy:

- George Eliot! - Po czym wszyscy troje wybuchamy śmiechem. Bracia wspomagają moją pamięć, ja z kolei pomagam im nie zapomnieć.

Większość moich pacjentek to młode kobiety, które dążą do doskonałości i koniecznie chcą być we wszystkim „naj”. Zżera je ambicja. Kiedyś jedna z nich, bardzo zdolna dziewczyna, tego lata gdy kursowała między angielskim uniwersytetem w Exeter a Uniwersytetem Yale w Stanach, omal nie zagłodziła się na śmierć. W trakcie psychoterapeutycznej sesji, kiedy doprowadziłam ją może zbyt blisko do wyznania bardzo osobistych doznań, nagle - ku memu zdziwieniu - usłyszałam:

- Moja mama powiedziała, że ludzie mówią, że pani zabiła swoją matkę.

- Tak powiedziała? Naprawdę? - spytałam.

Jej matka była niezwykle piękną kobietą. Można by ją jednak określić jako typową „żonę-ozdobę”. Należała do pewnego finansisty, który jej się niedawno pozbył, zamieniając ją na młodszą „ozdobę”. Ale pamiętałam ją jako osobę bardzo próżną. Nosila próbki różnych materiałów w dużej, miękkiej jak aksamit, skórzanej torbie; lubowała się też w złotych piórach i miała oprawne w złoto zeszyty, które zawierały wy-

rysowane na milimetrowym papierze plany pokojów, a na okładkach widniało jej nazwisko wykute w złocie. Kiedyś przebiegło mi przez myśl, że gdyby moja matka była bogata i z natury próżna i zimna, to byłaby kopią tej kobiety. Ale gdyby moja matka była bogata i z natury próżna i zimna, nie byłaby sobą, ale kimś zupełnie innym.

- Mama powiedziała - mówiła dalej moja pacjentka - że udało się pani uniknąć oskarżenia jedynie dzięki pewnym prawnym kruczkom.

Lekko skłoniłam głowę i potaknęłam. Zawsze tak robię, żeby zachęcić pacjentów do wynurzeń.

- Świetnie panią rozumiem i nie dziwię się, że zdecydowała się pani to uczynić. Ja też marzę o tym, żeby się pozbyć mojej matki.

Patrzyłam na jej nieszczęsne, tak chude, że aż przezroczyste ramiona: patyczki tkwiące w rękawach podkoszulka. A trykotowe podkoszulki nosiła po to, by zademonstrować swoją niechęć do pięknych jedwabnych bluzek, które wisiały w jej szafie. Pomyślałam, patrząc na nią, że osobą, którą usiłowała zabić, na pewno nie była jej matka.

- A jeśli to pani zrobiła - powiedziałam - to co potem?

- Jak to co?

- Powiedzmy, że pani matka już zniknęła: umarła, odeszła, wszystko jedno, jak to pani nazwie. I co potem?

- Że jak?

- Proszę się nad tym zastanowić - poradziłam jej.

Gdy kiedyś sama poddałam się psychoterapii, wyznałam swojej terapeutce, że od śmierci matki nie wiem, kim jestem. Czułam się tak, jakbym straciła związki łączące mnie z przeszłością, a przyszłość widziałam podobnie jak mama swoją: nie chciałam nic o niej wiedzieć.

Ironia polegała na tym, że zanim mama zachorowała, byłam bardzo pewna i tego, kim jestem, i tego, czego chcę. Byłam córką George'a Guldena i chciałam, by on mnie kochał. Pod wieloma względami nadal jestem bardzo do ojca podobna, ale czuję się także ostatnim żywym członkiem guldenowskiego klubu czytelniczek książek oraz gotowania. Nigdy o tym nie zapomnę, chociaż nie wyznaję już takich poglądów jak przedtem. Nigdy bym teraz nie pomyślała, że Anna Karenina postąpiła słusznie, gdy zamknęła za sobą drzwi i poleciała za Wrońskim. I zawsze będę myślała o małym Sierioży, który, drżąc, czekał w holu na powrót mamy. Ja też nieraz czekam na swoją matkę i łapię się na tym, że trzymam słuchawkę telefonu w ręce i chcę do niej zadzwonić, a potem sobie przypominam, że kobieta, z którą pragnę rozmawiać, już od dziesięciu lat nie żyje.

Mamie udało się w końcu wycisnąć na mnie swoje piętno do tego stopnia, że chyba teraz widzę ojca takiego, jakiego ona widziała; podziwiała go i jednocześnie mu po cichu współczuła. Bo mój ojciec nie jest złym człowiekiem, ale słabym. Robił to, co robi wielu mężczyzn: dzielił kobiety na grupy. Choć w jego wypadku nie chodziło o rozróżnianie ciała i duszy i przeciwstawianie Madonnie ladaczniczki, ale o tworzenie intelektualnych bliźniaczek: kobiety rządzącej się umysłem i kobiety, która kieruje się sercem, tak jak

Elizabeth i Jane Bennet z *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen. Miałam tego pecha, że mnie mianował kobietą bez serca, a moją matkę uznał za niedouczonej i w ten sposób obie nas jednakowo skrzywdził, choć myślę, że mama jednak lepiej na tym wyszła.

Jules mi wciąż przepowiada, że któregoś dnia napiszę wielkie i wybitne dzieło: podręcznik „O kobietach, kochających mężczyzn, którzy kochają tylko siebie samych”. Gdy byłam na ostatnim roku studiów medycznych, zakochałam się w pewnym młodym lekarzu o imieniu Jamie, odbywającym praktykę chirurga. Był Kalifornijczykiem o jasnoblonde włosach i zręcznych dłoniach. Nie ulegało kwestii, że jest dobry w chirurgii, ale równie dobry w zdradzaniu. Potrzebowałam aż sześciu miesięcy, żeby odkryć to, co wszyscy inni już dawno wiedzieli, a mianowicie, że jego zmienne humory są skutkiem zażywania amfetaminy, a ulubiona pozycja w seksie - w łóżku z pielęgniarką w jakiejś niezajętej separacie. Chciałabym wierzyć, że Jamie był ostatnim facetem, który mnie oszukał.

Richard jest chirurgiem ortopedą, czyli medycznym odpowiednikiem stolarza. Przez rok był moim przyjacielem, przez następny rok kochankiem, a teraz chce zostać moim mężem, i przypuszczam, że tak się stanie. Najpierw jednak muszę uporać się z faktem, że mój stosunek uczuciowy do Richarda przypomina to, co czuję wobec moich braci. Byłam kiedyś na przyjęciu, jakie urządzał kierownik oddziału chirurgii naszego szpitala. Wypiłam za dużo wina i krążąc po salonie, udawałam, że nie zauważam, jak silnie działa na Jamiego urok trzeciej żony gospodarza przyjęcia; miała na sobie czarną suknię bez ramiączek. Richard surowo mnie wtedy skrytykował.

- Mój problem polega na tym - powiedział - że jestem za dobry dla ciebie.

- To jest mój problem - odparłam.

- Może raczej twojej cipki, kochanie - przygadał mi i krzyżując muskularne ramiona na piersi, ze złością kopał dywan.

Richard jest miły i dobry. Wiem, że tego wieczoru, kiedy poszliśmy do teatru, miał bilety na mecz baseballu. Dowiedziałam się o tym tylko dlatego, że przypadkiem znalazłam bilety w szufladzie w kuchni, gdzie Richard trzymał nożyczki. O tym, jaki jest łagodny, przekonałam się, kiedy mój pager zabręczał w czasie przedstawienia. Inni mężczyźni, nawet lekarze, byłiby na mnie oburzeni i źli, ale on tylko ucisnął moje ramię i pomógł wyjść z sali. Psychiatra zajmujący się dorastającą młodzieżą nie jest tak niepokojony telefonami, jak na przykład położnik. Ale mimo wszystko zdarzają się czasem nagłe wezwania i już się do nich przyzwyczaiłam.

W foyer teatru był tylko jeden automat telefoniczny, z tyłu za kolumną. Korzystał z niego właśnie jakiś mężczyzna w dwurzędowce. Kiedy zobaczył, że stoję za nim, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wyjaśnił mi ni to ze złością, ni to przepaszając, że ten się właśnie wyładował. Potem zaczął rozmawiać z kimś na drugim końcu linii o liczbach, pieniądzach, interesach, cenach za baryłkę ropy itp. Przez jakiś czas przechadzałam się po teatralnym foyer, pokrytym wykładziną dywanową o orientalnych wzorach, i co chwila spoglądałam na zegarek. „Jeszcze dwie minuty - pomyślałam - i powiem temu panu, że muszę zadzwonić, bo jestem lekarzem psychiatrą i zdarzył się nagły wypadek”. Nawet bardzo wysoki urzędnik

bankowy na te słowa odłożyłby słuchawkę. Ludzie zawsze to robią, gdy im mówię, że zdarzyło się coś nagłego. Pewnie sobie wyobrażają, że jakiś facet stoi na dachu i trzeba go przekonać, by zszedł, albo jakaś dziewczyna trzyma żyletkę na nadgarstku i zaraz zrobi z niej użytek. Ale dałam temu panu jeszcze chwilę i nie interweniowałam. Stałam przed szklanymi drzwiami wychodzącymi na Czterdziątą Szóstą ulicę, i nagle zobaczyłam mojego ojca: stał po drugiej stronie i palił papierosa.

Wyrzucił niedopałek na ziemię i zręcznie go zgasił szpicem buta, a potem odwrócił się w stronę holu i mnie zobaczył. Skłonił głowę - czyżbym po nim właśnie miała ten zwyczaj? - a potem lekko się uśmiechnął i spojrzał trochę tak, jakby mnie rozpoznał, a trochę jakby ironicznie, z dystansem i w końcu eleganckim ruchem ręki otworzył szklane drzwi.

- Jak zapewne zauważyłaś i bardzo mnie za to potępiasz, palę papierosy, ale rzuciłem alkohol.

- Świetnie! Uratujesz wątrobę, lecz stracisz płuca, i równowaga zostanie zachowana.

- Widzę, że twego ostrego języczka ani wiek nie poskromił, ani nie stępiły dobre maniery.

- Mylisz się, tato. Mój sposób mówienia bardzo się zmienił, ale tym razem rzeczywiście wypowiedziałam się w starym stylu. Uważam jednak, że powinieneś rzucić palenie, choć przyznaję, że odstawienie alkoholu to dobry pomysł.

- Rozumiem, że udzielasz mi rad jako lekarz.

- Tak.

- Nigdy nie sądziłem, że zostaniesz lekarzem, i to lekarzem duszy - powiedział, przypatrując mi się z bliska, jakby ta decyzja mogła mieć jakikolwiek wpływ na mój wygląd. A może tata chciał z moich oczu wyczytać, co o nim sędzę. Nauczyłam się jednak przybierać tak potrzebny w moim zawodzie obojętny wyraz twarzy.

Odchyliłam do tyłu głowę i głośno się roześmiałam, a ojciec śmiał się ze mną i przez krótką chwilę pomyślałam, że nic się między nami nie zmieniło. Zupełnie nic.

- Wspomniałeś o leczeniu duszy. Tylko ty używasz tego terminu; jest taki wiktoriański...

- Czy pracujesz z dziećmi? - spytał.

- Nie, z dorastającą młodzieżą. Wiesz: depresje, samobójstwa i różne inne manifestacje rozpacz.

- To są sprawy mało realne, czysta fikcja.

- Nie, wcale nie! - zaprzeczyłam. - Oczywiście na papierze można zrobić, co się chce, ale w praktyce trzeba umieć przekonać Annę Kareninę, żeby się nie rzuciła pod pociąg.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Dobrze wyglądasz - stwierdził w końcu.

- Ty też.

- Podobała ci się sztuka?

- Nie za bardzo - odparłam. - Jestem zdziwiona, że cię tu spotykam.

- Zrobiłem to dla mojej przyjaciółki, która studiuje scenografię, a dekoracje do tego przedstawienia są dziełem jej profesora.

Tymczasem wysoki urzędnik bankowy skończył telefonować i odłożywszy słuchawkę, zwrócił się do mnie:

- Telefon jest już wolny i do pani dyspozycji.

- Mam nagły wypadek, muszę zadzwonić - wyjaśniłam ojcu, podnosząc słuchawkę.

Porozumiałam się ze szpitalem i okazało się, że wypadek nie jest groźny: moja pacjentka, młoda kobieta studiująca nauki humanistyczne w małym college'u w Ohio, próbowała zapić się na śmierć. Zalecałam jej przyjmowanie środków antydepresyjnych, zaczęła je brać, ale się uparła, że musi podwoić dawkę, bo jej się zdawało, że nie działają.

Alarmujący telefon był od jednej z pielęgniarek na oddziale psychiatrycznym.

- Powiedziałam jej, że to musi potrwać, zanim środki zaczną działać, ale ona nie chce się uspokoić, zanim nie usłyszy tego wprost od pani - tłumaczyła się i spytała, co ma z tą chorą zrobić.

- Proszę przekazać pacjentce, że będę u niej jutro rano, i poinformować ją, że środki antydepresyjne powinny zacząć działać pod koniec tygodnia, a jeśli tak się nie stanie, zmienię jej dawkę albo lek. I proszę przypomnieć tej chorej, że w ramach terapii kazałam jej przeczytać *Wichrowe wzgórza*.

Gdy odłożyłam słuchawkę, ojciec wciąż stał obok. Wiedziałam, że nie odejdzie. Wyczułabym, gdyby chciał to zrobić.

- Polecasz umyślowo chorej pacjentce czytać książki sióstr Brontë? - spytał zdziwiony.

- Tak - odparłam. - Ta lektura pomoże jej zrozumieć, co to jest wewnętrzny przymus, i na jakiś czas pozwoli się oderwać od własnych z tym problemów. Wbrew temu, co sądzisz, zawsze lubiłam siostry Brontë - dodałam z uśmiechem. - Przepraszam cię, tato, ale muszę już wrócić na widownię.

- Chciałbym ci tylko jedną rzecz powiedzieć - jego twarz przybrała jakby nieco zawstydzony wyraz, jak wtedy, kiedyśmy potracili sarnę.

- Nie ma potrzeby - zapewniłam go.

- Jednak chciałbym - upierał się. - Jest dla mnie ważne, żebyś uwierzyła w to, co napisałem w liście: że ja nigdy przenigdy ciebie nie potępiałem. Na twoim miejscu uczyniłbym to samo i właściwie powinienem był to zrobić.

- Co? - spytałam.

- Nigdy nie potępiałem cię za to, co zrobiłaś. Postąpiłaś słusznie, tak jak należało. Ten czyn wymagał wielkiej odwagi. Prawdziwej odwagi, powiedziałbym nawet: męstwa... Nie mogłem ci ze względu na okoliczności powiedzieć tego wtedy w domu. Może wyraziłem się niewłaściwie w liście, ale nigdy cię nie potępiałem. Żałuję, że sam tego nie zrobiłem.

Patrzyłam w jego twarz i niczego podejrzanego z niej nie wyczytałam: żadnego podstępu czy próby wykręcenia się. Nic nie malowało się na niej, tylko szczerą prawdą.

- Ach, tato... - westchnęłam.

- Podziwiam twoją odwagę. - Z teatralnej sali dochodziły pierwsze głośnie tony skrzypiec, intonujące początek pieśni miłosnej.

„Jesteśmy dwojgiem idiotów - pomyślałam, patrząc na ojca. - Dwojgiem niebywałych idiotów: on myśli, że ja to zrobiłam, a ja myślę, że to on. Zupełnie jak w opowiadaniu O. Henry'ego z tą różnicą, że dzięki temu coś się w naszym życiu wyjaśniło”.

Nagle wydało mi się trudne do uwierzenia, że mogłam przez tak długi czas przypisywać ojcu aż tyle odwagi lub - w zależności od motywów, jakimi się kierował - aż tyle przebiegłości. Gdy na całą tę historię teraz patrzyłam, zdała mi się zbyt brudna i przyziemna - choćby ten budyń czy moment podjęcia decyzji - by którekolwiek z nas było do czegoś takiego zdolne. Pomyślałam, że najważniejszym w tym wszystkim jest nie to, żeśmy się oboje z ojcem nie zrozumieli, ale że oboje nie doceniliśmy matki, nie doceniliśmy tej kobiety, która nas na tej szachownicy ustawiała, a myśmy tego nawet nie zauważyli. Czasem usiłuję sobie zrekonstruować sytuację, w jakiej się ten dramat rozegrał. Być może wszystko się zaczęło w momencie, gdy z takim trudem wyciągałam mamę z wanny. Może wówczas zaczęła gromadzić tabletki z morfiną. Jednym ze sposobów mogło być domaganie się ich wtedy, gdy jeszcze nie potrzebowała. Trzymała je w ukryciu pod bielizną albo w pudełku z perłami, które dostała na rocznicę ślubu. Zgromadziła sobie spory zapas po to, by pewnego zimowego ranka o szarym świcie wszystkie połączyć, popić i zasnąć na zawsze.

Możliwe też, że przyszło jej to do głowy owego popołudnia, kiedy wyszłam, by poszukać ojca, a on właśnie wracał do domu. Mama była wtedy przez jakiś czas sama; może podciągnęła się do stolika pod oknem, gdzie trzymałam fiolkę z pastylkami, pogryzła je, przeżuła na miazgę i czekała, aż zapadnie ciemność.

Nie można też wykluczyć, że morfina znajdowała się w budyniu ryżowym; być może ostatnie zajęcie mamy w jej pięknie urządzonej kuchni polegało na tym, że zmeła tabletki na puder i zmieszała w małym naczyniu z ryżowym budyniem, wiedząc, że będzie to jej ostatni w życiu deser. Teraz kiedy już wszystko wiem i wreszcie przejrzałam na oczy, mogę sobie wyobrazić, co mama w tamtej chwili myślała: „Z takim samym przekonaniem, z jakim stworzyłam mój mały świat, posługując się tylko własnymi rękami, przy użyciu terpentyny, farb, miarki, wosku do podłogi, chińskiego lakieru... wprowadzając do mego domu kwiaty, dobroć, troskę, pragnienia, strach i miłość - teraz to wszystko opuszczę”.

- Co potem? - spytałam moją pacjentkę fantazującą na temat pozbycia się kobiety, która wydała ją na świat. Obecnie zadałam sobie to pytanie: Co potem? „Jedyną rzeczą smutniejszą od życia - powiedziała kiedyś Edith Wharton - jest śmierć”. Czasem jednak mam wrażenie, że pisarka się pomyliła, że powinna była powiedzieć to w odwrotnej kolejności.

Ojciec wydał mi się stary i wewnętrznie pusty, jak chityna cykady, jak iluzja, jak coś, czego nie ma. Zrozumiałam, że w jakiś sposób uhonorował mnie swoimi podejrzeniami, ale ja w żadnym wypadku nie zamierzałam wyprowadzać go z błędu. Niech myśli o mnie jak o jakiejś powieściowej bohaterce. Tego wieczoru mój tata stał się jednym z wielu, którzy uważali, że to, co mówiłam, nie ma żadnego znaczenia, lecz służy jedynie za przykrywkę tego, co zrobiłam naprawdę. Mnie łatwiej było wierzyć, że to ja kryję ojca. Teraz będę musiała całkiem inaczej o nim myśleć.

Muszę też stworzyć sobie nowy wizerunek mamy. Nieraz sama siebie przekonuję, że rozumując logicznie, nie mogłam wiedzieć, do czego mama jest zdolna. Sądziłam, że skoro prosi mnie o pomoc, to mam prawo wierzyć, że sama nie potrafi sobie poradzić. W końcu miałam wszelkie powody, by uznać, że mama jest zbyt wyczerpana, zbyt słaba, w zbyt kiepskim stanie, by cokolwiek przedsięwziąć.

Przyznaję, że rzeczywiście nie wierzyłam, by mama miała w sobie tyle energii i siły. A to, że się tak zasadniczo co do oceny mamy myliłam, każe mi się zastanowić, jak często popełniam błędy także w stosunku do siebie samej; jak bardzo ona mogła się mylić w ocenie swojej matki oraz jak mylnie mój ojciec osądzał swego ojca. I tak dochodzę do wniosku, że życie rodzinne bywa nieraz wielkim splotem nieporozumień, a podmalowany i podretuszowany portret rodzinny jest doskonałym przykładem pomijania tego, co najistotniejsze.

Gdy wracałam na swoje miejsce na widowni i przechodziłam między rzędami, zastanawiałam się i nadal się nad tym zastanawiam, komu powinnam zwierzyć się z tego, co teraz wiem. Boba Greensteina to nie będzie obchodziło, bo jego inaczej niż mnie interesuje nie tyle szukanie prawdy, ile raczej odpowiedniego scenariusza. Zastanawiam się też, czy wiedza o tym, co się naprawdę wydarzyło, pomogłaby Jeffowi dojść do porozumienia z ojcem. Być może jednak dzielące ich różnice sięgają o wiele, wiele głębiej w przeszłość i nie dotyczą ani zniknięcia tabletek z morfiną, ani nawet sprawy odpowiedzialności. Może zaczęły się w czasach, gdy my dwoje, ojciec i ja, przenosiliśmy się do pokoju Jeffa, a chłopców pozostawialiśmy na ganku, żeby się cieszyli miłością matki.

Rozważałam też, czy powiedzieć o tym pani Forburg albo Teresie. Tylko że kiedy je teraz spotykam, nigdy nie mówimy o przeszłości. Z panią Forburg rozmawiamy o jej podróżach po kraju; odwiedza domy starców i zapoznaje pensjonariuszy ze skarbami Wielkiej Literatury. Z Teresą zaś mówimy o jej córce i o tym, jak trudno jest jej mężowi znaleźć czas dla ich małej Giny, bo jako lekarz pediatra wiele godzin każdego dnia poświęca trosce o dzieci innych ludzi.

Jeżeli w ogóle komukolwiek mogłabym powiedzieć o tym, co teraz wiem, to chyba tylko owej kobiecie w niebieskim kostiumie. Może to dziwne, ale czuję, że ona właśnie zasługuje na poznanie całej prawdy, tak by moja historia miała dla niej swój początek, środek i koniec.

Wierzę też, że przyjdzie taki dzień, kiedy opowiem o tym ojcu. Wyobrażam sobie nawet, że stanie się to już wkrótce, choć jednocześnie bardzo mnie kusi, żeby pozostawić tego człowieka, którego kiedyś uważałam za najmądrzejszego na świecie, w nieświadomości. Kiedy się zegnaliśmy, ojciec spytał: „Czy mogę do ciebie zadzwonić?” - zupełnie jak starający się o mnie mężczyzna. A ja wręczyłam mu swoją wizytówkę, jakby to spotkanie stanowiło część jakichś naszych niedokończonych interesów.

Tam, w ciemnym świetle teatralnego foyer, ani przez chwilę nie pomyślałam, żeby prawdą, którą tak nagle odkryłam, podzielić się z ojcem. Dobrze się nauczyłam swego zawodu, więc zgodnie z regułami gry zanim opowiem ojcu, co się rzeczywiście wydarzyło - rzecz jasna tylko w takim zakresie, w jakim tę wiedzę posiadam - najpierw sama postaram się wszystko zrozumieć. Muszę dojść do tego, jak to się stało. Choć tak wiele się o mojej matce dowiedziałam podczas długich dni spędzonych razem, do końca jej nie

poznałam: najistotniejsza cecha jej osobowości umknęła mojej uwadze. I mój ojciec, który przecież powinien znać ją najlepiej ze wszystkich, też tej cechy jej charakteru nie odkrył. A może mama nim po prostu manipulowała, zręcznie dobierając odpowiednie metody, żeby uczynić jego życie właśnie takim, jakie on chciał, żeby było. Oszukiwała go, by myślał, że jest jeszcze bardziej naiwna, niż była w rzeczywistości.

Muszę znaleźć sposób na to, by w tych puzzlach wszystko do siebie pasowało - powiedziałyby pewnie Jules. Zajmując się psychiatrią, a to jest obecnie mój zawód, wiem, że są w naszym życiu pewne tajemnice dotyczące sedna spraw, których nigdy nie poznamy. Gdybym nie poszła tego wieczoru do teatru, lecz wybrała się z Richardem na mecz baseballu, gdyby lek, który zapisałam pacjentce, od razu zadziałał, gdyby pielęgniarka do mnie nie zadzwoniła, nie zaalarmowała pagerem, gdyby ten wysoki urzędnik bankowy nie blokował telefonu, gdyby mój ojciec nie zaczął palić papierosów... gdyby, gdyby, gdyby... Gdyby się to wszystko nie zdarzyło, nasze losy całkiem inaczej by się potoczyły.

Kiedy wróciłam na swoje miejsce na widowni, Richard wziął mnie za rękę i mile się uśmiechnął. Potem zaświecono, ale że publiczność nie ustawała w owacjach, kurtyna znowu się podniosła i wtedy Richard pocałował mnie w policzek. Patrząc na niego, zrozumiałam, że chociaż nigdy nie będę taka jak moja matka i moje życie w niczym nie będzie podobne do jej życia, zapamiętam lekcję, jakiej mi udzieliła: można kochać mężczyznę i troszczyć się o niego, a jednocześnie mieć tak wielkie poczucie własnej siły, że nawet nie czuje się potrzeby, by się z tą siłą obnosić. Zdawałam sobie sprawę, że Richard ani trochę nie przypomina mego ojca, jest natomiast bardzo podobny do mojej matki. I pomyślałam, że wyjdę za niego możliwie jak najprędzej, a z całą resztą jakoś sobie poradzę. Może wtedy będę mogła znowu zbliżyć się do ojca i raz jeszcze popaść w jego niewolę, tylko że teraz będzie ona już znacznie mniej sroga.

- Wszystko w porządku? - spytał Richard.

- A czy w ogóle kiedyś bywa wszystko w porządku? - odparłam.

- Więc to prawda, że psychiatrzy zawsze odpowiadają pytaniem na pytanie?

- Nie wiem. A co ty o tym sądzisz? - Ścisnęłam jego dużą dłoń i wyszłam z teatru w tchnący świeżością wieczór.

Chwilę później relacjonowałam mu sprawę owego pagerowego wezwania.

- Mam nadzieję, że moja pacjentka już się uspokoiła. Jako lek pomocniczy w terapii, dopóki nie zadziała ten właściwy, przykazałam jej, by przestudiowała losy Cathy i Heathcliffa z *Wichrowych wzgórz*.

Zatrzymaliśmy się na moment na chodniku. Ludzie gromadnie opuszczający teatr głośno omawiali przedstawienie. Rozglądałam się, ale nigdzie nie dostrzegłam ojca.

Richard sięgnął po moją dłoń i trzymając za nadgarstek, zbadał mi puls.

- A jak się czuje moja pacjentka? - spytał.

- Czy kiedykolwiek miałaś takie uczucie, że wszystko, co sobie przedtem ułożyłaś w głowie, nagle się zmienia i trzeba znowu zaczynać od początku?

- Nigdy nie mam takiego uczucia, że sobie już wszystko w głowie ułożyłem - odparł.

- Z tego wynika, że jesteś lepszym ode mnie człowiekiem.

- Na pewno mniej skomplikowanym...

- Nie, lepszym!

- Niech ci będzie, że lepszym, skoro się upierasz - zgodził się i ruszyliśmy przed siebie. W pewnej chwili jakiś Murzyn o kaprawych oczach poprosił nas o jałmużnę. Chciał tylko dwadzieścia pięć centów.

- Nie mam drobnych - burknęłam.

Richard pogrzebał w kieszeni i dał mu dolara.

- Zafunduj sobie filiżankę kawy, chłopie! - powiedział.

- Życie potrafi być wredne - westchnęłam.

- O tak - zgodził się Richard - ale gdy się pomyśli, jaka jest alternatywa...

- Cytujesz George'a Burnsa* czy Emila Zolę?

- Myślałem, że wygłaszam własną opinię... naprawdę... Ale chodźmy coś zjeść, bo jestem głodny.

- Ja też marzę o jedzeniu. Tego mi właśnie trzeba.

* George Burns - amerykański aktor i humorysta.

TLR